ISBN-978-83-87317-83-6

KULTURA KOSZALIŃSKA almanach 2012

8

KULTURA KOSZALIŃSKA
almanach 2012

KULTURA KOSZALIŃSKA

almanach

2012

Koszalin 2013

„Kultura Koszalińska. Almanach 2012"
Wydany z inicjatywy Rady Kultury
przy Prezydencie Koszalina

Kolegium Redakcyjne:
Jupi Podlaszewski – przewodniczący
członkowie:
Jadwiga Koprowska
Anna Marcinek-Drozdalska
Maria Słowik-Tworke
Andrzej Ciesielski

Małgorzata Kołowska – redaktor prowadzący

Wydawca:
Koszalińska Biblioteka Publiczna
Koszalin
plac Polonii 1
tel. 094 348 15 60

Przygotowanie do druku:
Go Koncept
Andrzej Adamczak
ul. Jantarowa 27
75-256 Koszalin
tel./fax 94 343 80 83
www.gokoncept.pl

Kolegium Redakcyjne dziękuje koszalińskim
instytucjom kultury za udostępnienie fotografii
z zasobów archiwalnych

Projekt okładki:
Arkadiusz Docz

ISBN-978-83-87317-83-6
ISSN 1879-5504

Drodzy Czytelnicy,

uczestnicy i twórcy koszalińskiego życia kulturalnego – bo bez wątpienia są nimi odbiorcy kolejnych almanachów (ten jest ósmym), dokumentujących tę sferę życia społecznego.

Ktoś mógłby zarzucić, że poprzez almanach przekonujemy przekonanych o aktywności koszalińskich środowisk artystycznych i kulturotwórczych. Nie kryjemy przecież nadziei, że almanach trafia także do rąk tych, którzy przed jego lekturą byli skłonni twierdzić, że w Koszalinie mało albo zgoła nic się nie dzieje. Kolejne almanachy przeczą takiemu przeświadczeniu pokazując, że kultura w samym Koszalinie ma znakomitych animatorów i twórców, z których wielu odnosi spektakularne sukcesy w kraju i świecie. Ten zasięg oddziaływania przekroczył granice kontynentalne i są koszalinianie, których świat już zaliczył do panteonu najwybitniejszych twórców – jak Krzysztofa Rapsę Korea Południowa okrzyknęła jednym z najwybitniejszych współczesnych abstrakcjonistów.

W globalnym dyskursie o sztuce uczestniczą także inni twórcy mieszkający w Koszalinie – by wspomnieć Zdzisława Pacholskiego i jego ubiegłoroczną obecność w Galerie Münsterland w niemieckim mieście Emsdeten, nie wspominając o nieustającej żywotności jego projektu „Tutaj – Hiere – Here". To jeden z twórców obecnych we wszystkich dotychczasowych almanachach, który każdego roku daje znać o swojej niezmiennie żywej obecności w kulturze Koszalina, Polski, Europy czy, jak już powiedzieliśmy, świata. W tym najszerszym kontekście najwyraźniej uwidacznia się obecność właśnie Zdzisława Pacholskiego, także wspomnianego już Krzysztofa Rapsy, czyli twórców działających w obszarze sztuki niewerbalnej, pokonującej tym samym wszelkie bariery językowe. A skoro o tej sferze twórczości mowa, nie można nie zwrócić uwagi na obecność na krakowskiej „Uczcie u mistrzów" koszalińskiej artystki Bożeny Giedych.

Wracając do listy „stałych bywalców" kart kolejnych almanachów trzeba wymienić pisarzy Andrzeja Turczyńskiego, Czesława Kuriatę i Ryszarda Ulickiego, a także nazwy „flagowych" koszalińskich imprez filmowych: festiwali „Młodzi i Film", „Integracja Ty i Ja", „Pasje wg świętego Włodzimierza" oraz najnowszych przedsięwzięć dedykowanych młodym twórcom i takim też odbiorcom, czyli Konfrontacje m-Teatr i Festiwal Sztuki w Przestrzeni Publicznej Koszart.

Odnotowane przez almanach wydarzenia wpisują się w istotną dyskusję o miejscu i roli tzw. prowincji w życiu kulturalnym kraju – temu było poświęcone sympozjum zorganizowane przez koszalińską Fundację Moje Archiwum, pokazujące, że „centra" straciły swoją dominującą pozycję, a „małe" może być nie tylko piękne, ale też skuteczne w działaniu i promieniujące nowymi ideami.

Piotr Jedliński
Prezydent Koszalina

Minął kolejny – 2012 rok i Almanach „Kultura Koszalińska", jak zwykle, stara się ocalić od zapomnienia najważniejsze wydarzenia kulturalne tego okresu w naszym mieście. Był to rok bardzo bogaty w działania kulturalne na różnych płaszczyznach. Do imprez, które z dużym powodzeniem odbywają się od kilkunastu lat, dołączyły nowe, które zyskały już swoich stałych sympatyków. Do takich można zaliczyć: Konfrontacje Młodych m-teatr oraz Koszart, w 2012 roku antyatomowy.

Na okres 12 miesięcy w 2012 roku przypadło wiele doniosłych jubileuszy: 100-lecie Muzeum, które mimo sędziwego wieku zaskakuje nas nowymi pomysłami i bardzo wartościowymi i ciekawymi wystawami w ekspozycji stałej i czasowej. Wystawa malarstwa Ryszarda Lecha jest tego najlepszym przykładem. Koszalińska Biblioteka Publiczna skończyła 65 lat, a ciągle proponuje nowe, interesujące sposoby propagowania czytelnictwa w formie tradycyjnej i cyfrowej. Już 18 lat działa Muzeum Włodzimierza Wysockiego, które rozsławia nasze miasto także poza granicami Polski.

Był to także bardzo udany rok dla Filharmonii Koszalińskiej, Bałtyckiego Teatru Dramatycznego, STP „Dialog" oraz Teatru Variete Muza. W naszej pamięci zostaną premiery teatralne – między innymi „Burzliwe życie Lejzorka" w BTD oraz „Traktat o łuskaniu fasoli" w STP „Dialog". Doczekaliśmy się także nowych pozycji wydawniczych, których autorami są koszlainianie, m.in. Elżbieta Juszczak, Jan Kuriata, Ryszard Ulicki oraz Piotr Polechoński.

W 2012 roku twórcy z Koszalina z dużymi sukcesami uczestniczyli w różnych przedsięwzięciach artystycznych poza granicami miasta i Polski. Architekci z pracowni HS99 sięgnęli po światowe laury, powstały wg ich projektu budynek został uznany za najlepszy obiekt architektury XXI wieku. Krzysztof Rapsa zaprezentował swoją wystawę w Seulu, gdzie został uznany przez krytyków za czołowego abstrakcjonistę na świecie.

Żadne słowa nie uczczą Tych, których przyszło nam pożegnać w 2012 roku. Odeszli od nas Jan Kowalczyk, kompozytor, muzyk, piewca Ziemi Koszalińskiej, Adam Muszyński – archiwista związany z Archiwum Państwowym od jego powstania, Roman Lis – fotografik, aktor BTD, nauczyciel, Władysław Husejko, który piastując kolejne stanowiska: Zastępcy Prezydenta Miasta, Wojewody Zachodniopomorskiego, Marszałka Województwa Zachodniopomorskiego, a ostatnio Przewodniczącego Rady Miejskiej zawsze był blisko kultury, zawsze można było liczyć na jego przychylność i pomoc.

Oddając do rąk Państwa po raz ósmy wydawnictwo Kultura Koszalińska „ALMANACH 2012" jesteśmy przekonani, że w ten sposób utrwalimy chociaż część z całej gamy doznań, jakie stały się naszym udziałem. Twórcom życzymy dalszej weny, a Czytelnikom interesującej lektury.

Edward Grzegorz Funke
Przewodniczący Rady Kultury
przy Prezydencie Miasta Koszalina

MUZYKA

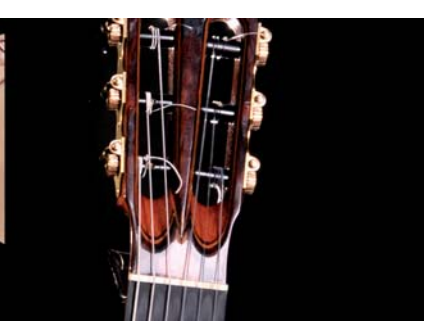

Kazimierz Rozbicki

Filharmonia u progu normalności (II)

Czekając na ukończenie budowy i otwarcie własnej sali, instytucja spokojnie i rytmicznie kontynuuje swoją działalność. Nadal czuwa nad nią duet: Robert Wasilewski – dyrektor naczelny i Ruben Silva – dyrektor artystyczny. Zmienił się nieco skład orkiestry, jako skutek nieodwracalnego biegu czasu: pojawiło się kilka młodych twarzy, kilka odeszło. Powodzenie koncertów jest nadal ogromne, wśród audytorium także pojawiają się nowe twarze. Zdarzające się zaś ataki na Filharmonię jawią się jako nie tyle bezsensowne, ile rozpaczliwe. Tak rozpoczynał się Almanach 2011. Zacytowałem powyżej ten tekst, ponieważ może on doskonale rozpocząć także niniejszy **Almanach 2012** – nic się bowiem w ciągu minionego roku w Filharmonii nie zmieniło, nadal tekst ten oddaje tyczący jej stan rzeczy. Tylko na budowie nowego gmachu zaszły zmiany ogromne, przybliżające oddanie miastu i kulturze polskiej pięknej sali koncertowej, w pięknym, oryginalnym gmachu.

Silne uderzenie karnawału

Wróćmy jednak do almanachowej retrospekcji. Początek roku w kulturze miasta zaznacza się przede wszystkim imprezami związanymi z karnawałem, a więc o charakterze lekkim, rozrywkowym. Tu ma dużo do powiedzenia Filharmonia Koszalińska w swoich programach koncertowych, nasycając je dobrą muzyczną rozrywką, starając się przy tym o jednolitość stylistyczną i rodzajową poszczególnych wieczorów. W karnawale minionego roku zaznaczyło się to bardzo wyraźnie już na pierwszym takim koncercie (**5, 6 stycznia 2012**), prowadzonym przez **Rubena Silvę**. Solistką tego wieczoru była sopranistka, **Julia Iwaszkiewicz**, artystka o niezwykle dużej skali i giętkim, pięknie brzmiącym głosie. Oczarowała publiczność muzyką rodziny Straussów, dyrygentowi zaś dała okazję do pokazania jego maestrii w dziedzinie interpretacji operetkowej klasyki. Dużo zawdzięczała swemu mistrzowi świetnie grająca orkiestra. W sumie: urocza retrospekcja XIX-wiecznej rozrywki muzycznej w jej najpiękniejszych przejawach, świetnie wykonana.

Drugi filharmoniczny program (**12,13 stycznia** „Świat nie jest taki zły") ilustrował znamienną rolę kontrastu we wszelkich sztukach, zaś w sztuce muzycznej przede wszystkim. Bohaterem był tu koszaliński muzyk **Jarosław Barów** – muzyk wszechstronny: kompozytor, aranżer, pianista, dyrygent, wybitna postać lżejszego nurtu życia muzycznego Koszalina. Jakość owego kontrastu wyrażała się tu przede wszystkim udatnym artystycznie łączeniem partii solowych piosenek z lat 70. i 80. z obcymi im stylistycznie partiami współczesnego akompaniamentu orkiestry, przyprawionego wyrazistymi akcentami jazzowymi. Solistką była niesłychanie popularna w owych latach **Halina Kunicka**, nadal w świetnej formie wokalnej, urzekająca estradowym *métier* – zwłaszcza w duecie ze świetnym akompaniatorem **Jerzym Derflem** przy fortepianie. Jednak główny ciężar dyrygowania, a i także aranżowania kilkunastu piosenek przyjął na siebie Jarosław Barów. To młodemu, energicznemu muzykowi przyszło wieść starszych słuchaczy w tę arcybogatą, sentymental-

ną podróż do przeszłości. Co zrobił doskonale, a dla muzyki była to przeszłość nie najgorsza.

19 i 20 stycznia na „Światowe musicale" zaprosił koszalińską publiczność **Bohdan Jarmołowicz**, od kilkunastu lat szef artystyczny i dyrygent orkiestry Polskiej Filharmonii „Sinfonia Baltica" w Słupsku. Chyba żadna publiczność żadnej polskiej filharmonii nie usłyszała na swej estradzie tyle muzyki naznaczonej stygmatem jazzu, ile słupska. Bohdan Jarmołowicz na wieczór karnawałowy w Koszalinie wybrał jednak kilkanaście najbardziej popularnych fragmentów – głównie wokalnych – ze sławnych musicali; fragmentów, jakie zawojowały świat, zawojowały także wokalistów, dyrygentów, orkiestry. Są powszechnie znane. O przyjęciu w Koszalinie można powiedzieć, że było wyjątkowo gorące, ale też wszyscy wykonawcy na nie zapracowali: Bogdan Jarmołowicz świetnie prowadząc orkiestrę, ale nade wszystko dwójka doskonałych wokalistów w niełatwych partiach: **Patrycja Tomaszewska** (sopran) i **Jacek Kotlarski** (tenor). Na specjalne brawa zasłużyła orkiestra, opanowując i z entuzjazmem ubierając w dźwięki ów „zwariowany kawior" – jak się kiedyś wyraził o nutach **Stefan Kisielewski**. Ich „konsumpcję" okraszała świetnym słowem wiążącym **Beata Młyńczak**.

2 i 3 lutego miłe urozmaicenie do karnawałowego muzykowania wprowadziła perfekcyjna Grupa Wokalna VOX (właściwie wokalno-instrumentalna) w składzie: **Witold Paszt, Jerzy Słota**, **Dariusz Tokarzewski**, wykonująca z gitarami oraz orkiestrą symfoniczną pod batutą **Sławomira Chrzanowskiego** wiązankę przebojów polskiej muzyki filmowej oraz przebojów tej grupy. **9 i 10 lutego** natomiast zabrzmiała świetnie zrealizowana operetka Johanna Straussa *Zemsta nietoperza,* pod batutą **Rubena Silvy**, ze znakomitymi solistami: **Gabrielą Silvą**, **Ewą Olszewską**, **Januszem Ratajczakiem**, **Tomaszem Madejem i Przemysławem Reznerem** – kończąc ten bogaty cykl i karnawał. Cykl znakomity, który przyciągnął do Filharmonii komplety widzów. Koncerty komentował, jak zawsze znakomicie, **Andrzej Zborowski**.

Halina Kunicka była gwiazdą jednego z karnawałowych koncertów. fot. Krzysztof Opaliński

Koncerty abonamentowe z dobrymi znajomymi

Po tym karnawałowym silnym uderzeniu melomani czekali dwa tygodnie na wznowienie normalnej, abonamentowej działalności koncertowej Filharmonii - do **24 lutego;** koncertem symfonicznym dyrygował tego dnia **Ruben Silva**, solistką była **Agata Szymczewska**, koszalińska skrzypaczka, która, po wygraniu w 2006 roku poznańskiego XIII Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego, weszła do grupy wybitnych skrzypków naszych czasów. Artystka „darowała" publiczności kolejne, po koncertach

Beethovena, Brahmsa, Czajkowskiego czy Wieniawskiego, spotkanie w wielką literaturą muzyczną, wykonała bowiem, z wielką precyzją i smakiem, *I koncert skrzypcowy D-dur* Sergiusza Prokofiewa, Ruben Silva zaś z wielkim zaangażowaniem i ekspresją zarazem przypomniał słuchaczom *V symfonię c-moll* Beethovena.

9 marca za pulpitem dyrygenta stanął artysta azerbejdżański – **Ayyub Guliyev**, świetnie prezentując Czajkowskiego Suitę z baletu *„Śpiąca królewna"*, oraz towarzysząc soliście tego koncertu, **Stanisławowi Drzewieckiemu,** w doskonałej interpretacji *I koncertu fortepianowego b-moll* Czajkowskiego; w drugiej części znakomicie poprowadził dzieło azerbejdżańskiego kompozytora Gara Garayeva *Don Kichot* (*Sztychy symfoniczne)*.

16 marca, w 75 rocznicę śmierci Karola Szymanowskiego, **Ruben Silva** ułożył pierwszą część koncertu na „nutę polską": znalazły się w niej Uwertura do *„Halki"* Stanisława Moniuszki oraz Karola Szymanowskiego *IV symfonia koncertująca*, którą z wyczuciem wykonał **Przemysław Witek**, natomiast w drugiej część koncertu dyrygent pomyślał o własnym popisie i z wielką emocjonalnością poprowadził *IV symfonię e-moll* Brahmsa.

Marcowy program (**30 marca**) zakończył dyrygent o korzeniach azerbejdżańskich, ale związany z muzyczną kulturą Ukrainy, gdzie odebrał wyższe wykształcenie muzyczne: **Aidar Torybayev**. Rozpoczął od klimatów ukraińskich: zabrzmiała *Huculska rapsodia* Georgy'a Maiboroda*,* ale potem już było bardzo europejsko: Camille Saint-Saënsa *Introdukcja i rondo capriccioso* – pięknie grane przez koszalińską koncertmistrzynię skrzypiec **Agnieszkę Tobik**, oraz *Poemat* Ernesta Chaaussona, a następnie *III symfonię D-dur* Franciszka Schuberta. Bardzo dobry koncert.

13 kwietnia po raz piąty poprowadził koszalińską orkiestrę **David Handel** – w świetnie zaprojektowanym przezeń programie, niezwykle oryginalnym zarówno co do repertuaru, jak i założeń estetycznych: Uwertura Webera do opery *Wolny strzelec*, Franza Krommera *Koncert op. 32* na dwa klarnety (grali świetnie świetni klarneciści: **Roman Widaszek** i **Jan Jakub Bokun**); w interpretacji dyrygenta królowały jasność i ruch. Jako „danie główne" programu pojawił się wymiar muzyczny wielki: *II symfonia D-dur* Brahmsa. Tu pozostał pewien niedosyt, a Brahms domaga się jednak „dosytu"; ale było także wiele piękności.

20 kwietnia dano sympatyczny wieczór włoskiego *Bel Canto* z włoskimi artystami: dyrygował **Andrea Rossi**, śpiewał tenor **Francesco Malapena**. Bez wyjazdu do Włoch słuchacze koszalińscy mogli sycić uszy i serca włoskim stylem, włoską ekspresją, włoskim brzmieniem i językiem, w owej włoskiej narodowej specjalności: operze. Obaj Włosi, znakomici artyści, z pomocą polskiej orkiestry podbili polską publiczność w Koszalinie.

27 kwietnia – pod hasłem „Impresjonizm w muzyce" **Ruben Silva** starannie poprowadził *Marsza szkockiego* Debussy'ego, który akurat łączy się z impresjonizmem tylko nazwiskiem Debussy'ego, a następnie zabrzmiał Maurice Ravel: *Koncert na lewą rękę* oraz *Alborada del gracioso,* a zwłaszcza *La Valse*, tylko lekko potrącają o stygmat impresjonizmu; podobnie jak efektowny walc Chaczaturiana z baletu *Maskarada,* oraz - na zakończenie - *Uczeń Czarnoksiężnika* – scherzo symfoniczne Paula Dukasa. Ale jak go zwał, tak zwał – muzyka była ładna, efektowna i bardzo dobrze zagrana, szczególnie zaś **Hubert Rutkowski** pięknie zaprezentował w *Koncercie na lewą rękę* sprawność swej lewej ręki, a nade wszystko muzykalność.

11 maja zaproszono melomanów na „Wieczór walców", program wymyślony i poprowadzony przez **Adama Klocka**. Artysta, znany już w Koszalinie jako świetny wiolonczelista, „poszedł w dyrygenty" i tu także okazał się świetny: objął dyrekcję i kierownictwo artystyczne Filharmonii Kaliskiej. Koncert pomysłu Adama Klocka miał charakter estradowej syntezy walca w bogatym programie, zaś rodzynkiem wykonawczym programu była **Katarzyna Dondal-**

ska (siostra koncertmistrza skrzypiec koszalińskiej orkiestry), świetna sopranistka koloraturowa. Doskonale dobrany program (Strauss, Weber, Czajkowski, Szostakowicz) efektownie płynął w rytmie na 3/4 – ku wysokiemu odczuciu przyjemności przez słuchaczy w obcowaniu z perełkami „walcowanej" literatury, a nade wszystko z pięknym głosem Katarzyny Dondalskiej. Nie mniejszą rolę w tym odczuciu odegrała orkiestra oraz świetny czyn dyrygencki Adama Klocka.

18 maja Ruben Silva uraczył koszalińską publiczność programem „Muzyka latynoamerykańska". Była zatem, tytułem wstępu, Georga Gershwina Suita z opery *Porgy and Bess,* a następnie *Błękitna rapsodia* świetnie wykonana przez **Huberta Salwarowskiego**, zaś po przerwie dyrygent „zdał sprawę" ze swych rodzinnych i sentymentalnych związków z kulturą latynoamerykańską, prezentując bogaty jej wybór: *Danson nr 2* Arturo Marqueza, *Espina Feria de Manizales* Guillerma Gonzalesa, Suita z baletu *Estancia* Alberto Evaristo Ginastery, oraz Mambo z *West Side Story* Leonarda Bernsteina. Bardzo interesujący i atrakcyjny program efektownie wzbogacony został udziałem w nim koszalińskiej Szkoły Tańca ASTRA **Marleny Krawczy**k, bardzo gorąco przyjętym.

25 maja, na zakończenie majowego cyklu koncertów, z orkiestrą Filharmonii Koszalińskiej tradycyjnie już wystąpili uczniowie starszych klas Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych im. Grażyny Bacewicz w Koszalinie – pod doświadczoną batutą **Bogdana Olędzkiego**. Oto owych dziesięcioro uzdolnionych muzyków: **Kalina Majewska** (flet), **Paweł Zieńkow** (klarnet), **Karolina Gustaw** (skrzypce), **Paulina Skoczyk** (fort.), **Patryk Sikora** (fort.), **Magdalena Hydzik** (gitara), **Mateusz Kowalski** (gitara), **Amelia Dziedzic** (skrzypce), **Artur Ostrowski** (puzon), **Tamara Kurkiewicz** (marimba). Wszyscy grali - jak na uczniów - znakomicie, nobilitując szkołę, a przede wszystkich jej nauczycieli. Filharmonia ma zatem dobre zaplecze muzyków (ok. 600 uczniów, 130 nauczycieli), ale także słuchaczy: to przecież kilkaset rodzin w naturalny sposób związanych z muzyką. Szkoda tylko, że nie umożliwia się młodzieży słuchania granego w filharmonii repertuaru. Ale to już inna... muzyka.

1 czerwca program prowadzony przez **Rubena Silvę** zakończył 56. sezon artystyczny Filharmonii 2011/12. Koncert rozpoczęła fantazja orkiestrowa Modesta Musorgskiego *Noc na Łysej Górze.* Szatańskie i nudnawe nastroje tego dzieła roztopiły się na szczęście w *Romansie* z Koncertu skrzypcowego d-moll Wieniawskiego, oraz, dla pewności, także w następnym *Romansie*, tym razem w D-dur, Christiana Sindinga; oba wykonał świetnie, i skutecznie, koncertmistrz koszalińskiej orkiestry **Natan Dondalski** (piszemy o nim w rozdziale Jubileusze „Almanachu 2012" – dop. red**.)** Następnie romansowe nastroje ustąpiły miejsca popisowej wirtuozerii w „Finale a capriccio" z *III koncertu skrzypcowego* węgierskiego twórcy Jenö Hubaya; piękny występ solowy świetnego koncertmistrza koszalińskiej orkiestry i pełna satysfakcja artystyczna słuchaczy. Zaś po *Nocy na Łysej Górze* Musorgski doczekał się całkowitej rehabilitacji w sławnych *Obrazkach z wystawy*; owych 10 fascynujących „obrazków" dało sobie radę z każdym z ewentualnych sceptyków; triumf autora, dyrygenta i orkiestry był nieunikniony.

WIELKA GALA

22 czerwca, w Amfiteatrze im. Ignacego Jana Paderewskiego, odbyła się sceniczno-muzyczna Wielka Gala. Czterdziestoletni już amfiteatr gościł w swej historii setki przeróżnych imprez, wśród nich także imprezy muzyczne z udziałem orkiestry Filharmonii Koszalińskiej. W ostatnich pięciu latach wystawiono tu między innymi – z ogromnym sukcesem – pięć pełnych spektakli operowych. Wielka Gala była niejako nawiązaniem do tego nurtu i zarazem jego ukoronowaniem. Nie był to spektakl operowy czy operetkowy, „żywił" się jednak operą i operetką; wystąpiła czwórka wybitnych artystów, śpiewaków operowych najwyższej międzynarodowej

klasy, w najpiękniejszym operowym, operetkowym i musicalowym repertuarze. Cieszył udział (wreszcie!) połączonych koszalińskich chórów: ***Koszalin Canta***, ***Canzona* z CK 105**, ze **Szkoły Muzycznej** i chóru **Dominanta** z Mścic; dodajmy, ze był to występ bardzo udany, a wszystko na tle doskonale grającej orkiestry. Autorem tego świetnie pomyślanego, urzekającego przeglądu był **Ruben Silva**, *maestro di cappella* znakomity. Jego batuta jak czarodziejska różdżka wyzwalała i kształtowała precyzyjnie przebieg tego potężnego strumienia muzyki z najwyższej półki, a zarazem najwyższej rozrywkowej jakości. Fascynujące połączenie: rozrywka i artyzm. Utarło się mniemanie, że prawdziwa sztuka rozkwita w atmosferze powagi i głębi wyrazu, tymczasem wesołe, radosne nastroje prezentowanych w programie Gali dzieł w niczym nie zmniejszyły ich artyzmu i piękna. Zwłaszcza, że były wykonywane znakomicie.

Na szczycie muzycznej piramidy tego widowiska (?), spektaklu (?), błyszczały dwie solistki: brawurowy sopran **Marii Wyłomańskiej** o jasnej, cudownej barwie i ciemniejszy, też niezwykle piękny mezzosopran **Moniki Ledzion**; obie artystki prezentują zachwycającą wokalną wirtuozerię, wdzięk, ekspresję, umiejętności aktorskie. Te same cechy prezentowali **Paweł Skałuba**, tenor bohaterski – i, kiedy trzeba, liryczny, oraz **Tomasz Rak**, baryton o wielkiej skali głosu i takich też możliwościach wyrazowych; obydwaj panowie czarowali głosami rzadkiej urody, wszyscy zaś soliści doskonałą dykcją. Kreacje tej wspaniałej czwórki, naznaczone artyzmem, wywindowały wysoko poziom tego rozrywkowego koncertu, ale przecież pozostali wykonawcy, stanowiący niejako tło dla solistów, byli ich godni i równie zasłużeni w artystycznym sukcesie wieczoru. Przede wszystkim orkiestra; jej staranna i zarazem pełna polotu gra, świetny i wrażliwy akompaniament. Oraz ojciec tego wydarzenia, **Ruben Silva**, bohater wieczoru. Prowadził wykonanie jak w transie, precyzyjnie i zarazem ekspresyjnie. Rozkoszując się wyzwalanym przezeń strumieniem arcydzieł lekkiej muzyki, odbieraliśmy radosną stronę piękna. Potęgowała je sztuka dwóch jeszcze magów tej imprezy: **Andrzeja Zborowskiego**, autora, mistrza słowa wiążącego, jakie cechowała wielka wiedza, kultura, kultura słowa, subtelny humor – oraz autora nagłośnienia, rzeczy trudnej i niezwykle ważnej w amfiteatrze. Jego autor, **Jerzy Sochal**, po mistrzowsku, wrażliwie i ze smakiem, przekazywał w plenerze walory dźwiękowe tego muzycznego wieczoru, uzyskując w swej aparaturze pełne, świetnie wyważone, szlachetne brzmienie, bez epatowania jego akustyczną siłą. Przyjęcie koncertu przez publiczność, wypełniającą amfiteatr prawie całkowicie, było entuzjastyczne.

Pracowite lato muzyczne

Po tym pamiętnym koncercie orkiestra Filharmonii Koszalińskiej poszła na urlop, choć jej muzycy jeszcze kilkakrotnie występowali w różnych składach na rozpoczętym 6 lipca w koszalińskiej katedrze **46. Międzynarodowym Festiwalu Organowym.** Muzyczny punkt ciężkości Koszalina uległ na dwa miesiące rozbiciu na osiem punktów – kościołów w Koszalinie, Białogardzie, Bobolicach, Darłowie, Drawsku Pomorskim, Dźwirzynie, Karlinie, Sarbinowie, Ustroniu Morskim. To w tamtejszych kościołach odbyło się po kilka koncertów organowych obramowanych muzyką kameralną, zasilanych w dużej części występami artystów biorących udział w Festiwalu Organowym w Koszalinie, ale także artystów angażowanych tylko do wersji „terenowej". Oczywiście, główny nurt Festiwalu należał do Koszalina, tu obok organistów występowały zespoły instrumentalne oraz chóry. W sumie podczas Festiwalu odbyły się 33 koncerty, z czego 9 w samym Koszalinie. Wystąpiło w nich 16 organistów, 9 orkiestr i zespołów. Cały organizacyjny wysiłek i programowanie artystyczne Festiwalu były dziełem jednego człowieka: **Bogdana Narlocha**, organisty koszalińskiej Katedry, człowieka-instytucji. Jego talent, zapał, wysiłek organizacyjny, dorobek artystyczny, stworzyły w Koszalinie muzyczny ośrodek

znakomicie sekundujący Filharmonii w jej artystycznym rozwoju, w jej dążeniu do uczynienia z muzyki potężnego atutu stymulującego rozwój miasta.

57. sezon czas zacząć

Wracajmy jednak do wątku filharmonicznego: muzycy wrócili do pracy, tzn. do prób, i **21 września 2012 roku** zagrali koncert inaugurujący kolejny, 57. sezon artystyczny 2012/2013.

Owa powtarzalność: pięćdziesiąt siedem corocznych uroczystych **koncertów inaugurujących** sezony Filharmonii Koszalińskiej, sprawiła, że stały się one w życiu kulturalnym miasta rzeczą normalną: ot, zaznaczenie kontynuacji po przerwie wakacyjnej. Ale wszystko wskazuje na to, że ta 57. inauguracja była jednak niezwykłą, niejako przełomową, gdyż ostatnią graną w owym niemieckim *Konzerthausie* wybudowanym w pierwszych latach XX wieku: koło historii obróciło się, *Konzerthaus* przeistoczył się w Dom Kultury, zaś Dom Kultury w kino, w jakim Filharmonia znalazła przytulisko w charakterze sublokatora – po tułaczce po salach, jakie mogły gościć różne kampanie artystyczne, tylko nie filharmonię. A więc fakt, że orkiestra rozpoczyna swój ostatni już sezon artystyczny w tej właśnie sali – sali, jaka jest policzkiem dla sztuki symfonicznej – jest wydarzeniem niezwykłym, optymistycznym i godnym podkreślenia.

Ruben Silva na inaugurację tego pożegnalnego sezonu w kinie przygotował dwa wielkie dzieła Czajkowskiego: *Koncert skrzypcowy D-dur* oraz *VI symfonię h-moll, „Patetyczną"*, solistą był **Konstanty Andrzej Kulka**; dyrygent przygotował i poprowadził znakomicie, choć w orkiestrze dało się nieco odczuć formę powakacyjną. Grała starannie, nawet doskonale, z pasją, brakowało jednak owego płynnego, wyważonego dźwiękowo zgrania. Dało się to odczuć

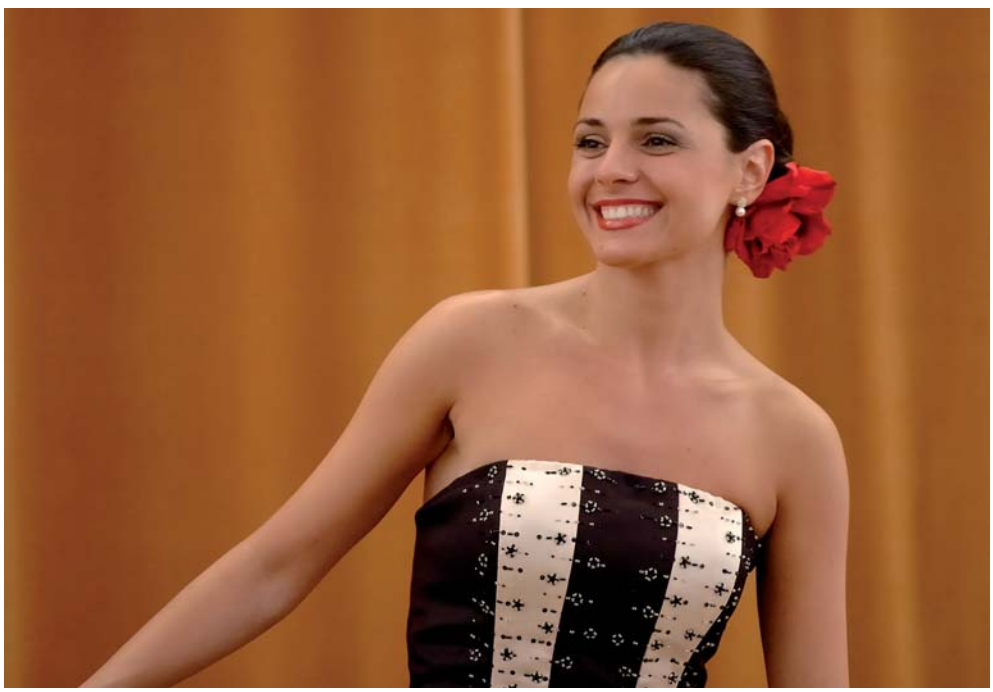

Monika Ledzion była jedną z artystek, jakie zachwyciły podczas Gali Operowej. fot. archiwum FK

zarówno w akompaniamencie do *Koncertu*, jak i w *Symfonii*. Na pewno program ten zyskałby na większej liczbie prób – był chyba nieco za trudny, jak na tuż powakacyjną formę orkiestry. Ale przecież świetna gra Konstantego Kulki, świetny czyn dyrygencki Rubena Silvy, pełna pasji i zaangażowania gra orkiestry, piękne solówki jej muzyków – złożyły się na wykonanie porywające, godne tych arcydzieł i tych niezwykłych okoliczności. Koncert przyjęto owacyjnie.

Drugi program symfoniczny 57. sezonu **(28 września)** nosił tytuł „Gorące rytmy latynoskie". Był on wyrazem faktu, że dyrektor **Ruben Silva** urodził się, wychował i wykształcił w Boliwii, stąd owe muzyczne resentymenty były zupełnie zrozumiałe, a nawet oczekiwane. Czekając na nie spodziewaliśmy się egzotyki, innego świata dźwięków, wykształconego w obrębie innej kultury, innych tradycji. Tymczasem usłyszeliśmy wprawdzie jakieś cząstki, jakieś barwy i rytmy latynoskie, ale w oprawie jak najbardziej uniwersalnej, europejskiej rozrywki. Projektujący ten program i, oczywiście, dyrygujący nim **Ruben Silva** zrezygnował ze śpiewu i innych solistów, dał przekrój najbardziej znaczących w kulturze latynoamerykańskiej – i rodzimej dlań, boliwijskiej – utworów instrumentalnych (z komentarzem w programie koncertu). Usłyszeliśmy utwory o historycznym rodowodzie, rozrywkowe, związane z kultem, aranżowane na europejską orkiestrę symfoniczną – z dość słabą nutą egzotyki. Muzykę miłą, melodyjną, barwną. W dwu przypadkach były to utwory naznaczone jednak wyrazistym stylem i brzmieniem aranżacji (*Morenad*a Montenegro oraz *Sensemaya* Silvestra Revueltasa). Publiczność przyjęła latynoski program – dyrygowany jakże kompetentnie – bardzo gorąco.

Tak było po przerwie, natomiast na początku koncertu zabrzmiały europejskie miazmaty

Konstanty Andrzej Kulka zainaugurował 57. sezon Filharmonii Koszalińskiej. fot. www.klasykarozrywki.pl

muzyczne: cesarsko-królewska muzyczka wielkiego **Friedricha Guldy,** napisana na zespół instrumentów dętych i solową wiolonczelę – niezwykły *Koncert wiolonczelowy*. Pięcioczęściowy ten utwór to kapitalna zabawa muzyczna wielkiego muzyka, zabawa w stylu *fin de siécle'u*: solowa wiolonczela w bardzo trudnych, popisowych partiach, z kilkunastoosobową orkiestrą dętą, w zatomizowanych i wysmakowanych, pełnych humoru, partiach. Solistą był **Jarosław Madejski**, koncertmistrz orkiestry słupskiej Filharmonii, muzyk świetny. Pięć części tego utworu były prawdziwymi popisami jego sztuki gry na wiolonczeli. Całość brzmiała i przebiegała lekko, ze smakiem, humorem i nostalgiczną nutą, zaś „dęciacy" koszalińskiej orkiestry grali wspaniale. Natomiast dyrygujący tego wieczora **Ruben Silva,** znakomity w owych rozpoczynających koncert cesarsko-królewskich klimatach Europy, po przerwie z wdziękiem przeobraził się w Latynosa; a właściwie nie musiał się przeobrażać.

Pierwszym koncertem październikowym **(5 października)** dyrygował **Jacek Rogala**, muzyk wszechstronny: dyrygent, szef artystyczny Filharmonii Świętokrzyskiej w Kielcach, kompozytor, działacz muzyczny, pisarz. Program, jaki przygotował i poprowadził, wskazywałby na predylekcję do muzyki klasycznej: przejrzystej, pogodnej, harmonijnej, ewokującej wartości czysto muzyczne – takie bowiem cechy nosiły trzy prowadzone przezeń dzieła: Rossiniego (*Uwertura do opery Semiramida*), Mozarta (*Koncert na róg KV 417*), oraz Haydna ostatnia z symfonii „Londyńskich": *D-dur nr 104*. Rozpoczynająca wieczór *Semiramida* w swej przejrzystości także bliska była klasycyzmowi – i już w niej odbiły się cechy sztuki Jacka Rogali: wszechogarniający umiar, a przy tym uporczywe taktowanie na „cztery", czy na „sześć" – gdy całe długachne frazy, myśli, chciałyby płynąć lekko na „2". A przy tym brak kontrastów w dłuższym planie. Ale ogólnie muzyka płynęła naturalnie i czytelnie. Po tym „rossiniowskim" wstępie byliśmy świadkami rzadkiego w życiu koncertowym prawykonania nowego utworu, rzadkiego tym bardziej, że był to utwór koncertowy na akordeon i orkiestrę symfoniczną polskiego kompozytora, urodzonego i wychowanego na Białorusi – **Igora Jankowskiego**. Twórca średnie wykształcenie muzyczne odebrał tam, wyższe studia zaś kończy obecnie na uczelni warszawskiej. Wykonany twór: *Rapsodia na akordeon i orkiestrę symfoniczną* jest muzyczną częścią jego pracy doktorskiej. Była to rzecz nowa na naszej estradzie – i niezwykle interesująca. Język bardzo oryginalny, nowoczesny, ale daleki od awangardowego banału, zajmująco rozwijający narrację: dialog akordeonu z orkiestrą, tworzący niezwykłe, wyraziste barwy. To także inwencja akordeonisty, świetnego muzyka, **Macieja Drapińskiego**, ozdabiała i uszlachetniała przejrzystą, polifonizującą partię orkiestry. Dyrygent świetnie to wszystko reżyserował. W repertuarze symfonicznym pojawiło się oto dzieło świeże, oryginalne, entuzjastycznie przez słuchaczy przyjęte; rzecz w naszym życiu muzycznym rzadka. Jacek Rogala prowadził jeszcze jeden akompaniament: *Koncert na waltornię Es-dur KV 417* Mozarta, grany świetnie i gładko przez **Wojciecha Brylińskiego**, na deser zaś muzycznej uczty tego wieczoru poprowadził sprawnie ostatnią z „Londyńskich" – *Symfonię 104 D-dur* Józefa Haydna; poprowadził z całym szacunkiem dla jej cech klasycznych, choć w tej symfonii akurat znalazłyby swą rację ostrzejsze akcenty, żywsze kontrasty dynamiczne, zaś w jej *Menuetto* (III część) bardziej ludowe niż salonowe cechy.

Program drugiego październikowego wieczoru **(19 X)** zawierał jedynie dwa dzieła: młodzieńczy, nasycony poetyczną, osobistą nutą *Koncert skrzypcowy A-dur* Mieczysława Karłowicza (z 1902), oraz trzy symfoniczne obrazy Bedrzicha Smetany z cyklu sześciu poematów symfonicznych „Moja Ojczyzna" (pisanych w latach 1874-79). Program zatem niezwykle skontrastowany, wymagający od wykonawców emocjonalnej identyfikacji z dwoma tak różnymi światami: poezji i epiki. Koncert prowadził **Woj-**

ciech Rodek. Poezja należała do polskiej – zaś dokładnie: naszej, bo z Koszalina – skrzypaczki, **Marty Kowalczyk**; należała jednak w sensie głębszym, gdyż Artystka stworzyła w tej partii prawdziwą kreację, grała urzekająco, przepięknym dźwiękiem, z lekkością i precyzją, a nade wszystko z ową poetyczną nutą pozwalającą zapomnieć o fizycznej materii dźwięku, z doskonałą harmonią kontrastów, małych i większych dramatów, zamyślenia, uczucia. Problemy techniczne zdawały się dla solistki nie istnieć. Wirtuozeria *I części* oszałamiała precyzją i lekkością, *Romanza* głębią uczucia (tu towarzyszenie bardzo dobrego rogu), *Finał* radością i tanecznym zapamiętaniem. W tej części Wojciech Rodek świetnie partnerował solistce, choć w częściach poprzednich jej interpretacje - ich śpiewność, lekkość, uczuciowość – nie znajdowały w pełni adekwatnego współdziałania dyrygenta.

Po przerwie został on sam na sam z trzema częściami wielkiego fresku symfonicznego Bedrzicha Smetany *„Moja Ojczyzna";* fresku, jaki twórca maluje dźwiękami wielkiej orkiestry symfonicznej. Do wykonania wybrano z tego cyklu trzy pierwsze obrazy: *Wyszehrad* (najstarszy zamek Pragi), *Wełtawa* (obraz rzeki od źródeł aż do Pragi), oraz *Szarka* (to imię przywódczyni czeskich amazonek, współrządzących niegdyś ojczyzną Smetany – czego jednak nie mogli znieść mężczyźni i pozbawili je siłą lukratywnego przywileju). Wybuchła krwawa wojna – kompozytor obficie korzysta tu z bogactwa wojennych stereotypów dźwiękowych. Tu także dyrygent odbił sobie „akompaniatorską pańszczyznę" z I części programu, z wielkim temperamentem ożywiając bogate obrazy tego fresku, korzystając przy tym z dyrygenckiej racjonalizacji: lewa ręka szerokimi gestami pokazuje wejścia, charakter, dynamikę, zaś prawa krótkimi, energicznymi impulsami metrykę, motorykę, puls, akcenty. Rezultat? Żelazna dyscyplina przebiegu tak, ale zero niuansów, forsowany, brzydki dźwięk orkiestry. Ale było dokładnie i razem.

Wieczór symfoniczny **26 października** mógłby stanowić wzór, jak nie należy układać programów koncertowych: Karłowicz, Beethoven, Dworzak – toż to triada różnych muzycznych światów, wartości, twórczych temperamentów. Mógłby być takim negatywnym wzorcem, ale, na szczęście, wysoki poziom wykonawczy tego wieczoru na dalszy plan odsuwał ową dysharmonię stylistyczną. Dokonał tego **Vladimir Kiradjiev**, muzyk świetny, artysta znany nam już ze swego znakomitego dyrygenckiego warsztatu. Jeszcze pod kontrowersyjnym wrażeniem koncertu z minionego tygodnia, słuchacze znaleźli się oto w świecie ustalonych, satysfakcjonujących wartości na trzech polach symfonicznego fenomenu: słuchaczy, orkiestry, dyrygenta. Kiradjiev dyrygował jasno, naturalnie, dogłębnie rozumiejąc dzieła, orkiestra rozumiała dyrygenta doskonale i z aprobatą, słuchacze zaś nie mieli ani na chwilę wątpliwości, że oto biorą udział w recepcji piękna, wyrazu i artystycznej prawdy tych wykonań. Już pierwsze opadające, nabrzmiałe tęsknotą frazy basklarnetu **Roberta Wasilewskiego** wprowadziły słuchaczy i zespół orkiestry w poważny ton *Powracających fal* Mieczysława Karłowicza – oraz w trudności rozdrobnionej faktury tej rzadko wykonywanej kompozycji; a jest ona świetnym polem do popisu orkiestry i dyrygenta. Nasi wykonawcy wykorzystali to rzeczywiście popisowo. Wydarzeniem tego koncertu był także pierwszy u nas występ młodego pianisty **Piotra Grelowskiego**, w *IV koncercie fortepianowym G-dur* Beethovena: wielkie to dzieło, wielkie wyzwanie dla każdego pianisty. Artysta grał ten niezwykle trudny utwór doskonale technicznie, przyjął przy tym założenie wykonania *Koncertu* możliwie lekko, delikatnie, niemal niematerialnie. Beethoven raczej takiej interpretacji tu nie oczekiwał – stworzył normalny, krwisty, choć także głęboko poetycki utwór. Niezwykła jest w nim jedynie II część: dramatyczny dialog wyrazistych smyczków z delikatną skargą fortepianu; i ten fragment wypadł akurat nieco blado. W każdym razie propozycja solisty była bardzo interesująca i odniósł całkowity sukces, ujaw-

niając przy tym świetny już warsztat pianistyczny – w czym pomogli wrażliwie dyrygent i orkiestra. Po przerwie natomiast uraczono publiczność wyraźnym eksperymentem programowym: zabrzmiała bowiem *III symfonia Es-dur* Dworzaka. Utrzymana w neoromantycznej już poetyce, właściwie nieznana, bardzo rzadko wykonywana – była wyzwaniem dla orkiestry i dyrygenta. Muzycy nie tylko mu sprostali, ale przygotowali i wykonali pieczołowicie ogrom świetnej, barwnej, wysmakowanej symfoniki. Właśnie: wysmakowanej, nie epatującej trąbami i kotłami, raczej rozgrywającej swój przebieg na polu barw i nastrojów – najczęściej sielskich, rzadko prezentujących bardziej wyraziste i efektowne możliwości orkiestry. Wielkie brawa dla dyrygenta, orkiestry – i świetnie reagującej publiczności.

Jesienią **Ruben Silva** zatęsknił do klasyki, czemu dał wyraz prowadząc **9 listopada** dzieła Mozarta i Beethovena słyszane dotąd w Koszalinie tylko raz: Mozarta – Uwerturę do opery *Łaskawość Tytusa* oraz *Koncert na flet i harfę C-dur* grano w 1983, zaś Beethovena *IV symfonię B-dur* w 1981 roku. Oddał tym dziełom sprawiedliwość, słuchaczom zaś sprawił wspaniałą ucztę; to piękne dzieła. A owa tak długa nieobecność w Koszalinie *IV symfonii B-dur* Beethovena była czymś zupełnie niezrozumiałym, jeśli nie chorobliwym. Obydwa utwory Mozarta obdarzono świetnym, pieczołowitym wykonaniem: staranną grą orkiestry w *Uwerturze*, wysmakowaną solistów w *Koncercie podwójnym*: **Łukasz Długosz** rewelacyjny pod każdym względem w partii fletu, **Anna Sikorzak-Olek** w partii harfy – pod precyzyjną ręką Rubena Silvy dali obraz kameralistyki Mozarta pełen polotu, zachwycający. Zabrzmiała także nareszcie *IV symfonia B-dur* Beethovena, która pośród jej ośmiu siostrzyc jest utworem absolutnie niezwykłym: we wszystkich swych czterech częściach czaruje przede wszystkim czystą grą muzyczną, snuciem obrazów muzycznych (poprzedzonych przekornie „romantyzującym" wstępem) o niezwykłej pomysłowości i żywiołowości, ale przecież nie pozbawionych marzeń, poezji, liryzmu (solo klarnetu w części II). Należy do najpiękniejszych stron symfoniki w ogóle, w swej całości jest apoteozą muzyki, muzyczności, o jakiej mówimy „absolutna". Dyrygent świetnie odczuł niezwykłości tego dzieła, znakomitej interpretacji pomagała orkiestra grająca z zaangażowaniem rzadkim na estradach koncertowych. Wykonanie przyjęto entuzjastycznie.

Drugi listopadowy wieczór Filharmonii (**16 listopada**) poświęcony został głównie wokalistyce rozrywkowej: ariom i przebojom orkiestrowym o szerokim wachlarzu autorów – były uwertury Mozarta i Donizettiego oraz arie z ich oper, a także dzieła Rossiniego, Masseneta, Straussa, wokalne i orkiestrowe najpopularniejsze fragmenty musicali Loewego, Webbera i Ellingtona. Bohaterką wieczoru, która ożywiła cały ten zestaw rozrywkowych arcydziełek wokalnych, była **Justyna Reczeniedi** (sopran), artystka mająca w swych doświadczeniach wyjątkową szkołę sztuki wokalnej i scenicznej jako solistka Warszawskiej Opery Kameralnej, wychowana m.in. na wszystkich operach Mozarta. Publiczność koszalińska, hołdująca jasnym, przebojowym, typowo operowym głosom, była chyba początkowo zaskoczona subtelną sztuką solistki, ale jej muzykalność i kultura interpretacji szybko kazały rozkoszować się pięknymi kreacjami, a także bardzo pięknym głosem, niesłychanie giętkim, o szlachetnym zabarwieniu. Dyrygował i czujnie akompaniował **Tadeusz Wicherek**, orkiestra grała lekko, uważnie, a zarazem ze słyszalną troską o brzmienie. Wartością samą w sobie było słowo wiążące **Andrzeja Zborowskiego** – jak zawsze lekkie, dowcipne, a zarazem cechowane dogłębną znajomością tematu.

Piątek **30 listopada** przyniósł kolejny wieczór Filharmonii, zaznaczający się bardzo dobrą frekwencją. Układ programu różnił się od zwykłych układów, w jakich to utwór solowy eksponowany jest w jednej części wieczoru, zazwyczaj pierwszej. Tym razem zabrzmiał w obydwu częściach wieczoru, a już ewenementem by-

ło dwukrotne eksponowanie solowego oboju w niezbyt odległych od siebie stylach, jak *Koncert na obój C-dur* Haydna i *Koncert na obój d-moll* Albinoniego – ten drugi z samymi smyczkami. Dwukrotna ekspozycja oboju w utworach tak mało różniących się stylistycznie odbiła się, oczywiście, ujemnie na dramaturgii programowej wieczoru. Grała oboistka **Kama Grott** – świetna instrumentalistka orkiestrowa, niezawodna, biegła, lecz skąpo różnicująca formalne przebiegi i barwy oboju, co stwarzało wrażenie pewnej monotonii ruchu oraz brzmienia. Ale wzbogaciła nas o poznanie cząstek dorobku Haydna i Albinoniego, twórców tak rzadko pojawiających się w naszej praktyce repertuarowej. Pełnoorkiestrowe utwory tego wieczoru to *Wariacje na temat Haydna* Johannesa Brahmsa oraz *Odwieczne pieśni* Mieczysława Karłowicza. Niemal nowością programową było wykonanie owych *Wariacji na temat Haydna* (grano je u nas 15 lat temu). Wydaje się, że dyrygent wieczoru, **Piotr Staniszewski**, podszedł do świetnej kompozycji z nadmierną ostrożnością i pietyzmem, choć to pełnowartościowa symfonika pełna barw, kontrastów i orkiestrowych smaków, a nawet orkiestrowej wirtuozerii (wariacje V i VI) – te prawdziwe orkiestrowe fajerwerki grane były chyba zbyt skromnie. Jednak w sumie otrzymaliśmy obraz „Wariacji" wierny i efektowny. Gwoździem tego wieczoru były *Odwieczne pieśni* 30-letniego Karłowicza – mimo pewnych nieśmiałości i chropowatości brzmienia instrumentów dętych, szczególnie w pierwszych dwóch częściach. Natomiast *Pieśń o Wszechbycie* zabrzmiała już doskonale, świadcząc zarówno chwalebnie o warsztacie kompozytora, jak i o dyrygencie, który jego fantazje zmaterializował, uzyskując tu piękne, szlachetne brzmie-

Przed nami nowy sezon koncertowy w nowej siedzibie Filharmonii Koszalińskiej.

fot. wizualizacja APA Jacek Bułat

nie oraz intensywny wyraz. Piotr Staniszewski w akompaniamentach i zwłaszcza w Brahmsie – jawił się jakby niedookreślony w swej sztuce, Karłowicza natomiast przygotował i prowadził doskonale; ostatnia z *Odwiecznych Pieśni* była orkiestrowym majstersztykiem.

Piątek **7 grudnia.** To już piękna tradycja – przygotowanie i wykonanie przed Bożym Narodzeniem na filharmonicznej estradzie **Wieczoru Kolęd**. Wszystkie narody z kręgu chrześcijaństwa ze specjalnym sentymentem świętują datę urodzin Jezusa Chrystusa, ale nigdzie chyba owym uroczystościom nie towarzyszą tak liczne formy artystyczne, jak w Polsce, zaś jedną z nich są kolędy. Dość powiedzieć, że kolędnicy w Polsce mają do wyboru kilkaset kolęd. To piękna tradycja, jaka wyrosła z folkloru – choć pozbawiona jego ludycznej funkcji; oddaje radość z przyjścia na świat Zbawiciela. Tematyka owa niejako dodawała skrzydeł twórcom muzyki do tekstów kolęd, jest działem ludowej kultury, ludowej muzyki niezwykle bogatym, szczególnie w Polsce. To setki utworów o zabarwieniu regionalnym, zaś najpiękniejsze z nich stworzyły zbiór uniwersalny. Znawca kolęd ks. **Jan Węcowski** pomieścił ich w swym dziele dwieście, ale to tylko cząstka wybrana z całego ludowego skarbca. Omawiany koncert filharmoniczny („Koszalin śpiewa kolędy"), jaki odbył się w Filharmonii w piątek 7 grudnia, miał formę rozbudowanego tryptyku. Najprzód zabrzmiała muzyka do baletu Piotra Czajkowskiego *Dziadek do orzechów* – idealna w tym programie muzyczna opowieść o wieczorze wigilijnym; suitę z baletu prowadził **Ruben Silva**; w sumie bardzo miły i ładnie zagrany początek. Po nim zabrzmiał działający przy Filharmonii chór mieszany **Koszalin Canta** (przygotowany przez **Ewę Szeredę** i **Renatę Kuczyńską):** kilka efektownie wykonanych przezeń kolęd stało się niejako rdzeniem, ideowo-artystycznym mottem wieczoru (m.in. *Bóg się rodzi*, *Jezus malusieńki*). Ostatnią część wieczoru wypełniło osiem najpopularniejszych kolęd (w tym dwie angielskie), wykonanych w wersji solowej z orkiestrą. Śpiewała je wspaniale sopranistka **Magdalena Witczak**. Na artystyczny obraz wieczoru złożyły się także aranżacje akompaniamentów orkiestry do wszystkich kolęd, dokonane przez **Macieja Osadę-Sobczyńskiego**; aranżacje może zbyt solidne, solenne, jak na towarzyszenie tak prostym, nastrojowym arcydziełkom – ale to przecież estrada filharmoniczna. Publiczność przyjęła koncert owacyjnie.

Sylwester Podgórski

VIII Hanza Jazz Festiwal

Jazzowe apetyty na... „ósemkę"

Czerpać radość z muzyki
i dawać radość muzykom
(Count Basie)

W numerologii chińskiej znaczenie liczby osiem związane jest z przedsięwzięciami i ich sukcesem. Symbolizuje determinację i wytrwałe dążenie do celu. Łączy w sobie dwie cechy: jest liczbą parzystą, co symbolizuje pełnię i jednocześnie jest największą cyfrą parzystą, stąd jej znaczenia dotyczące sukcesu i realizacji celów. Zapewne organizatorzy kolejnego – ósmego właśnie – Hanza Jazz Festiwalu nie odnosili się do numerologii, ale z chęcią by się pod nią podpisali. Tym bardziej, że w tych trudnych czasach dla kultury (*notabene* nie można nie zapytać: a kiedy były łatwe?) impreza wypadła całkiem okazale.

Nie wystarczy dysponować nieograniczonym budżetem i sprowadzić kilka „topowych" gwiazd. Sztuką jest dysponując skromnymi środkami realizować pomysł na cykliczny festiwal, który pozostawi trwały ślad w lokalnym środowisku artystycznym. W tym przypadku pomysł polega na połączeniu tradycyjnej formuły festiwalu jazzowego z warsztatami dla młodych adeptów tej trudnej, ale jakże pięknej sztuki. Organizatorzy zdecydowali się na czterodniową imprezę z codziennymi warsztatami (przed południem warsztaty instrumentalne, po południu zajęcia w *combach* jazzowych), koncertami w kinie „Kryterium" i nocnymi *jam session* w klubie festiwalowym „Rezerwat" i kilku zaprzyjaźnionych klubach: „Park Caffe", „Kawałek Podłogi" i „Inferno".

Podczas inauguracji festiwalu (24 października), która i tym razem odbyła się bez pompy i zadęcia, dyrektor programowy „Hanzy" **Bogdan Bogiel** przedstawił szacowne grono profesorskie. Część kadry to dobrzy „znajomi", wręcz przyjaciele festiwalu, dla których to już kolejny pobyt w Koszalinie. Do takich osób z pewnością trzeba zaliczyć wokalistkę **Danutę Błażejczyk**, pianistę **Artura Dutkiewicza** czy saksofonistę **Adama Wendta**. Nie lada gratką dla młodych gitarzystów był udział w warsztatach **Mike'a Russella**, który muzyczną karierę rozpoczął już w latach 60-tych. W następnej dekadzie pracował jako gitarzysta i kompozytor dla legendarnej wytwórni płytowej *Columbia Records*, która w swoim katalogu ma takich gigantów muzycznych, jak Count Basie, Frank Sinatra, Miles Davis, Tony Bennett czy Carlos Santana. Kolejnym zagranicznym wykładowcą (wykładowczynią?) była turecka wokalistka **Sibel Kose**, która 20 lat temu wyśpiewała *Grand Prix* na Międzynarodowym Festiwalu Wokalistów Jazzowych w Zamościu, a zajęcia prowadzi również na Międzynarodowych Warsztatach Jazzowych w Puławach. Skład pedagogów uzupełnili perkusista **Zbigniew „Levandek" Lewandowski** („nasz" człowiek, bo urodzony w Chojnicach), związany z zespołem *Sami Swoi*, *Alex Bandem* ale współpracujący z czołówką polskiego jazzu z Tomaszem Stańko, Zbigniewem Namysłowskim i Wojciechem Karolakiem na czele. Basista **Tomasz Grabowy** (po raz pierwszy na festiwalu) to, podobnie jak Adam Wendt, członek zespołu *Walk Away*, który na trasy koncertowe zaprasza gwiazdy formatu Erica Marienthala, Randy'ego Breckera, Deana Browna, Billa Evansa (saksofonista), Mino Cinelu czy Boba Malacha. Od kilku lat jest również wykładowcą

w klasie gitary basowej we Wrocławskiej Szkole Jazzu i Muzyki Rozrywkowej. Niejako na deser pozostawiłem z listy wykładowców **Jana „Ptaszyna" Wróblewskiego**, człowieka – instytucję polskiego jazzu. „Ptaszyn" wziął podczas warsztatów na siebie to, co w jazzie jest solą, a mianowicie pracę w combach z młodzieżą. Jakie były efekty tej pracy? Pokazał to koncert galowy i nocne *jam session*.

Muzyczna inauguracja Hanza Jazz Festwalu zapewne nie trafi do annałów jako najświetniejsza chwila tej imprezy, choć formacji *The Brag Pack* nie można odmówić radości grania, spontaniczności czy dobrego kontaktu z publicznością. Ten międzynarodowy kwartet młodych muzyków, studentów i absolwentów Wydziału Jazzu w *Conservatorium van Amsterdam* tworzą: pianista z Indonezji **Sri Aga Hanuraga**, saksofonista z Węgier **Daniel Mester**, basista z Niemiec **Paul Rutschka** oraz perkusista z Holandii **Roald Becher**. Własne, rozbudowane formalnie kompozycje, pomimo swojego uroku stanowiły jedynie udaną kalkę utworów propagowanych przez jazzowe formacje działające w latach 80. i 90., które udanie łączyły *jazz* z muzyką *funky* i *fusion*. Jeśli kiedyś usłyszymy o *The Brag Pack* to zapewne w kontekście pianisty **Sri Agi Hanuragiego**, którego „wycieczki" w indonezyjski folklor oraz żywiołowa, pełna emocji gra, były ozdobą tego koncertu.

Nie ukrywam, że mój nienasycony muzyczny apetyt miał zostać zaspokojony dopiero drugiego dnia festiwalu, za sprawą wibrafonisty **Bernarda Maselego** i jego projektu *The Globetrotters*. Jak rzadkim instrumentem jest wibrafon (elektroniczny) i jak zarazem pięknie brzmiącym przekonało się blisko 400 osób, które tego dnia miały szczęście zasiąść w wygodnych fotelach sali kina „Kryterium". Większość publiczności zapewne przyszła dla samej muzyki, ale wiem, że część z czystej ciekawości, aby zobaczyć na „własne oczy" **Kubę Bada-**

Hanza Jazz Festiwal. fot. archiwum CK105

cha, czyli, jak kto woli, męża Aleksandry Kwaśniewskiej. Jeśli ktoś oczekiwał „prezydenckich" akcentów w trakcie koncertu czy choćby pojawienia się małżonki zdolnego wokalisty, srodze się zawiódł. Obroniła się za to świetnie muzyka, która w wydaniu *The Globetrotters* jest mariażem *world music*, *fusion*, *funku* i *R'n'B*. Koncert tria jazzowego w nietypowym składzie, z wibrafonem, wokalem i perkusją oraz przeszkadzajkami (w tej roli bardzo „czujny", ascetyczny i niezwykle precyzyjny **Bogusz Wekka**) był niczym egzotyczna podróż z przygodami. Raz rytmiczna z tendencją do transowości, a innym razem pełna liryki i ciepła. Bardzo przestrzenna muzyka z bogactwem niczym nie skrępowanej improwizacji z jednej strony świadczy o bardzo dobrym warsztacie, a z drugiej o niezwykłej „chemii" między muzykami. W większości usłyszeliśmy kompozycje lidera, który czterema pałeczkami potrafił oczarować koszalińską publiczność. Widziałem już *The Globetrotters* z perkusistą **Nippy Noyą** w składzie czy z saksofonistą **Jerzym Główczyńskim**, ale za każdym razem zespół pokazuje trochę inne oblicze. Przecież po to właśnie tworzone są projekty, które w założeniu mają dać chwilę wytchnienia od macierzystych formacji i możliwość sprawdzenia się w innym dźwiękowym otoczeniu. Wracając do Kuby Badacha to zdecydowanie bardziej zasługuje na notki i recenzje w „Jazz Forum" niż plotki na pudelku.pl. Koncert skończył się tylko jednym bisem, ale raczej z przyczyn organizacyjnych, bowiem tego wieczoru na scenie pojawiła się jeszcze szwajcarska **Orkiestra Jazzowa** z Lucerny. Nie spodziewając się niczego szczególnego, poza poprawną grą młodych studentów, bardzo szybko zmieniłem zdanie (bardzo chciałbym zobaczyć wyraz własnej twarzy, kiedy zabrzmiały pierwsze dźwięki szlachetnie brzmiącej orkiestry). Zespół powstał pięć lat temu i już jest jedną z atrakcji na koncertowej mapie Europy. Przesądzają o tym muzyczna erudycja, porządny warsztat oraz niebanalny repertuar składający się z dzieł młodych kompozytorów europejskich, w których pobrzmiewają elementy *jazzu*, *rocka* i muzyki współczesnej. Na uwagę zasługiwały partie solowe wykonywane przez wokalistkę **Karin Meier** i trębacza **Aurela Nowaka.** Szef orkiestry **Dawid Grottschreiber** z dużą dbałością o szczegóły potrafił połączyć ogromną energię gry z młodzieńczą witalnością. Bardzo miłe zaskoczenie na koniec drugiego dnia imprezy.

Koncert, który odbył się w przedostatni dzień festiwalu, był jednocześnie wyjściem poza mury CK 105 (oprócz oczywiście *jam session*). Tym razem występ **Ultradycyjnego Duo Jan „Ptaszyn" Wróblewski** – saksofony i **Paweł Tartanus** – banjo odbył się w **Studiu Koncertowo-Nagraniowym im. Czesława Niemena.** Pomysł ciekawy z kilku względów. Z pewnością skład aż prosił się o kameralną scenę, którą zapewnia studio **Radia Koszalin**. Wyjście z festiwalem i szukanie nowych miejsc koncertowych też nie jest bez znaczenia. Wreszcie, możliwość za pośrednictwem eteru retransmisji i dotarcia w odległe zakątki naszego regionu (Pomorza środkowego, na którym to obszarze nadaje Radio Koszalin). Niemal z miejsca ten koncert stał się *exclusive,* a wejściówki „rozeszły się" zanim tak naprawdę się pojawiły. Przed występem mistrz „Ptaszyn" z właściwą sobie swadą powiedział – *To jest z jednej strony koncert w stu procentach jazzowy, z drugiej jednak troszeczkę wariacki. My tego programu nie traktujemy zbyt poważnie, to znaczy zagrać go chcemy oczywiście porządnie, ale jednak zestawienie banjo i saksofonu to zdaje się pionierska praca w światowej literaturze. Nam się jednak to udaje robić już od dłuższego czasu i postaramy się przede wszystkim, żeby to był koncert trafiający do publiczności. Nie pozbawiony żartów i dowcipów. Różne dziwne rzeczy dzieją się na scenie w zależności od tego, co nam przyjdzie do głowy. Zależy to od nastroju i klimatu. Jedno jest pewne. Zagraliśmy do tej pory dziesiątki koncertów i to się trzyma kupy, proszę mi wierzyć. Jest nas tylko dwóch, a ja na dokładkę właściwie nienawidzę duetów. Nienawidzę, ale to robię i mam naprawdę ogromną przyjemność grania z Pawłem Tartanusem, który na banjo po-*

trafi zastąpić fortepian, perkusję i Bóg raczy wiedzieć jeszcze co, a do tego jeszcze bardzo ładnie zaśpiewać. Nasz repertuar jest bardzo tradycyjny, nieomal poza Louisa Amstronga nie sięgamy. Jak to zostanie odczytane? – trudno powiedzieć. Albo będzie sukces, albo nas obrzucają pomidorami.

Nietrudno zgadnąć, że publiczność przyjęła muzyków entuzjastycznie. Tylko dwóch artystów, teoretycznie zgrane niemiłosiernie standardy jazzowe (m.in. *What A Wonderful World*, *On The Sunny Side Of The Street*, *Everybody Loves My Baby*, *Sweet Georgia Brown*), a ile radości z grania, ile *feelingu*, *swingu*, muzycznej erudycji i technicznej biegłości zarówno „Ptaszyna" jak i Pawła Tartanusa, który udowodnił, że banjo absolutnie nie jest zarezerwowane tylko i wyłącznie dla świata *country*. Na usta cisną się mimowolnie słowa piosenki „Starsi panowie dwaj", ze szczególnym naciskiem na – *Już szron na głowie, już nie to zdrowie a w sercu ciągle maj*. Na dokładkę te wszystkie zapowiedzi, czyli tak naprawdę miniaturki-opowieści „Ptaszyna", których słucha się z wypiekami na twarzy i chłonie niczym ukochaną lekturę... Rozmawiałem z wieloma osobami i nie spotkałem nikogo, kto przeszedł obok tego koncertu obojętnie. Dla wszystkich tych, którzy z różnych powodów nie mogli być na koncercie lub najzwyczajniej w świecie się nie dostali, Radio Koszalin w ramach **„Jazzowych Spotkań" Beaty Młyńczak** (zapowiadała z wdziękiem, kulturą i subtelnym poczuciem humoru wszystkie festiwalowe koncerty) kilka dni później zaprezentowało obszerną retransmisję. Wydaje się, że to *novum* (jeden specjalny koncert w Radiu Koszalin) warto kontynuować podczas następnych Hanza Jazz Festiwali.

Koncert finałowy czy też galowy to tradycyjnie spotkanie profesjonalistów z tymi, co do tego miana aspirują, czyli uczestnikami warsztatów. W ósmej „Hanzie" udział wzięło około 60 osób, w tym cala rzesza wokalistów (ponad polowa uczestników), sporo gitarzystów, kilku perkusistów, saksofonistów i miłośników gry na instrumentach klawiszowych. Wspólny występ jest bez wątpienia nobilitacją dla tych młodych, w większości zdolnych muzyków. Mogli bowiem wystąpić na jednej scenie z Mike'm Russellem, Janem „Ptaszynem" Wróblewskim, Adamem Wendtem, zaśpiewać z Sibel Kose i Danutą Błażejczyk, przy akompaniamencie fortepianu Artura Dutkiewicza. Takie chwile nie muszą, choć mogą okazać się przełomowe dla wielu uczestników warsztatów. Czy wykorzystają tę szansę? Czy chłonęli jak gąbka wiedzę przekazywaną przez naprawdę zacną kadrę profesorską? Czas pokaże. Mam nadzieję, że o kilku młodych ludziach, jak choćby o pianiście z Koszalina **Bartoszu Kołaczkowskim** (który z kadrą profesorską *Teachers Band* wykonał brawurowo słynny temat Milesa Davisa *So What* i otrzymał zaszczytny tytuł „Prymusa" warsztatów), będziemy mogli za jakiś czas powiedzieć, że zaczynali swoją karierę w Koszalinie na Hanza Jazz Festiwalu.

P.S. Osobne słowa uznania dla wszystkich uczestników *jam session*, gdzie jeszcze bardziej zaciera się granica uczeń-nauczyciel. Brawa dla kadry profesorskiej, która nie stroniła od tej formuły i której wciąż chce się chcieć.

VIII Hanza Jazz Festiwal, 24-27 października 2012 r., Centrum Kultury 105

Zbigniew Dubiella

Magia sześciu strun

Nic jak na razie nie wiadomo na temat powiązań naszego miasta z gitarą w przeszłości. Cofając się w czasie do powojnia, nie wiadomo czy w naszym mieście działał jakiś znany szerzej gitarzysta i czy odbył się jakikolwiek oficjalny koncert gitarowy. Ruch gitarowy w naszym mieście pojawił się dopiero w latach 50-tych ubiegłego wieku, jako wynik światowego trendu i mody na gitarę, już nie tylko klasyczną, ale i na jej młodszą siostrę, gitarę elektryczną. Pojawili się ludzie umiejący grać na tym instrumencie, jak śp pan Jan Kowalczyk, którego miałem przyjemność być uczniem. Pojawiło się wielu utalentowanych amatorów, często samouków (Bogdan Solich, Ryszard Kaczmarek, Arkadiusz Halicki, Andrzej Doliński – by wymienić tych najstarszych).

Dzisiaj w Koszalinie mamy rozbudowaną klasę gitary w **Państwowej Szkole Muzycznej im. Grażyny Bacewicz** (prawie setka adeptów), gdzie uczy tego instrumentu ośmiu pedagogów, w tym nestor koszalińskiej gitary – niżej podpisany **Zbigniew Dubiella** oraz **Dariusz Schmidt**. Naukę gry na gitarze można było pobierać także w działającym do dnia dzisiejszego **Społecznym Ognisku Muzycznym**, które nosi imię swego pierwszego dyrektora **Władysława Turowskiego**. Poza tymi dwiema szacownym instytucjami chętni mogą pobierać naukę gry na gitarze w **Pałacu Młodzieży**, w szkole **YAMAHA**, w prywatnej szkole **Music Heaven**, w **Centrum Kultury 105** oraz w klubach osiedlowych na terenie miasta.

Od lat odbywa się w Koszalinie sporo koncertów gitarowych, festiwali i konkursów. Mieliśmy okazję kilkanaście razy podziwiać wykonawców z Polski i zagranicy na *Spotkaniach z Muzyką Gitarową*, pięć razy odbywał się w Koszalinie *Ogólnopolski Konkurs dla Uczniów Średnich Szkół Muzycznych,* kilka lat trwał cykl koncertów *Gryfy i Riffy*, a młodzi gitarzyści z naszego grodu zdobywali nagrody na konkursach ogólnopolskich i zagranicznych. Dla miłośników „cięższego" elektrycznego gitarowego grania od lat organizowany jest przegląd „Generacja" i wiele koncertów rockowych, szczególnie w klubie studenckim *Kreślarnia.*

Wydaje się, że rok 2012 przyniósł potwierdzenie faktu, że gitara jest w fazie zauważalnej progresji. Już w styczniu **Mateusz Kowalski**, uczeń Dariusza Schmidta, zwyciężył na Międzynarodowym Konkursie Gitarowym im. Czesława Droździewicza w Krynicy. Najwięcej sukcesów odniosła tegoroczna dyplomantka Szkoły Muzycznej II stopnia **Bianka Szalaty**. Jej dobra *passa* zaczęła się już w lutym, gdy zajęła I miejsce na Ogólnopolskim Konkursie Cieplice-Jelenia Góra i dodatkowo zdobyła honorowy tytuł *Gitaromaniaka.* W marcu w Warszawie odbywał się finał Ogólnopolskich Przesłuchań CEA (Centrum Edukacji Artystycznej). Liczne grono uczniów koszalińskiej szkoły wróciło z laurami. **Mateusz Kowalski i Bianka Szalaty** zdobyli II miejsce *ex aequo*, a **Piotr Zarzycki** wyróżnienie. III miejsce *ex aequo* zajęły dwa zespoły: duet **Mateusz Kowalski & Piotr Zarzycki** oraz nonet gitarowy w składzie: **Bianka Szalaty, Mateusz Kowalski, Michał Jopek, Marzena Gałkowska, Karolina Świderska, Joanna Derda, Piotr Bednarczyk, Miłosz Orłowski** i **Tomasz Mirowski.** Wszyscy laureaci to wychowankowie klas Zbigniewa Dubielli i Dariusza Schmid-

ta. Podczas odbywającego się w marcu Polsko-Niemieckiego Konkursu Gitarowego w Szczecinie wyróżnienie otrzymał **Bartłomiej Mojsiewicz** z klasy Zbigniewa Dubielli. W maju **Magdalena Hydzik,** ubiegłoroczna dyplomantka z klasy **Tomasz Tokajskiego,** zagrała z orkiestrą Koszalińskiej Filharmonii *Koncert na gitarę i orkiestrę* **Elmera Bernsteina** (twórcy muzyki do westernu *Siedmiu wspaniałych).* Była to udana polska premiera tego koncertu. Z jedną częścią dołączył do niej **Mateusz Kowalski.** 27 maja zakończył się Międzynarodowy Konkurs Gitarowy w Żorach. I miejsce zdobyła **Bianka Szalaty.** Po tym sukcesie dziennik *Głos Koszaliński* pisał m.in. – *Koszalińska Szkoła Muzyczna jest kuźnią talentów, szczególnie tych gitarowych... .*

Violetta Zatryb zorganizowała szkolny konkurs dla uczniów IV i V klasy I stopnia. Zwyciężył na nim **Szymon Rybacki,** grając z brawurą i muzykalnością. Od 7 do 9 czerwca w Trzęsaczu odbywał się XV Międzynarodowy Festiwal i Konkurs Gitarowy. Największy sukces odniosła na nim znów **Bianka Szalaty,** otrzymując *Grand Prix,* I nagrodę, specjalną nagrodę Wójta Gminy Rewal oraz nagrodę za najlepsze wykonanie kompozycji współczesnej **Marka Pasiecznego.** III miejsce na tym samym konkursie zdobył **Piotr Zarzycki** jako solista oraz wyróżnienie otrzymał duet **Mateusz Kowalski i Piotr Zarzycki.**

W samym sercu lata odbył się VIII Międzynarodowy Festiwal i Konkurs Gitarowy w Olsztynie. **Bianka Szalaty** zajęła na nim drugie miejsce, a **Mateusz Kowalski** trzecie. Na tej samej imprezie sukces odnieśli nasi absolwenci. **Dariusz Lampkowski** otrzymał wyróżnienie, a duet **Anna Nowicka i Konrad Ingielewicz** zajął III miejsce. W sierpniu nasz utalentowany absolwent, a obecnie student Uniwersytetu Muzycznego w Warszawie **Adam Woch,** wygrał Gitarowy Festiwal i Konkurs w Brnie w Czechach.

10 października nestor gitary w Koszalinie **Zbigniew Dubiella** otrzymał na Zamku Królewskim w Warszawie nagrodę Ministra Kultury za całokształt dokonań edukacyjnych i popularyzatorskich w dziedzinie muzyki gitarowej.

Bianka Szalaty. fot. Tomasz Tukajski

13 listopada odbyły się w koszalińskiej Szkole Muzycznej warsztaty gitarowe zakończone wieczornym koncertem z udziałem *KUPIŃSKI GUITAR DUO.* W skład duetu wchodzi absolwentka szkoły w klasie Zbigniewa Dubielli **Ewa Jabłczyńska.** Koncert cieszył się bardzo dobrą frekwencją i został gorąco przyjęty przez koszalińskich melomanów. Dominowały wirtuozowskie utwory w stylu romantycznym i latynowskim: Fryderyk Chopin, Manuel de Falla, Sergio Assad, Bebe.

Ostanie gitarowe sukcesy roku 2012 pojawiły

się 1 grudnia w Poznaniu. Odbył się tam Konkurs *O Złotą Gitarę* organizowany przez Polską Akademię Gitary i Akademię Muzyczną im. Paderewskiego. II miejsce zajął absolwent koszalińskiej szkoły, a obecnie student Akademii Muzycznej w Katowicach **Dariusz Lampkowski.** Specjalne wyróżnienie **Marka Mosia** otrzymała wraz z nagrodą **Bianka Szalaty.** Znakomity dyrygent znanej orkiestry AUKSO podkreślał wyjątkowy talent muzyczny Bianki i jej wrażliwość na logiczną interpretację, a także gratulował talentu twórczego. Bianka na konkursie grała Wariacje na temat polskiej pieśni *Ty ze mnie szydzisz* swego autorstwa.

Od 7 do 9 grudnia w Koszalinie trwały Makroregionalne Przesłuchania CEA dla szkół muzycznych I stopnia. Nasi wychowankowie znowu potwierdzili swą wysoką klasę. Reasumując można stwierdzić, że rok 2012 był pasmem sukcesów dla gitary klasycznej w naszym mieście i regionie. W środowisku polskich gitarzystów Koszalin jest często wymieniany jako wylęgarnia talentów. Nazwiska takie, jak **Ewa Jabłczyńska, Adam Woch** i ostatnio **Bianka Szalaty** stają się coraz bardziej znane w świecie muzycznym. W roku 2013 pojawi się na mapie koszalińskich przedsięwzięć nowa impreza – **Ogólnopolski Konkurs Gitarowy pod hasłem HITY NA GITARZE**. Organizatorem jest Pałac Młodzieży, a gościem specjalnym będzie mistrz *fingerstyle'u* **Michael Langer** z Austrii. Wszystko wskazuje więc na to, że magia sześciu strun długo jeszcze będzie oczarowywać mieszkańców grodu nad Dzierżęcinką, a rok 2012 nie pozostanie wyjątkiem.

Kupiński Guitar Duo tworzą Ewa Jabłczyńska i Dariusz Kupiński, razem także w życiu prywatnym. fot. Ela Barteczko

Adrian Adamowicz

Unplugged Radia Koszalin

Nasi bez prądu

Cykl koncertów Unplugged Radia Koszalin to wynik pasji i zaangażowania ponad 1400 osób: zespołów, które zagrały w Studiu Nagraniowo-Koncertowym im. Czesława Niemena w Radiu Koszalin, dziennikarzy, którzy mieli pomysł i determinację, by wszystko to zrealizować, a przede wszystkim publiczności, która szczelnie wypełniła każde akustyczne spotkanie.

Koncerty tego typu są, oczywiście, znane na świecie od kilkunastu lat; są rejestrowane i wydawane na płytach, także w Polsce. Wystarczy przypomnieć albumy Erica Claptona, *Nirwany*, *R.E.M.* czy Kayah lub grupy *Hey*. Nie było jednak takich koncertów, które zwracałyby uwagę na lokalnych wykonawców, dawały im szansę na zaprezentowanie nieco innej twarzy i w ten sposób ich promowały. Spotkania w Radiu Koszalin były i są z jednej strony okazją, by usłyszeć rodzimych wykonawców, a z drugiej pewnego rodzaju wyzwaniem dla nich, by zaśpiewać swój repertuar „na żywo" przy akompaniamencie instrumentów akustycznych.

Cykl koncertów „Unplugged Radia Koszalin" rozpoczął się jeszcze w listopadzie 2011 roku występem *Grupy Projekt*. Zespół wystąpił zaledwie kilka tygodni po wydaniu debiutanckiej płyty, miał najmniej czasu na przygotowanie akustycznego materiału, ale na listopadowym koncercie w 2011 roku mogliśmy, powtarzając tytuł ich albumu, powiedzieć „Pięknie jest"... Na scenie obok lidera **Roberta Latochy** – wokalisty, gitarzysty oraz autora muzyki do większości utworów, pojawili się też perkusista **Darek Bendyk**, **Ewa Jachimowicz**, na co dzień zawodowa skrzypaczka Filharmonii Koszalińskiej, oraz **Radek Moskal** – gitarzysta basowy.

Kolejnym zespołem, który zagościł na akustycznej scenie, było *4Piętro*. Choć w Radiu Koszalin próżno szukać czwartej kondygnacji, to w czwartkowy wieczór (8 grudnia) na niej właśnie pojawili się **Mariusz Puszczewicz** (wokal), **Adrian Rozenkiewicz** (gitara) i **Bartłomiej Trosko** (gitara). Poznali się kilka lat temu na czwartym piętrze Domu Studenckiego nr 3 Politechniki Koszalińskiej. Tam właśnie zaczęli organizować małe spotkania, które przerodziły się w koncerty ze śpiewaniem przy gitarze. Wraz z otrzymaniem propozycji zagrania koncertu *Unplugged Radia Koszalin* postanowili powiększyć skład, co w rezultacie dało pełną scenę i pełną salę. Goście, zwani Lożą Szyderców to: **Henryk Rogoziński**, **Kacper Rogoziński**, **Kaja Krzysiek** i **Rafał Pleskaczyński-Mąka**. Warto dodać, że ten rozszerzony skład grupy przetrwał jeszcze w kilku koncertowych odsłonach, m.in. podczas Dni Koszalina.

2012 rok akustycznie przywitaliśmy (26 stycznia), koncertem kołobrzeskiej formacji *Time To Express*. Od momentu powstania jesienią 2005 roku – już po kilku miesiącach intensywnych prób – grupa został okrzyknięta Indywidualnością Muzyczną Europejskiego Tygodnia Młodzieży w Szczecinie. W 2009 roku przyszedł czas na wydanie pierwszego longplaya w karierze zespołu *Traffic Life*. Dwa lata później ukazało się kolejne wydawnictwo *Void In You*. Na akustycznej scenie Radia Koszalin kołobrzeżanie pojawili się w składzie**: Tomasz Skierczyński** (wokal, gitara), **Bartosz Kulesza** (gitara), **Mariusz Skorupa** (bas) i **Marek Tyszkiewicz** (perkusja).

W środku zimy, w kolejny czwartek (**23 lutego**), potrzebna była porcja naprawdę gorących przebojów. Temu zadaniu był w stanie sprostać jedynie *Mr.Zoob*. Wielopokoleniowy zespół i takaż publiczność mogli zaśpiewać „Mój jest ten kawałek podłogi" czy „Kartkę dla Waldka", a także usłyszeć nowe kompozycje, a to wszystko w akustycznych, wyjątkowych wersjach. Na scenie pojawili się: **Radek Czerwiński** (wokal), **Jacek Paprocki** (gitara), **Artur Orłowski** (sax), **Arek Wójcik** (bas) i **Waldemar Miszczor** (perkusja).

Była też niespodzianka. Postanowiliśmy wraz z zespołem dać szansę młodej, obiecującej gimnazjalistce. **Monika Kazyaka** rozpoczęła lutową odsłonę „Unplugged Radia Koszalin" własną kompozycją.

29 marca na scenie „Unpugged..." zagościła Kraina Łagodności. Kołobrzeska formacja *Cisza jak Ta* to nowoczesne podejście do piosenki poetyckiej. Swoim utworom grupa nadaje zupełnie nowe, młode, malowane brzmieniem fletu, skrzypiec i klarnetu oblicze. Trzy gitary i delikatna perkusja są dopełnieniem muzycznego kształtu. W czasie koncertu zespół prowadził słuchaczy przez górskie połoniny, morskie brzegi, brukowane ulice miast, opowiadał słowem i dźwiękiem o miłości, we wszystkich jej barwach i odcieniach. W świat „Ciszy jak Ta" zabrali nas: **Michał Łangowski** (wokal, gitara), **Ilona Karnicka** (wokal, skrzypce), **Aleksandra Frąckowiak** (wokal, flet), **Mariusz Skorupa** (gitara), **Darek Bądkowski** (bas), **Hubert Liczbański** (klarnet, djembe, przeszkadzajki), **Mateusz Wyziński** (perkusja).

Przyszedł **26 kwietnia**; wiosna już na dobre rozgościła się na świecie, wszyscy byli w dobrych humorach, więc nadszedł czas na spotkanie z koszalińską *Ivoną*. Charakteru muzyki tego zespołu nie da się określić jednym słowem. Utwory grane przez formację stanowią jedyną

Ivona, czyli Hard Puls Polo w wersji akustycznej.

fot. archiwum PR

w swoim rodzaju mieszankę, określaną mianem Disco Polo Progressive czy też Hard Puls Polo. To nowy, niepowtarzalny gatunek, łączący w sobie bardzo popularną w latach 90. muzykę disco polo z rockowym brzmieniem i ekspresją. Ekspresji właśnie na koncercie nie brakowało, podobnie jak humoru, a sprawcami tego, że niektórzy poczuli się nieco „szaleni", byli: **Waldemar Suchomski**, **Remigiusz Błaszków**, **Radosław Czerwiński**, **Bartosz Luterek**, **Wojciech Narejko** oraz **Przemysław Olszewski**.

Ostatnia przedwakacyjna odsłona cyklu Unplugged Radia Koszalin nastąpiła **17 maja**. Niektórzy mówią, inni nawet śpiewają, że maj pachnie bzem, ale w Studiu Nagraniowo-Koncertowym Radia Koszalin w majowy czwartek zapachniało... *Lipą z Miodem*. Dla koszalińskiej formacji ten koncert, podobnie jak i cały rok, był szczególny, bo przyniósł pierwszy akustyczny występ, a przede wszystkim 10. rocznicę powstania. Nic więc dziwnego, że obok muzyków ze składu podstawowego: **Radosław Muszyński** (bas, śpiew), **Mateusz Redlarski** (gitara, śpiew), **Artur Skibiński** (perkusja), na radiowej scenie pojawili się goście: **Roman Lange**, **Mariusz Puszczewicz**, **Mariusz Kózka**, **Rafał Mendelewski** oraz **Michał Adamczyk**. Było smacznie i zdrowo!!!!

Od samego początku cyklu Unplugged Radia Koszalin wiedziałem, że te akustyczne spotkania z regionalnymi wykonawcami powinny mieć wyjątkowy charakter. Dlatego każdy z tych koncertów po kilku dniach był retransmitowany na radiowej antenie, co było dodatkowym elementem promocji twórców, ale też każdy był rejestrowany, by po zakończeniu cyklu można było wydać płytę, na której pojawiłyby się fragmenty tych spotkań. Płyta „Unplugged Radia Koszalin" ukazała się pod koniec czerwca 2012 roku i zamknęła pierwszy sezon akustycznych podróży z Radiem Koszalin.

Dlaczego „pierwszy" sezon? Bowiem już w trakcie koncertów *unplugged* stało się jasne, że ten rodzaj prezentacji lokalnych zespołów cieszy się ogromnym zainteresowaniem zarówno publiczności, jak i samych zespołów. Jedyna zmiana, jaka nastąpiła w drugim sezonie cyklu Unplugged Radia Koszalin, polegała na poszerzeniu formuły także o wykonawców znanych w całym kraju, a pochodzących z naszego regionu.

18 października 2012 roku rozpoczęliśmy drugi sezon spotkaniem z darłowską formacją *Zgagafari*. Kolejne miesiące przyniosły wizyty na akustycznej scenie: **Małgorzaty Ostrowskiej** (**15 listopada**), **Zosi Karbowiak** (**6 grudnia**), a w roku 2013 – zespołów *Manchester* i *Świadomość*.

To nie koniec. Kolejne koncerty przed nami. Kolejna płyta podsumowująca drugi sezon również. Do zobaczenia więc dziś, jutro, pojutrze, a najpóźniej za miesiąc.

Do zobaczenia w niedużej, ale gościnnej i przyjaznej Sali im. Czesława Niemena

Do zobaczenia i usłyszenia w Radiu Koszalin. Tutaj Nasi grają!!!

Izabela Nowak

XIV Światowy Festiwal Chórów Polonijnych

Ostatnie takie lato?

Tradycja koszalińskich spotkań rozśpiewanej Polonii liczy już 42 lata. Rozpoczęła się w 1970 roku wraz z I Festiwalem Chórów Polonijnych. Od tego czasu Koszalin odwiedziły ponad dwadzieścia dwa tysiące rodaków z całego świata, uczestniczących w kolejnych festiwalach, w Polonijnych Warsztatach Chóralnych oraz w odbywających się od dwudziestu czterech lat sesjach Studium Dyrygentów Chórów Polonijnych. Polonijne Lato'2012, trwające od 5 do 25 lipca, ponownie zmieniło Koszalin w stolicę polonijnej pieśni chóralnej, a 360 gości z Europy, Ameryki Południowej i Północnej przeżyło niezapomniane spotkanie z polską tradycją i kulturą. Głównym wydarzeniem ostatniego Polonijnego Lata był XIV Światowy Festiwal Chórów Polonijnych. Organizatorami koszalińskiego święta pieśni były: Stowarzyszenie „Wspólnota Polska" – Rada Krajowa i Oddział w Koszalinie, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, samorząd Koszalina i Centrum Kultury 105.

Studium Dyrygentów Chórów Polonijnych – nauka, przyjaźnie, koncertowanie

Korzenie tej edukacyjnej formy sięgają 1970 roku. Wówczas, w trakcie I Festiwalu Chórów Polonijnych w Koszalinie, podjęta została decyzja o systematycznym podnoszeniu umiejętności zawodowych dyrygentów chórów zrzeszających Polaków poza granicami kraju. W 1990 roku Studium zyskało kształt organizacyjny i merytoryczny, którego autorką jest **Wiesława Krodkiewska** z Centrum Animacji Artystycznej w Warszawie, wiernie towarzysząca – jako kierownik merytoryczny – wakacyjnym sesjom.

Swą dyrygencką edukację rozpoczęło w Studium ponad 400 słuchaczy. Pobyt w Koszalinie pozwolił im nie tylko na doskonalenie dyrygenckiego warsztatu. Sprzyjał także poznawaniu bogatej polskiej literatury muzycznej, doskonaleniu języka polskiego oraz zawieraniu przyjaźni, które – podtrzymywane korespondencyjnie – przetrwały wiele lat.

Studium Dyrygentów Chórów Polonijnych szczyci się znakomitą kadrą profesorską z polskich Akademii Muzycznych, pracującą pod kierownictwem dydaktycznym prof. **Przemysława Pałki** z Poznania. Podczas dwutygodniowych sesji wykładanych jest siedem specjalistycznych przedmiotów: dyrygowanie, emisja głosu – indywidualna i zbiorowa, metodyka prowadzenia chórów i zespołów wokalnych, polska literatura chóralna, aranżacja muzyczna na zespoły chóralne i praca z chórem. Koszalińskie spotkania skutkują wciąż rosnącą liczbą polskich chórów zakładanych na całym świecie przez słuchaczy i absolwentów Studium.

W roku 2012 w sesji uczestniczyło 35 osób – w tym aż dziewiątka dyplomantów, z wielkim żalem żegnających Koszalin. Przyjechali z Białorusi, Belgii, Brazylii, Kanady, Litwy, Łotwy, Niemiec, Rosji, Ukrainy, Węgier i Wielkiej Brytanii. Wszyscy prowadzą życie wypełnione muzyką, która jest ich artystyczną pasją i wielką miłością. Są studentami, absolwentami, a nawet wykładowcami wyższych uczelni muzycznych. Wśród słuchaczy jest wielu nauczycieli muzyki. Grają na różnych instrumentach i pięknie śpiewają – często w polonijnych chórach, a nawet na profesjonalnych scenach. Wielu z nich tak-

Chór Ojczyzna. fot. Mariusz Czajkowski

że samodzielnie prowadzi zespoły – wokalne i chóralne, dzieląc się pięknem polskiej pieśni. Z powodzeniem uczestniczą w festiwalach, konkursach i przeglądach wokalnych. Aktywnie działają w różnego rodzaju organizacjach i stowarzyszeniach, animując życie kulturalne polonijnych środowisk.

Związana od wielu lat ze Studium kadra profesorska, składająca się z wybitnych osobowości polskiej chóralistyki, zapewnia polonijnym gościom ciekawy program dydaktyczny: - *Staramy się co roku powtórzyć część repertuaru. Wówczas słuchacze utrwalają wiadomości zdobyte w poprzednich latach nauki* – mówi prof. **Przemysław Pałka.** – *Oczywiście, proponujemy również nowości, prezentując aktualne nurty w polskiej muzyce. Jedną z najciekawszych kompozycji, jaką udało mi się zdobyć i przywieźć do Koszalina, jest nowy utwór wybitnego polskiego kompozytora prof.* ***Andrzeja Koszewskiego*** Stabat Mater.

„Ojczyzna" – najlepszy chór polonijny na świecie

Słuchacze Studium Dyrygentów Chórów Polonijnych zgłębiają w Koszalinie nie tylko tajniki dyrygentury. Mają także wspaniałą okazję, by doskonalić swą technikę wokalną podczas pracy w chórze *Ojczyzna*. A ponieważ są obdarzeni nie tylko muzyczną pasją, ale także pięknymi głosami, efekty wspólnej pracy są spektakularne. Artystyczną wizytówką *Ojczyzny* jest mistrzostwo wokalne, budzące niezmienny zachwyt publiczności, oraz bardzo ambitny repertuar.

Historia tego niezwykłego zespołu rozpoczęła się w 1994. Sceniczny wizerunek *Ojczyzny* od początku jej istnienia współtworzyła obecnie kierująca chórem prof**. Elżbieta Wtorkowska**, znakomita specjalistka z zakresu emisji głosu z Akademii Muzycznej w Bydgoszczy. – *W tym roku w repertuarze* Ojczyzny *dominują utwory wielkiego polskiego kompozytora, Stanisława Moniuszki, prezentowane w różnej stylistyce i formie, w tym oczywiście klasycznej. Mamy także aranżacje na chór opracowane przez Andrzeja Żylisa* – mówiła prof. E. Wtorkowska o programie opracowywanym z chórem *Ojczyzna* w roku 2012**.** – *Nasz chór prezentuje również bardzo lubiane piosenki retro. Inspiracją dla tegorocznej propozycji była wiązanka „Lata dwudzie-*

ste, lata trzydzieste" prezentowana przez chór w 2011 roku. Pozostajemy więc w podobnym klimacie i zaśpiewamy dwie wiązanki, złożone z niezapomnianych przebojów z przedwojennych filmów i opracowane przez ***Orlina Bebenowa***.

O tym, że koszalińska publiczność potrafi docenić kunszt wokalny polonijnych dyrygentów świadczyło entuzjastyczne przyjęcie koncertu *Ojczyzny* podczas VI Letnich Spotkań z Folklorem. Z równym zachwytem spotkał się koncert tego niezwykłego chóru w białogardzkim Kościele p.w. Najświętszego Serca Pana Jezusa.

Rozśpiewani Polonusi

15 lipca 2012 roku do grona uczestników Polonijnego Lata dołączyły zespoły uczestniczące w XIV Światowym Festiwalu Chórów Polonijnych. Wśród nich królowały zespoły o bardzo długim, liczącym czasami nawet kilka dekad, stażu artystycznym. „Weteranom" polskiego ruchu śpiewaczego towarzyszyły znacznie młodsze grupy, ale galerię festiwalowych gości otwierają zespoły o najdłuższej, bardzo bogatej w wydarzenia i sukcesy historii.

Chór Męski GOROL z Jabłonkowa – Czechy, liczący aż 65 lat, rozpoczął swoją działalność w 1947 roku. Początkowo był Zespołem Pieśni i Tańca popularyzującym folklor Ziemi Podbeskidzkiej, lecz przed wieloma laty przekształcił się w chór męski opierający swój repertuar głównie na pieśniach ludowych swego regionu, ale także prezentujący klasyczne utwory kompozytorów polskich i czeskich. W swej imponująco długiej historii *Gorol* tysiąc razy koncertował w Czechach i poza granicami tego kraju, niezmiennie zdobywając wielką sympatię publiczności i uznanie krytyki muzycznej. Jest laureatem licznych nagród przyznawanych na konkursach wokalnych w Polsce oraz w Czechach. Często występuje w programach telewizyjnych i radiowych. Kierownikiem chóru jest **Grzegorz Skupień**, a dyrygentem jedyna w tym rozśpiewanym gronie kobieta, czyli **Katarzyna Kantor**.

Równie zasłużony w promocji polskiej kultury i polskiej pieśni jest **Chór HUTNIK** z czeskiego **Trzyńca**. Jego historia liczy 58 lat. Został założony w październiku 1954 roku przy Klubie Zakładowym ZZ Huty Trzynieckiej. Ogromną rolę w rozwoju artystycznym chóru odegrał **Karol Wronka**, jego założyciel, kierownik i dyrygent w latach 1954-1980. Spośród jego następców wymienić należy **Cezarego Drzewieckiego**, nazwanego „głównym architektem spektakularnych sukcesów zagranicznych", kierującego chórem w latach 1985-1998 oraz obecnie.

Artystyczny bilans 58-letniej działalności rozśpiewanego *Hutnika* jest imponujący: ponad 450 koncertów w dwudziestu europejskich krajach, a także wiele prestiżowych nagród przyznanych na festiwalach w Rzeszowie, Międzyzdrojach, Pradze, Brnie, Ołomuńcu i Bratysławie. Jednak najbardziej *Hutnik* ceni odznakę Ministerstwa Kultury i Sztuki RP „Zasłużony dla Kultury Polskiej".

Chór WILIA z Wilna (Litwa) działa 57 lat i jest częścią Zespołu Artystycznego Pieśni i Tańca „Wilia" – najstarszej, istniejącej od 1955 roku, polskiej grupy artystycznej na Litwie. Przez wiele lat był jedynym polskim zespołem działającym za wschodnią granicą. Obecnie kierownikiem artystycznym i dyrygentem zespołu jest **Renata Brasel**.

Z bogatym i różnorodnym repertuarem polskich pieśni i tańców zespół *Wilia* występował nie tylko w Wilnie i na Litwie, ale także w Polsce, na Białorusi, na Ukrainie, w Czechach, Niemczech i Rosji. Zespół ma na swoim koncie ponad 1300 koncertów, liczne nagrania w wileńskim radiu i telewizji, twórcze spotkania, kontakty z pokrewnymi zespołami i placówkami kulturalnymi na Litwie oraz w Polsce. Artyści *Willi* nie tylko koncertują, ale także aktywnie przyczyniają się do animacji życia kulturalnego środowisk polskich na Litwie.

Chór WILENKA z Wilna – Litwa to pierwszy w powojennych dziejach Litwy polski dziecięcy zespół pieśni i tańca. Powstał w 1971 roku i po kilku miesiącach intensywnych prób brawurowo zadebiutował na scenie wileńskiego Pałacu

Związków Zawodowych. Ponad czterdziestoletnia historia zespołu to pasmo artystycznych sukcesów, entuzjastycznie przyjmowanych koncertów i wielu nagród zdobywanych na prestiżowych konkursach, przeglądach i festiwalach. Podobnie jak przed laty, tak i teraz rozśpiewana i roztańczona *Wilenka* podbija serca publiczności wielu krajów. W repertuarze zespołu znajdują się polskie piosenki ludowe ze wszystkich regionów Polski, chwytające za serce pieśni kresowe oraz wielonarodowy folklor Wileńszczyzny. Specjalnością *Wilenki* są także widowiska wokalno-taneczne oparte na polskiej tradycji i zwyczajach wileńskich Kierownikiem i dyrygentem chóru jest **Janina Łabul**.

Chór TROCZANIE z Trok (Litwa) istnieje od 23 lat**.** Jego historia rozpoczęła się w październiku 1989 roku. Wówczas przedstawiciele polskich środowisk postanowili założyć zespół pieśni i tańca specjalizujący się w prezentacji kultury muzycznej i tanecznej regionu trockiego. Z czasem program wzbogacony został o ludowe piosenki podwileńskie, a obecnie repertuar zespołu obejmuje różnorodne polskie pieśni.

Prezentacje chóru *Troczanie* mieli okazję oglądać mieszkańcy Litwy, Łotwy, Rosji, Czech i Polski. Obecnie chór pracuje pod kierownictwem **Dinary Karaniewskiej** i **Bożeny Bielak.**

Historia **Chóru ANTWERPIA z Antwerpii – Belgia**, założonego z inicjatywy **Jolanty Ruts-Ratajczak**, rozpoczęła się przed czternastoma laty. Niemal natychmiast do rozśpiewanych Polaków dołączyli Belgowie porwani entuzjazmem małżonka pani Jolanty – **Ron-**

Delegacja młodzieżowego chóru „Wilenka" podczas inauguracji XIV ŚFChP na placu Polonii.

fot. Mariusz Czajkowski

nego Rutsa. Pokonując trudności językowe z zapałem poznawali i brawurowo prezentowali najpiękniejsze polskie pieśni. Chór *Antwerpia* często wzbogaca wokalnymi prezentacjami święta narodowe i katolickie. Koncertował w Brukseli, Bredzie, Scherpenheuvel, Tilff, Benneux i Ruiselede. Utalentowani chórzyści cieszą się wielką sympatią publiczności i uznaniem krytyki muzycznej. Obecnie pracą chóru kieruje młody dyrygent **David Bosschaert,** absolwent koszalińskiego Studium Dyrygentów Chórów Polonijnych.

Chór KWIATY POLSKIE z Jarosławia (Rosja) powstał w 2005 roku i szybko zdobył sympatię publiczności bogatym i różnorodnym repertuarem, barwnymi ludowymi strojami i pasją, z jaką śpiewacy z Jarosławia popularyzowali najpiękniejsze polskie pieśni. Podczas swoich koncertów prezentują również polskie tańce ludowe z regionu żywieckiego i kaszubskiego oraz ognistego krakowiaka. W ich repertuarze znajdują się kompozycje Stanisława Moniuszki i Kleofasa Ogińskiego. Obok klasycznych pozycji z kanonu polskiej chóralistyki śpiewacy z Jarosławia chętnie przypominają znane i lubiane piosenki ludowe i legionowe, a także rosyjskie utwory folklorystyczne. Kierownikiem zespołu jest **Anatol Fomin**, a chórmistrzem **Julia Waszkiewicz**.

Młodych wokalistów, tworzących **Chór SURSUM CORDA z Grodna (Białoruś),** koszalińska publiczność poznała w 2009 roku. Wówczas – jeszcze jako zespół młodzieżowy – chór uczestniczył w Polonijnych Warsztatach Edukacyjno-Artystycznych. Dziś dorośli już chórzyści (studenci, nauczyciele i uczniowie starszych klas) nadal pracują pod artystycznym kierownictwem młodej dyrygentki **Heleny Sakowicz,** prowadząc bogatą działalność koncertową w miastach Białorusi i Polski. Zachwycają publiczność wokalnym kunsztem i bogatym, ambitnym repertuarem. Prezentują pieśni religijne, utwory z kanonu polskiej chóralistyki i dzieła współczesnych polskich kompozytorów. Nie brakuje także lżejszej muzyki – niezapomnianych przebojów dwudziestolecia międzywojennego i współczesnych rozrywkowych kompozycji.

Chór FORTUNA z Mińska (Białoruś) był najmłodszym uczestnikiem XIV Światowego Festiwalu Chórów Polonijnych. Historia zespołu liczy zaledwie kilkanaście miesięcy. *Fortuna* powstała w lutym 2011 roku i już w tym samym miesiącu z powodzeniem wystąpiła przed publicznością podczas Wieczoru Pieśni Biesiadnych. Od tej chwili często koncertuje zarówno na Białorusi, jak i w Polsce. Dyrygentem chóru jest **Janina Chwałko**, prowadząca od wielu lat wielogłosowy chór *Cantus Cordis*. Pod tą znakomitą batutą młodzi chórzyści z *Fortuny* zapisali już na swoim koncie wiele artystycznych sukcesów.

Festiwalowe dni pełne muzyki, artystycznej pracy i wzruszeń

Zgodnie z wieloletnią tradycją festiwal został uroczyście zainaugurowany na placu Polonii pod Pomnikiem Więzi Polonii z Macierzą. Polonijnych gości serdecznie powitał **Prezydent Miasta Piotr Jedliński**: – *Świadomość przeszłości pozwala włączyć się w długi szereg pokoleń. Wy również, wracając do ziemi przodków i sięgając do narodowych korzeni, utrwalacie więź z Ojczyzną. Dziękuję, że pokonujecie tysiące kilometrów przyjeżdżając do naszego miasta i życzę, aby pobyt w Koszalinie przyniósł wam wiele miłych wrażeń i nowe serdeczne przyjaźnie.*

Polonijni goście zostali również zaproszeni do amfiteatru na Koncert Powitalny w wykonaniu Zespołu Pieśni i Tańca *Szczecinianie* ze Szczecina. Podczas dziesięciodniowego pobytu w naszym mieście czekało ich także wiele innych atrakcji. Doskonalili też swój wokalny kunszt pod okiem wybitnych specjalistów z Rady Artystycznej festiwalu. Była również okazja do koncertowania w koszalińskich centrach handlowych EMKA i ATRIUM, do wspaniałego relaksu podczas Ogniska Polonijnego na „Ranczu nad Radwią", a także do zaprezentowania swego repertuaru w trakcie Koncertów Przeglądowych w Centrum Kultury 105. Rozśpie-

wani polonijni goście przedstawili szeroką panoramę polskiej literatury chóralnej – od refleksyjnych, pełnych zadumy utworów sakralnych i wzruszających pieśni patriotycznych poprzez żywiołowe piosenki ludowe aż do popularnych przebojów muzyki rozrywkowej. Niektóre z zespołów wzbogaciły swoje prezentacje pokazami tanecznymi. Wiele z nich zachwyciło także kunsztem wokalnym, śpiewając ambitne, rozpisane na kilka głosów kompozycje. Przez scenę przetaczał się żywioł muzyki, a oczy radowały efektowne sceniczne stroje.

– *Bardzo mnie cieszy tak widoczny rozwój polonijnej chóralistyki – mówiła* prof. Elżbieta Wtorkowska z Rady Artystycznej po koncercie przeglądowym w CK 105. – *Wieloma chórami rzeczywiście możemy się poszczycić. Z wielką przyjemnością słuchałam polskiego zespołu śpiewaczego „Hutnik". Intensywna praca nad techniką wokalną i zróżnicowanym repertuarem przynosi wspaniałe rezultaty. Drugim zespołem, reprezentującym poziom godny podkreślenia, jest „Sursum Corda" z Grodna na Białorusi.*

Polonijni goście uczestniczyli także – jak co rok– we mszy świętej w intencji rodaków i Ojczyzny w Kościele p.w. Ducha Świętego w Koszalinie. Swój artystyczny dorobek przedstawili również mieszkańcom Ziemi Koszalińskiej. Serdecznie przyjmowane koncerty rozśpiewanych rodaków odbyły się w Białogardzie, Darłowie, Karlinie, Koczale, Polanowie, Połczynie Zdroju, Sianowie, Sławnie, Świdwinie i w Ustroniu Morskim.

„JEST TAKI KRAJ" – Koncert Galowy

Polonijne Lato zawsze wieńczy Koncert Galowy, w 2012 roku opatrzony tytułem „Jest ta-

Profesor Przemysław Pałka wręcza indeksy słuchaczom Studium Dyrygentów Chórów Polonijnych.

fot. Mariusz Czajkowski

ki kraj" – było to wzruszające artystyczne wydarzenie, w reżyserii **Mariana Wiśniewskiego** z Bydgoszczy, który już niejednokrotnie w sposób bardzo oryginalny i równie efektowny prezentował koszalińskiej widowni artystyczne talenty polonijnych gości. Zgromadzona w Amfiteatrze im. Ignacego Jana Paderewskiego bardzo liczna publiczność entuzjastycznie oklaskiwała barwne, rozśpiewane i roztańczone widowisko przypominające o naszych korzeniach, o nieprzemijającej urodzie i sile oddziaływania na współczesność polskich tradycji kulturowych, o patriotyzmie, jakiego uczyć się możemy od rodaków rozsianych po świecie.

Wokalne perełki, jakimi zachwycili koszalinian polonijni goście, ułożyły się w wielobarwną, różnorodną gatunkowo mozaikę złożoną z pieśni patriotycznych, sakralnych i ludowych, wzbogaconą nostalgiczną nutą retro. Szczególnie gorąco przyjmowano popisy połączonych chórów, które w tym roku zachwyciły widzów brawurowym wykonaniem wiązanek nostalgicznych przebojów „z myszką"– „W starym kinie" i „W starych nutach babuni", nowatorsko zaaranżowanych przez **Orlina Bebenowa**.

W uroczystą atmosferę Koncertu Galowego wspaniale wpisały się trzy hymny finalizujące to wyjątkowe spotkanie z polonijną chóralistyką – monumentalna pieśń „Gaude Mater Polonia", refleksyjny „Hymn Trzeciego Tysiąclecia" i porywający, nagrodzony burzą oklasków „Hymn Chórów Polonijnych".

Koncert Galowy to podsumowanie artystycznej pracy wszystkich uczestników Polonijnego Lata. Znakomity artystyczny efekt i żywiołowe reakcje widowni potwierdzają, jak bardzo aktualne są słowa prof. **Andrzeja Stelmachowskiego**, wieloletniego prezesa Stowarzyszenia „Wspólnota Polska", które przypomniał prezes Koszalińskiego Oddziału, **Zbigniew Ciechanowski**: – *Jest na świecie miejsce, w którym wciąż można się cieszyć urodą chóralnego śpiewu. Tym miejscem jest Koszalin*

* * *

Takim miejscem Koszalin był do roku 2012. Niestety, na początku roku 2013 Krajowa Rada Stowarzyszenia „Wspólnota Polska" podjęła decyzję o likwidacji koszalińskiego oddziału, co w praktyce oznacza zamknięcie historii spotkań z polonijną chóralistyką. Wszystko wskazuje na to, że Polonijne Lato'2012 było ostatnim, jakie odbyło się Koszalinie.

Kolejny ważny element koszalińskiej tradycji kulturowej, przynoszący muzyczne doświadczenia z obszaru sztuki wysokiej i tej popularnej, także ludowej, został unieważniony administracyjną decyzją, zubożając nie tylko lokalną kulturę. – *To znamienne, że w ciągu minionych 42 lat do naszego nadbałtyckiego grodu przyjechały 22 tysiące rodaków z całego świata – mówił* zastępca prezydenta Koszalina, **Przemysław Krzyżanowski** podczas inauguracji ostatniego Lata Polonijnego. – *To właśnie u nas mogą oni przeżyć niezapomniane spotkanie z polską kulturą i polską pieśnią, której piękno sławią na wszystkich kontynentach*.

Oby sławili nadal kulturę polską, jednakże bez udziału Koszalina, tutejszych działaczy „Wspólnoty Polskiej" i przyjaciół polonijnych chórzystów, których nigdy nie brakowało podczas spotkań z Rodakami ze świata. Koszalin przestał odtąd być letnią stolicą polonijnego śpiewu, co z pewnością było mianem bardziej nobilitującym aniżeli stolica disco polo czy kabaretu. (red.)

TEATR

Anna Makochonik

III Koszalińskie Konfrontacje Młodych „m-teatr"

Stare babodziady kontra młodzi niepokorni

Już po pierwszych Konfrontacjach „m-teatr" w 2010 roku wiadomo było, że widzowie festiwal przyjęli z dużym zaufaniem i wielkim entuzjazmem. Drugie spotkanie z młodym teatrem ten pogląd zweryfikowało, a trzecie – utrwaliło. Odstawmy na bok – jako oczywistość – dywagacje, czy festiwal jest potrzebny. Ważniejsze: dlaczego i komu.

Joanna Krakowska, jurorka, tuż przed odczytaniem werdyktu III Koszalińskich Konfrontacji Młodych „m-teatr" (KKM), zaznaczyła: – *To jest ogromnie ważny festiwal, być może najważniejszy w kraju, bo daje możliwość zobaczenia, często po raz pierwszy, twórców, o których za chwilę będzie bardzo głośno, i którzy za kilka lat przesądzą o kierunkach rozwoju polskiego teatru.* (W jury prócz J. Krakowskiej – zastępcy redaktora naczelnego miesięcznika „Dialog", zasiedli: **Zenon Butkiewicz**, dyrektor Departamentu Narodowych Instytucji Kultury w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz dyrektor naczelny BTD **Zdzisław Derebecki**.)

Ta wypowiedź równie dobrze mogłaby dotyczyć Koszalińskiego Festiwalu Debiutów Filmowych „Młodzi i Film". Idea jest podobna. MiF dla pomysłodawcy i dyrektora artystycznego „m-teatru", **Piotra Ratajczaka** był zresztą inspiracją do stworzenia bliźniaczej formuły z teatrem w roli głównej. To było naszemu miastu potrzebne i dlatego, że to kolejna możliwość zetknięcia ze sztuką współczesną, i dlatego, że scena teatralna – tak niegdyś dla Koszalina ważna – wymagała odrodzenia, oddechu, świeżości. Festiwal znacząco podniósł jakość miejskiej oferty kulturalnej i otworzył nowy rozdział w historii Bałtyckiego Teatru Dramatycznego, w którego dość flegmatyczny byt tchnął nową energię, podnosząc rangę BTD z pozycji jednej z wielu miejskich scen bez sukcesu do roli ważnego ośrodka teatralnego na mapie Polski.

– *Podoba mi się, że dyrektor Zdzisław Derebecki zaprasza młodych ludzi do współpracy* – mówił Piotr Ratajczak[1]. – *To się opłaca, bo poprzez „m-teatr" przyzwyczajamy widzów do odważnych propozycji. To nie jest takie częste w Polsce. Ktoś, kto powie, że* [Koszalin – dop. aut.] *to prowincja, po prostu nie zna się na teatrze.*

Niestety, nie zmienia to faktu, że być może najważniejsza impreza w Koszalinie i jedna z ważniejszych w Polsce, co roku jest poważnie zagrożona finansowo, a to, czy się w ogóle odbędzie, każdego roku stoi pod znakiem zapytania. Budżet miasta na kulturę w 2012 r. nie przewidywał żadnego wsparcia dla festiwalu. Środki udało się zebrać dzięki dofinansowaniu z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Marszałka Województwa Zachodniopomorskiego, Prezydenta Miasta Koszalina oraz sponsorom.

[1] Wszystkie cytowane wypowiedzi Piotra Ratajczaka pochodzą z wywiadu autorki tekstu, opublikowanego na łamach Tygodnika Koszalińskiego „Miasto".

Piotr Ratajczak nie ukrywa, że wielu spektakli i tak nie da się do Koszalina sprowadzić ze względów finansowych – koszt ich wystawienia przekracza możliwości budżetu. (W marcu 2013 roku wciąż nie było wiadomo, czy festiwal się odbędzie i w jakim zakresie.)

W przyszłym roku Konfrontacje czeka też kolejna rewolucja. Piotr Ratajczak po objęciu stanowiska dyrektora artystycznego w Teatrze Dramatycznym im. Jerzego Szaniawskiego w Wałbrzychu nie będzie już pełnił tej funkcji wobec „m-teatru". W Polsce nie brakuje wybitnych osobowości teatralnych, jednak indywidualność obecnego dyrektora naznaczyła „m-teatr" specyficzną energią. Selekcja spektakli nie jest łatwa, a przecież dla festiwalu kluczowa.

– *Kryteria są różne* – mówi Piotr Ratajczak. – *Wybieram spośród kilkunastu spektakli. To rodzaj kompromisu między moim gustem, czyli śmiałymi wypowiedziami o współczesności, a stworzeniem programu stanowiącego odbicie tego, co się dzieje w teatrze na różnych jego polach. Publiczność często docenia coś innego niż na przykład jurorzy.*

Miejmy nadzieję, że tę koncepcję będzie kontynuował przyszły dyrektor KKM. Że podobnie jak poprzednik będzie widział festiwal jako *miejsce, gdzie ceni się demokratyczność myśli,* (...) *miejsce prezentowania wszystkich, nawet najśmielszych interpretacji*.

W cieniu Euro 2012

Ciężki orzech do zgryzienia mieli w czerwcu kibice piłki nożnej – tacy są także w gronie miłośników teatru. Niefortunny i ryzykowny termin festiwalu (12-16 czerwca), równoległy do Euro 2012, spowodował konieczność wyboru między kulturą a wydarzeniem sportowym dekady, a może nawet i stulecia. Festiwal na szczęście na tym nie ucierpiał.

W konkursie głównym zmierzyło się siedem spektakli: „Proces", reż. **Jacek Bała**, Teatr Polski w Bielsku-Białej; „Zrozumieć H.", reż. **Paweł Palcat**; Teatr im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy; „Zabawy na podwórku", Stowarzyszenie Kochanowski przy Teatrze im. Jana Kochanowskiego w Opolu; „CHÓR KOBIET | Projekt II: MAGNIFICAT" Instytutu Teatralnego im. Zbigniewa Raszewskiego – koncept, libretto, reżyseria: **Marta Górnicka**; „Rewolucja Balonowa", reż. **Sławomir Batyra**, Teatr Powszechny im. Zygmunta Hübnera w Warszawie; „Książę Niezłom", reż. **Julia Pawłowska**, Teatr im. Stefana Jaracza w Olsztynie; „Zima w czerwieni", reż. **Karolina Kirsz**, Fundacja Rozwoju Teatru – Nowa Fala w Warszawie.

Widzowie obejrzeli też przedstawienia towarzyszące, w tym wyreżyserowaną przez laureatkę nagrody głównej „m-teatru" 2011, **Ewelinę Marciniak** znakomitą „Kobietę z przeszłości". Reżyserka w Koszalinie pokazała też „Zbrodnię". Galę finałową uświetnił spektakl „Zaklęte rewiry", reż. **Adam Sajnuk**, Teatru Konsekwentnego, który jednak przegrał ze strategicznym dla naszego udziału w Euro 2012 meczem Polska-Czechy. Kibiców można było wypatrzyć na widowni, nawet prowadzący wieczór **Marcin Borchardt** wystąpił w szaliku reprezentacji. Dyskusje po spektaklach tym razem odbyły się w Centrali Artystycznej, będącej klubem festiwalowym.

Reinterpretowanie przeszłości

Piotr Ratajczak: – *Historia, zwłaszcza ta wypierana, jest kluczem do zrozumienia współczesności. To też wynika z pasji i buntu młodych, którzy docierają do nienajprzyjemniejszych wątków z życiorysów starszego pokolenia i mało znanych wątków historycznych. Skoro w mediach jest niepisana umowa, iż na pewne tematy się nie rozmawia, niech podejmuje je sztuka.* [Reżyserzy] *raczej chcą ożywiać pewne mity, z braku teraźniejszych autorytetów szukać ich w przeszłości. Nie sądzę, by Paweł Palcat* (reżyser spektaklu „Zrozumieć H." – dop. aut.) *sięgając po postać Henryki Krzywonos, chciał zyskać sławę lub iść za modą. To raczej gest osobisty.*

Długo zastanawiałam się, jaki wspólny mianownik znaleźć dla spektakli konkursowych. Prócz kilku niewartych przytoczenia banałów nie znalazłam go. Udało mi się wyłuskać z tych

ośmiu kompletnie różnych propozycji jedynie bardzo ważny dla młodych twórców, także muzyków, filmowców i plastyków, temat – historię. Pisaną na nowo przez wnuków świadków II wojny światowej, PRL-u, rodzącego się kapitalizmu i w końcu – dzieci pokolenia *yuppies*. Głowy reżyserów od kilku lat zwrócone są w tył. To spojrzenie bywa różne, rzadko sentymentalne, częściej ciekawskie. Czasem ostre. Reżyserzy zachowują wobec przeszłości postawę asertywną, czyniąc doświadczenia dziadków i rodziców przedmiotem dyskursu.

„Zrozumieć H." Pawła Palcata to propozycja najbardziej w tym kontekście życzliwa. Zupełnie pozbawiona postawy ironizującej, niedowierzającej możliwości autorytetu, jego istnieniu nawet. W scenariuszu opartym na biografii legendarnej działaczki „Solidarności", Henryki Krzywonos, bohaterka to nie tylko „ta, która zatrzymała tramwaj", ale matka prowadząca rodzinny dom dziecka, żona i dzielna kobieta, której życie nie głaska po głowie. Jej symboliczny gest to – według koncepcji Palcata – naturalna konsekwencja życiowej i mentalnej odwagi. To rzadkie we współczesnym teatrze ujęcie, podane z szacunkiem, chęcią – zdeklarowanego w tytule sztuki – zrozumienia i w niezwykle, jak na tzw. młody teatr, zdyscyplinowanej formie.

Opowieść Palcata ma początek, środek i koniec. Zupełnie przeciwnie do „Księcia Niezłoma" Julii Pawłowskiej z tekstem **Mateusza Pakuły**. Tu widzom opowieść snuje z offu dziewczynka, a choć zabawnie opowiedziana, niewesoła jest to historia. Polska rodzina wpatrzona w ekran telewizora, emitujący rewelacje o życiu Jana Pawła II, od 65 lat trzyma w piwnicznej skrzyni Żydów. Tu wyładowuje napięcia, lżąc i upokarzając więźniów przekonanych o tym, że wojna się nie skończyła. Z tego paskudnego położenia uratuje „stare babodziady" Niezłom, brat Łoma i Złoma, jedyny Sprawiedliwy w tym dziwnym i patologicznym świecie. Żydzi popędzą rowerami z górki w takt piosenki o psich smuteczkach z „Akademii Pana Kleksa". Spektakl tylko pozornie jest formalnym wygłupem i bezcelową grą konwencjami. Da się go czytać psychologicznie, symbolicznie, socjologicznie, literacko, a nawet autotematycznie. Jako psychodeliczny traktat o rodzinie, lękach, świadomości zbiorowej, winie, odkupieniu, bohaterstwie. Żydzi i polski antysemityzm, temat w ostatnich latach eksploatowany przez teatr wyjątkowo często, tu podany został w poetyce absurdu, karykatury, parodii. Wbrew pozorom „Książę Niezłom" to wielopiętrowa konstrukcja świadcząca o nieskrępowanej wyobraźni i błyskotliwości autorów, ich wyczuciu żywiołu teatru. A poza wszystkim: po prostu niemożliwie śmieszna.

Dość neutralnie w tym towarzystwie wypadła „Rewolucja balonowa", monodram **Katarzyny Marii Zielińskiej** w reżyserii **Sławomira Batyry**, sceniczny *flashback* do lat dziewięćdziesiątych, które pokolenie trzydziestolatków bardziej pamięta przez pryzmat pewexowych dóbr niż transformacji ustrojowej. Łatwiej przywołać smak balonówki na języku, postacie z serialu „Dynastia" i hipnotyzującego miliony Kaszpirowskiego, niż twarze rodzącej się demokracji – mówią autorzy. Podróż przez pieczołowicie zapełnioną gadżetami galerię osobliwości sprzed 30 lat rzeczywiście ma charakter sentymentalny, ale z dość gorzką puentą. Dziecko kapitalizmu to dziś trzydziestoletnia samotna matka, której pensja nie starcza do pierwszego.

Próby zrozumienia

Choć zakotwiczony w historii, spektakl Batyry wpisuje się też w nurt oceny współczesności, niezmiennie obecny w refleksjach reżyserów teatralnych, nie tylko młodego pokolenia.

W czasie „m-teatru" ten nurt reprezentowały m.in. „Zabawy na podwórku", spektakl w reżyserii **Robera Zawadzkiego**, oparty na prawdziwej historii gwałtu dokonanego na czternastolatce przez starszych kolegów z podwórka. Temat trudny, ponad siły reżysera i aktorów. Wtłoczenie w jedno dzieło rozważań natury filozoficzno-psychologiczno-socjologicznych o naturze zła i dobra, samotności, potrzebie uczuć, relacji oprawca-ofiara to cel równie am-

bitny, co karkołomny, zwłaszcza dla początkującego reżysera, choćby zaczytywał się on Dostojewskim. Na docenienie zasługuje jednak fakt, że twórca podjął na scenie temat przemocy seksualnej wobec kobiet, jak słusznie podkreślał – bardzo ważny, a konsekwentnie pomijany w dyskusji publicznej.

Współczesny jest także kontekst „Procesu" **Jacka Bały**. Powieść Kafki, będącą studium totalitaryzmu, alienacji i spętania jednostki, reżyser włożył w estetykę „Matrixa", filmowego dzieła rodzeństwa Wachowskich, którzy, oprócz stworzenia wybitnego dzieła filmowego, oddali też popkulturze rozpoznawalny i użyteczny symbol rzeczywistości zniewolonej i kontrolowanej, poddanej nieznanym regułom. Skojarzenie matrixa z kafkowskim światem pasuje jak ulał w spektaklu pełnym multimedialnych gadżetów i świateł laserów. Całość jakoś nie poderwała widzów z miejsc, choć grającemu główną rolę **Tomaszowi Drabkowi** przyznali oni nagrodę za najlepszą rolę męską.

W całym tym gronie kwiatkiem do kożucha był jedynie spektakl **Karoliny Kirsz** „Zima w czerwieni" – liryczny dramat miłosny na trzy osoby; propozycja odstająca od reszty konkursowych spektakli na każdym polu scenicznej egzystencji – od płytkiego tekstu po aktorstwo. Niech podsumowaniem dzieła będzie słowo od reżyserki: – *Może to świat jest zły, ale my go w sobie tworzymy, piekło jest w nas, o ile istnieje. Lecz jeśli nosimy w sobie ziarno zniszczenia, to tkwi też w nas fragment nieba, złamane skrzydło anioła, który spadł na ziemię i okazało się, że to tylko zwykły gołąb.. Lecz to muśnięcie pióra to piękny dotyk*.

Nowoczesny chór tragiczny

Werdykt jury nikogo nie rozczarował ani nie zaskoczył. „CHÓR KOBIET | Projekt II: MAGNIFICAT" do Koszalina dotarł już opromieniony uznaniem krytyki, widzów, doceniony nagroda-

Chór kobiet. Projekt II Magnificat do Koszalina dotarł już opromieniony nagrodami. fot. Instytut Teatralny

mi; właściwie jako faworyt do Grand Prix. Otrzymał je słusznie. Wszystko się tu zgadza: forma z treścią, przekaz z estetyką. **Marcie Górnickiej**, dyrygentce spektaklu, udało się w pewnym sensie odnaleźć świętego Graala współczesnego teatru – oryginalny i niepowtarzalny język, a jednocześnie osią opowiadania uczynić temat aktualny i ważny. Odzyskując dla sceny najstarszą, bo sięgającą starożytności formę – chór, stworzyła w pewnym sensie nowy gatunek idealnie komponujący się z wymową libretta, dramaturgią przedstawienia. Trudno ten projekt nawet nazwać spektaklem. Kilkanaście kobiet, w różnym wieku: matek, babć, córek, niczym instrumenty w antycznej orkiestrze wyśpiewuje i „wytańcza" – nie ma wątpliwości – manifest feministyczny. Manifest w imię wolności, a przeciw kulturze przesiąkniętej ideologią katolicką, stereotypami i wtłaczaniem kobiet w „odwieczne" role i formy. Obok fragmentów prozy Elfriedy Jelinek, mamy przepis na obiad. Punktem odniesienia jest Matka Boska – ikona, symbol, pramatka, prakobieta, patronka polskiej kobiety, gospodyni, sprzątaczki, kościelnej.

Marta Górnicka swoim trzydziestu bohaterkom, w większości amatorkom, każe śpiewać i krzyczeć. Chór się chwieje, zacina, powtarza frazy. Wrażenie – piorunujące. Błyskotliwy, pełen zaskakujących obserwacji tekst mówi o wszystkim, co ważne dla świadomej siebie, myślącej kobiety XXI wieku. I konfrontuje tę świadomość z groteską uwstecznionego polskiego społeczeństwa. Górnicka daje znak: chóru kobiet nie da się zakrzyczeć, a krzyk kobiet może być bardzo donośny.

Funkcja edukacyjna

Piotr Ratajczak: – *Trzeba inwestować w lokalność, a widzowie z Polski sami się zjawią. Festiwali teatralnych jest kilkadziesiąt, niemal każde miasto ma swój. Przyjadą ludzie z zewnątrz – to dobrze, ale prawdziwa siła festiwalu to liczba osób stąd i ich zainteresowanie „m-teatrem". Walorem stwarzającym jego twórczą atmosferę jest także jego kameralność. Chyba kończy się czas gigantycznych, przeładowanych programem festiwali. Nikt tego już nie jest w stanie dźwignąć, wchłonąć, obejrzeć. To tu, w Koszalinie, jest miejsce na prawdziwą rozmowę o teatrze. W Warszawie chyba go już nie ma. Zresztą tam to już nic nie ma. Na pewno nie ma takiej atmosfery. To mówią i twórcy i jurorzy – tu można się zatrzymać, pomyśleć. Dlatego uważam, że potrzeba dużego nacisku na rozwój koszalińskiej przestrzeni. Stąd mój pomysł, by aktywizować młodzież przez warsztaty. To za chwilę opłaci się i teatrowi, i miastu. Trzeba zrobić wszystko, by młodzi ludzi cieszyli się miastem, by chcieli tutaj wracać i działać.*

W ramach „aktywizowania mieszkańców" festiwalowi towarzyszyły warsztaty dla młodzieży, które poprowadzili Piotr Ratajczak i **Wojciech Rogowski**, aktor BTD, a także warsztaty dla nauczycieli przygotowane przez Instytut Teatralny im. Z. Raszewskiego w Warszawie. Problemu z naborem nie było. Wieczorami, przed rozpoczęciem spektakli, na scenie plenerowej BTD prezentowały się młodzieżowe grupy teatralne, a aktorzy BTD odwiedzali koszalińskie przedszkola.

Jednak funkcję edukacyjną „m-teatr" pełni w inny, szerszy sposób. Na widowni nietrudno wypatrzeć młodzież, licealistów, studentów. Ci młodzi ludzie są naprawdę głodni sztuki, takiej, która pobudza do myślenia, wpływa na odbiór rzeczywistości, kontaktuje ich z myśleniem wychodzącym poza konwenanse, śmiałym, wielu – z samym teatrem. Młodzi pragną silnych emocji, wyrazistych deklaracji, środków estetycznych – „m-teatr" im to zapewnia. Młodzi dostają komunikat: teatr nie musi być nudny, zapomnijcie o szkolnych wycieczkach „na lekturę", przyjdźcie pogadać o życiu. Jeśli tzw. młody widz po spektaklu Palcata przyjrzy się bliżej życiorysowi Henryki Krzywonos i współczesnym jej czasom przełomu – to sukces.

Koszalińskie Konfrontacje Młodych umożliwiają im rozmowę tuż po spektaklu, na gorąco, jeszcze w emocjach. Na przeciw widzów siadają

twórcy, wystawieni na nagany i/ lub pochwały. Dyskusje – w tym roku, niestety, w niewielkim gronie – bywają dziwne, nie zawsze „po linii" reżyserów, czasem w oskarżającym tonie.

Politycznie niepokorny

Piotr Ratajczak: – *To zacietrzewienie, pasja świadczą o tym, że teatr tych ludzi obchodzi. Rozmowa o teatrze jest rozmową o życiu, więc jeśli komuś chce się w ciemnej sali o północy pokłócić z reżyserem – to tak! Kłóćmy się o pryncypia życiowo-artystyczne!*

Na Konfrontacje czekam cały rok. Lubię współczesny teatr. Za brak pokory, za partnerstwo w relacji nadawca-odbiorca, nawet wtedy, gdy usiłuje widza w tym dialogu pomijać. W spektaklach moich teatralnych rówieśników znajduję odbicie nurtujących moje pokolenie problemów, refleksji i obaw. Żadna ze współczesnych sztuk nie traktuje siebie i rzeczywistości tak poważnie. Żadna nie jest tak polityczna. Żywioł publicystyczny towarzyszył polskiemu teatrowi zawsze. To z teatralnych scen właśnie w kolejnych dziesięcioleciach padały najważniejsze pytania, odpowiedzi, także oskarżenia i wyroki. Reżyserzy skandalizowali, ale i bezkompromisowo diagnozowali społeczeństwo, jego współczesne lęki, traumy przyszłości i – wraz z widzami – poddawali swoistej terapii. Zawsze o krok do przodu z pytaniami o światopogląd, obyczajowość, historię, język. Dla teatru nie ma tematów tabu – nie ustępują mu w tym chyba tylko sztuki wizualne, choć można by się sprzeczać o wpływ jednych na drugie.

Warto poznawać debiutantów i słuchać ich, choćby mówili nieskładnie i nieporadnie. Podpisuję się pod każdym słowem **Przemysława Krzyżanowskiego** – zastępcy prezydenta Koszalina, który oficjalnie zamykając KKM 2012, powiedział: – *Cieszymy się, że jako pierwsi możemy oglądać młodych teatralnych reżyserów. Nie wyobrażam sobie, by kolejnych Konfrontacji nie było.*

(Przemysław Krzyżanowski w 2013 podjął pracę w Ministerstwie Edukacji Narodowej w Warszawie. Mieć wypada więc nadzieję, że i jego następca nie będzie mógł sobie tego wyobrazić – dop. red.).

Zarówno jury, jak i publiczność za najlepszy uznała spektakl Marty Górnickiej „Chór kobiet |Projekt II: Magnificat". W imieniu Marty Górnickiej nagrodę odebrała Paulina Drzastwa, jedna z uczestniczek „Chóru Kobiet". Drugą nagrodę otrzymał Paweł Palcat za reżyserię spektaklu „Zrozumieć H.". Werdykt – jak podkreśliła członkini jury, Joanna Krakowska – był jednogłośny. Nagrody w głosowaniu publiczności dla najlepszej aktorki i aktora otrzymali: Katarzyna Maria Zielińska – odtwórczyni roli Wiktorii w spektaklu pt. „Rewolucja balonowa" oraz Tomasz Drabek – odtwórca roli Józefa K. w spektaklu pt. „Proces". Nieobecni laureaci dziękowali za wyróżnienia wirtualnie, korzystając z kapryśnych, niestety, mediów, nad którymi z dużym wdziękiem usiłował panować prowadzący galę finałową aktor BTD, Marcin Borchardt.

Jadwiga Koprowska

Czas i przestrzeń w rolach głównych

Premiera „Kobiety z przeszłości" Rolanda Schimmelpfenninga w reżyserii Eweliny Marciniak na zakończenie III Teatralnych Konfrontacji Młodych 2012 „m-teatr" była głębokim przeżyciem dla wielu młodych widzów, którzy zjechali do Koszalina, by oglądać współczesny teatr tworzony przez najmłodszych polskich reżyserów, ale też źródłem pewnej konsternacji dla stałych bywalców BTD. W kuluarach przed ostatnim dzwonkiem powtarzano sobie, że dużo golizny, że wstrząsająca gra aktorów, że nie wolno siadać blisko zaimprowizowanej sceny...

Wszystko to rozpalało wyobraźnię i potęgowało emocje w oczekiwaniu na spektakl.

W ciasnocie wypełnionego po brzegi górnego foyer oglądałam spektakl z wypiekami na twarzy, choć fabuła przedstawienia na pierwszy rzut oka nie obiecywała zbyt wiele. Sztuka Schimmelpfenninga to dość prosta historia obyczajowa; Klaudia i Frank – małżeństwo z dwudziestoletnim stażem, mające dorosłego już syna, wyprowadzają się na stałe z zajmowanego od lat domu. W ostatni spędzany tu wieczór do ich drzwi puka Romy Vogtlander, ukochana Franka sprzed 24 lat. Chce wiedzieć, czy ją pamięta i czy, tak jak obiecał wiele lat temu, wciąż ją kocha? Wizyta burzy spokój rodziny, doprowadza do jej kryzysu, weryfikuje relacje małżeńskie i na nowo każe postawić pytania: o siłę miłości, jej trwałość, o wiarę w to, że partner zawsze będzie oparciem, o wagę słów, którymi dajemy nadzieję, ale i pętamy innych ludzi. I gdyby nie zabiegi formalne byłaby to kolejna opowieść o kruchości ludzkich uczuć, o samotności współczesnego człowieka, o niemożności porozumienia się nawet z najbliższymi.

Tymczasem prawdziwymi bohaterami spektaklu są tu czas i przestrzeń. Tym, co z banalnej historii z wątkiem melodramatycznym tworzy na scenie przejmujący i trzymający w napięciu thriller, są zabiegi formalne co rusz cofające czas akcji, zmieniające jej miejsce, pokazujące bohaterów w innej konfiguracji. Ta zabawa czasem pozwala reżyserowi potęgować napięcie, „podkręcać" tempo, ukazywać te same postaci w innej perspektywie. Ewelina Marciniak znakomicie wykorzystuje szansę, jaką daje jej dramaturg; żongluje mini scenkami tak, że banalna historia trójkąta przestaje być ważna. Widza zaczyna interesować motywacja bohaterów, ich reakcje na słowa, gesty, sposób dochodzenia do rozstrzygnięć, które już znamy. Dlatego koszalińska adaptacja „Kobiety z przeszłości" jest przedstawieniem pełnym pasji, tempa, częstych zmian akcji i nastrojów, o niespotykanej żarliwości, ale wymagającym od odbiorcy otwartości i gotowości do podjęcia rozmowy z twórcami.

Dzisiejszy teatr zmieniając konwencje jakimi do tej pory się posługiwał, stosując nowe środki teatralne, nowe zabiegi szokuje widza i wzmaga natężenie emocjonalne odbioru, ale też często stawia widzów wobec pytania: czy to mi się podobało? czy akceptuję tak daleko idące zmiany w teatrze? Często zmusza też do odrzucenia teatralnej propozycji. Ewelina Marciniak jest w tym przedstawieniu z jednej strony skrajnie ascetyczna: w sferze kostiumu, scenografii czy rekwizytu, z drugiej strony mamy baroko-

wą wręcz obfitość aktorskich środków wyrazu. Dramat rozpadającego się małżeństwa, próba ratowania go, niemożność porozumienia się z synem i jego wyalienowanie, szukanie dawnej świeżości uczuć i nadziei, że mimo wszystkich przeciwności współczesnego świata da się zbudować w relacjach międzyludzkich coś trwałego – to wszystko jest w tym spektaklu ZNAKOMICIE ZAGRANE.

Ciągłe retrospektywy budujące napięcie i zmieniające obraz wydarzeń byłyby tylko ciekawym zabiegiem dramatopisarskim, gdyby nie ekspresja i zmienność gry aktorskiej w każdym przesunięciu czasowym. Precyzja, z jaką **Beata Niedziela** w każdej scenie zmienia mimikę, sposób poruszania się , ba! nawet podciąganie opadającego ramiączka, budzi najwyższy podziw. Jej Klaudia jest ciepła, a za chwilę dramatyczna, bywa żałosna by po chwili ze stoickim spokojem i kamienną twarzą cedzić słowa. Niezwykle starannie i przejmująco zagrana rola! Nieco inaczej buduje swą postać **Katarzyna Zawadzka**, choć i ona gra skrajnościami. Jej Romy jest i młodzieńcza, ale i wewnętrznie zbolała, bywa radośnie wybuchowa i depresyjna. To właśnie ona bierze na swe barki rozmowę z widownią i robi to znakomicie. Ileż w tym autentyzmu, czasami komizmu, ile naturalności! Partnerujący aktorkom **Artur Paczesny** w roli Franka i **Jacek Zdrojewski** w roli syna są mniej ekspansywni, choć w interpretacji Artura Paczesnego metamorfozy głównego bohatera są przekonywujące.

Aktorstwo jest najmocniejszą stroną tego przedstawienia, gra ciałem (czasami obnażonym, co budzi konsternację konserwatywnej części widowni), nastrojami i właściwie rozłożone akcenty pokazują, że młoda reżyserka wydobyła z koszalińskich aktorów wszystko co najlepsze. To bardzo dobre przedstawienie zmusza też do refleksji nad powinnościami dzisiejszego teatru. Nikt już nie wierzy, że teatr może wychowywać czy czegoś uczyć. Może być wprawdzie świetną rozrywką, ale przecież większości z nas, chodzących do teatru, nie o to chodzi. Ewelina Marciniak powiedziała w jednym z wywiadów przed premierą, że w jej teatrze chodzi o spotkanie aktora z widzem. Prywatną sprawą widza jest to, co wyniesie z przedstawienia... Jestem przekonana, że przedstawienie Bałtyckiego Teatru Dramatycznego „Kobieta z przeszłości" w jej reżyserii daje szansę na autentyczny dialog z publicznością i nawet zanegowanie sposobu insceniza-

Beata Niedziela - Klaudia i **Jacek Zdrojewski** - jej syn.

fot. Izabela Rogowska

cji, odrzucenie tej estetyki jest ważną odpowiedzią widza.

Bałtycki Teatr Dramatyczny. Roland Schimmelpfenning, *Kobieta z przeszłości*, przekład – Karolina Bikont, dramaturgia – Michał Buszewicz, reżyseria – Ewelina Marciniak, scenografia, oprawa wizualna i kostiumy – Marta Stoces mizBeware, muzyka – Adam *Adaggio* Hryniewicki, obsada: Beata Niedziela, Katarzyna Zawadzka (gościnnie), Artur Paczesny, Jacek Zdrojewski. Premiera 16 czerwca 2012.

„Kobieta z przeszłości". Scena zbiorowa. fot. Izabela Rogowska

Artur Daniel Liskowacki

Lejzorek jest wśród nas

Lejzorek – żydowski krawiec z Homla, miasteczka na wschodzie Europy – to postać, której „burzliwe życie" stało się synonimem ludzkiego losu w ogóle. Obrotny, a nie cwany, bystry, choć naiwny, żywy duchem, lecz pełen melancholii, ciekaw świata, ale kochający nade wszystko strony rodzinne, odpychany i pogardzany stara się nie tracić wiary w siebie i życie w ogóle, a jednak nie ma ono dla niego miejsca.

Bo ten trochę Kandyd, trochę Żyd Wieczny Tułacz, jest przede wszystkim szarym, zwykłym człowiekiem. Miotanym przez wichry historii i ideologii, doświadczanym boleśnie przez rzeczywistość. A „Burzliwe życie Lejzorka Rojtszwańca" przypadło na czasy trudne dla narodów i krajów, ale i – może zwłaszcza – dla indywidualnego losu. Tyleż w ZSRR, gdzie – po rewolucji, w dobie NEP-u, a i represji – rozpoczyna się opowieść, jak i wszędzie tam, gdzie los Lejzorka rzucił.

Powieść Erenburga wydana w roku 1928, w zamierzeniu głównie satyryczna, wykpiwająca absurdy Rosji Sowieckiej, nabrała z czasem nowe znaczenia i uniwersalny ton. Bo i los żydowski, po Zagładzie, dopisał do dziejów Lejzorka tragiczną puentę. Ale adaptacja „Burzliwego życia..." autorstwa **Macieja Wojtyszki**, choć pisana była z myślą o uniwersalnym przesłaniu książki i z perspektywy współczesnej, to także – co tu kryć – z zamiarem wydobycia z niej walorów rozrywki. Specyficznego dowcipu, który można by umieścić w skarbcu humoru żydowskiego, atrakcyjności narracji, a i smutnej poezji. Udało się to Wojtyszce, nie dziwi więc, że przedstawienie, które zrobił w Ateneum, z urokliwą muzyką **Jerzego Derfla**, było latami przebojem stolicy. A grający w nim Lejzorka **Artur Barciś** zyskał nią sobie sympatię i uznanie.

Że to doświadczenie było dlań ważne, świadczy jego spektakl w Koszalinie. Także z tej adaptacji korzystający. W krótkim słowie odreżyserskim zamieszczonym w programie pisze Barciś, że wystawia „Lejzorka", *bo to piękna, mądra, wzruszająca, ale też bardzo zabawna opowieść*. I taką stara się być koszaliński „Lejzorek" – pomyślany jako teatralna atrakcja, a i zaproszenie do myślenia o naszych pojedynczych losach, mielonych przez tryby dziejów. Przedstawienie ogląda się z przyjemnością i nie bez zadumy, zwłaszcza że co zdaje się łagodnie sugerować – historia się nie zatrzymała, więc i nasze czasy nie są wolne od szaleństw, z jakimi się zmagał mały krawiec. Barciś nie ma jednak zamiaru dopisywać do historii Lejzorka aluzji do „tu i teraz". Choć jego bezdomna śmierć – w Jerozolimie, a zatem w domu niejako – nabiera dziś znaczeń aktualnych dodatkowo.

Ale Barciś nie bawi się w politykę; skupia się na konstatacji, że *choć czas, w którym żył Lejzorek szczęśliwie minął, to ludzkie marzenie o szczęściu pozostaje do dziś takie samo*. Dlaczego? Bo *świat jest nielogiczny*. Cóż, jest w tym niewątpliwie racja, i szkoda jednak, że o tej „nielogiczności" mówi w przedstawieniu bardzo już historyczny kostium. Zwłaszcza epizody z Rosji – w *entourage'u* ogranym niemiłosiernie – te gry i zabawy komunistyczną agitką, durnotą komisarzy, cynizmem i okrucieństwem władzy – sprawiają tu wrażenie bladego echa starych żartów z sowieckości.

Spektakl nabiera jednak wigoru, gdy los rzuca Lejzorka za granicę Kraju Rad – w Europę: do Polski, Niemiec, Francji... Mieszczańskie klimaty

i karykatury w scenach z Niemiec zmieniają się gwałtownie i efektownie w dramatyczne *memento* hitleryzmu, w ostrej sekwencji przypominającej słynny „Kabaret" Boba Fossa. Świetne są sceny polskie – z błazeńskim rotmistrzem i ludowym chórem kraśnych panien, zaś paryska dekadencja, w której z lubością tonie Lejzorek, bawi i ma wiele pikantnego uroku.

Siłą „Burzliwego życia..." jest zespołowość. I to sceny zbiorowe mają największą dynamikę. Przestrzeń spektaklu – przy skromnej scenografii – żyje zaś i dynamizuje się dzięki sekwencjom filmowym rzutowanym na płótno, pełniące też rolę dekoracji i kotary. Ich autorem jest syn reżysera **Franciszek Barciś**.

Dominik Jakubczak – Lejzorek i **Marcin Borchardt** – esesman. fot. Izabela Rogowska

Co nie znaczy, że w spektaklu o Lejzorku nie ma... Lejzorka. Ba, jest ich dwóch, bo obsada podwójna. Jednego dnia gra go – gościnnie – **Dominik Jakubczak**, innego **Paweł Sowa**. Mówiąc zaś całkiem serio: to bardzo młodzi, niedoświadczeni jeszcze aktorzy; dostali rolę po castingu. Na premierze prasowej widziałem Jakubczaka. Jego Lejzorek ma dużo wdzięku, budzi sympatię. Mniej w nim szwejkowskiego stosunku do świata, a więcej liryki, delikatności. To także sprawia, że – pomijając fakt, że nie ułatwiają mu tego braki warsztatowe – nie jest w stanie zagrać pierwszych skrzypiec (a mówiąc nieco żartem: skrzypce są instrumentem bardzo *á propos* w tym przedstawieniu). Z drugiej jednak strony, może i jest w tym sens? Lejzorek w tłumie, wśród nas, więc jako jeden z nas, staje się na swój sposób bliższy życiu. Może i bardziej prawdziwy? (recenzja A.D. Liskowackiego ukazała się w „Kurierze Szczecińskim" nr 203 19 października 2012 r.)

Bałtycki Teatr Dramatyczny w Koszalinie. Ilja Erenburg, „Burzliwe życie Lejzorka", przekład Maria Popowska, reż. Artur Barciś, kostiumy i scenografia: Tatiana Kwiatkowska, muzyka: Jerzy Derfel, teksty piosenek: Maciej Wojtyszko, przygotowanie wokalne: Jarosław Barów, sekwencje filmowe: Franciszek Barciś, choreografia: Tomasz Tworkowski. Obsada: Żanetta Gruszczyńska-Ogonowska, Katarzyna Ulicka-Pyda, Małgorzata Wiercioch, Marcin Borchardt, Artur Czerwiński, Wojciech Rogowski, Jacek Zdrojewski, Joanna Magda Ginda (gościnnie), Dominika Mrozowska (gościnnie), Dominik Jakubczak (gościnnie), Paweł Sowa (gościnnie). Premiera: 16 września 2012 r.

Dorota Kolano

Ile mogłaby kosztować dzisiaj ludzka dusza?

– pyta bohater przedstawienia – monodramu, opartego na *Traktacie o łuskaniu fasoli* Wiesława Myśliwskiego, schodząc ze sceny. Komu zadaje to pytanie, z kim rozmawiał starszy, samotny stróż opuszczonych po sezonie letnim domków, położonych nad zalewem na rzece Rutce?

Na stare lata, w jesieni życia – pełnego różnorodnych doświadczeń, lat tłustych i lat chudych, wraca do miejsca, skąd pochodzi, gdzie spędził dzieciństwo, nad rzekę Rutkę, gdzie kiedyś była wieś, a teraz zalew i ośrodki domków letniskowych, a w lesie – groby. Wraca jesienią, kiedy nad zalewem prawie nikogo już nie ma. Na jedynych towarzyszy (dla nich *człowiek to najgorsze stworzenie*) wybiera dwa psy, które znalazł w sytuacjach przesądzających o przejściu na tamten świat. Do Reksa, uwięzionego w sidłach i konającego w męczarniach tak długo, aż już *robaki weszły do oczu*, mówi: „chodź, spróbujemy żyć". Jak żyć? Pilnując domków, naprawiając powstałe w nich szkody, zapisując kto przyjechał, kiedy wyjechał, na jak długo, ile osób, jaki samochód przejechał drogą... A wszystko to w osobnych zeszytach, gdyż *porządek wymaga, żeby nie wszystko było w jednym*.

Traktat o łuskaniu fasoli, księga przeznaczenia i przypadku, jest bilansem życia człowieka, próbującego wyrazić całość doświadczenia ludzkiego poprzez „wypowiedzenie samego siebie", stawiającego pytania o istotę życia w porządku przeznaczenia i powodowanego przypadkiem – mówią komentatorzy twórczości Myśliwskiego. To poemat dygresyjny, w którym wątki przeplatają się w różnych perspektywach czasowych. Dzieło to stwarza możliwości opowiedzenia kilku historii, skonstruowania wypowiedzi scenicznych o wielu tematach. Na przykład w 2007 roku II Program Polskiego Radia wyemitował słuchowisko pt. *Kapelusz,* a I Program Polskiego Radia *Wybierz saksofon*.

Marek Kołowski – autor adaptacji i reżyser, tworząc zaskakująco krótki (trwający 40 minut) spektakl, podejmuje temat pamięci. *Powinno się żyć tyle, na ile pamięć nam pozwala i jakie wyznacza nam granice* – mówi bohater Myśliwskiego. Bohater spektaklu chce żyć (*chodź, spróbujemy żyć*), dlatego przywiązuje dużą wagę do tematu pamięci. Na tym i na próbie porządkowania wszystkiego zasadza się działanie postaci scenicznej. *Ja chociażby dla porządku próbuję sobie to i tamto przypomnieć, żeby jakoś to wszystko ułożyć. Może wtedy uda mi się odnaleźć i siebie. [...] to porządek zamienia nasze życie w los. [...] Bez porządku człowiek by siebie nie wytrzymał.*

Przedstawienie rozpoczyna się sceną w ciemności, z offu płynie opowieść, wspomnienie zdarzenia z dzieciństwa (*wiadomo, co się w dzieciństwie zapamięta, na zawsze się pamięta*). Opowieść dotyczy traumatycznego przeżycia, rzutującego na całe późniejsze życie: kiedy to podczas wojny matka posłała chłopca do ziemianki po ziemniaki. W tym czasie żołnierze wystrzelali i podpalili całą wieś. Zabili matkę, ojca i pozostałych członków rodziny.

Zapala się światło; widać schludne, uporządkowane wnętrze: stół, na nim taboret do góry nogami – bo świeżo umyta podłoga, wieszak, na nim kapelusz i suszące się tabliczki z grobów w lesie (bohater odnawia *nieżyjące litery*). Wchodzi starszy mężczyzna (**Jerzy Litwin**), zdejmuje buty, żeby nie zrobić śladów

na mokrej podłodze (*jeśli wokół jest porządek, to i w sobie łatwiej o porządek*). Zakłada kapelusz, przymierza go, sprawdza jak leży (widzowi znającemu dzieło Myśliwskiego otwierają się karty z opowieściami o kapeluszu), ustawia w pozycji grającego na saksofonie, rozgrzewa palce (był muzykiem, ale teraz nie może już grać – reumatyzm), rozkłada futerał. Słyszymy utwór jazzowy na saksofon. Na zewnątrz odgłosy szczekania psów i uderzeń fal na jeziorze o brzeg. Bohater gwiżdże na psy, które rzucają się nań z radością (to pierwsza etiuda z nieistniejącym partnerem; cały spektakl budowany jest na tej konwencji). Słychać pukanie do drzwi. Przychodzi ktoś, kto chce kupić fasolę, rozpoczyna się monolog – rozmowa z tajemniczym przybyszem. Bohater jest zdziwiony, że właśnie od niego tę fasolę ktoś chce kupić, skoro można ja dostać w sklepie. Jednak zaprasza przybysza do domu, by opowiadać – *świat jest tym co opowiedziane*. Zapytany o telefon, mówi, że nie posiada komórki, gdyż *ludzie nadużywają słów*; zafascynowany jest ciszą: *nie ma pan pojęcia jaka to potęga cisza. Gdyby komuś udało się zagrać tę ciszę, może wtedy byłaby to dopiero muzyka*. Porusza tematy metafizyczne, podkreśla znaczenie słowa: *byle jakie słowa to byle jaki człowiek, byle jaki świat, byle jaki Bóg*. Jakaś sprzeczność się tu ujawnia w charakterze postaci, z jednej strony pragnie spokoju, ciszy, z drugiej tęskni za opowieściami, jak za czasów dzieciństwa. Wspomina, jak to matka siedząca przy piecu i obracająca w palcach różaniec, wstawała by zapalić lampę naftową, stawiała ją na taborecie, a wokół zbierali się domownicy do łuskania fasoli i snucia przy tym opowieści. *Wybiegałem z domu, biegłem nad brzeg Rutki i tam czekałem, aż stanie się w naszym oknie ten cud światła z ręki matki. [...] są światła żyjące i światła umarłe. Takie, co tylko świecą, i takie, co pamiętają. [...] Są w stanie*

„Traktat o łuskaniu fasoli". Jerzy Litwin. fot. Ilona Łukjaniuk

przywołać najdawniejszą pamięć, choćby roztrwonioną czy nawet gdy człowiek został z niej wydziedziczony. [...] pamięć jest takim lecącym do nas światłem dawno zgasłej gwiazdy. [...] A w ogóle może wszystko jest pamięcią. Gospodarz proponuje przybyszowi wspólne łuskanie fasoli, wychodzi, by przynieść łyka. **W tej części spektaklu bohater wyjaśnił świat (jest tym, co opowiedziane, jest pamięcią); w kolejnej wyjaśni siebie.**

Na scenie znów ciemność. Znów z offu płynie opowieść – obraz z dzieciństwa: bohater w wieczór Trzech Króli spotyka kolędników. Nie widzi wśród nich Śmierci, martwi się, że nie będzie miał kto Herodowi ściąć głowy, w końcu nie jest pewien, co widzi, może Śmierć w białej szacie zlała się z bielą śniegu, trudno odróżnić, jak sen od jawy.

Po rozjaśnieniu sceny znajdujemy postać w pozycji bardziej swobodnej, poufałej – siedzi na stole. Znów, jak na początku, rozpoczyna monolog – rozmowę od wspomnienia z dzieciństwa, od tego, co się zdarzyło kiedy poszedł do ziemianki po ziemniaki. *Co potem? Potem spadł śnieg*. Przez szpary widzi biel, białość przechodzącą w inny odcień białości, potem jeszcze w inny, nigdy nie powracającą do poprzedniego odcienia, niekończącą się biel. Śmierć.

Z rozmowy o kolorach dowiadujemy się, mimochodem, dlaczego wrócił nad Rutkę: nad jej brzegami jest piasek i nikt tu nie chce budować piaskownic, tak jak w mieście. A piaskownica to już świat, widać, które dziecko by zagrzebało drugie, które by się przed którym w piasku schowało, dla którego piaskownica jest za mała, które w niej się zgubi. Wszyscy zaś jesteśmy wygnańcami z piaskownicy.

W ziemiance znalazła go młoda sanitariuszka. Ponieważ stracił mowę, uczy go ona na no-

Po premierze - aktor i reżyser mieli powody do zadowolenia. fot. Ilona Łukjaniuk

wo mówić, każe wymawiać słowo, którym ma ją nazywać: siostra. Zabiera chłopca do partyzantów, pozwala patrzeć, gdy nago się kąpie, każe pilnować, by nikt nie podglądał. Traktuje go jak dziecko, a on ją kocha. Pierwszą miłością. Pewnego razu partyzanci wracając z akcji przynoszą Siostrę martwą.

Wspomnienie to wywołuje, nawet po latach – teraz, kiedy je przywołuje – silne emocje i stłumiony szloch. Przeżycie tej niespełnionej miłości, przerwanej tragicznie śmiercią, zapewne przesądziło o całym życiu bohatera, jego relacjach z kobietami, niemożności stworzenia rodziny, lęku przed posiadaniem dzieci i w konsekwencji samotnym życiu.

Kołowski z ogromnej księgi przeznaczenia i przypadku wybiera jedno ledwie zdarzenie z dzieciństwa i wokół niego buduje spektakl. W czterdziestominutowym przedstawieniu zachowuje jednak sensy i najważniejsze myśli Myśliwskiego. Jerzy Litwin tworzy wiarygodną i wzruszającą postać, z krwi i kości. Jego bohater, przywołując zdarzenie z dzieciństwa poprzez liczne dygresje, snuje opowieść o sensie życia, opowieść na tyle pełną, na ile pamięć pozwala. Nie wierzy w porządek przeznaczenia. Tylko w przypadki. Pyta tajemniczego przybysza (śmierć?): czy warto było przychodzić? Po czym zostawia go z psami przy łuskaniu fasoli, a sam wychodzi – jak zwykle o tej porze – by sprawdzić i dopilnować domki.

Śmierć musi zaczekać...

Teatr Propozycji „Dialog", Wiesław Myśliwski, „Traktat o łuskaniu fasoli". Scenariusz i reżyseria Marek Kołowski, monodram w wykonaniu Jerzego Litwina. Premiera 22 marca 2012.

KSIĄŻKI

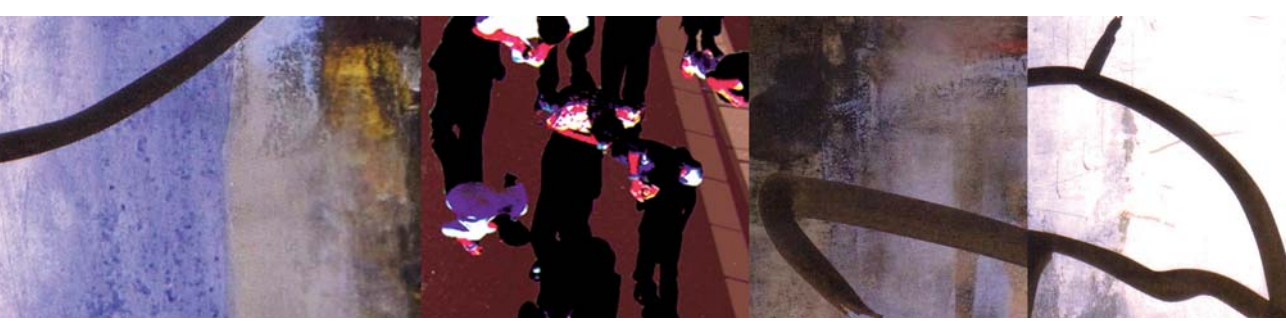

Natalia Konieczna

O *Miniaturze z gazelą* Turczyńskiego, czyli jak uważnie patrzysz, czytelniku?

Jest święto *mehrgan*, święto jesiennej równonocy, znajdujemy się w pałacu emira Balchu, Ka'ba. Jego jedyna córka – Rabi'a – obchodzi właśnie swoje dziewiąte urodziny. To wielki dzień w życiu księżniczki – przechodzi z okresu Dzieciństwa do okresu Panieństwa, z dziecka staje się kobietą, co znajduje swoje potwierdzenie w "Najważniejszym wydarzeniu w życiu Rabi'i": *[...] gwiada Nahid oświetliła jaspisowe łono śpiącej jeszcze księżniczki, aby ostrze niebieskiego kindżału mogło nieomylnie ciąć stulony, zawity w sobie delikatnymi płatkami jej różany pąk.*

Tak zaczyna się najnowsza książka Andrzeja Turczyńskiego – *Miniatura z gazelą*. Już od pierwszej strony obcujemy z wszystkimi elementami, które towarzyszyć nam będą do ostatniej strony tej przejmującej – i jakże przewrotnej – opowieści. Myliłby się jednak ten, kto po pobieżnej lekturze pierwszych stron da się zwieść, iż oto ma przed sobą kolejną opowieść żywcem wyjętą z *Baśni tysiąca i jednej nocy*. Trop ten – kuszący dla mniej uważnego czytelnika – może wprawić go w poważne zakłopotanie już na kolejnych stronicach, gdy okaże się, że opowieść o Rabi'i ambicje ma daleko większe, a ponadto pojawiają się w tej historii wskazówki sugerujące, że musimy patrzeć uważniej, jeśli chcemy w pełni rozkoszować się tworzonym przez Turczyńskiego światem i żyjącymi w nim bohaterami.

Patrzysz zatem uważnie, Czytelniku? – tak prowokująco zdaje się pytać autor, gdy raz po raz odkrywa drzemiące w snutej przez siebie opowieści tajemnice prowadzące nas znacznie dalej – poza Czas i poza Przestrzeń, w których ramy zamknięta – pozornie! – jest opowieść o Rabi'i.

Wróćmy zatem raz jeszcze do otwierającej książkę sceny – Rabi'a ma dziewięć lat i staje się właśnie kobietą. Na tle baśniowej scenerii, gdzie gwiazda Nahid i inne znaki na niebie i ziemi zwiastują jej szczęście, pomyślność i długie zdrowe życie, księżniczka przeistacza się z dziecka w kobietę. To dzień cudów i najpiękniejszy moment w jej dotychczasowym życiu. Wszyscy sławią jej urodę, ojciec zaś obdarowuje ją prezentami – szczędzi jej jedynie miłości, wciąż wini ją bowiem za śmierć swojej ukochanej żony, Fatimy, która zmarła podczas porodu. Córka emira bardzo wcześnie zresztą zaczyna sprawiać kłopoty – zadaje zbyt wiele pytań, na które nikt nie chce (nie może?) jej odpowiedzieć. Tymczasem w jej świecie obowiązują odpowiedzi tak-nie, bez niunasów i wdawania się w szczegóły. Gdy Rabi'a pyta, co się kryje za oknem wychodzącym na północ, a zabitym na głucho, żeby jej książęce oczy nie zobaczyły, dostaje wymijającą odpowiedź. Dopiero spotkany na ulicy ślepy derwisz mówi jej – sam z siebie, nie wywoływany do odpowiedzi – to, czego nikt nie chciał ujawnić: [...] *za tym oknem, córko, znajduje się widok na środek piekła i rosnące tam drzewo gagatowe bardziej czarne niż heban, którego kwiaty pod każdym względem żywo przypominają kwiecie pomarańczy, ale miast owoców rodzą głowy*

najstraszliwszych potworów! o, wśród nich widać twego brata księcia Haaresa ze sztyletami w ustach zamiast zębów, w których trzyma twoje trzepoczące się, okrwawione dłonie!

Derwisza jednak nikt poza Rabi'ą nie widzi, nikt też nie słyszy jego słów, domyślać się możemy więc zatem tylko, czy to wewnętrzny głos księżniczki mówi jej to, o czym sama boi się – i nie potrafi jeszcze – pomyśleć, czy też tajemniczy duch, ifrid przemawia do niej, gdy nikt z żywych nie chce udzielić jej odpowiedzi. Obok znaków zwiastujących księżniczce pomyślność pojawiają się więc i takie, które wróżą tragedię – ta zresztą wisi nad nią od samego początku i wszystko, co wydarzy się później, nieuchronnie prowadzi do spinającego całą opowieść krwawą klamrą końca. Spodziewamy się tego jednak – zdradza to zresztą sam autor w podtytule swojej książki: *Legenda o miłości i śmierci poetki Rabi'i córki Ka'ba Ghazdani*. Podtytuł ten w niezwykle zwięzły i wymowny sposób zbiera w sobie bowiem wszystko, co w historii tej najważniejsze – miłość i śmierć, poezję i kobiecość, wreszcie fakt, iż cała ta opowieść jest legendą. Legendą o poetce Rabi'i, która zakochała się w ogrodniku Baktaszu, o miłości szczęśliwej i nieszczęśliwej zarazem (bo czyż może być inaczej?), o odwiecznym konflikcie dobra i zła – tyle, że w proporcjach dalekich od równowagi, bo zła – jak wielokrotnie podkreślają sami bohaterowie – jest znacznie wiecej. Kluczowy jest jednak niezwykle trudny w swej istocie konflikt dwóch światów – kobiecego i męskiego – które w *Miniaturze* oddzielone są od siebie bardzo grubą, nieprzekraczalną kreską. Rabi'a nie godzi się jednak na bezwiedne przyjęcie swojej roli w tym świecie – jest buntowniczką, choć sama jeszcze o tym nie wie. Swoją wolność odnajduje w literach i cyfrach – i jest tego świadoma, choć w chwili, gdy to odkrywa, ma dopiero 12 lat. Uczy się, czyta, a w bibliotece ojca godzinami ślęczy nad mapami i miniaturami, wreszcie odkrywa w sobie poetkę – niepokorną poetkę – i z poezji czyni swój oręż w walce z ograniczającą ją rzeczywistością. Ona też zbliża ją do poznania Rzeczy – *Miniatura* jest bowiem w swej istocie także wielkim traktatem o poznaniu. Rabi'a buntuje się wobec krępujących ją ograniczeń – i to zarówno tych, które wynikają z jej wieku, pozycji społecznej jak i – przede wszystkim! – płci. A że nie należy do osób cierpliwych, pragnie dowiedzieć się wszystkiego jak najszybciej. To zaś będzie ją kosztować bardzo wiele, księżniczka jednak gotowa jest zapłacić najwyższą cenę. Jest „gazelą", której niestraszne są zakazy, która pragnie wyzwolić się mimo wszystko – mimo wszechobecnych nakazów, mimo świadomości ceny, jaką przyjdzie za to zapłacić. Prawo do wolności i miłości, którego tak pragnie, okupione jest bowiem śmiercią

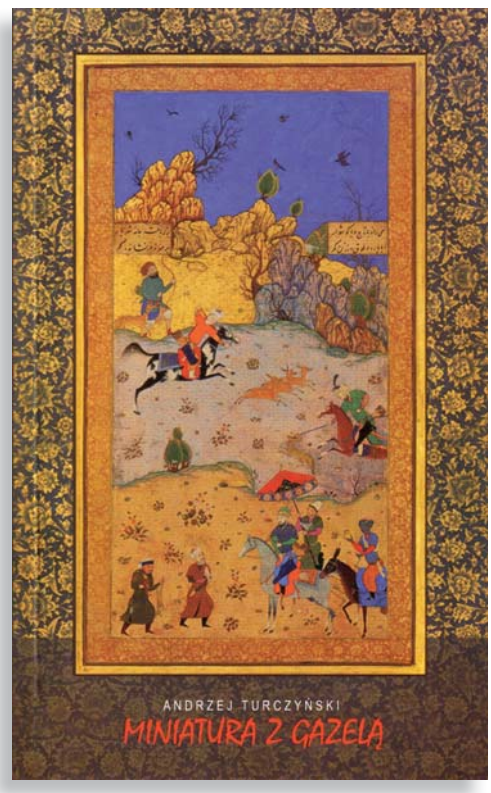

Andrzej Turczyński, Miniatura z gazelą. Wydawnictwo Millennium Bogdan Gutkowski, Koszalin 2012

i cierpieniem – Rabi'a wie o tym, zna bowiem losy tragicznych kochanków z rozmaitych legend i opowieści, którzy – podobnie jak ona – zdecydowali się na stawienie czoła przeciwnościom. Rabi'i nie brakuje do tego sił, nie zwykła bowiem łatwo się poddawać, zwłaszcza, gdy celem jest to, co najważniejsze. Gdy pojawiają się odniesienia do losów legendarnych kochanków, takich jak Tristan i Izolda, opowieść o Rabi'i wychodzi daleko poza dalekowschodnią kulturę i tradycję, ukazując jej ponadczasowy i uniwersalny charakter.

Zanim jednak miłość do Baktasza – miłość zakazana, bo będąca uczuciem księżniczki do ogrodnika (ach, jakiż oryginalny pomysł, chciałoby się rzec!) – rozciągnie się między wieżę, w której mieszka kochanek, a komnatę księżniczki, Rabi'a pozna życie w haremie, pośród innych kobiet. Tam też – idąc za podpowiedzią służki Selimy – znajdzie sposób na to, jak będzie mogła się ukryć. A jako że najlepiej jest się ukryć za drugim człowiekiem, księżniczka nawiąże specyficzną relację z dwiema chłopczycami – Nur i Hanife, występującymi pod męskimi postaciami Omara i Tahira. Ta multiplikacja postaci nie tyczy jednak tylko ich – sama Rabi'a już od samego początku „ma w sobie" swoją siostrę – drugie ja, cień, który będzie jej towarzyszył, z czasem zaś okaże się, że kryje się w niej i „trzecia ja". Można się w tym pogubić, autor jednak wewnętrzne rozterki bohaterki prowadzi bardzo konsekwentnie, dlatego moment, w którym Rabi'a odkryje, że tak naprawdę jest jedną, niepodzielną i pełną osobą – jedną Rabi'ą, której wewnętrzne wcielenia są tak naprawdę jednością – jest tyleż dramatyczny, co w pełni oczywisty.

Jednak parawan, za którym Rabi'a skrywa swe prawdziwe uczucia, okazuje się być niewystarczającą ochroną – ściany w łaźni mają bowiem uszy, a ufać nie można nikomu – nawet najwierniejszym sługom. Zwiastuny „złego" pojawiają się wszak bardzo szybko – pierwszym jest znikający derwisz, który zdradza księżniczce tajemnicę okna wychodzącego na północ, kolejnymi coraz bardziej tajemnicze sny nawiedzające dziewczynę, a także jej brata, Haaresa. Jak nawałnica wszystko zmierza do dramatycznego finału, w którym „zdarzy się to, co zdarzyć się musiało". Końcowa sekwencja, kiedy Rabi'a staje przed surowym obliczem swojego pana i brata, Haaresa, który przejął władzę po śmierci ojca, jest znakomita – to jeden z najlepszych fragmentów całej powieści, w niezwykle przejmujący sposób dopinający całą historię. Majstersztykiem jest natomiast sam finał, w którym czuć z jednej strony ducha orientalnych opowieści, z drugiej atmosferę jakby żywcem wziętą z opowiadań Lovecrafta czy Edgara Allana Poe.

Oto bowiem gdy po dziewięciu dniach od egzekucji księżniczki rozwalono mur łaźni, w której pozostawiono umierającą Rabi'ę, zobaczono: [...] *ciało księżniczki czyste i gładkie jak lilia, jak biały jadeit albo górski kryształ, w pomieszczeniu unosił się aromat (...), nie było śladów ani krwi, ani ran na ciele poetki, za to na ścianie jarzył się królewską purpurą zapisany przez nią jej ostatni gazel.*

Turczyńskiemu udaje się tą sceną wznieść dramaturgię opowieści na najwyższy poziom – i to w najważniejszym momencie. Wielkich scen jest zresztą w powieści więcej – jak choćby pełna dwuznaczności rozmowa Rabi'i z bratem po śmierci emira Ka'ba (świetne są zresztą wszystkie sceny między rodzeństwem, pełne specyficznego napięcia i dwuznaczności), wspomniana już scena ze znikającym derwiszem czy będąca jakby wykładnią tego, co w powieści najważniejsze, opowieść księżniczki o niezwykłym śnie o kaźni Króla (motyw snu jest zresztą dla całej opowieści niezwykle ważny i przewija się przez wszystkie stronice książki). Jeszcze wspanialsza jest interpretacja owego snu dokonana przez hakima Ruma. To kluczowy dla całej opowieści moment – punkt zwrotny, w którym zna-

leźć można nie tylko istotę opowieści, ale także znakomicie skonstruowany dramaturgicznie epizod, zwieńczony sceną przybycia trzech gołębi niosących trzy wiadomości, które są zapowiedzią przyszłych zdarzeń. W scenach tych widać nie tylko niezwykłą umiejętność tworzenia napięcia, ale także mistrzowskie operowanie słowem i narracyjny kunszt. To zresztą cecha całej powieści, którą widać i w innych utworach Turczyńskiego. Świetnym przykładem tego, jak doskonale Turczyński potrafi konstruować barwne obrazy, pełne piętrzących się porównań i rozrastających się metafor, co prowadzi do epickich w swoim wymiarze scen, jest choćby otwierająca sekwencja opisu piękności księżniczki – równie kunsztowna, co przewrotna, do tego powracająca później jeszcze dwukrotnie w identycznej formie. To znakomity zamysł narracyjny, dzięki któremu udaje się autorowi sprowadzić czytelnika kilka razy do tego samego momentu opowieści. Swobodne operowanie czasem jest zresztą dla narracji *Miniatury* bardzo znamienne – często znajdujemy się wraz z bohaterami w jakimś czasie, by za chwilę przekonać się, że znajdujemy się w Czasie (wielka litera użyta nieprzypadkowo!) zupełnie innym.

Zabawa słowem nie jest tu jednak celem samym w sobie – historia Rabi'i jest bowiem także niezwykłą rozprawą na temat poezji i jej roli w życiu – wszak to ona, zdaniem księżniczki, jest najlepszą drogą do osiągnięcia wolności.

Nie zawsze jednak Turczyńskiemu udaje się używać słowa równie dobrze – w swojej twórczości nigdy nie stronił od paradoksu i patosu, w *Miniaturze* jednak zdaje się czasami za bardzo zawierzać takim formom, opisy zaś bywają przesadnie manieryczne (scena polowania na gazele), a niektóre „prawdy" zdają się jakby wzięte z powieści Paolo Coelho i zupełnie nie przystają do reszty książki. Dla nieprzyzwyczajonego do takiego specyficznego sposobu pisania czytelnika proza Turczyńskiego może się zresztą wydać bardzo trudna, tym bardziej, że niebywała erudycja autora i gęstwiny stosowanej przez niego terminologii sprawiają, że co chwila sięgać musimy do znajdującego się na końcu książki słowniczka pojęć i terminów oraz obszernego zestawu przypisów (choć byłoby lepiej, gdyby znajdowały się u dołu strony), jednak nikt nie obiecywał, że lektura *Miniatury* będzie łatwa i przyjemna. Jeśli jednak zdołamy przebrnąć przez językowe meandry ornamentowego obrazowania i przyzwyczaimy się już do tego, że nie mamy do czynienia z książką, w której narracja jest spokojna i jednolita, a opowieść sama się toczy, okaże się, że *Miniatura* skrywa w sobie znacznie więcej, niż się pozornie wydaje. Trzeba jednak patrzeć uważnie – tak, jak czyni to sama Rabi'a spoglądając na jedną z miniatur. Okaże się wówczas, że nic nie jest w tej historii tak oczywiste i jednoznaczne, a na żadne z postawionych pytań nie da się odpowiedzieć „tak-nie". Ale do tego potrzeba trochę więcej odwagi i chęci poznania – w przeciwieństwie jednak do córki emira czytelnik nie musi płacić za to aż tak wysokiej ceny...

Jupi Podlaszewski

Niegdysiejsze śniegi mistrza Czesława K.

***Mais ou sont les neiges d'antan?* Powszechnie znany refren ze średniowiecznej ballady Francoisa Villona głoszącej apoteozę piękna pań z minionych czasów sam ciśnie się na usta, gdy zastanowić się nad kondycją książki i czytelnictwa w kraju nad Wisłą, takoż i mieście nad Dzierżęcinką, dziś. Zaiste, gdzież są te niegdysiejsze śniegi? Musiał sobie z tego dobrze zdawać sprawę sam Mistrz Czesław Kuriata, skoro przez cały miniony rok 2012 pracowicie promował swoją ostatnią książkę „Słuchowiska i opowiadania".**

Trzydziesta pierwsza książka w dorobku pisarza to zbiór słuchowisk radiowych, opowiadań z anteny i filuternych „faramuszek" (jak je nazywa sam autor) pochodzących z lat 1956-2011. Z uwagi na formę nie jest to lektura łatwa, zwłaszcza dla czytelnika młodszego, który, nie znając realiów wojny i PRL-u, musi ważyć się na własną interpretację tekstu. Sam Czesław metrykalnie jest z przedwojnia (urodzony w1938, w roku 2013 obchodzi piękny jubileusz 75-lecia); piszący te słowa jego czytelnik należy już z okresu wczesnego powojnia. Dzieli nas raptem 12 lat, które tworzą cezurę znaczącą, choć wciąż nie hermetyzującą...

Patetyczna elegia kołobrzeska („Kołobrzeski testament") z perseweracyjnym motywem spalonego domu: jest i nużąca i wzniosła. Jest połączeniem traumy z dzieciństwa z doznaniem nowych imperatywów politycznych. Brzemię nadzwyczajne dla dziecka i pogorzelca przybyłego na Pomorze z dalekiego Wołynia. Odgłosy wojny, te prawdziwe głosy z ciemności pobrzmiewają także w kolejnych słuchowiskach:- „Powrót z wojny", „Nikomu nie wolno zasnąć", „Koń jak czołg...". I gdzieś tutaj z Czesławem się spotykamy: do dziecięcego umysłu piszącego te słowa długo docierała trauma wojenna Ojca, jaką była dwuletnia oferta kulturalna nie do odrzucenia i ślad po niej w postaci wytatuowanego na przedramieniu numeru 141023, bo w KL Auschwitz człowiek – jak pisał Primo Levi- stawał się numerem. Ironicznie ów numer dwa lata później stał się jedynym dowodem tożsamości, którym Ojciec legitymował się po ucieczce z inferna. Więc coś nas, Czesławie, łączy. Jakoś przecież dzięki łasce dziejów zaistnieliśmy, przetrwaliśmy. I mogliśmy wkroczyć w epokę, w której jadaliśmy tę samą wątrobiankę tudzież salceson, zegalitaryzowani przez najjaśniejszy z systemów. Być może, Twoja wątrobianka bywała lepszej jakości, boś wówczas współtworzył nową rzeczywistość, ale z pewnością dzisiaj kopii o to kruszyć nie warto.

Mocny akcent o uniwersalnej sile stanowi „Hiroszima, nasza pamięć", gdzie kluczową postacią jest Major Eathearly, który *całe miasto posłał do nieba*. Porażającą siłę tego słuchowiska łagodzi następujące tuż po „Hiroszimie" liryczne „A kochanie od wieczności nie jest krótsze"- choć pozbawione *happy endu* wionie nadzieją. Poezja to bardzo skuteczna broń Czesława Kuriaty. Kolejna sekwencja książki- „Opowiadania z anteny" jest niezła; to wycieczka w PRL. Opowiadana z pozycji inteligenta w szarym garniturku, który choć podduszony, przecież dzięki Bogu, dycha i dychał będzie. Łapie za gardło – bywały momenty, kiedy inteligentom brakowało tchu i ciemno robiło się przed oczyma, a horyzont oddalał się na

niebotyczną odległość. Na szczęście w ostatniej części swojej książki Autor okazuje nam „litość".

Więc „Faramuszki". Wytchnienie. Od zmory wojny i cieniów PRL-u oraz plugawego języka codzienności zdominowanego przez k..., p... itp., gdzie Kuriata bawi się figlarnym słownictwem erotycznym, słusznie postulując odwulgaryzowanie obecnego, jakże ubogiego języka i namawiając do czerpania z przebogatych wzorców zawartych w polszczyźnie dawniejszej. Bo któż miałby protestować przeciw „półłankom", „dwoistemu niebu", „gaikowi", ba!- „klarowaniu rzyci"!- no, proszę, niech ktoś pierwszy kamieniem tu rzuci! Morsztynowe erotyczne terminy smacznie przez Czesława Kuriatę przywołane budzą w ostatnim rozdziale- „Faramuszkach" nie tylko leksykalne skojarzenia. O czym nie bez satysfakcji niniejszym informujemy!

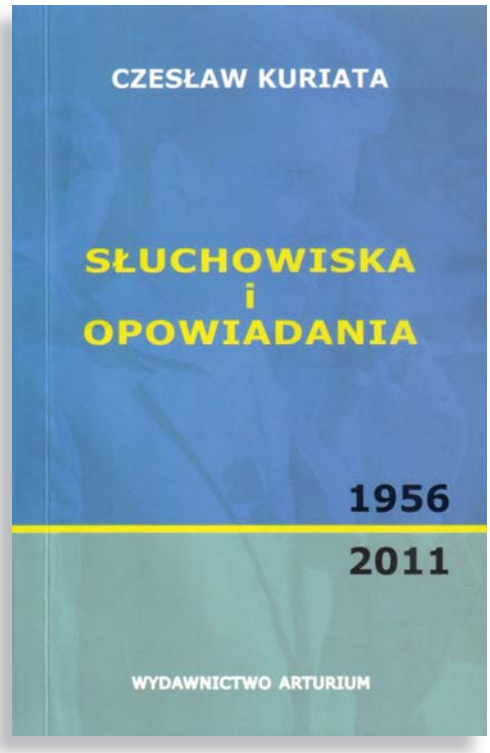

Czesław Kuriata, Słuchowiska i opowiadania 1956-2011.
Wydawnictwo Arturium, Koszalin 2011

Czesław Kuriata urodził się w 1939 r. na Wołyniu. Jest absolwentem Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Zawodowo związał się z Koszalinem, w tamtejszej rozgłośni Polskiego Radia prowadził audycje satyryczne, przez wiele lat pełnił funkcję kierownika koszalińskiej Redakcji Literackiej Polskiego Radia. Jest współorganizatorem Związku Literatów Polskich w Koszalinie, a zarazem pierwszym i wieloletnim prezesem koszalińskiego oddziału. Zasiadał w kolegium redakcyjnym miesięcznika „Pobrzeże" oraz tygodnika „Morze i Ziemia" w Szczecinie. Redagował koszaliński „Magazyn Literacki", był też wydawcą literackiego czasopisma „Arkona". W dorobku Czesława Kuriaty są liczne tomiki wierszy. Jest również autorem poematów historycznych „Powrót księcia Eryka" i „Bogusław X", opowiadań: („Dziewczyna pod kwiatami", „Upominek jubileuszowy", „Człowiek z rybą", „Miłość legendą innych", „Wino pestkowe", „Spowiedź pamięci, próba światła", powieści: „Galop do Wielkiego Lasu", „Naprawdę już po wojnie", „Zorze Archangielskie" oraz publicystyki: „Zapiski prowincjonalnego pisarza". Czesław Kuriata dał się poznać również jako autor książek dla dzieci. Teksty Czesława Kuriaty publikowano w kilkudziesięciu polskich antologiach literackich i obcojęzycznych. Twórczość pisarza tłumaczono na 13 języków. Za swój dorobek artystyczny otrzymał m.in. Nagrodę Artystyczną I stopnia miasta Koszalina, nagrodę Poznańskiego Listopada Poetyckiego za najlepszy poetycki debiut książkowy roku, dwukrotnie – nagrodę Przewodniczącego Radiokomitetu za literacką twórczość radiową, w tym także za słuchowiska, jest również laureatem nagrody GLORIA ARTIS. W roku 2011 obchodził 50-lecie pracy twórczej.

Małgorzata Kołowska

Z nieba pod parasol

Ryszard Ulicki przyzwyczaił nas już do swej corocznej obecności w kolejnych almanachowych podsumowaniach. Odnotowywaliśmy więc kolejne zbiory wierszy i opowiadań, także radiowe słuchowiska – taki bowiem jest obszar aktywności literackiej autora „Kolorowych jarmarków". Leszek Żuliński w „Almanachu 2005" – pierwszym, który zainicjował serię – ogłosił nawet Ryszarda Ulickiego „talentem, który spadł nam z nieba", co można by uznać za parabolę niezbędną w laudacji należnej z okazji jubileuszu dziesięciolecia (późnego) debiutu książkowego bohatera tej wypowiedzi. Ten rys niebiańskiej metafizyki jakoś kłóci się z potwierdzonym tak w słowie (również pisanym) jak i czynach przywiązaniem do materialistycznej koncepcji świata, by już nie wywoływać duchów marksizmu-leninizmu.

Powiem od razu – nie wszystko, co wychodzi spod pióra Ryszarda Ulickiego mnie zachwyca, choć niektórych – Leszek Żuliński bez wątpienia jest tego przykładem – zachwyca. Ale ostatni tom opowiadań, który ukazał się w roku 2012, obudził mój respekt, choć od razu to powiedzmy – nie zaskoczył. Kolejny bowiem raz Ryszard Ulicki pochyla się nad tzw. prostym człowiekiem, a czyni to ze zrozumieniem i sympatią, także wyrozumiałością człowieka, który wie, że tak zwana mądrość życiowa niekoniecznie wiąże się z posiadanymi dyplomami i zacnym statusem społecznym. I że nawet jeśli posiadamy certyfikaty zawodowe, to nikt z nas nie ma certyfikatu na życie szczęśliwe. Cóż zresztą znaczy szczęście?. Bohaterowie „Opowiadań spod parasola" uczą nas, że szczęście niejedno ma imię – co w przypadku tych opowiadań można rozumieć bardzo dosłownie. Bohaterowie tych opowiadań na różne bowiem sposoby korzystają z leksykalnych zasobów języka ojczystego mierząc się z niejednoznacznością problemów egzystencjalnych. Na tę właśnie warstwę językową sam autor zwraca uwagę we wstępie, akcentując indywidualizm czy wręcz intymność aktu komunikacji językowej, przejawiający się w doborze stylistyki, terminologii, kulturowych tropów. Jedno bowiem trzeba wyraźnie powiedzieć: Ryszard Ulicki jest doskonałym podsłuchiwaczem ulicy i jej plebejskich w formie bywalców, owych chłopków roztropków, zdegenerowanych inżynierków, domorosłych poetów i filozofów. Inspiracje do rozważań egzystencjalnych, ontologicznych i aksjologicznych znajdują oni często wyzwalając różnego rodzaju „dżiny z butelki", przy czym jako oczywistą oczywistość należy przyjąć, że owe duchy nie zamieszkają flaszek z tak szlachetnymi jak gin trunkami; duchy to bardziej swojskie, piwno – samogonowo – zabełtane „Pod Parasolem" rozwiązują języki.

To tu właśnie do codziennego raportu z obecności w życiu (wbrew socjalno-zawodowemu wykluczeniu), stają bohaterowie Ulickiego: były magazynier OPHZ, były wojskowy, były mechanizator, a także brat śp. Józefa i kuzyn zmarłego Romana z kolonii – wszyscy oni przynależą do sfery *passé*. Opowiada także „mąż Anieli – chwilowo Andżeli", co też jest sygnałem ulotności naszych egzystencjalnych stanów. Niektórzy opowiadacze kryją się pod ksywkami „Bąk", „Blekot", „Dziki", „Niemiec", co wskazuje na

Ryszard Ulicki, Opowiadania spod parasola. Wydawnictwo Adam Marszałek 2012

nieoczywistość ich istnienia w realnym świecie, z którym mierzyć się bywa łatwiej pod przybranym imieniem.

Pod boleśnie prowincjonalny – bo usytuowany przed wiejskim sklepikiem – PARASOL, docierają nie tylko echa lokalnych wydarzeń, ale też dalekiego świata, a to za sprawą kuzyna z Ameryki, amsterdamskich kombinacji Romanika, czy wspomnianej już Andżeli, o której opowieść nosi znamienny tytuł „Pronto, sronto, italiano".

Ryszard Ulicki uprawdopodabnia swoich bohaterów indywidualizując ich języki, a skoro tak, nie powinniśmy w opowiadaniach „Spod parasola" oczekiwać wyrafinowanej literackiej polszczyzny; to raczej ten język, który rozbrzmiewa na ulicy, w knajpie, także w nie zawsze ciepłym i bezpiecznym zaciszu domowym. W opowiadaniu „Jak zatrybił kuzyn z Ameryki" słowem kluczem jest pewne czteroliterowe słowo pisane często z pominięciem początkowego „c"; kiedy jest ono odmieniane przez wszystkie przypadki i opatrywane wszelkimi możliwymi prefiksami i sufiksami, można by mówić o epatowaniu wulgaryzmami, a jednak autor tego nie czyni,. Buduje raczej nić porozumienia, może nawet sympatii do tych popaprańców niekoniecznie o złotym sercu.

Od czasu lektury „Opowiadań spod Parasola" kiedy przejeżdżam przez jedną z podkoszalińskich wiosek (że w kierunku nadmorskim może będzie ryzykownym szczegółem lokalizującym miejscowość) nieodparcie odnoszę wrażenie, że to właśnie tam, pod parasolem przyniesionym przez ś.p. Józefa Barana, pod wyrozumiałym i wybaczającym spojrzeniem sklepowej spotykają się Zdenek, Stachu Baran, Marian Robak i inni – słowem chłopaki spod parasola, którzy czas pracy mają nienormowany.

Na koniec, aby nie umknął uwadze potencjalnych czytelników „Opowiadań spod Parasola", przytoczmy odautorską przestrogę, którą warto potraktować serio: *Należy przechowywać w miejscu niedostępnym i niewidocznym dla dzieci*. Co prawda zaprojektowana przez Krzysztofa Urbanowicza okładka nie ujawnia bezeceństw, o jakich czasem mówi się „Pod Parasolem". Ascetyczna kreska ilustrującego tom Tomasza Rogowskiego nie jest jednak pozbawiona pikanterii.

Małgorzata Kołowska

Życie mimo wszystko

Jan Kuriata, rektor Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Koszalinie, parlamentarzysta, radny znany jest przede wszystkim jako romanista w każdym calu – miłośnik i znawca nie tylko języka francuskiego, ale tamtejszej szeroko rozumianej kultury. Kierując Zespołem Nauczycielskich Kolegiów Języków Obcych, w którym była sekcja języka francuskiego, podejmował próby propagowania nadsekwańskich obyczajów nie tylko związanych ze szczególnie tam hołubioną kulturą stołu, ale także – nie wyłączając codziennych rozrywek przeciętnych Francuzów – uczył koszalinian gry o nazwie *petanque*.

Sięgając po literacki debiut Jana Kuriaty – wydaną nakładem Koszalińskiej Biblioteki Publicznej książkę „Świat rzeczy niewidzialnych", spodziewałam się odnaleźć echa, choćby i odległe, literatury francuskiej – Montaigne'owski dystans do opisywanego świata, zachwyt nad jego niełatwą urodą zaczerpnięty od Colasa Bregnon, Sartrowskie poszukiwanie dróg wolności... Tymczasem Jan Kuriata zaskakuje i to po wielekroć – uspokójmy od razu, że jest to zaskoczenie jak najbardziej pozytywne.

Po pierwsze w swym debiutancki tomie jawi się zarówno jako poeta jak i prozaik, o czym lojalnie uprzedza w podtytule książki. Jej pierwsza część to odrębny poetycki tomik zatytułowany bezpretensjonalnie „Wiersze zebrane". Część druga przynosi opowiadania, takim też tytułem – „Opowiadania" – jest opatrzona. Obie części stanowią niezależne całości, zarówno pod względem literackiej formy, jak i podjętego tematu. Rodzajem łącznika dla obu sposobów opisywania świata można by uczynić wiersz Antonio Machado „Zostać pisarzem", który zamyka część poetycką „Świata rzeczy niewidzialnych" jako dobra próba translatorskiego talentu Jana Kuriaty.[1]

Nigdy nie szukałem chwały
Ani pragnąłem w pamięci
Ludzi
Zostawić moje piosenki
Ale kocham światy subtelne
Przestrzenne i delikatne
Jak bańki mydlane....

Wiersze Jana Kuriaty są smutnymi pieśniami na rozstanie; nieodparcie nasuwają też pytanie o osobiste doświadczenie poety. A może są zapisem odczutych empatycznie stanów ducha towarzyszących bolesnemu doświadczeniu końca – kresu miłości, kresu ważnego etapu życia, kresu bliskości z drugim człowiekiem.

Kiedy po latach zaczynasz
Wynosić ze swojego serca nasze wspólne
meble
Najpierw powoli bibelot po bibelocie
Tak abym niczego nie rozumiał ani widział
A potem gdy zdejmować zaczynasz obrazy ze
ścian
Proszę obłudnie o trochę czasu
Choć żaden czas nie wystarczy

[1] Antonio Machado y Ruiz (ur. 26 lipca 1875 w Sewilli, zm. 22 lutego 1939 w Collioure) – poeta hiszpański, brat Manuela

By zamazać zdjęcia tamtych dni
I lat (...)

Ta sytuacja odejścia – rozstania wpisana jest we wszystkie przywoływane przez podmiot liryczny sytuacje życiowe: obserwację zmierzchu zapadającego nad miastem („Masz odejść"), także ślad doświadczeń zdobywanych razem odciska się boleśnie na samotnie przeżywanym „dziś":

Bo ty mnie na wyspy szczęśliwe zawiozłaś
Wiatrem łagodnym włosy jak kwiaty rozwiałaś
Zacałowałaś ukołysałaś, uśpiłaś, otumaniłaś
Snem muzykalnym zasypałaś...

Nie lubię, gdy w sztuce pojawia się doraźność i lokalność, a jednak także w wierszu „Smutny Koszalin" poruszające w swej prostocie jest wyznanie:

Jaki smutny jest Koszalin
Gdy się już nie kochamy
Z chodników powyłaziły dziury i wyrwy na jezdni
Niszczą opony kół...

Zaskakuje puenta, która pojawia się po tym opisie wyzierającej z każdego kąta brzydoty „świata bez ciebie":

Za szlabanem leśnego duktu sterczą dywany przylaszczek
Lwich paszczy niezapominajek niczym strażacy
Broniący tam wejścia a niepotrzebnie
Bo nie ma niebezpieczeństwa pożaru
Naszych wystygłych serc

Kolejnym wątkiem, wokół którego krąży poetycka myśl Jana Kuriaty jest przemijanie i nieuchronna przemiana wiodąca znów do opuszczenia – pusty pokój dziecinny, osierocone misie, odciśnięty na trwałe w pamięci dźwięk dziecięcych śmiechów czy tupotu dziecięcych nóg, ten jakże słodki – gdy go brakuje – harmider i rozgardiasz przywołany we wspomnieniu znów potęguje uczucie opuszczenia.

Jan Kuriata – poeta zaskakuje wrażliwością, delikatnością – chciałby się wręcz rzec: kobiecą subtelnością, z jaką wprowadza czytelnika w świat „rzeczy niewidzialnych" – bo przeżytych, odczutych, zapisanych w poetyckiej refleksji. Jako prozaik natomiast okazuje się bezstronnym, nawet beznamiętnym, a na pewno nieskorym do oceniania swych bohaterów, rzetelnym kronikarzem opisywanych zdarzeń. Kronikarzem, bo każda z opisanych w kolejnych opowiadaniach historia ma wszelkie znamiona prawdopodobieństwa i ma wszelkie cechy literatury faktu. Przywołując epizody z ich życia Jan Kuriata nie czyni między swymi bohaterami rozróżnienia na dobrych i złych. Pokazuje natomiast rozpaczliwe niekiedy usiłowania, by w tym dalece niedoskonałym świecie znaleźć

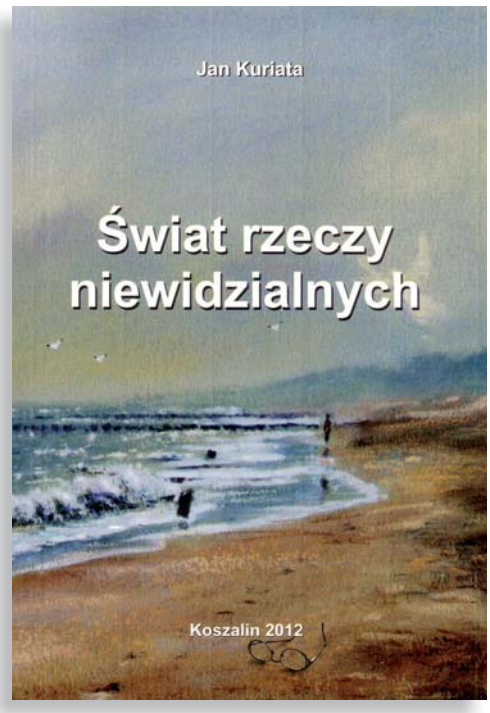

Jan Kuriata, Świat rzeczy niewidzialnych, opisany wierszem i prozą. Wydawnictwo Koszalińska Biblioteka Publiczna 2012

ład i poczucie sensu, wartości niekoniecznie te najwyższe, ale takie, które sankcjonują ludzką egzystencję. Te usiłowania zamykają się w kolejnych tytułach opowiadań, z których ostatnie – „Oświadczenie" – dedykował autor francuskiemu mistrzowi zwięzłej narracji i kreowania wyrazistych postaci Guy de Maupassantowi.

Opowiadania Jana Kuriaty układają się w przypowieść o pogmatwanych losach, zmuszających do różnych, niekiedy nieoczywistych wyborów. I tak poznajemy Orynicza – Łemka z Sądecczyzny i jego żonę Kaśkę, Wołyniaka Jana z Rudni Kniasielskiej – skąd pochodzi także rodzina Jana Kuriaty, z Wołynia na ziemie tzw. odzyskane trafili także bohater „Zamyślenia" Franko i Jadwiga z „Kłamstwa"; Ukrainiec Michał przesiedlony został z rodzicami w ramach akcji „W" do Białego Boru. Niemka Helga z przedwojennego Ratsenburga, utraciwszy całą rodzinę pozostała w przemianowanym na Okonek mieście; Jurgen urodził się w przedwojennym Köslin („Niemawiść"); do powojennego Koszalina trafili natomiast Kazimierz i Walenty, z którymi wspominamy nieżyjącego już Władysława i ich tragiczną wyprawę nad morze w 1945 roku („Niepewność"), z Brześcia nad Bugiem do Jastrowia przyjechała Helena.

Odmienne, choć jednako naznaczone wojenną traumą, są losy wszystkich tych ludzi; łączy ich wspólna przestrzeń Pomorza Zachodniego, gdzie jednych została wojna, inni znaleźli się tu rzuceni wojenną zawieruchą lub wyrokami historii skazani na los przesiedleńców niekiedy wbrew własnej woli. Ale trzeba żyć – pomimo wszystko i na przekór wszystkiemu – mówią nam. I to przesłanie najpełniej scala obie części – te poetycką i prozatorską „Świata rzeczy niewidzialnych", interesującego literackiego debiutu Jana Kuriaty.

Małgorzata Kołowska

O zakładach komunalnych bez komunałów

***Elżbieta Juszczak – urodzona w Kołobrzegu. Absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, doktor nauk humanistycznych. Poetka, reportażystka, autorka książek popularno-naukowych z dziedziny ekologii, wydawca. Autorka kilku zbiorów wierszy – m. in. Ona grzeszna (1982), Świecąca ciemność (1992), Alergie (1998). Mieszka w Koszalinie* – czytamy w nocie biograficznej pomieszczonej w kołobrzeskiej „Latarni Morskiej", która za sprawą niezwykle skutecznego „Latarnika" Lecha M. Jakóba najjaśniej rozświetla środkowopomorskie środowisko literackie.**

Dla porządku dodam, że przez kilka lat kierowała Zakładem Dziennikarstwa i Nowych Mediów Instytutu Neofilologii i Komunikacji Społecznej, jaki od 2007 roku działa na Politechnice Koszalińskiej, wnosząc powiew humanistyki na powołanej w 1968 roku WSInż. jako uczelnia czysto techniczna. (I nie jedyny to motyw metamorfozy, jaki będzie nam towarzyszył). W tymże instytucie Elżbieta Juszczak-Maraszkiewicz pozostaje nauczycielem akademickim, przybliżającym przyszłym dziennikarzom tajniki między innymi uprawiania takich gatunków wymagających warsztatowego – nie tylko dziennikarskiego, ale i literackiego – mistrzostwa, jakim jest reportaż. Bo też Elżbieta Juszczak-Maraszkiewicz jest przede wszystkim człowiekiem literatury, a o jej mocnym wejściu w kręgi literackie właśnie – i to te najpiękniejszej z pięknych, bo poetyckie – świadczy przyznana jej Artystyczna Nagroda Państwowej im. Stanisława Wyspiańskiego. (Nagroda ta, ustanowiona w 1984 roku, dotyczy twórców, którzy nie przekroczyli 35. roku życia, a związani są z różnymi dyscyplinami artystycznymi. Wśród laureatów są znakomici artyści, dla których Nagroda im. Wyspiańskiego stała się przepustką do panteonu najważniejszych twórców polskiej kultury, by wymienić choćby Leszka Mądzika, Annę Augustynowicz, Zbigniewa Zamachowskiego, Edytę Bartosiewicz, Stanisława Sojkę...).

Wyraziście zaznaczając swoje miejsce w polskiej młodej poezji, z tej sfery ulotności przeniosła się i z powodzeniem usytuowała pośród bardziej pragmatycznych zagadnień, im oddając swe pióro. Czy to właśnie sankcjonuje jej „Pieśń pochwalna", w której *sacrum* splata się z *profanum:*

Pochwalone nich będą góry i doliny
i stolice, do których złoto statkiem płynie.
Pochwalone niech będzie jasne czyjeś imię,
ból i rozpacz i zachwyt, co nigdy nie minie.
Pochwalone wstawanie, do snu układanie
i przekleństwo, i miłość w południe i z rana.
Pochwalona niech będzie złota twoja suknia
i torebka na kołku i barłóg i hamak.[1]

Jako poetkę właśnie przywołaliśmy Elżbietę Juszczak-Maraszkiewicz kilkoma, niepublikowanymi nigdzie wcześniej wierszami, w publikacji „Kultura Koszalińska. Almanach 2010"[2], w tym samym wydaniu także pomieszczając jej

[1] Juszczak E. *Pieśń pochwalna*, w: „Latarnia Morska", nr 1 (5) 2007
[2] Op. cit.

interpretację tomu „Miąższ", będącego poetyckim debiutem Anatola Ulmana – największej i najbardziej oryginalnej OSOBISTOŚCI środkowopomorskiego życia literackiego, którego twórczość, jak żadna inna, promieniowała na współczesną literaturę polską. Przywołując dziś tamtą recenzję gorzkich i skażonych przeczuciem NIEUCHRONNEGO PRZEJŚCIA wierszy – jesteśmy w przededniu towarzyszenia w ostatniej już drodze Anatola Ulmana, Pisarz zmarł bowiem 14 kwietnia 2013 roku, co każe już dziś zapowiedzieć Jego obecność w dziale POŻEGNAŃ w następnym almanachu.

Ulman nie zostawia suchej nitki na niczym i na nikim, także na sobie. Otrzymujemy więc światopoglądowo jednorodną i nienową wizję. Jest trochę historii dziejów, jest tragiczny dwudziesty wiek, jest codzienne życie posiadaczy domków i trawników, jest obserwacja łąki. Ponuro i bez wątpliwości. Nie mogło być inaczej, skoro tom opatrzony jest cytatem z Kierkegaarda: ***Rozumiecie więc, że wolę być pastuchem świń na Amagerze i żeby mnie świnie słuchały, niż być poetą i żeby mnie nie słuchali ludzie***[3]**. –** pisała wówczas Elżbieta Juszczak-Maraszkiewicz, jak wytrawny – chłodno zatem analizujący materię poetycką – recenzent mierząc się z porażającym wręcz, wyzierającym z niemal każdego wersu nihilizmem. Nic pięknego pod Słońcem – zdaje się mówić Anatol Ulman w swych pierwszych, będących zarazem ostatnimi, wierszach. To kolejna metamorfoza, zapowiedziana już wcześniej, tu polegająca na odejściu od prześmiewczo-ironicznego dystansu wobec rzeczywistości, do jakiej Ulman – prozaik przyzwyczaił swojego czytelnika, do brutalnego zdzierania wszelkich masek i pozłotek w poezji będącej jak otwarta, zainfekowana bakteriami gangreny, rana.

Elżbieta Juszczak nie daje zbyt wielu możliwości obcowania ze swoją poezja, którą z pewnością wpisać można w nurt refleksyjnej liryki:

Pochwalone Monaco i Ryczywół w poście,
talia kart i etola, i błysk flesza w wieczór.
Chłop co psi żywot wiedzie swój na sznurku,
wroni skrzek i słońce, które niczym ryba
w to samo miejsce co dzień o wschodzie
wypływa.
I konto w banku, i księgowa w zielonym
kostiumie.
Aktor, co ma sławę, choć niewiele umie. I pisarz
dobry,
co ze zgryzoty codziennie umiera.[4]

Czy to właśnie ze zgryzoty, jakiej musi doświadczać dobry pisarz w świecie, który nie ceni sobie słowa strzelistego, odwróciła się Elżbieta Juszczak-Maraszkiewicz od uprawianej dotąd poezji ku prozie – nie tylko jako gatunkowi literackiemu, ale jako formie opisu pragmatycznej z gruntu działalności człowieka, przejawiającej się w obłaskawianiu dla własnych potrzeb sil natury? Po poetyckich tomikach, jakich tytuły już poznaliśmy, pojawiły się kolejne publikacje: „Książka o wodzie"[5] i „Książka o ziemi"[6], i „Książka o powietrzu"[7], a w ślad za nimi książki dokumentujące działalność kolejnych koszalińskich zakładów komunalnych. Tak powstała m. in. książka-album poświęcona koszalińskiej gazowni, zwracająca uwagę szatą graficzną i bogactwem archiwalnych fotografii, do których dotarcie z dumą autorka zapisuje po stronie swych zasług.

---

[3] Juszczak E. *Odkłamanie rzeczywistości. O nowych wierszach Anatola Ulmana*, w: „Kultura koszalińska. Almanach 2010". Koszalińska Biblioteka Publiczna, Koszalin 2011.

[4] Op. cit.

[5] Juszczak E. *Książka o wodzie*, Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej, Koszalin 2004

[6] Juszczak E. *Książka o ziemi*, Wydawnictwo Książka, Koszalin 2006

[7] Juszczak E. *Książka o powietrzu*, MEC Koszalin 2006

Wejście w przyziemny – wydawałoby się – krąg problemów technicznych, jakie na drodze cywilizacyjnego postępu podejmowały kolejne pokolenia koszalinian – nie odciął jednak podejmowanych tematów od kontekstu szeroko rozumianej kultury i spojrzenia humanisty, który nie może ze swego pola widzenia stracić Człowieka z jego potrzebami, tęsknotami i obawami – tym wszystkim zatem, co rodzi najważniejsze pytania i każe szukać na nie odpowiedzi w kręgach sztuki. To z pewnością jest znakiem firmowym książek Elżbiety Juszczak-Maraszkiewicz, noszących tak nieefektowne, by nie powiedzieć: banalne tytuły, jak te wyżej wymienione. „Książka o wodzie" zatem to nie tylko opowieść o związku chemicznym zaszyfrowanym jako H_2O, książka o powietrzu – o mieszaninie tlenu i azotu. Bez wody i powietrza nie można żyć – i nie tylko o poziom biologicznej egzystencji tu idzie.

Wejście w obszar tematyki, którą można by określić jako „komunalną", w sposób naturalny zaowocowało powstaniem dysertacji doktorskiej *Infrastruktura miejska Koszalina w latach 1945-1989*, której obrona w roku 2008 skutkowała przyznaniem tytułu doktora nauk humanistycznych. Po tym doniosłym bez wątpienia wydarzeniu dr Juszczak nie zarzuciła tematyki koszalińskiej, w dalszym ciągu badając rozwój miejskiej infrastruktury technicznej i historię przedsiębiorstw odpowiedzialnych za cywilizacyjny rozwój Koszalina. Dzięki temu w roku 2012 nakładem Wydawnictwa Politechniki Koszalińskiej ukazała się książka „Z dziejów najnowszych Koszalina. Zakłady komunalne 1945-1984".

Spojrzenie na infrastrukturę miejską, zwłaszcza po roku 1945, w ogóle jest w rodzimej historiografii nadzwyczajną rzadkością, toteż i z tego względu praca zasługuje na baczną uwagę, szczególnie, że w historiografii zachodniej (zwłaszcza francuskiej) podobnego rodzaju ujęcia są i znacznie częstsze, i solidnie rozbudowane – czytamy w recenzji autorstwa prof dr hab. **Włodzimierza Sulei**. Na oryginalność samego tematu, a także sposobu jego ujęcia uwagę zwraca również drugi recenzent, prof. dr hab. **Robert Skobelski**: *Przyznać należy, że niezwykle rzadko pojawiają się monografie, w których badacze skupiają się na tak szczegółowych i pracochłonnych zagadnieniach historii regionalnej, zwłaszcza w jej gospodarczym wymiarze. (...) Na podkreślenie zasługuje wykorzystanie przez Autorkę bogatej, często unikalnej bazy źródłowej, która jest najpoważniejszą zaletą rozważań. Powoływane źródła – zarówno archiwalne jak prasowe – czynią z pracy ważny fragment powojennych dziejów Koszalina, wiarygodnych naukowo, a także interesujących poznawczo.*

Rozważania dotyczące rozwoju miejskiej infrastruktury powojennego Koszalina Elżbieta Juszczak-Maraszkiewicz sytuuje na szerokim tle historii miasta, sięgając do jego wczesnośredniowiecznych początków. Pozwala to przywołać różne epizody świadczące o tym, że koszalinianom nigdy nie brakowało aspiracji, aby

Elżbieta Juszczak-Maraszkiewicz, Z dziejów najnowszych Koszalina. Zakłady komunalne 1945-1984. Politechnika Koszalińska 2012

odgrywać istotną rolę, choćby jako miasto hanzeatyckie, będące ważnym punktem tranzytowym miedzy Lubeką a Inflantami. Może upowszechnienie wiedzy o posiadanej przez Koszalin w wiekach XV i XVI niewielkiej, ale własnej floty i istnienia w Unieściu morskiego portu, doda sił tym, którzy tożsamości miasta chcą szukać – i słusznie – w powiązaniu z morzem.

Książka Elżbiety Juszczak-Maraszkiewicz dowodzi wielowiekowych, silnych aspiracji cywilizacyjnych miasta – niemieckiego Köslin i polskiego Koszalina. Inwestycje wodociągowe, z milowym kamieniem, jakim było uruchomienie własnego ujęcia wody w Mostowie, koszalińskie gazownictwo od przerobu węgla gazowego po eksploatację złóż gazu ziemnego, energetyka cieplna, komunikacja miejska i kwestie ekologiczne od powojennego Zakładu Oczyszczania Miasta po nowoczesne, respektujące zasady i normy współczesnej ekologii Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej – to kolejne nurty cywilizacyjnych przemian. Jak autorka zwraca uwagę we wstępie, nie ma tu kwestii związanych z energią elektryczną, Zakład Energetyczny nie był i nie jest bowiem zakładem komunalnym.

Rozwój infrastruktury miejskiej Elżbieta Juszczak-Maraszkiewicz pokazuje na tle przemian społeczno-politycznych. Historia zakładów komunalnych zaś to dla niej również, jeśli nie przede wszystkim, historia ludzi je tworzących, mających wizję ich rozwoju i rozwoju miasta, ale też tych, którzy służyli mieszkańcom miasta swoją codzienną pracą. Na bohaterów minionego czasu – bez podziału na Peerel i III RP – wyrasta wielu koszalinian. Sama autorka, gdy rozmawiamy o jej książce, ze szczególną atencją wskazuje na **Henryka Kasperskiego**, dopominając się o uczynienie go patronem jednej z ulic. *„...23 marca 1954 roku naczelnym inżynierem został Henryk Kasperski, był to wybitny inżynier, a z firmą* (Miejskie Wodociągi i Kanalizacja – dop. red.) *związał się na całe życie* (...) *Do Koszalina trafił z nakazu pracy i automatycznie został jedynym inżynierem branży sanitarnej w mieście. W MPWiK przepracował do 1987 roku. Jego żona Danuta tak mówi o mężu: „...rzadko się zdarza, aby pracować i kochać pracę. Był na każde skinienie firmy, na każdy telefon. Nie mógł pogodzić się z lekceważącym stosunkiem do pracy, przekupstwem, z zakłamaniem. Nie znosił układów. To był człowiek czynu, który całe życie zarządzał. Był też doradcą wojewody do spraw wodociągów"*. Jego współpracownik **Bogusław Graczyk** tak ocenia działalność szefa: *„dzięki przezorności i wyobraźni Kasperskiego Koszalin został zaopatrzony w wodę pitną na okres wielu pokoleń. Stało się to możliwe dzięki kołataniu inżyniera Kasperskiego do władz wojewódzkich i centralnych o przeprowadzenie badań hydrogeologicznych w okolicach miasta i rozpoznanie wód podziemnych.*

Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na wykorzystanie przez Elżbietę Juszczak-Maraszkiewicz zgromadzonych w jej prywatnym archiwum wywiadów, które jako dziennikarka przeprowadzała z bohaterami swej najnowszej książki. Z pewnością przesądziło to o możliwości przemówienia „ludzkim głosem" o sprawach, które wydają się mało atrakcyjne, bo pozbawione emocji. To właśnie cytowani w książce ludzie dają temperaturę opisywanym wydarzeniom – co najmniej 36,6 °C. W kontekście wiedzy płynącej „Z dziejów najnowszych Koszalina" pozbawienie miasta statusu stolicy województwa uznać można za najbardziej dramatyczną – i uwstecznijącą na drodze cywilizacyjnego postępu – decyzję, która nie znajduje żadnego racjonalnego uzasadnienia. Spróbujmy zachować do niej mądry dystans patrząc na sprawy świata tego z poetyckiej perspektywy:

Pochwalony niech będzie sędzia, ksiądz dobrodziej
i polityk ze złotym brelokiem na brzuchu.
Student i artysta, co z głodu umiera,
królowa angielska i bitny generał.
Pochwalony sejm, senat, głupie, dobre rządy,
pochwalone te, tamte i owamte czasy.
I w niebie dzwon wielki, co się dźwiękiem toczy,
choć nikt nie wie, co on tutaj znaczy.

Natalia Konieczna

Na tropie magicznego Koszalina...

W 2006 roku światło dzienne ujrzała pierwsza książka autorstwa Piotra Polechońskiego pt. *Mój magiczny Koszalin*. Autor, „koszalinianin z urodzenia i z wyboru", jak sam o sobie pisze, zarazem dziennikarz „Głosu Pomorza" w latach 1998-2007, a później „Głosu Koszalińskiego" (od 2007), zebrał w niej swoje najciekawsze artykuły poświęcone historii miasta, które ukazały się na łamach „Głosu Pomorza" w latach 2004-2006. Wydawnictwo okazało się wielkim sukcesem i spotkało z bardzo pozytywnym odbiorem czytelników, stąd też tylko kwestią czasu było, aż pojawią się kolejne „opowieści".

Na kontynuację trzeba było czekać jednak aż cztery lata – dopiero w 2010 roku wydano *Koszalin w magicznym zwierciadle*, ale kolejne części ukazywały się już rok po roku: w 2011 wydano *Mój sen o Koszalinie*, a rok później ostatnią póki co pozycję z serii: *Dawno temu w Koszalinie*. Tym samym z nieśmiałego jeszcze projektu opowiedzenia o Koszalinie „inaczej", jakim była książka *Mój magiczny Koszalin*, powstała niezwykle ciekawa i imponująca rozmachem tetralogia będąca opowieścią Polechońskiego o Koszalinie – przede wszystkim jednak o Koszalinie mocno już dziś zapomnianym, Koszalinie z minionych lat. Jego tajemnicach, które warto odkryć niekiedy na nowo, niezwykłych ludziach, którzy związani byli z miastem, wydarzeniach, które kształtowały tożsamość miasta i miejscach, które już nie istnieją, a które odcisnęły swój ślad na tkance miasta, ale też tych, które przetrwały do dziś, a których historia została zapomniana. Wreszcie – o poszukiwaniu niezwykłości w mieście, które dla wielu jego mieszkańców i przybyszów z zewnątrz wydaje się być nudnym miastem bez historii i bez tożsamości.

Autor w całym cyklu próbuje jednak dowieść, że jest inaczej, cały czas poszukując owego mistycznego i owianego legendą „magicznego Koszalina", który znajduje nie tylko w faktycznie wielkich wydarzeniach, ale też w drobnostkach, swoistych perełkach, które tylko czekały na to, by je odkryć. Bo też i o poszukiwaniach tej nieuchwytnej niekiedy magii miasta są te książki – nie zawsze autorowi udaje się ją odnaleźć, nie zawsze też tropy, którymi podąża, są równie efektowne i zajmujące. Całość – wszystkie cztery składające się na cykl pozycje – robią jednak bardzo duże wrażenie i z takiej perspektywy należy je oceniać. W gruncie rzeczy bowiem jest to tak naprawdę jedna książka, jedna opowieść, którą Polechoński snuje od lat, a do której zaprasza także mieszkańców miasta tworzących tę opowieść wraz z nim.

Zasada konstrukcyjna wszystkich czterech książek jest bowiem taka sama i została wypracowana przez inicjującą cykl pozycję *Mój magiczny Koszalin*. W każdej z książek autor zbiera napisane przez siebie na łamach najpierw „Głosu Pomorza", później zaś „Głosu Koszalińskiego" artykuły ukazujące się pod szyldem „Wieści koszalińskich", poświęconych dalszej i bliższej historii miasta, które na potrzeby książkowej publikacji zostały odpowiednio opracowane. Metoda taka, ostatnimi laty coraz popularniejsza, ma jednak tyleż zalet, co i wad. Z jednej strony bowiem jest to założenie bardzo wygodne – umieszczenie w jednym tomie co ciekawszych artykułów z ostatnich kilku-kilkunastu miesięcy to gratka dla czytelników, którzy nie muszą już

zbierać wycinków z gazet i w zwartym wydawnictwie otrzymują przegląd efektów pracy autora z danego okresu. Z drugiej jednak strony taka konstrukcja wydawnicza konotuje pewne ograniczenia – książki te siłą rzeczy cechują się pewną wtórnością, nie otrzymujemy w nich bowiem żadnych nowych tekstów, których nie znalibyśmy z lektury prasy, wszelkie poprawki są bowiem nieznaczne, a dodatków jest stosunkowo niewiele, a to one właśnie są jednymi z najciekawszych elementów cyklu, choć w każdej kolejnej części odgrywają coraz mniejszą rolę. W *Moim magicznym Koszalinie* takim efektownym dodatkiem był rozdział *Koszalin na starej fotografii*, zestawiający zdjęcia tych samych miejsc i obiektów z różnych okresów, w *Koszalinie w magicznym zwierciadle* z kolei końcowe rozdziały prezentujące fotografię z Koszalina przedwojennego, powojennego i obecnego. Już w trzeciej odsłonie – *Moim śnie o Koszalinie* – tych dodatków pojawiło znacznie mniej: to ledwie kilkanaście zdjęć w rozdziale *Koszalin w obiektywie*, natomiast ostatnia pozycja – *Dawno temu w Koszalinie* – dodatków takich nie zawiera już wcale.

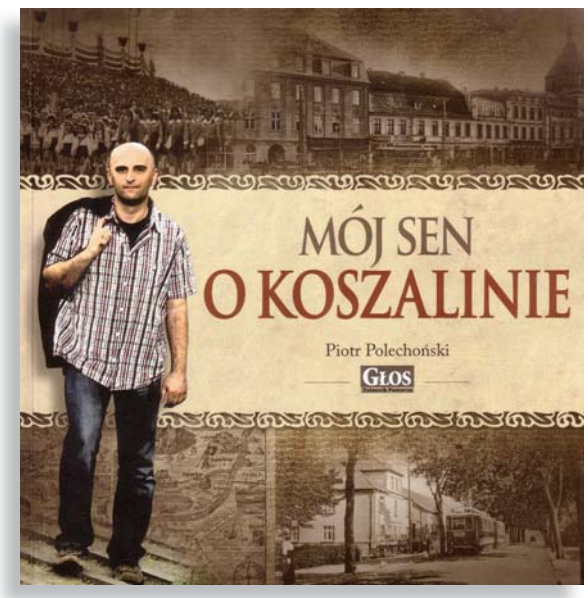

Piotr Polechoński, Mój sen o Koszalinie. Wyd. Głos Pomorza

To jednak nie wszystko. Taka metoda wydawnicza sprawia, że autor mimo woli wpada w jej pułapkę: trudno mówić bowiem o czterech różnych książkach, z perspektywy czasu widać bowiem doskonale, że jest to jedna i ta sama opowieść, mogąca się równie dobrze nazywać tak, jak pierwsza – *Mój magiczny Koszalin* lub *Na tropie magicznego Koszalina*. Tytuł drugiego tomu (*Koszalin w magicznym zwierciadle*) z jednej strony odnosi nas bezpośrednio do pierwszej książki, z drugiej zaś słowem „zwierciadło" autor zaprasza współczesnych koszalinian do poznania dawnych dziejów i mieszkańców tego miasta, by przez pryzmat historii spojrzeli na nasz Koszalin nieco inaczej. I to się jeszcze udaje, jednak tytuły kolejnych dwóch książek są już tyleż efektowne, co mało mówiące o ich zawartości – równie dobrze wszystkimi czterema tytułami można byłoby dowolnie żonglować, przyporządkowując je dowolnym częściom. Spójrzmy – *Mój sen o Koszalinie* zapowiada nam bardziej osobisty ton poszczególnych reportaży, o czym zresztą zapewnia nas w przedmowie sam autor. Nie potwierdza tego jednak żaden z tekstów, równie dobrze bowiem mogłyby się one znaleźć w którejkolwiek z książek Polechońskiego, a bardziej osobista jest chyba tylko okładka, na której w swobodnej pozie prezentuje się nam sam autor. Podobnie jest i z najnowszą książką, *Dawno temu w Koszalinie*, po której spodziewać można byłoby się raczej opowieści z zamierzchłej przeszłości miasta, otrzymujemy jednak typowy dla całego cyklu, mocno eklektyczny zestaw tekstów dobranych na zasadzie klucza chronologicznego (ułożone są bowiem według dat, w jakich ukazywały się w prasie), nie zaś jakiejś przemyślanej kompozycji tematycznej. O ile w przypadku tekstów prasowych taki miszmasz jeszcze się sprawdzał, o tyle w przypadku wydawnictwa książkowego jest to już pewna słabość.

Na szczęście nie jest to poważny zarzut wobec książek Polechońskiego – w nich najważniejsze są bowiem same opowieści, a w tych

można się zaczytywać z wielkim zainteresowaniem podążając obranymi przez autora ścieżkami. Co ważne jednak, duży udział we wszystkich książkach mają także sami czytelnicy – koszalinianie, którzy, jak wspomina sam autor, przesyłali listy i maile do redakcji „Głosu Koszalińskiego" oraz przychodzili i opowiadali historie swoje i swoich bliskich, odnajdywali stare fotografie, podsuwali pomysły na reportaże i zachęcali autora do dalszych poszukiwań. Tym samym sami stali się niejako współautorami cyklu – na kartach poszczególnych książek znajdziemy wszak oprócz artykułów autorstwa Piotra Polechońskiego także i takie, które są zapisem spotkań z czytelnikami wspominającymi przeszłość miasta, nie brakuje też wywiadów i rozmów z postaciami, bez których książki Polechońskiego nie byłyby tym, czym są – m.in. Danutą Szewczyk z koszalińskiego Muzeum (*Dawno temu w Koszalinie*) czy Joanną Chojecką, dyrektorką Archiwum Państwowego (tamże). Wsparcie mieszkańców i instytucji miejskich jest zresztą bardzo widoczne w całym cyklu – mecenat nad ostatnimi trzema objął Prezydent Miasta Koszalina (najpierw Mirosław Mikietyński, później Piotr Jedliński – obaj zresztą opatrzyli przedmową odpowiednio *W magicznym*... i *Dawno temu*...), a czytelnicy wspierali autora nie tylko wspomnieniami i opowieściami, ale także fotografiami i reprodukcjami zdjęć, bez których książki bardzo wiele by straciły – nie tylko w słowie leży bowiem siła snutej przez cztery tomy jednej historii opowieści, ale także w ilustrujących tę opowieść fotografiach ukazujących Koszalin, którego dziś już nie ma. Dzięki nim możemy zobaczyć, jak wyglądał niegdyś koszaliński dworzec kolejowy i jak powstawały słynne „Ptaki" Hasiora (*Koszalin w magicznym zwierciadle*), jak wyglądała nieistniejąca już dziś miejscowość Czajcze (*Mój sen o Koszalinie*) i jak niegdyś wyglądał koszaliński „Manhattan" (*Dawno temu w Koszalinie*). Najważniejsze, jak już zostało wspomniane, są jednak same opowieści, a tych w trzech ostatnich książkach zebrało się łącznie na ponad 500 stronach blisko

Piotr Polechoński, Koszalin w magicznym zwierciadle. Wyd. Głos Pomorza

sto (najwięcej – trzydzieści osiem – w ostatniej książce). Nie wszystkie są równie pasjonujące, nie wszystkie też wykorzystują swój potencjał, z każdej przebija jednak to, co przyświeca samemu autorowi – pasja odkrywania zapomnianej przeszłości i autentyzm, który sprawia, że przymykamy czasem oko na pewne niedociągnięcia, dając się porwać opowieściom.

W *Koszalinie w magicznym zwierciadle* znajdziemy m.in. opowieść o tym, jak Koszalin wyglądał w pierwszych miesiącach po 1945 roku, poznamy tajemnicę jednego z obrazów wiszących w katedrze, dowiemy się, jak przebiegały słynne dożynki z 1975 roku i jak koszalinianie sto lat temu odpoczywali na mieleńskiej plaży. Niezwykle ciekawa jest też historia powstawania dachu koszalińskiego amfiteatru i historia koszalińskich ratuszy.

W *Moim śnie o Koszalinie* zwraca uwagę przede wszystkim wspomniana już historia miejscowości Czajcze, reportaż o planach budowy w latach osiemdziesiątych elektrowni atomowej „Koszalin", opowieść o straszliwym pożarze z 1718 roku

i cykl komunikacyjny opisujący rozwój przedwojennej kolei i transportu samochodowego w Koszalinie, a z jednego z tekstów dowiemy się, w jakim dalekim mieście istnieje miniaturowa kopia przedwojennego Koszalina.

Pasjonujących historii nie brak też w ostatniej odsłonie cyklu – *Dawno temu w Koszalinie*, dedykowanej, co znamienne, „mieszkańcom Koszalina" (poprzednie dwie książki autor dedykował swoim synom). Tu natrafimy na tak ciekawe teksty, jak opowieść o zbójcach z Góry Chełmskiej, niezwykle interesujący materiał o fałszywych panoramach Koszalina, dowiemy się też, jak Koszalin rozrastał się na przestrzeni wieków, zajrzymy do wnętrza nieczynnej już dziś stołówki Politechniki i dowiemy się, co na jednym z witraży koszalińskiej katedry robi... Marcin Luter.

W tym imponującym materiale, który zebrał autor, każdy z pewnością znajdzie coś, co go zaciekawi, wszystkie te historie najlepiej bowiem czytać według własnego klucza, zwłaszcza, że przyjęta formuła kompozycyjna do niczego nas nie zobowiązuje i nie musimy czytać poszczególnych książek od deski do deski.

Wszystkimi tymi opowieściami autor próbuje nas przekonać, że Koszalin – wbrew obiegowym opiniom – jest miastem niezwykłym, magicznym. Nie robi tego na siłę, nie narzuca nam swojej wizji – przeciwnie, tropi, węszy, poszukuje „duszy miasta", dociera do „okruchów pamięci, które ponownie zbiera, ociera z kurzu i nazywa" – jak sam pisze w przedmowie do *Koszalina w magicznym zwierciadle*. I zachęca do tego swoich czytelników, mieszkańców miasta, zapraszając ich do zabawy w odkrywanie na nowo tego, co wydaje się już dobrze znane, ale też do poznawania przeszłości miasta, niekiedy trudnej, wobec której wielu współczesnych jest tak obojętnych. Autor tymczasem całym swoim cyklem udowadnia, że dzięki lepszemu poznaniu tej przeszłości – zarówno tej polskiej, jak i przedwojennej, niemieckiej – można lepiej zrozumieć charakter Koszalina. Nie tylko o lekcję historii i wyciąganie zeń wniosków chodzi, ważna jest bowiem radość odkrywania, która towarzyszy autorowi w zbieraniu materiałów do reportaży, a która udziela się czytelnikowi. Po lekturze książek Polechońskiego aż chce się wyjść w teren, do miasta (i za miasto!) i samemu trochę poszperać – wciąż bowiem zostało jeszcze sporo do opowiedzenia i odkrycia. Obawy autora z przedmowy do jego ostatniej książki są więc niesłuszne, o przeszłości i tożsamości Koszalina i jego mieszkańcach można jeszcze – i trzeba! – sporo powiedzieć, dopowiedzieć i pokazać, a póki nie brakuje czytelników, którzy są tych opowieści ciekawi, póty odkrywanie przeszłości w taki sposób, jak to robi Polechoński, ma sens.

Kwestią czasu jest więc ukazanie się kolejnej książki – patrząc na zainteresowanie, jakim cieszą się dotychczasowe cztery publikacje, można być pewnym, że tak się niebawem stanie...

Plany miast

12 grudnia, w siedzibie delegatury zachodniopomorskiego Urzędu Wojewódzkiego otwarta została wystawa „Plany miast w zasobie Archiwum Państwowego w Koszalinie". Ekspozycji, którą można było oglądać do marca 2013 roku, towarzyszył wydany z wielką starannością album pod tym samym tytułem.

O książkowej edycji „Planów miast w zasobach Archiwum Państwowego w Koszalinie" czytamy na stronie internetowej www.archiwa.gov.pl: Publikacja miała na celu zarówno rozpoznanie i uporządkowanie wiedzy o kartograficznych źródłach przechowywanych w zasobie koszalińskiego Archiwum, jak i popularyzację wiedzy o tego typu przekazach historycznych. Wśród licznych akt i dokumentów zgromadzonych w zasobie Archiwum Państwowego w Koszalinie oraz jego oddziałów w Słupsku i Szczecinku, dokumentacja kartograficzna zajmuje szczególne miejsce. Na ten zbiór, liczący ponad 32 tysiące kartografików, składają się m.in. mapy topograficzne, plany miast i wsi, a także plany katastralne. Plany miast stanowią przykład dokumentacji, do której chętnie i często sięgają użytkownicy archiwów państwowych.

W Archiwum Państwowym w Koszalinie przechowywanych jest ponad 200 różnego rodzaju planów miast, które, z wyjątkiem Lęborka, Piły i Trzcianki, w latach 1950-1974 należały do ówczesnego województwa koszalińskiego. Plany te pochodzą z lat 1793-1977. Niniejszy album zawiera wybór 48 planów z zasobu Archiwum w Koszalinie oraz 2 plany Szczecinka z zasobu Oddziału w Szczecinku. Prezentowany materiał dobrano w taki sposób, aby jak najszerzej ukazywał różnorodność sposobów wykonania i zawartych informacji oraz dotyczył jak największej liczby miejscowości. Plany przedstawiają 28 różnych miast głównie z terenu Pomorza Zachodniego, ale także z Wielkopolski (Piła, Trzcianka) i pochodzą z lat 1810-1955.

Powstanie niniejszego wydawnictwa było możliwe dzięki wsparciu finansowemu naszego projektu przez Władysława Stępniaka, Naczelnego Dyrektora Archiwów Państwowych, Olgierda Geblewicza, Marszałka Województwa Zachodniopomorskiego, Andrzeja Jakubowskiego, Wicemarszałka Województwa Zachodniopomorskiego, Piotra Jedlińskiego, Prezydenta Miasta Koszalina, Jerzego Hardiego-Douglasa, Burmistrza Szczecinka oraz Waldemara Miśko, Burmistrza Karlina. (...)

„Plany miast w zasobie Archiwum Państwowego w Koszalinie", pod redakcją Joanny Chojeckiej, Wyd. Archiwum Państwowe w Koszalinie, Koszalin 2012

Małgorzata Kołowska

Spóźniony prezent

Dlaczego w almanachu podsumowującym rok 2012 cofamy się do obchodzonego w 2011 roku półwiecza Archiwum Państwowego w Koszalinie? Zbliżający się jubileusz był okazją do podjęcia przedsięwzięcia wydawniczego, które by minione 50 lat koszalińskiej archiwistyki zamykało. Z różnych względów nie zdążono z edycją na urodzinową fetę, ale imponujący rozmiarami i starannością edytorską – to zdaje się być już znakiem rozpoznawczym AP w Koszalinie – tom „Archiwa i społeczeństwo. Pół wieku działalności Archiwum Państwowego w Koszalinie (1953) 1961-2011" ujrzał światło dzienne.

Jeśli pocieszać się formułą „co nagle, to po diable", to opóźnienie na pewno wyszło na dobre publikacji przygotowanej pod redakcją dyrektor **Joanny Chojeckiej**, która w słowie wstępnym napisała: (współczesne archiwa) *pomagają dokonać oceny dziedzictwa kulturowego w kategoriach jego wartości, nie zaś ideologii, której służyło. Archiwa jawią się tym samym jako powiernicy kultury materialnej przeszłości w postaci źródeł historycznych. „Kultura to umiejętność dziedziczenia". Niech ta refleksja przyświeca Państwu w trakcie lektury przygotowanego przez nas materiału merytorycznego. Jest różnorodny. Współczesność, wśród wielu istotnych problemów, także i ten, poświęcony złożonej relacji między archiwami a społeczeństwem, powinna poddawać rozważaniom*.

Składające się na publikację artykuły zgromadzone zostały w działach: HISTORIA, ARCHIWA I ICH ZASOBY oraz ARCHIWUM PAŃSTWOWE W KOSZALINIE – 50 LAT DOŚWIADCZEŃ. Wszystkie teksty otrzymujemy w wersjach językowych polskiej i niemieckiej. Znajdujemy tu m.in. prof. **Kazimierza Kozłowskiego** „próbę oceny źródeł i zarys dziejów Pomorza Zachodniego w latach 1945-2005". Poznajemy także historię projektu p.n. Elektrownia Jądrowa „Koszalin". Ale sięgamy też średniowiecza, **Martin Schoebel** z Landesarchiv Greisvald prezentuje dokumenty dotyczące dawnego Koszalina (bogaty ich wybór ilustruje tekst niemieckiego archiwisty). O różnych aspektach półwiecznej działalności koszalińskiego (a także słupskiego – bo w pewnym okresie była to jedna instytucja) AP piszą ci, którzy tę historię tworzyli i nadal tworzą z Joanną Chojecką na czele.

Rozpisane na blisko pół tysiąca bogato ilustrowanych stron dzieło stanowi doskonałe kompendium wiedzy na temat przeszłości i współczesności samego archiwum, a także utrwalonej w jego zasobach przeszłości Koszalina, nie wyłączając niemieckiej jej części.

Archiwa i społeczeństwo. Pół wieku działalności Archiwum Państwowego w Koszalinie (1953) 1961-2011", Koszalin – Pruszcz Gdański 2011

Małgorzata Kołowska

O malowaniu ogrodów

Rok 2012 okazuje się wcale bogaty w ofertę książkową związaną z Koszalinem, choć nie wszystkie wydawnictwa ukazujące się za sprawą tu mieszkających autorów lub pod szyldem koszalińskich oficyn wydawnictwa pretendują do szlachetnego miana literatury pięknej. Czy to oznaka tryumfu partykularyzmu nad szukaniem uniesień sobie a muzom – trudno rozstrzygać, choć chciało by się jednak zaprzeczyć. Tym ciekawsze propozycją wydawniczą wydaje się książka – album „Barwy w ogrodzie", autorska koszalińskiego niegdyś dziennikarza (ponoć nigdy nie porzuca się tej profesji, bo to raczej nałóg uważnego obserwowania rzeczywistości i jej opisywania), obecnie architekta krajobrazu (po studiach podyplomowych w tym zakresie w warszawskiej SGGW), od wielu zaś lat miłośnika ogrodów, który przekuwając hobby w profesję nie przestał być amatorem w pierwotnym znaczeniu słowa wszak od słowa Amor – miłość – pochodzącego. To ważne, bowiem to właśnie niekłamana miłość do ogrodów wyziera z każdej strony książki – z każdego wersu pomieszczonego tu tekstu, i fotografii autorstwa Bogdana Plomina, które są plonem peregrynacji po różnych ogrodach; nie mogło zabraknąć zdjęć utrwalających piękno jego własnego – stworzonego od podstaw – ogrodu, na którego pielęgnację, jak się okazuje, coraz mniej pozostaje czasu.

Na rynku księgarskim mniej lub bardziej zawansowani ogrodnicy mogą znaleźć multum książek poradnikowych, pokazujących różne style panujące w ogrodach, różne mody i trendy – bo nie omijają one wolnych przestrzeni, jakimi szczęśliwi posiadacze domków, willi i innych nieruchomości mogą się otaczać, kształtując je podłóg różnych potrzeb, gustów i... zasobności kont bankowych. Czym więc jest książka Bogdana Plomina, że warto zwrócić na nią szczególna uwagę? Przede wszystkim jest to zbiór zapisanych w formie felietonowej – lekkiej zatem, zwiewnej i ulotnej jak liść, od którego Francuzi wywiedli nazwę tego gatunku publicystycznego często ocierającego się literaturę piękną – refleksji o roli barwy w ogrodzie, o „malowaniu ogrodów" sięgając po kompozycje monochromatyczne lub – przeciwnie – oparte na kontrastach, kierując się modnym minimalizmem lub nie obawiając się barokowego rozbuchania form i barw czy wręcz próbująca zaszczepić na swoim ucywilizowanym

Bogdan Plomin, Barwy w ogrodzie. Wydawnictwo ARKADY, Warszawa 2012.

spłachetku ziemi nieokiełznaną bujność traw, spontaniczność łąki czy wielobarwny żywioł wiejskiego ogrodu.

Autor dzieli się swoim doświadczeniem i swoją wiedzą, godząc liryczne niekiedy rozważania o roślinach i ich komponowaniu z praktycznymi umiejętnościami korzystania z najlepszym skutkiem z właściwości gleby, na jakiej chcemy by wzrastał nasz ogród.

Zasady aranżowania ogrodu łączy autor z wiedzą o oddziaływaniu barw na ludzką psychikę, podsuwa także sposoby, jak optycznie zmieniać przestrzeń, dając złudzenie rozległości, lub kameralności – wedle życzenia posiadacza.

Malowanie ogrodu barwami żywych roślin jest tym, czym u malarza posługiwanie się farbami. Wielu zresztą genialnych artystów brało sobie ogród za temat. A byli i tacy, którzy zasłynęli też jako wybitni ogrodnicy – pisze Bogdan Plomin, przywołując m.in. przykład Claude'a Moneta: *„ojciec impresjonizmu, prócz setek płócien ma w swoim dorobku jeszcze jeden bezcenny obraz – ogród w Giverny. Ogrodnictwo było jego drugą pasją, równie wielką co malarstwo. (...)*

Mówiąc o angielskim przepisie na ogród przywołujemy zwykle – często tylko podświadomie – elementy matrycy opracowanej na przełomie XIX i XX wieku przez wspomnianą już wcześniej, słynną projektantkę ogrodów Gertrudę Jekyll. Też była malarką. Choroba oczu kazała jej zamienić blejtram, farby i pędzle na grządki i narzędzia ogrodnicze, nadal pozostała jednak wielką artystką. Ogrody stworzone przez Jekyll są dziś odwiedzane równie chętnie, co najsłynniejsze galerie sztuki. (...)

Moim ulubionym kolorystą jest Piet Oudolf. Nie jest malarzem, ale tworzy zachwycające pastele. Farbami tego holenderskiego mistrza sztuki ogrodowej są byliny. Często przenosi je do ogrodu wprost z ich naturalnych stanowisk. Obok siebie sadzi gatunki o podobnej tonacji barw i wielkości. Przy doborze roślin kieruje się swoistym pragmatyzmem – muszą one także po przekwitnięciu zdobić ogród: zasuszonymi kwiatostanami, kłosami, liśćmi, pędami. Rozległe łąki, malowane szerokimi pociągnięciami pędzla, powtarzającymi się pasami roślin szczelnie pokrywających ziemię, urzekają urodą przez cały rok. (...)

Wybór barw do ogrodu – powtórzmy to raz jeszcze – jest sprawą głęboko osobistą. Znajomość teorii kolorów, ich świadomego zestawiania w pięknie brzmiące kompozycje jest z pewnością bardzo przydatna w projektowaniu ogrodu, decydujące wszakże są w tym względzie indywidualne preferencje, nasz smak i intuicja. Także moment życia, w jakim właśnie jesteśmy i wynikające stąd postrzeganie świata – nie bez przyczyny przecież w życiu artystów pojawiały różne barwne epoki, jak choćby u Picassa, który miał swój okres „błękitny" czy „różowy"...

W kolejnych rozdziałach poznajemy ogrody białe, niebieskie, czerwone (jak zupa pomidorowa z bazylią – to jeden z żartobliwych tytułów wyprowadzony z fachowych nazw i... upodobań autora), pomarańczowe, a także te całkiem zielone, i te przyciągające wzrok – jak motyle – swą niesforną pstrokacizną. *Najwyższą instancją powinna pozostawać radość tworzenia. Która w ogrodzie niech trwa jak najdłużej*- pisze Bogdan Plomin.

Kontakt z „Barwami w ogrodzie" także dostarcza przyjemności i to na różnych poziomach odbioru; Książka to bowiem piękna za sprawą słowa, którym owe barwy są malowane, także za sprawą bogactwa starannie dobranych fotografii oraz urody malarskich impresji autorstwa koszalińskiej artystki, architekta wnętrz i „zewnętrz" (po tych samych studiach podyplomowych w SGGW) **Grety Grabowskiej**, która praktyczne wskazówki ogrodnika ubrała w malarski kształt akwareli. Jeśli dodamy, że książka ukazała się nakładem oficyny, która specjalizuje się w albumach poświęconych sztuce, nie potrzeba więcej argumentów poświadczających, że jest pozycją wyjątkową.

Anna Marcinek-Drozdalska

Zostawiam za sobą ślady stóp...

100-lecie urodzin Gracjana Bojara-Fijałkowskiego

Gdy przed stu laty państwu Fijałkowskim w Bobrownikach koło Włocławka przyszedł na świat kolejny syn, Gracjan, nikt nie mógł przewidzieć, jaki los jest pisany i jemu, i całemu jego pokoleniu. Wzorem starszych braci, po zdaniu matury związał swój los z karierą wojskową – ukończył Szkołę Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu Był oficerem kampanii wrześniowej. Internowany na Litwie – zbiegł do Warszawy. Działał w Armii Krajowej na Ziemi Sandomierskiej. Ponownie aresztowany trafił na 1,5 roku do obozu koncentracyjnego w Auschwitz. Przebywał tam wraz z bratem Włodzimierzem. Czas obozowy dzielił ze znanym po wojnie pisarzem, Tadeuszem Borowskim. Gdy rozpoczęła się ewakuacja obozu, Gracjan Bojar-Fijałkowski znalazł się w transporcie do Alzacji, ponownie zbiegł i trafił do armii francuskiej. Tutaj, w niemieckiej miejscowości Biberach, był w latach 1945-1946 dowódcą szwadronu polskiego przy armii francuskiej. Natomiast zdjęcia z Wetzlar z roku 1946 pokazują go już jako dowódcę Kompanii Mazowieckiej przy armii amerykańskiej.

Pomimo zachęt do pozostania na obczyźnie, zdecydował się na powrót do kraju. Wrócił w roku 1947 najpierw na Śląsk, następnie przeniósł się do Pasłęka, by w końcu znaleźć stabilizację w Koszalinie, w którym wraz z rodziną zamieszkał w 1957 roku.

Tu rozpoczął pracę dziennikarską w „Słowie Powszechnym" i, jak wspominał, osiedlenie się w Koszalinie było dość przypadkowe. Pozostał jednak temu miastu wierny i w nim zakończył życie 24 grudnia 1984 roku.

W Koszalinie był znanym działaczem społecznym. Pracował w Towarzystwie Ziem Zachodnich, był aktywnym działaczem Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, pracował w strukturach Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, był radnym WRN-u. Własne przeżycia wojenne, a także zainteresowanie historią Pomorza, przyczyniły się do pogłębienia badań nad najnowszymi dziejami tych ziem. Ukoronowaniem tej pracy był doktorat poświęcony *Hitlerowskiej polityce wobec jeńców wojennych na Pomorzu Zachodnim*, obroniony w roku 1977 na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Na kanwie tej pracy powstało studium „Losy jeńców wojennych na Pomorzu Zachodnim i w Meklemburgii 1939-1945; wydane przez MON w roku 1979. Tematyce obozów i przeżyć wojennych poświęcił Gracjan Bojar-Fijałkowski także powieść *Powilcze*, której akcja dzieje się w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, wspomnienia *Powrót z tamtego brzegu*, studium *Obóz jeniecki w Czarnem Stalag IIB Hammerstein* oraz opracowanie *Śladami żołnierskiej drogi (z dziejów ruchu kombatanckiego na Ziemi Koszaliskiej*).

Na drugim biegunie zainteresowań Gracjana Bojara-Fijałkowskiego znalazła się zamierzchła przeszłość Pomorza. To jego historię, specyfikę Ziemi Pomorskiej ujął w kilku opracowaniach poświęconych codziennemu życiu mieszkańców przed wiekami, ich zwyczajom i obyczajom, ludowym obrzędom, pracy i rozrywkom.

Tak powstały opowieści *Morze szumi jak dawniej*, którymi debiutował późno, bo w roku 1961 i *Szczęście pod jaskółczym gniazdem* z roku 1986. Z tematyką pomorską związane jest także opracowanie poświęcone postaci świętego Ottona z Bambergu oraz zamkowi w Drahimiu.

Bogata była także, i chyba najbardziej do dziś popularna, twórczość legendopisarska. Począwszy od wydanej w roku 1964 *Pieśni Swantibora*, napisał Gracjan Bojar Fijałkowski jeszcze kilka tomów legend, opublikowanych za jego życia jako *Legendy koszalińskiego grodu*, „Legendy znad drawskich jezior", *Legendy ze słowińskiej checzy*, *Wróżba Swantewita: wybór baśni, podań i legend Pomorza Środkowego*. W obszernym tomie zbiorowym legend pomorskich *W krainie Gryfitów* twórczość Gracjana Bojara-Fijałkowskiego znalazła się w bogatym wyborze.

Po śmierci pisarza jedynym wydaniem legend jego autorstwa był tom *O zbójcach z Góry Chełmskiej i inne legendy o Koszalinie,* wydany w roku 2006 przez Koszalińską Bibliotekę Publiczną.

Stulecie urodzin tego zasłużonego mieszkańca Koszalina stało się pretekstem do przypomnienia jego osoby, działalności społecznej, pracy dziennikarskiej, historycznej i literackiej. Szczególna w tym zasługa córki pisarza, **Anny Fijałkowskiej**, która niestrudzenie przypomina sylwetkę swego ojca, szukając przy tym sprzymierzeńców i życzliwych współpracowników.

Koszalińska Biblioteka Publiczna odpowiedziała na ten apel pani Anny. Wspólnie dokonano planów i przymiarek, mierząc siły na zamiary, co ważne było szczególnie w sytuacji niedofinansowania pierwotnych zamierzeń.

Warto wspomnieć, że osoba Gracjana Bojara-Fijałkowskiego w działalności biblioteki obecna była nie tylko z racji rocznicowych obchodów. Postać pisarza została uhonorowana poprzez nadanie jego imienia Filii Bibliotecznej nr 3, która jest jedyną w mieście biblioteką typowo dziecięcą. Od 25 lat biblioteka ta organizuje konkurs na ilustrację do legend Gracjana Bojara-Fijałkowskiego. Do tej pory brały w nim udział dzieci z koszalińskich szkół i przedszkoli. Sześć lat temu obrazki wykorzystane zostały jako ilustracje do nowego wydania legend, których edytorem była Koszalińska Biblioteka Publiczna.

W tym roku, z racji okrągłej rocznicy urodzin pisarza, konkurs został rozszerzony na cały powiat koszaliński. Jego plon był niezwykle obfity – wpłynęło 400 prac plastycznych. Wieść o konkursie rozeszła się szeroko, gdyż nawet szkoła z Olsztyna przysłała prace – niestety, z powodów regulaminowych nie mogły być one oceniane razem z innymi. Do grona laureatów konkursu jury wybrało aż 70 osób, których prace znalazły się na wystawie w Galerii Region w KBP. Podsumowanie konkursu odbyło się w towarzystwie wystawy plastycznej, z licznym udziałem dzieci, wychowawców i rodzin młodych plastyków. Dzieci otrzymały nagrody książkowe oraz zestawy plastyczne. Na spotkaniu podsumowującym konkurs o legendach pomorskich mówiła dr **Kazimiera Wołos**. Ponad 30 ilustracji zostało wybranych do nowego tomu legend, nad kształtem którego czuwała pani Anna Fijałkowska. To ona dokonała wyboru 33 tekstów, wśród których znalazły się cztery, jeszcze nigdy niedrukowane. Opublikowanie nowego wydania legend pod tytułem *O księżniczkach, zbójcach, karzełkach i*... stało się możliwe dzięki zaangażowaniu sponsorów, których życzliwość i zrozumienie przyczyniło się do sfinalizowania tej edycji. Są to: Gdańska Wyższa Szkoła Humanistyczna Filia w Koszalinie, Miejska Energetyka Cieplna Sp. z o.o. w Koszalinie, Miejskie Wodociągi i Kanalizacja Spółka z o.o. w Koszalinie oraz Zakład Elektronicznej Techniki Obliczeniowej w Koszalinie.

Książka ukazała się w początkach grudnia 2012 roku. Na promocję 6 grudnia zaproszone zostały dzieci, których ilustracje trafiły do książki. Dzięki ich barwności i pomysłowości tom edytorsko prezentuje się bardzo interesująco. Nasze obawy, czy legendy znajdą zainteresowane wśród koszalinian, zostały rozwiane dzięki ponad 100 osobom, które uczestniczyły w tej

promocji. Wszyscy młodzi ilustratorzy zostali obdarowani słodyczami i książkami, chętnych na otrzymanie publikacji było tak wielu, że, niestety, nie dla wszystkich wystarczyło tomów przeznaczonych na promocję.

Ci, którzy w tych dniach odwiedzili gmach główny biblioteki, mogli także zapoznać się z wystawą poświeconą Gracjanowi Bojarowi-Fijałkowskiemu, prezentowaną w Galerii Region przez cały grudzień. Wystawa ta będzie także udostępniana w bibliotekach powiatu koszalińskiego.

Książnica koszalińska nie poprzestała na wydaniu legend i ich promocji. Proponujemy dzieciom z koszalińskich szkół lekcje biblioteczne, poświęcone postaci pisarza i jego twórczości. Barwna prezentacja multimedialna pokazuje historię życia Gracjana Bojara-Fijałkowskiego, jego dokonania literackie a także miejsca w Koszalinie, w których osoba pisarza została uhonorowana – bibliotekę dla dzieci oraz ulicę jego imienia. Uczniowie koszalińskich szkół mają także możliwość przekonać się, jaki kształt plastyczny nadała legendom wyobraźnia profesjonalnych ilustratorów oraz dzieci biorących udział w konkursie w różnych latach.

W przedsięwzięciach biblioteki zawsze uczestniczyły dzieci pisarza; Anna, Zbigniew i Czesław, których serdeczne wspomnienia o ojcu odbrązawiają tę postać. Wraz ze wspomnieniami wrócono także do lat 80-tych, kiedy to w gmachu głównym biblioteki został uroczyście otwarty gabinet Gracjana Bojara-Fijałkowskiego, w którym zgromadzono pamiątki, meble i przedmioty codziennego użytku pisarza. Rodzina przekazała także bibliotece cenne osobiste dokumenty, rękopisy i maszynopisy.

Ukłonem ze strony miasta było nadanie w styczniu 1985 roku jednej z koszalińskich ulic imienia Gracjana Bojara-Fijałkowskiego. Przy tej ulicy mieszka syn pisarza, Zbigniew.

Obchody 100 rocznicy urodzin koszalińskiego pisarza i historyka trwały w naszym mieście i okolicach od września do grudnia. Bardzo cenny jest fakt, iż biblioteka w tych działaniach nie była osamotniona. Znaleźliśmy wsparcie u pana **Kazimierza Salika**, który w prowadzonym przez siebie w Grabówku koło Sianowa gospodarstwie agroturystycznym „Pod jaskółczym gniazdem" prowadzi cykl zajęć związanych z pisarzem i jego twórczością. Myśli także o utworzeniu małego muzeum pisarza. W dawnym budynku gospodarskim, zaadaptowanym na salę do zajęć i zabaw, Gracjan Bojar-Fijałkowski ma poświęcony sobie „kącik". Dzieci poznają sylwetkę pisarza, jego twórczość, a następnie z pomysłowych klocków budują baśniowe światy, uczą się malowania na szkle, wykonywania ozdób ze słomy, poznają dawne zwyczaje i obyczaje ludowe, o których pisał w swych książkach G. Bojar-Fijałkowski. Podobizny jamneńskich

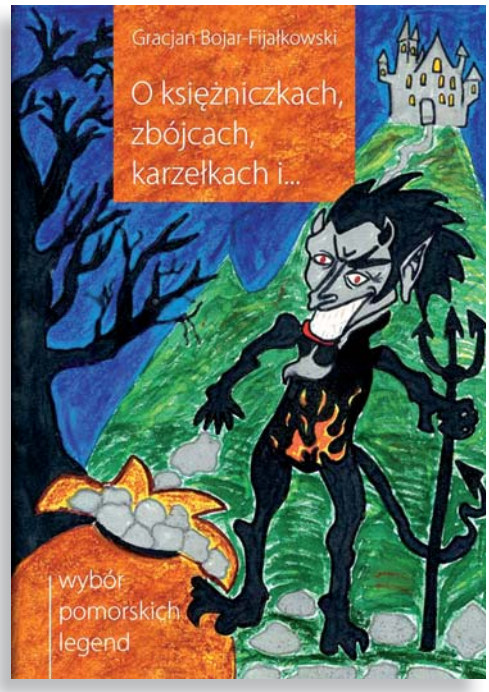

Gracjan Bojar-Fijałkowski, O księżniczkach, zbójcach, karzełkach i... Wybór pomorskich legend. Koszalińska Biblioteka Publiczna, Koszalin 2012.

„julków", czyli krasnali zdobią salę do zajęć. Także Gmina Sianów planuje wydanie broszurowe legend, których akcja dzieje się w Sianowie i okolicach, a które zostaną zilustrowane przez miejscowe dzieci.

Do obchodów 100 rocznicy urodzin Gracjana Bojara-Fijałkowskiego włączył się również Teatr Propozycji Dialog, który w oparciu o tekst *Powrót z tamtego brzegu* przygotował wieczór wspomnień. 20 grudnia, w kameralnej atmosferze Domku Kata **Jerzy Litwin** i **Mirosław Krom** przy wsparciu **Marii Ulickiej** zaprezentowali fragmenty wspomnień Gracjana Bojara-Fijałkowskiego mówiące o kolejnych etapach jego trudnego, lecz ciekawego życia.

Kultura przekazu, wyważenie emocji, bogactwo doświadczeń pisarza złożyły się na wzruszenie, które udzieliło się zebranym. Mocnym akcentem zakończyła ten ciepły wieczór córka pisarza, Anna, czytając swoisty testament ojca, który tutaj zamieszczamy:

Piszę te słowa, ponieważ wiem, że kiedyś odejdę. Ja. więzień numer 137632, zabiorę z sobą pamięć o ludziach, których byłem przyjacielem lub wrogiem – i o zdarzeniach, których byłem świadkiem. Mógłbym je zachować dla siebie lub po prostu o nich zapomnieć, gdyby stanowiły moją własność. Ale one nie są moją własnością – są cząstką ludzkich dziejów, więc należą do wszystkich. Gdyby było inaczej, wówczas fakt przeżycia nie miałby żadnego sensu.

Piszę wspomnienia, ponieważ wiem, że zostawiam za sobą ślady stóp, które wydeptały bardzo długą drogę. Szedłem tą drogą – prowadziła do nikąd. Wróciłem... sam jeden.

Mam obowiązek ocalić pamięć tych, którzy nie wrócili.

SZTUKA I ARCHITEKTURA

Anna Makochonik

KOSZART antyatomowy dla nielicznych

Mogło by się wydawać, że KOSZART 2012 (25-26 maja) z jego debiutem w 2011 roku łączy jedynie nazwa i nazwiska organizatorów. Druga odsłona imprezy to inny pomysł i estetyka. Jednak obie te realizacje – chociaż w różny sposób – pokazały, na czym polega Festiwal Sztuki w Przestrzeni Publicznej. Pole uwagi jest tu właściwie nieograniczone – stałym elementem jest jedynie miasto z jego strukturą, problemami i energią. Koszalinowi, miastu w pewnym sensie bez właściwości, taki festiwal być może jest bardziej potrzebny, niż jakiemukolwiek innemu. Także dlatego, że w idei „Koszartu" jest coś niezwykle pozytywnego: chęć odkrywania, przywracania, zamiany świata nieprzedstawionego w przedstawiony. KOSZART z atomem w temacie to wciąż ta sama impreza, owszem, artystyczna, ale także społeczna, polityczna i – przede wszystkim – dyskursywna. Taka właśnie jest sztuka współczesna.

Miało być inaczej. **Ryszard Ziarkiewicz**, dyrektor KOSZART-u , na fali dobrego przyjęcia festiwalu w 2011 r. snuł plan mocniejszego„wyjścia w miasto" w następnej jego edycji. Zapowiadał uruchomienie energii miejskiej przez muzykę, teatr, taniec, potencjał młodych i obecność znamienitych postaci kultury i sztuki. Kilka miesięcy później ogłosił, że owszem, KOSZART będzie o energii, ale atomowej. Jakby „od czapy", nie po drodze. Koncepcja założycielska festiwalu – podobna dla wszystkich tego typu inicjatyw – czyli miasto z jego dziedzictwem, dynamiką, specyficznym potencjałem będącym inspiracją dla artystów – to jasny kierunek, ale – na litość boską – co ma atom do sztuki? Czy sztuka w ogóle da radę o tym opowiadać? I po co?

Warto pamiętać, że wszelkie inicjatywy realizowane w przestrzeni publicznej – także festiwale takie jak KOSZART – zawsze mają charakter publicystyczny. Ich naturą jest przepływ myśli społecznej, wyrażonej przez sztukę. W tym kontekście temat – „Atomowy Koszalin?" nie wydaje się już ani dziwny, ani głupi. Ani nawet zaskakujący – chyba, że trafnością wyboru pola problemowego.

A atom to problem i z pewnością dotyczy przestrzeni publicznej: Koszalina, regionu i Polski. Jak ważny i wciąż aktualny to temat, można się przekonać, ucinając sobie spacer po Mielnie, gdzie co drugi płot zdobi żółty plakat z napisem „atom stop". Dziś (maj 2013) wiadomo, że elektrownia w Gąskach prawdopodobnie nie powstanie, czyli „gąskobylu" nie musimy się obawiać. Jednak w drugim półroczu 2011 i pierwszej połowie 2012 r. żaden temat nie budził tak silnych i skrajnych emocji i wciąż wisiał w powietrzu. W mediach, prywatnych rozmowach, syntezach i analizach specjalistów, w kontekście ekonomicznym, ekologicznym, społecznym, politycznym. Część lokalnej społeczności na pomysł zareagowała po prostu strachem, mając przed oczami świeże telewizyjne obrazy kataklizmu po wybuchu reaktorów w Fukushimie. Wizja gigantycznych dymiących kominów, które wyłaniają się z Bałtyku chłodzącego reaktory, w regionie turystycznym, do którego na wakacje zjeżdża pół Polski, by cieszyć się widokami, przyrodą i czystym powietrzem, dla wielu osób brzmi jak ponury żart. Z rozbawienia należy wyłączyć nadmorskich przedsiębiorców utrzymujących się z turystyki – dla nich perspekty-

wa bankructwa lub (i) konieczności szukania nowego sposobu na życie raczej skłaniała do sięgnięcia po środki uspokajające. Część osób pozostała w poczuciu ambiwalencji, podnosząc argument, że inwestycja to ogromne pieniądze, kilkanaście tysięcy miejsc pracy i szansa rozwoju dla całego regionu. Jeszcze inni ten właśnie argument w ogóle uznali za arbitralny wobec obciążonego dużym bezrobociem, martwego przemysłowo Koszalina. Elektrownia to worek z pieniędzmi – twierdzili – będziemy z tego wszyscy korzystać, a ryzyko wybuchu przy stosowanych współcześnie technologiach jest, rzekomo, minimalne.

Organizatorzy KOSZART-u postanowili rozdźwięk w postawach wykorzystać twórczo i uczynić z festiwalu plebiscyt: – Festiwal nie ma niczego wyrokować. Ma być natomiast forum do rozmowy. Tak mało i aż tyle. „Atomowy Koszalin?" – znak zapytania jest tu najistotniejszy. Zasada bezstronności obowiązywała we wszystkich festiwalowych propozycjach, odpowiedź dawały realizacje artystyczne. Wyzwanie podjęła fotografia, film, *graffitti*, teatr, happening, po raz kolejny dowodząc, że sztuka nie boi się mówić o wszystkim, zadawać niewygodnych pytań, a każdy temat potrafi przetłumaczyć na swój język.

Dyskusja od początku – trochę wbrew planom organizatorów – miała jednak wymiar jednostronny i festiwal, w sposób niezamierzony, stał się właściwie dwudniowym happeningiem przeciw budowie elektrowni. Na palcach jednej ręki można policzyć otwarte proatomowe deklaracje, za to aktywiści po stronie „anty" do festiwalu przygotowali się na szóstkę. Ubrani w charakterystyczne żółte stroje zajrzeli w każdy zakamarek festiwalowych miejsc; uzbrojeni w ulotki, broszury, informatory, flagi, gadżety i wiedzę dyskutowali z widzami, przechodnia-

„Koszart"- antyatomowy happening pod „Hasiorem". fot. Wojciech Grela

mi i namawiali do podpisywania petycji antyatomowej. W centrum festiwalowym – stanowił je doprawdy uroczy, wydzielony między dwoma trawnikami niedaleko amfiteatru placyk w Parku Książąt Pomorskich – wartę pełniły plastikowe maszkarony naturalnych rozmiarów, w maskach przeciwgazowych, stoły zapełniały broszury, wydawnictwa i rozliczne opracowania dostarczone przez kilkunastu współorganizatorów KOSZART-u – instytucji związanych głównie z ekologią i promowaniem alternatywnych źródeł energii.

Spadkobiercy Czarnobyla

KOSZART 2012 otworzyła wystawa fotografii **Roberta Knotha** (to nie literówka; **Robert Knuth**, *nota bene*, też się na festiwalu pojawił) pn. „Nigdy więcej Czarnobyla". Knoth to utytułowany holenderski twórca, niegdyś znany z portretowania gwiazd muzyki, potem z reporterskich wypraw do m.in. Afganistanu, Kosowa, Sudanu, Kazachstanu i Somalii. Obok usytuowanej przy centrum festiwalowym ekspozycji uzupełnionej lapidarnymi opisami **Antoinette de Jong** trudno było przejść obojętnie. Przypominają – wbrew atomowej propagandzie – że gdy jednak zawiedzie ta niezawodna technika, ofiarę poniosą ludzie. Zdeformowane ciała, nowotwory, schorzenia przekazywane z pokolenia na pokolenie to cena za eksperyment, który przed 26 kwietnia 1986 r. miał się przecież powieść. Jego spadkobiercy przez dwa festiwalowe dni patrzyli widzom prosto w twarz.

Filmy atomowe

Niejako festiwal w festiwalu stanowił pokaz filmów „atomowych". Ich wyboru dokonał współpracujący z Galerią Scena **Przemysław Młyńczyk**, prezes Fundacji Młodego Kina, organizator goszczącego u nas festiwalu Euroshorts i reżyser dokumentu „Artyści z Koszalina" poświęconego koszalińskiemu środowisku twórców i propagatorów sztuki współczesnej. Okazuje się, że filmów o tematyce atomowej na przestrzeni pięćdziesięciu lat powstało całkiem sporo. Pozostając w poetyce bezstronności pokaz podzielony został na dwie części: „Atom pozytywny" – seanse w pierwszym dniu festiwalu i „Atom negatywny" – drugiego dnia. W repertuarze znalazło się kilkanaście pozycji: dokumenty, fabuły i animacje m.in. z USA, Wielkiej Brytanii, Japonii i Polski, w tym produkcje sprzed kilkudziesięciu lat i te najnowsze, o katastrofie w Fukushimie.

O ile filmy z dnia pierwszego poświęcone były głównie aspektom technologicznym, procedurom i korzyściom płynącym ze stosowania energii jądrowej, o tyle produkcje na „nie" to już wybór obrazów poruszających kwestie bezpieczeństwa i tragicznych skutków ewentualnego wybuchu. I tak obok animacji „A jak atom" z 1952 r., pokazującej pokojowe wykorzystanie energii atomowej, znalazła się już bardzo współczesna japońska animacja „2053", ukazująca topografię miejsc wybuchów atomowych. Obok utrwalonego w filmie „Wielki dzień" zapisu otwarcia pierwszej na świecie elektrowni atomowej w Anglii w 1956 roku, można było obejrzeć godzinny belgijsko-francusko-japoński dokument „Czarnobyl Forever", którego reżyser poświęcił dziesięciolecia na badanie długotrwałych skutków wybuchu reaktora, odczuwanych przez mieszkańców Ukrainy, i prób ich minimalizowania.

Trucizna na fladze

Swoim krótkim happeningiem „Nuklear Positiv" konsternację wywołał Robert Knuth. Warto przypomnieć, że w czasie ubiegłorocznego Koszartu performance artysty był najszerzej omawianym festiwalowym wydarzeniem, które doczekało się komentarza nawet tych, którzy o festiwalu nie mieli w ogóle pojęcia. Knuth wykazał się wówczas albo ogromną intuicją, albo czysty przypadek sprawił, że wykreowane przez niego zdarzenie – obwieszenie pomnika „Byliśmy – Jesteśmy – Będziemy" starymi billboardami w symbolicznym geście sprzeciwu wobec czynienia „historycznie podejrzanego" postumentu obiektem kultu – stało się preludium do

dyskusji o przeniesieniu pomnika spod modernizowanego ratusza w inne miejsce. Dziś osiągnęła ona apogeum.

Tym razem Knuth, przy połamanych dźwiękach hymnu narodowego wygrywanych przez trąbkę i gitarę oraz zakłócanych przez elektronikę, oblał flagę Polski żółtą farbą. Tłumaczył, że to czytelny przekaz: żółć symbolizuje truciznę, zatem jego gest to nie chęć zbezczeszczenia narodowych symboli – tak dosłownie odczytała działanie część publiczności – ale wręcz przeciwnie, wyraz zaniepokojenia faktem, iż proatomowi lobbyści-ignoranci zamierzają bezcześcić kraj i truć go atomem w imię zysku.

Poważnie i swobodnie

Jednym z najważniejszych punktów programu KOSZART-u, a zarazem częścią ogólnopolskiego projektu „Demokracja energetyczna" – była debata pod tytułowym hasłem festiwalu – „Atomowy Koszalin?". Zaplanowana jako pokojowe starcie na argumenty zebrała zwolenników i przeciwników elektrowni, polityków, ludzi biznesu, kultury, nauki, aktywistów, wszystkich zainteresowanych tematem. Czas okazał się niefortunny – w kilka dni później Politechnika Koszalińska na większą skalę zorganizowała konferencję poświęconą energii jądrowej. W skromnym więc gronie przeprowadzona debata okazała się jednak udana, wyważona, merytoryczna, ze znakomitym wystąpieniem prezesa Fundacji Nauka dla Środowiska, **Pawła Jaśkiewicza.**

Nie do końca udany był też piknik na błoniach Politechniki Koszalińskiej, który zwieńczyć miało odpalenie „Ptaków" Władysława Hasiora, zainicjowane w 2011 r. podczas pierwszego Koszartu. Szkoda, że organizatorzy pokonani przez chłód i wiatr zdecydowali się na ten gest na godzinę przed planowanym czasem.

Aneta Husejko w monodramie „Kobieta-bomba". fot. Wojciech Grela

Widzowie, którzy dotarli na błonia punktualnie, mogli jedynie powąchać dym dopalających się pochodni. Ci natomiast, którzy na pikniku pojawili się wcześniej, obejrzeli m.in. malownicze widowisko pt. „Gąski, gąski, do domu", przygotowane przez grupę teatralną **Wojciecha Węglowskiego**. Humory poprawiła z pewnością Pecha Kucha zorganizowana tym razem w amfiteatrze. Była wyjątkowa, bo prezentacje wyświetlone zostały na jego dachu – w ten sposób Stowarzyszenie Warsztat Koszalin, organizator PK w Koszalinie, podkreślił wyjątkowość obiektu, na którego wykorzystanie nikt w mieście nie ma szczególnego pomysłu.

Stop–atom na ścianach

Koszart miał też swój wymiar edukacyjny. „Warsztat dobrej energii" prowadziła para etatowych animatorów Galerii Scena: **Maria Stafyniak** i **Paweł Kula**. Zajęcia miały charakter swobodnej gry, jednak w istocie miały objawić młodzieży wszelkie zagadnienia związane z energetyką jądrową. Efekty drugiego warsztatu wciąż można zobaczyć na kilku ścianach wokół budynku amfiteatru. **Dariusz Paczkowski** to guru i prekursor polskiego *street artu*, współzałożyciel grupy 3fala.art.pl. i prezes Fundacji „Klamra". Człowiek wielkiej wiedzy, charyzmy, społecznik. Lista uczestników warsztatów graffiti „Energia zielona czy atomowa", które poprowadził, zapełniła się błyskawicznie. Paczkowski podkreśla – w Koszalinie robił to przy każdej okazji – że należy przywrócić *graffiti* status sztuki przyjaznej miastu, formy, która nie powinna szpecić, ale może zdobić mury. Piętnaście osób pod okiem mistrza przeszło wszystkie etapy powstawania muralesu – od pomysłu, przez wycinanie szablonu, w końcu malowanie wzoru. Oczywiście antyatomowego.

Dwa teatry

W czasie KOSZART-u swoją premierę miał monodram „Kobieta – bomba" w wykonaniu **Anety Husejko** i reżyserii Wojciecha Węglowskiego. Spektakl powstał kilka miesięcy wcześniej i wcale nie na okoliczność KOSZART-u, w co trudno uwierzyć, biorąc pod uwagę idealnie wpisujący się w hasło festiwalu temat. Przedstawienie powstało z inspiracji utworem chorwackiej pisarki, **Ivany Sajko**. Jego scenograficznym centrum stała się... szafa, pełniąca różne, czasem dziwne funkcje, co nadało spektaklowi nieco surrealistyczny wymiar, co w zderzeniu ze słowami wypowiadanymi przez kobietę zamierzającą wysadzić się w powietrze, dało dość mroczny efekt. To jeden z ciekawszych punktów programu Koszartu. Jednak wydarzeniem najważniejszym i wykraczającym rangą poza festiwal, jednocześnie pięknie kończącym jego dwa dni, był spektakl Komuny Warszawa, teatru niezależnego, który powstał w miejsce anarchistycznej wspólnoty Komuna Otwock. Członkowie KW nie kryją dziś rozczarowania wynikającego z poczucia bezskuteczności wcześniejszych działań, które nie miały istotnego wpływu na rzeczywistość. W miejsce manifestów proponują przypowieści, filozoficzne rozważania ubrane w spektakl lub po prostu opowiadają historie. Ich „Radio Fukushima" powstało specjalnie z myślą o Koszarcie. Dziwnej, onirycznej i niepokojącej „ostatniej transmisji radiowej z Fukushimy", miasta-widma, w aurze zapadającego zmierzchu wysłuchała garstka widzów na Rynku Staromiejskim. Wielka szkoda. Rzadko mamy możliwość obcowania ze sztuką współczesną najwyższej jakości.

***

Założeniem KOSZART-u było udostępnienie pola dyskusji w równym stopniu zwolennikom atomu i jego przeciwnikom. Wyszło antyatomowo. To zgodna opinia uczestników i obserwatorów festiwalu. Wielu z nich wyraz tej opinii dało we wpisach na Tablicy Pamięci ustawionej przy centrum festiwalowym, choć zdarzały się tu również egzotyczne hasła w stylu „atom jest

erotyczny". Krytyczny wobec atomu wydźwięk miały najważniejsze wydarzenia artystyczne, od wystaw począwszy, przez happeningi i spektakle, na muralach powstałych podczas warsztatów z Dariuszem Paczkowskim kończąc.

– *Mam wrażenie, że zwolennikom atomu zabrakło odwagi do otwartej wypowiedzi* – podsumował Ryszard Ziarkiewicz. – *A może festiwal dał po prostu odpowiedź, jaki jest nasz pogląd na energetykę jądrową? Może po prostu większość z nas jest na „nie"?* Dyrektor KOSZART-u dodał też, że tegoroczny festiwal wypadł lepiej niż debiut w 2011 r., jednak przyznaje, że wciąż ma słabe punkty. – *Kilkakrotnie zawodziła nas technika* – mówi. – *Najbardziej jednak zabolała mnie słaba frekwencja. Szczególnie dojmująca była niewielka liczba widzów na spektaklu Komuny Warszawa. Szkoda, bo to był chyba najmocniejszy punkt programu. Musimy też pomyśleć o tym, by podczas kolejnego festiwalu powstało coś, co zostanie na trwałe w przestrzeni miejskiej. Będziemy też starać się o dotacje zewnętrze, a zatem większy budżet festiwalu.*

Nic dodać nic ująć. Ważne, by z tej samokrytyki wyciągnąć wnioski. Warto też zastanowić się jak lepiej wykorzystać potencjał KOSZART-u i nadać mu rangę wydarzenia naprawdę dla miasta istotnego. Niech jego inicjatywy budzą wątpliwości, drażnią i prowokują. Odbiorcą Koszartu, podobnie jak każdego festiwalu w przestrzeni publicznej, jest każdy, komu miejsce, w którym mieszka, nie jest obojętne; każdy, kto uważa, że miasto, w którym kultura wymaga odnowy, jest warte stawiania pytań.

Koszart kosztował 30 tysięcy złotych z budżetu organizatora – Galerii Scena, działającej w ramach Centrum Kultury 105. Był częścią odbywających się równolegle Dni Koszalina.

W organizację festiwalu włączyły się: Fundacja im. Heinricha Böella – przedstawicielstwo w Polsce, Fundacja im. Róży Luksemburg – przedstawicielstwo w Polsce, Fundacja Nauka dla Środowiska, Fundacja Przestrzenie Dialogu, Gmina Mielno, Green European Foundation, Zielony Instytut, a także Europejska Organizacja Badań Jądrowych CERN, Fundacja Młodego Kina w Warszawie, Greenpeace, Klub 13 Muz w Szczecinie, Latarnia Stowarzyszenie Rozwoju Miejscowości Gąski, Muzeum Marii Skłodowskiej-Curie w Warszawie, Pałac Młodzieży w Koszalinie, Stowarzyszenie Edukacyjno-Artystyczne „Oswajanie Sztuki", Stowarzyszenie Ekologiczne Nasze Sarbinowo, Stowarzyszenie Upiększania Miasta Warsztat Koszalin.

Anna Mosiewicz

Ryszarda Lecha sztuka ze znakiem firmowym

Ze względu na swoje peryferyjne położenie, Koszalin – mimo że przez pół wieku był stolicą województwa – stał się swego rodzaju symbolem prowincji. Zupełnie niesłusznie, bo jak wiadomo, prowincjonalizm to mentalność i sposób myślenia o rzeczywistości. Niesłusznie także i z innego, ważkiego powodu – wszak do tego niewielkiego miasta przyjechało wielu wspaniałych ludzi, pośród których artyści plastycy tworzyli swego rodzaju awangardę, a będąc elitą intelektualną tworzyli dzieła, nie zawsze zauważane i doceniane w czasie, w którym powstawały.

Spośród wielu tych, którzy odeszli, a których artystyczne kreacje zostały nie tylko w zbiorach muzealnych, ale także w kolekcjach prywatnych, wymienić trzeba kilku najważniejszych: **Bolesława Kurzawińskiego** z Sianowa, **Wojciecha Sawilskiego** z Białogardu, oraz twórców koszalińskich – **Jerzego Siennickiego**, **Ludmiłę Popiel-Fedorowicz**, **Aleksandrę Sieńkowską** i **Ryszarda Lecha**. Ich twórczość pozostawiła trwały ślad w naszej kulturze. Chociaż dzieliły ich pokolenia i styl tworzonego przez nich malarstwa, to łączyło nade wszystko szerokie i otwarte spojrzenie na nowe prądy w sztuce, czego dowodem był udział wielu z nich w awangardowych wówczas, przełamujących, wręcz odrzucających socrealizm i niosących powiew wolności (oczywiście pozornej w naszych realiach) plenerach w podkoszalińskich Osiekach, które wyznaczają ważną cezurę w sztuce polskiej drugiej połowy XX wieku i weszły do jej historii.

Ryszard Lech był uczniem znakomitego grafika **Tadeusza Kulisiewicza**, w którego pracowni w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie uzyskał dyplom z wyróżnieniem w roku 1953. Grafika była pasją Ryszarda, która odcisnęła piętno także na jego malarstwie. Być może pasja ta zrodziła się w kilkunastoletnim chłopcu, który, podczas niemieckiej okupacji, zajmował się w Warszawie podrabianiem *kennkart* i innych dokumentów. Precyzyjna kreska, doskonałe liternictwo i pewna ręka stały się dla Ryszarda Lecha atutami, dzięki którym realizował swoje geometryczne wizje otaczającego go świata.

Dyplom u znanego grafika był dla koszalińskiego (od 1959 roku) malarza nie tylko czymś w rodzaju zobowiązania – *noblesse oblige;* on patrzył na świat precyzyjnym, dość chłodnym spojrzeniem i ukazywał go w sobie tylko właściwy sposób. Ryszard Lech był bardzo ciekawą osobowością, co przejawiało się nie tyko w jego wysublimowanej sztuce, ale także w życiu prywatnym; na pozór niedostępny, oschły i wiecznie niezadowolony, był, przy bliższym poznaniu, życzliwym, ciepłym i serdecznym człowiekiem, mającym swoiste, sarkastyczne poczucie humoru. Uwidaczniało się ono szczególnie wyraźnie w karykaturach, jakimi obdarzał znajomych i przyjaciół.

Bardzo interesującym, chociaż niezbyt znanym i zupełnie niewykorzystanym rozdziałem artystycznej pracy Lecha była teka grafik, które w latach sześćdziesiątych zrobił w swojej pracowni, otrzymanej od władz miasta Koszalina. Siedemdziesiąt pięć linorytów, ukazujących najciekawsze zabytki i fragmenty miast i miejscowości naszego regionu, tworzą nie tylko in-

teresującą całość, ale także dokument ikonograficzny obiektów, z których część tylko przetrwała do naszych czasów. Wydanie takiej unikatowej teki linorytów nieżyjącego już artysty byłoby dla naszego miasta i regionu świetną promocją i jednocześnie hołdem dla Ryszarda Lecha. Wcześniej, w latach pięćdziesiątych, artysta zajmował się akwarelą, tworząc pejzaże i schematyczne, industrialne widoki miast. Do Połczyna Zdroju, w którym – przed przyjazdem do Koszalina – mieszkał i tworzył przez kilkanaście miesięcy i w którym zorganizowano wystawę jego malarstwa – przyjeżdżał kilkadziesiąt lat później na plenery, bardzo dobrze współpracując z młodszymi pokoleniami swych kolegów. Wbrew pozorom Ryszard był bardzo towarzyski, chociaż jego osobowość, pełną chłodu i rezerwy, odbierano powierzchownie. Brał udział w wielu Spotkaniach Artystów, Teoretyków i Naukowców w Osiekach, jeździł także na plenery nie tylko w kraju, z wielką estymą wspominając Krym. Chociaż wielokrotnie nagradzany i wyróżniany, zawsze był skromny i nieco stojący na uboczu, zachowując pewien dystans do świata i ludzi.

Chociaż był grafikiem z wykształcenia i świadomego wyboru, skierował jednak swą twórczość w stronę malarstwa, które było niezwykłe, jedyne w swoim rodzaju. On sam, chociaż niezmiernie skromny i powściągliwy w ocenach, podsumował kiedyś swoją sztukę takimi słowami: *największym moim osiągnięciem jest wypracowanie własnego stylu. Jest jak znak firmowy. Bez podpisu wiadomo, że to malował Lech*... To prawda, co powiedział artysta o swoim niepowtarzanym stylu. Jego dzieła – nieważne, w jakiej technice stworzone – poznaje się od razu. Sztuka, którą stworzył, obnaża jego charakter, spojrzenie i stosunek do życia. To przedziwne obrazy, pokazujące smutne zaułki, puste ulice, surową achitekturę. Kamienice, kościoły i dwory, latarnie morskie, miejskie mury

Ryszard Lech i jego piksele. Wystawa malarstwa w Muzeum w Koszalinie. Czynna od 1 czerwca do 4 lipca 2012 r.

fot. Ilona Łukjaniuk

– schematyczne i geometryczne ukazują to, co stworzył człowiek, jak gdyby artysta zadawał pytanie: *czy jest się czym zachwycać?* Powtarzające się, takie same okna, gzymsy, prostokątne cegły składają się na dziwną, trochę bajkową całość, zawsze pokazaną na tle rozjaśnionego jasną poświatą nieba. Wszystkie obrazy Lecha mają zawsze wyraźnie zaznaczony punkt zbiegu linii perspektywy, z którego emanuje tajemnicze światło. Może tu tkwi zagadka tej dziwnej aury, która otacza każde jego dzieło?

Artysta ten każdy ze swych obrazów tworzył starannie dobranymi odcieniami – od śnieżnej bieli, kość słoniową, ugry, poprzez lazur, błękit paryski i ultramarynę do fioletów i brązów we wszystkich odcieniach. Chyba tylko on potrafił tak wspaniale nasycić barwy swej palety, przechodzące od ciemnego granatu po rozbielony, pastelowy błękit. Jego obrazy, precyzyjnie przemyślane i wykończone do ostatniego wręcz detalu są swego rodzaju geometryczną wizją świata, którego chyba artysta nie lubił. Z każdej ramy wyziera głęboka melancholia i smutek, wyrażone smutnymi barwami. Malarstwo Lecha to zbiór niewielkich kwadracików, cegiełek, z których buduje swą ulubioną architekturę. Każdy z nich ma swoją starannie dobraną i przemyślaną barwę, a są one skomponowane w taki sposób, że tworzą głębię, jak gdyby trzeci wymiar, nadając całości dodatkową przestrzeń.

Ten niezwykły malarz miewał w swym artystycznym życiu takie okresy, w których oddawał się kolejnym tematom. Było ich niemało – najważniejsze z nich to karykatury i *ideogramy*. Podczas ostatnich pobytów na plenerach w Połczynie Zdroju, dokąd jeździł pracować wraz z członkami Stowarzyszenia Pastelistów Polskich, Ryszard – baczny obserwator swych bliźnich, zaczął rysować im karykaturalne nieco konterfekty, nazywając ten cykl *profilami lekko satyrycznymi.* Rysunek okazał się kolejną pasją, a zachowane karykatury pokazują, jak mistrzowsko Lech operował skrótem, dodając sporą dawkę ironii i właściwego sobie sarkazmu, podlanego sosem życzliwości i sympatii.

Kiedyś zachwycił się koreańskim pismem, owymi *piktogramami,* których dekoracyjność i kunsztowna konstrukcja stały się dla Ryszarda bodźcem do stworzenia nowego cyklu. Przypominały mu jego ulubiony motyw – architekturę, a namalowane przez niego ideogramy były pokazane na wystawie w foyer Teatru Wielkiego w Warszawie.

Artysta ten poszukiwał nieustannie tematów, trzymając się swego ulubionego stylu – po kolorowych, architektonicznych kompozycjach, jakimi były ideogramy, zainteresował się światem zwierząt, których symetryczne formy odpowiadały jego poczuciu estetyki. Powstał interesujący cykl zawierający nowe treści, które stworzył w swoim własnym, od lat wypracowanym stylu.

W 1997 roku w koszalińskiej Galerii "Na Piętrze" można było podziwiać wybrane przez malarza obrazy i grafiki, a z okazji 50-lecia pracy artystycznej dużą wystawę dorobku Lecha zorganizowało w roku 2004 Muzeum w Koszalinie. Wówczas, niespełna rok przed śmiercią artysty, nakładem wydawnictwa "Millennium" Bogdana Gutkowskiego ukazał się album, oparty na słynnej jego tece linorytów, stworzonej w latach sześćdziesiątych.

Obrazy koszalińskiego malarza, który zmarł w 2005 roku, są w licznych kolekcjach prywatnych, a także w muzeach Polski, Niemiec, Rosji i Ukrainy. Dzięki zabiegom znanego koszalińskiego marszanda sztuki, **Zbigniewa Janasika** oraz życzliwości brata Ryszarda Lecha można było w Muzeum w Koszalinie, w którego zbiorach jest wiele obrazów tego artysty, obejrzeć niezwykłą wystawę i docenić jego wyjątkową osobowość, kreatywność i wielki talent tego wyjątkowego wybrańca muz.

Grażyna Preder

Urodziny ulicy, czyli o obowiązkach wobec przeszłości

Na pocztówce z 1915 roku ówczesna *Tesmarstrasse* /dziś ulica Wyspiańskiego/ wygląda szykownie, elegancko i dostatnio. Zwarta pierzeja secesyjnych kamienic, przed domami ogródki z kutymi ogrodzeniami, brukowana ulica, uporządkowane chodniki ze szpalerem drzew.

Domy budowane przez spółdzielnię pracowników administracji miejskiej miały wysoki, jak na owe czasy, standard. W każdym budynku sześć mieszkań o powierzchni 105 lub 122 metrów kwadratowych oraz służbówki na najwyższej kondygnacji. Każde mieszkanie miało łazienkę, spiżarnię, oświetlenie gazowe we frontowych pokojach, w przedpokoju i na klatce schodowej. W kuchni znajdowała się wentylowana, podokienna szafka spiżarniana i zsyp dla popiołu i spalonych śmieci, a w piwnicy pomieszczenie, z którego popiół był wywożony kilka razy w tygodniu. Dzięki temu nie było śmietników, gryzoni i uciążliwych owadów. Do każdego z mieszkań przynależał położony na tyłach domu spory ogród, z rabatami kwiatów, warzyw i z drzewami owocowymi. Rozległe podwórze zamykano na noc. Stał tam, wspólny dla kilku kamienic, budynek pralni wyposażonej w magiel. Nawiasem mówiąc, magiel ten w latach siedemdziesiątych trafił do pobliskiego Domu Samotnej Matki przy ulicy Wojska Polskiego i długo jeszcze służył jego mieszkankom.

Kamienice przy ulicy Wyspiańskiego wybudowano w 1910 roku dla zamożniejszej części mieszkańców Koszalina. W zachowanej w naszym Archiwum Państwowym książce adresowej można przeczytać, że lokale w budynku nr 9 zajmowali na przykład: wyższy asystent pocztowy, wyższy sekretarz sądu wojewódzkiego i wdowa po komorniku. Choć tak naprawdę nie znamy indywidualnych losów żadnego z przedwojennych mieszkańców tej ulicy, możemy przypuszczać, że przez długie lata cieszyli się wygodą mieszkań i spokojem dzielnicy, wówczas jeszcze peryferyjnej części Koszalina. Wojenny kataklizm niewiele zmienił w wyglądzie ulicy i układzie domów. To dopiero rosyjscy zdobywcy podpalili niektóre kamienice, siejąc spustoszenie. W latach pięćdziesiątych miejsce tych, które spłonęły, zajęły zwykłe bloki.

Tesmarstrasse, po wojnie obdarowana imieniem Stanisława Wyspiańskiego, pozostała jedną z najpiękniejszych ulic w mieście. Szybko zyskała nowych lokatorów, przybyłych nieraz z bardzo daleka, jak chociażby pan **Józef Olszewski** – z Ałtajskiego Kraju. Wraz z mieszkaniem przy Wyspiańskiego 9/2 przejął on znaczną część wyposażenia: dwa łóżka, jedną otomanę, jedną kozetkę, dwa fotele plecione, jedną bieliźniarkę i jeden pomocnik. Ale nie za darmo... Za całe 4 640 złotych, podczas gdy jego ówczesna pensja podoficera zawodowego wynosiła 8000 złotych. Zaświadcza o tym formularz Rejonowego Urzędu Likwidacyjnego w Koszalinie, pouczając, że za poniemieckie mienie ruchome należy rozumieć wszystkie ruchomości znajdujące się na obszarze Ziem Odzyskanych. I że można nie wykazywać poniemieckiego mienia ruchomego, takiego jak bielizna stołowa i pościelowa, jeśli stanowi niezbędne

wyposażenie użytkującej ją rodziny. Dokumenty pieczołowicie przechował do dzisiaj syn pana Józefa – **Roman Olszewski**. Jego też archiwum fotograficzne pozwoliło odtworzyć wiele detali z dawnego wyglądu kamienicy.

W 2006 r. koszaliński architekt **Wojciech Subalski**, w oparciu o tych kilka zdjęć i przedwojenne pocztówki z widokami ulicy wykonał projekt renowacji kamienicy przy Wyspiańskiego 9. Z iście archeologiczną skrupulatnością przestudiował materiały i stwierdził, że ryzality elewacji frontowej, wejście i cokół były wykończone cegłą licową. Zmieniło to całkowicie dotychczasowy wygląd kamienicy. Kolejne etapy realizacji projektu coraz pełniej odsłaniały piękno budynku. Remont rozpoczęty w 2011 r. trwa do dzisiaj.

W latach powojennych ulicę zamieszkiwał koszaliński establishment. Piękne mieszkania z balkonami i loggiami zajmowali prawnicy, lekarze i artyści. Ulica błyszczała. Ale już kilka powojennych dziesięcioleci, bez bieżących napraw i konserwacji ze strony zarządcy, poskutkowało tym, że ulica Wyspiańskiego zaczęła podupadać. Eleganckie budynki powoli, ale systematycznie niszczały. Nikt nie przejmował się cennymi detalami zdobniczymi, niepowtarzalnym wykończeniem wnętrz i elewacji. Kolejne remonty, jeśli takie były, kończyły się likwidacją zabytkowych drzwi, obtłukiwaniem wypracowanych gzymsów, wymianą pięknych drewnianych, skrzynkowych okien na nowe, nie nawiązujące do ich historycznych pierwowzorów.

Kiedy w 2006 roku mieszkanką tej ulicy została **Greta Grabowska**, projektantka wnętrz i wrażliwa na piękno architektury artystka-plastyk w jednej osobie, powzięła ona szalony, jak się wydawało, plan przywrócenia ulicy jej dawnego blasku. Zaczęła od własnego mieszkania, którego konsekwentnie i świadomie poszukiwała właśnie tutaj, przy tej ulicy, wiedząc jak niezwykłe jest to miejsce. I do dziś powtarza: – *To najpiękniejsza ulica Koszalina*.

Urodziny ulicy Wyspiańskiego. fot. Ilona Łukjaniuk

Z wielką pieczołowitością ratowała dawne elementy wyposażenia: stare drzwi, drewniane podłogi malowane po wielokroć olejną farbą, oryginalne skrzynkowe okna...

Stworzyła wnętrze znakomicie łączące piękno minionej epoki z potrzebami współczesnego życia. Równolegle przygotowywała grunt pod kolejne zadanie, jakim jest dla niej remont elewacji domu i klatki schodowej, przywrócenie im pierwotnego kształtu. Szukała sojuszników dla swojego pomysłu, docierała do zachowanych archiwaliów, zbierała przedwojenne pocztówki, pytała dawnych mieszkańców, radziła się fachowców, zgłębiała technologie, obmyślała szczegóły całego przedsięwzięcia...

Jego skalę poznaliśmy pewnego październikowego popołudnia 2012 roku, kiedy Greta Grabowska zaprosiła gości na „urodziny ulicy". Nie setne, jak planowała, bo nie udało się zdążyć ze wszystkim na 'okrągły' jubileusz. Były to więc sto drugie urodziny ulicy, a dokładnie mówiąc, kamienicy przy Wyspiańskiego 9, gdzie mieszka pomysłodawczyni święta. Połączyła je z obchodami Europejskich Dni Dziedzictwa, których hasłem przewodnim w 2012 r. były, jakże pasujące do pomysłu Grety Grabowskiej, „tajemnice codzienności".

I wtedy naszym oczom ukazał się widok, jakiego nie spodziewaliśmy się, przyzwyczajeni do ukrywania fasad domów pod kolorowymi farbami. Całe piękno tej secesyjnej kamienicy wydobyto poprzez wymianę części tynków i odsłonięcie oryginalnych czerwonych cegieł, które w połączeniu z jasną – szaro oliwkową elewacją – nadały jej wyjątkową szlachetność. Dopiero w kontraście z tą kamienicą widać, jak wiele szkód wyrządziły poprzednie, byle jak przeprowadzone remonty, bez nadzoru konserwatora, zarówno te z lat ostatnich, jak i ten z 1968 roku, który spowodował zniknięcie cennych detali architektonicznych lub przysłonięcie ich tandetnymi tynkami.

Pragnieniem Grety Grabowskiej jest odtworzenie zniszczonej przez ostatnią ekipę budowlaną przedogródków, naprawienie chodników, przywrócenie drewnianych balustrad odartym z dawnego kształtu balkonom i remont klatki schodowej, połączony z odtworzeniem terakotowej posadzki. Znalazła nawet kafle przypominające te sprzed stu lat. Seria produkowana jest pod nazwą „1900" przez hiszpańską fabrykę płytek *Vives*.

To nie jest działanie dla jednej osoby – mówi Greta Grabowska, bogatsza o dotychczasowe doświadczenia, trudy i dolegliwości bycia animatorem tak poważnego przedsięwzięcia. I dodaje: – *Jest to moje hobby, przyjemność, radość odkrywania dawnego piękna i dzielenia się nim z innymi, ale przede wszystkim jest to mój obowiązek, jako mieszkańca zabytkowej kamienicy...*

Czy będą naśladowcy? – można spytać, patrząc zwłaszcza na sąsiednie budynki, które wołają o remont! Czy jest szansa na to, aby cała ulica Wyspiańskiego, w 70% zachowująca dawną secesyjną zabudowę, a w kilkunastu międzywojenną, odzyskała wygląd z początku XX wieku? Nawierzchnia brukowa, zachowana w całości, przykryta dzisiaj asfaltowym płaszczem, też zasługiwałaby na odkrycie... I jeszcze latarnie, drzewa...

Jak dotąd, nie ma żadnego planu rewitalizacji ulicy, a co dopiero mówić o dzielnicy. Uniemożliwia to sięgnięcie po dotacje unijne, które, choć w części, mogłyby pokryć koszty renowacji kamienic i ulicy. Budynki nie są wpisane do rejestru zabytków. Znajdują się zaledwie w wykazie zabytków, co nie zapewnia im pełnej opieki konserwatora.

Ziarno zmian zostało jednak zasiane... Przykład kamienicy przy ul. Wyspiańskiego 9 już nieodwołalnie będzie punktem odniesienia, jak można i jak należy remontować...

Małgorzata Kołowska

„Rudzielec" na miarę XXI stulecia

W „Almanachu" 2010 zamieściliśmy obszerną recenzję obiektu, którego projekt powstał w koszalińskiej pracowni architektonicznej HS99, a który zrealizowany został w Katowicach. „Intrygująca fuga na 4004 okna, beton, drewno, szkło i czerwony piaskowiec" – tak w tytule określił Centrum Informacji Naukowej i Bibliotekę Akademicką Ryszard Nakoniecznyz Politechniki Śląskiej. Od tamtego wydania „Almanachu" „Rudzielec z Katowic" – jak powszechnie zaczęto nazywać gmach CINiBA – towarzyszy nam nieustannie, zyskuje bowiem kolejne, niezwykle prestiżowe nagrody. Rok 2012 przyniósł Dariuszowi Hermanowi, Piotrowi Śmierzewskiemu i Wojciechowi Subalskiemu z HS99 kolejny laur – zaprojektowany przez nich budynek został okrzyknięty Najlepszym Obiektem Architektury XXI wieku.

Przewodniczącym jury, które oceniało budynki, był dziekan Wydziału Architektury Politechniki Krakowskiej **Dariusz Kozłowski**. Pod jego kierunkiem pracowali: prezes Stowarzyszenia Architektów Polskich i członek Rady Międzynarodowej Unii Architektów **Jerzy Grochulski**, prezes Izby Architektów RP **Wojciech Gęsiak**, współzałożyciel pracowni Mellon Architekci **Marek Sietnicki** oraz redaktor naczelna miesięcznika „Architektura-Murator" **Ewa Porębska**. W obradach brali udział także jurorzy wskazani przez prezydenta RP **Bronisława Komorowskiego**: historyk i krytyk sztuki **Anda Rottenberg**, rzeźbiarz **Mirosław Bałka** i architekt **Robert Konieczny**.

W konkursie oceniano obiekty zrealizowane w latach 2000-2012. Jury w pierwszym etapie obrad wybrało po 30 obiektów z każdej kategorii, czyli łącznie 120. Wzięły one udział w głosowaniu internautów na Ulubieńca Polski i zostały przedstawione ministrom, aby spośród nich wybrali laureatów nagród specjalnych. Centrum Informacji Naukowej i Biblioteka Akademicka w Katowicach było jednym z trzech obiektów wskazanych przez trzyosobowe jury powołane przez B. Komorowskiego.

– Myślę, że wszyscy doskonale czujemy, że nie każdy budynek, nie każda konstrukcja jest architekturą. Pewnie wszyscy chcielibyśmy, aby jak najwięcej architektury, a więc ambitnych, ciekawych, budzących dobre skojarzenia budowli, w Polsce powstawało – powiedział prezydent podczas gali konkursu, wręczając główny laur koszalińskim architektom. W opinii prezydenta, nagrodzony przez niego budynek ma szansę stać się w przyszłości zabytkiem. *– To dzisiaj budujemy zabytki. To od naszych ambicji zależy, czy nasze wnuki, prawnuki i prapra-wnuki będą dumne z Polski* – mówił.

Budynek CINiBS znalazł się także na tzw „krótkiej liście" pretendentów do Europejskiej Nagrody im. Miesa van der Rohe[1] w dziedzinie współ-

[1] nagroda architektoniczna ufundowana w 1987 przez Komisję Europejską, Parlament Europejski i Fundację imienia Miesa van der Rohe w Barcelonie, przyznawana co dwa lata europejskim architektom za wybitne realizacje. Nagroda nosi imię niemieckiego architekta Ludwiga Miesa van der Rohe, jednego z twórców stylu międzynarodowego (wikipedia)

czesnej architektury za 2013 r. Lista ta obejmuje 34 prace wyłonione spośród 335 projektów pochodzących z 37 krajów! Zwycięzcą w tym prestiżowym konkursie został gmach mieszczący salę koncertową i centrum konferencyjne w Reykjaviku.

Jak możemy przeczytać na stronie www.bryla.pl: *projektanci z HS99 nie tracą czasu. Jeszcze nie przebrzmiały echa sukcesów katowickiej biblioteki, a już przystępują do kolejnej pracy – Centrum Kultury w Wałbrzychu. Koszalińska pracownia architektoniczna HS99 wygrała konkurs na projekt Centrum Kultury im. Wałbrzyskich Górników. Dariusz Herman, Wojciech Subalski i Piotr Śmierzewski, autorzy wielokrotnie nagradzanej biblioteki w Katowicach, tym razem musieli zmierzyć się z tematem o nieco innej specyfice. Nie dane im było projektować całkowicie od podstaw, bowiem jeden z warunków konkursowych zakładał renowację i adaptację budynku dawnego Górniczego Domu Kultury.*

Pochodzący z 1929 roku modernistyczny obiekt początkowo był siedzibą największego wówczas na Dolnym Śląsku kino-teatru Capitol. Po II Wojnie Światowej stał się własnością jednej z kopalni, by na początku lat dziewięćdziesiątych przejść w ręce NSZZ Solidarność. Niestety, Związek nie był w stanie utrzymać budynku, który stopniowo popadał w coraz większą ruinę. W połowie dekady postanowiono powrócić do pierwotnej funkcji GDK i umieścić w nim teatr. Prace adaptacyjne zakończyły się na wyburzeniu sali widowiskowej. Szczęśliwie władze Wałbrzycha postanowiły ratować obiekt. Stworzono plan realizacji Centrum Kultury im. Wałbrzyskich Górników w którym swą siedzibę miałaby znaleźć Filharmonia Sudecka.

Prezydent Wałbrzycha wielokrotnie ubolewał, iż tak ważny dla regionu ośrodek nie posiada dużej sali koncertowej. Modernizacja GDK, która będzie jedną z większych inwestycji kulturalnych

Dariusz Herman i Wojciech Subalski uhonorowani przez prezydenta Bronisława Komorowskiego.

fot. HS99© / LUXMEDIA

nych na Dolnym Śląsku, ma zmienić tę sytuację.

Przebudowa modernistycznego obiektu stanowiła duże wyzwanie dla projektantów, bowiem zabytkowe elewacje objęte są ochroną konserwatorską. Tym większe uznanie należy się zatem pracowni HS99, twórcom zwycięskiego projektu, którzy umiejętnie wprowadzili nową tkankę architektoniczną. Zastosowali znane z wielu wcześniejszych projektów proste, neomodernistyczne bryły, których tektonikę budują przemyślane zestawienia przeszklonych płaszczyzn oraz muru oblicowanego tradycyjnymi materiałami. Odnajdziemy więc jasną cegłę ceramiczną oraz kamień o ciemnym, grafitowym odcieniu korespondującym z barwą tynku starego budynku GDK.

Oszczędna architektura, wykorzystując relacje pomiędzy płaszczyznami pełnymi, a transparentnymi i półprzezroczystymi, nie dominuje, a jedynie podkreśla przyjęte założenia kompozycji przestrzennej. Wycofana w głąb parceli sala koncertowa stanowi tło dla najważniejszego akcentu, czyli zdecydowanej formy dawnego kinoteatru. Podobną rolę architektonicznego passepartout pełni usytuowana w pierzei płaszczyzna częściowo ażurowej ceglanej elewacji o delikatnie rozrzeźbionej strukturze. Subtelność przyjętych rozwiązań doceniło jury uzasadniając swą decyzję *bardzo dobrym wpisaniem całego kompleksu w otaczającą zabudowę, wytworzeniem w oficynie intrygującej i reprezentacyjnej przestrzeni publicznej, jednak zachowującej charakter i skalę miejsca.*

Prace mają zostać ukończone w 2016 roku. Czas pokaże czy doczekamy się realizacji równie spektakularnej, jak Biblioteka Akademicka w Katowicach.

* * *

Koszalińskim architektom serdecznie gratulujemy sukcesów i życzymy kolejnych, przynoszą one bowiem zaszczyt nie tylko polskiej architekturze, ale także Koszalinowi. Trudno jednak nie zadać pytania, dlaczego, skoro w Koszalinie działają tak świetne pracownie architektoniczne jak HS99, miasto pogrąża się w urbanistycznym chaosie, daremnie szukać można jakiejś myśli przewodniej dla powstającej tu architektury i przyjmowanych rozwiązań urbanistyczno-komunikacyjnych. Kiedyś Koszalin witał przyjeżdżających do miasta napisem widocznym w przejściu podziemnym przy dworcu PKP „witamy w mieście tanich cudów i ciepłych numerków". Dziś witać możemy w mieście największych dołów nowoczesnej Europy, ślepych ulic, banków, które skutecznie wygnały życie z centrum i architektury miotającej się pomiędzy modernistyczną i szachulcową tradycją – czasem nawet dość szlachetnego gatunku, ale zakrytą krzyczącymi reklamami.

„Magazyn Sztuki" na peryferiach

W ubiegłorocznym „Almanachu" odnotowaliśmy reaktywację „Magazynu Sztuki". W roku 2012 ukazały się dwa kolejne numery. My zaś przypominamy ten tytuł – opatrzony numerem 3/2012 – przede wszystkim z uwagi na obecność w nim koszalińskiego artysty – jednego z „niepokornych z Koszalina" – Andrzeja Ciesielskiego, z którym obszerną rozmowę przeprowadził redaktor naczelny „Magazynu..." Ryszard Ziarkiwicz. Zapowiadając ją w swym edytorialu określa Ciesielskiego jako „artystę z peryferii". – *Za skromnego na gust centrum, za dobrego na gust prowincji...* W ten m.in. sposób trzeci „MS" podejmuje temat, któremu poświecone było sympozjum, o którym piszemy w dziale „Miscellanea" – o wzajemnych relacjach prowincji i centrów – o ile takowe jeszcze istnieją.

W rozmowie z Andrzejem Ciesielskim znajdujemy, poza ujmującym szczerością tytułowym wyznaniem „Nie wiem, jaką sztukę uprawiam", próbę oceny własnej, dojrzałej wbrew owemu wyznaniu, twórczości, heroicznej historii słynnych Osiek a także próbę zdiagnozowania kondycji środowiska plastycznego w Koszalinie, które, zdaniem Andrzeja Ciesielskiego, straciło swoją energię wskutek odejścia (tego ostatecznego) wielu charyzmatycznych postaci niegdyś nadających żywy puls życiu artystycznemu Koszalina.

Najwyraźniej „Magazyn Sztuki" odzyskał swoją istotną rolę jako forum dyskusji na temat kondycji sztuki współczesnej i płaszczyznę prezentacji jej twórców i teoretyków – zarówno tych młodych, jak i należących do pokolenia „szpetnych sześćdziesięcio- i więcej letnich" – by wspomnieć obecnego także w trzecim numerze **Józefa Robakowskiego**, doskonale znanego także w Koszalinie związanego z Łodzią i tamtejszymi najlepszymi tradycjami nowej awangardy guru *art wideo* w Polsce. O Józefie Robakowskim w „MS" pisze **Ewa Mikina** i jest to ostatni Jej tekst, który sąsiaduje z pożegnalnym wspomnieniem autorstwa **Rafała Jakubowicza** o zmarłej w czerwcu 2012 roku wybitnej krytyczce kultury. Żegna Ją także Ryszard Ziarkiewicz, we wstępnym felietonie pisząc o odejściu intelektualistki należącej do minionego czasu – w swej skromności, w przywiązaniu do idei wyższych nad materialny dobrostan.

Przypomnijmy, że „MS" .ukazywał się w druku od 1993 do 2006 roku. Zostały wydane 34 zeszyty pisma publikowane kolejno przez następujące wydawnictwa: Państwową Galerię Sztuki w Sopocie (dawne BWA) w latach 1993-1994, nr od 1 do 4, Wydawnictwo Ryszard Ziar-

Magazyn Sztuki

kiewicz (Gdańsk) w latach 1994-2006 – nr od 5 do 33 (nr 25, 26, 27 z roku 2001 zostały wydane w kooperacji z Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski w Warszawie przy współredakcji Grzegorza Borkowskiego). W roku 2006 Wydawnictwo Ryszard Ziarkiewicz zostało zamknięte, a tytuł zawieszony. W roku 2011 z inicjatywy pracowników dydaktycznych Wydziału Malarstwa i Nowych Mediów Akademii Sztuki w Szczecinie (prof. **Kamila Kuskowskiego**, dr hab. **Roberta Knutha**, prof. **Waldemara Wojciechowskiego** oraz dr **Danuty Dąbrowskiej -Wojciechowskiej**) „Magazyn Sztuki" został przejęty przez AS w Szczecinie.

„Magazyn Sztuki" jest pismem poświęconym w całości kulturze współczesnej na styku sztuk wizualnych i muzyki. Skierowany jest zarówno do ludzi tworzących kulturę, jak i jej aktywnych odbiorców. Redakcję tworzy ponad trzydziestu znakomitych autorów, piszących o kulturze: muzyce, fotografii, architekturze, designie, przestrzeni miejskiej, grafice i sztuce. W kontekście zmian społecznych, nowych idei, nowych technologii i obyczajów. (www.bookoff.pl/productpol-6181-Magazyn-Sztuki).

„MS" jest rozpowszechniany przez sieć księgarni Empik, ale zawartość drukowanych wydań czytać można także na stronie: www.magazynsztuki.eu/index.php/numery-drukowane. Pod tym adresem można przeczytać wszystkie dotychczas wydane od chwili wznowienia tytułu wydania. Istnieje także „Magazyn Sztuki w sieci", w wersji tylko elektronicznej, przynoszącej większe, bo nieograniczone kosztami druku, bogactwo publikacji. (mk)

FILM

Anna Serdiukow

Przyjaźń dłuższa niż seans filmowy

Koszaliński Festiwal Debiutów Filmowych „Młodzi i Film" na festiwalowej mapie Polski zajmuje szczególne miejsce. Jako jedyna impreza w kraju oferuje tak pełny, a przy tym różnicowany przegląd pierwszych filmowych dokonań nie tylko przedstawicieli najmłodszego pokolenia polskich filmowców, ale również studentów szkół filmowych i artystycznych. Pokazywane w dwóch konkursach krótkie i długie metraże powinny stanowić zapowiedź tego, w jakim kierunku zmierza nasze kino. Czy rzeczywiście tak jest?

W zeszłym roku odbył się trzydziesty pierwszy festiwal. Wydarzenie próbuje z jednej strony iść z duchem czasów, z drugiej, zachować to, co najlepsze ze swojej formuły i założeń. Świetnie, w sposób osobisty, ale też niezwykle obrazowy, mówił o istocie debiutu i festiwalu, jego dyrektor programowy **Janusz Kijowski** w wywiadzie dla KINA (wydanie majowe 2013): *Pierwszy film, to jest coś, co nas określa, definiuje każdego reżysera, każdego filmowca. Kiedyś Andrzej Wajda powiedział coś, co zapadło mi w pamięć: filmowcem stajesz się wtedy, kiedy zobaczysz swoje nazwisko na ekranie w napisach końcowych lub w czołówce. I rzeczywiście tak jest. Stajemy się wtedy nie tylko filmowcami, podpisujemy się pod pewnym programem artystycznym, ideowym, estetycznym, pod deklaracją wyborów. Określamy siebie jako artystów. Pierwszy film jest najważniejszym krokiem, potem są następne, ale one już są mniej istotne, bo zaczynamy wypełniać swój zawodowy obowiązek. Debiut pokazuje kim jesteśmy, jak się nazywamy i jakie nazwisko będziemy chcieli chronić do końca życia.*

SZCZEROŚĆ, ODWAGA I OSOBISTY WYMIAR

Pierwszy film istotnie często definiuje charakter filmowego pisma, ale zdarza się też, że jest po prostu wprawką, próbą opowiedzenia o świecie przy pomocy nowych narzędzi, języka, który nie jest jeszcze do końca znany i świadomie, precyzyjnie wykorzystywany. Co zatem stanowi o tym, że nawet filmy niewolne od błędów mają szansę zafunkcjonować na festiwalu „Młodzi i Film"? Jak czytamy dalej w wywiadzie z dyrektorem Kijowskim:

W zgłaszanych filmach nie doszukujemy się perfekcjonizmu w montażu, inscenizacji, czy prowadzeniu aktorów, tylko świeżości oraz atrybutów młodości. Te filmy są niepozbawione błędów, ale jeśli te potknięcia wypływają z serca, ze spontaniczności, z odwagi opowiadania i mówienia o świecie, to one podnoszą walor filmów. [...] Film może zawierać błędy, ale dla mnie najważniejsze są trzy kryteria: szczerość, odwaga i osobisty wymiar, wtedy film się obroni. Nie szukam perfekcji w debiutach, one nie mogą być podróbką, nie mogą naśladować, kopiować mód i trendów. Szukam filmów uczciwych i odważnych w penetracji estetycznej, czy moralnej, w docieraniu do tematu i aktora. Jeżeli się z tego aktora wydobywa coś więcej niż tylko jego powierzchowność, pozwala się mu zaistnieć swoim wnętrzem i emocjonalnością – wtedy rośnie temperatura odbioru. Odczuwam wówczas osobistą satysfakcję, że mogę taki film zaprosić do Koszalina.

Kiedy rozmawiam z debiutantami, którzy pokazują swoje pierwsze filmy na festiwalu, często zwracają moją uwagę na nazwę imprezy. Mówią, że „Młodzi i Film" to dla ich pewnego rodzaju deklaracja, że te dwa słowa dają im legitymację do poszukiwań, ale też do autorskiej wypowiedzi. Przyznają, że to wydarzenie robione

z myślą o nich – z nimi i dla nich. To też często pierwsza możliwość zetknięcia się z festiwalem jako takim, czyli miejscem, przestrzenią i ludźmi, gdzie po raz pierwszy można pokazać swój film, spotykać się z krytyką i opiniami nie tylko publiczności, też kolegów, profesorów, branży filmowej. To szansa na zaprezentowanie się i zderzenie z gustami odbiorców.

Zdaje się, że hasło, które w latach 70. oznaczało co innego, przemierzyło taką samą drogę jak sam festiwal, zainicjowany przez ZMS, mocno partyjną organizację młodzieżową. Zgodnie z założeniami organizatorów impreza miała odebrać prymat innym polskim festiwalom, w Łagowie, a potem w Gdańsku. Do Koszalina miała przyjeżdżać młoda generacja filmowców, z kolei ich starsi, doświadczeni koledzy mieli jeździć właśnie do Gdańska albo do Łagowa. Ten podział się nie sprawdził. Festiwal „Młodzi i Film" to panorama debiutów, ale też forum do międzypokoleniowej dyskusji. To festiwal przyjazny ludziom – jedna z młodych uczestniczek zwróciła uwagę, że słowo „młodzi" według niej odnosi się zarówno do filmowców jak i odbiorców. Chodzi nie o datę urodzenia, ale o podejście do kina po obydwu stronach ekranu. „Film" z kolei łączy – nie ważne czy wyraża się to w powszechnej akceptacji dzieła, czy w prowokacji do dyskusji i gorących sporów... Gdzie, jeśli właśnie nie na sali kinowej, a później podczas dyskusji „Szczerość za szczerość", mają szansę spotkać się przedstawiciele różnych pokoleń i przekonań?

Łukasz Palkowski, twórca głośnego debiutu „Rezerwat" wspomina swoje zdziwienia, ale i wielką radość, kiedy na cześć jego filmu organizatorzy festiwalu zdecydowali się nazwać jedną z festiwalowych restauracji. Powiedział, że na żadnym z festiwali nie jest tak skrócony dystans na linii organizatorzy-twórcy; twórcy-widzowie, jak właśnie w Koszalinie. To stanowi o jego sile i fenomenie, to go wyróżnia, daje prawo do reprezentowania młodych. Ale by można było, co roku w pełni reprezentować młodych, trzeba pozostać na bieżąco, trzeba widzieć zmiany, jakie zachodzą wokół, rezonować z nim, odpowiadać na potrzeby bywalców – organizatorzy wyczuwają potrzebę zmian, chcą sprostać zmieniającym się oczekiwaniom widzów, edycja z 2012 roku była tego najlepszym dowodem.

FILM MA PORUSZAĆ

„Młodzi i Film" to nie tylko kino, to także wydarzenia okołofilmowe. Świetnie poprowadzone przez **Maćka Buchwalda** spotkania z aktorami w nowym klubie festiwalowym – Teatr Muza Variete – były doskonałym uzupełnieniem, a w zasadzie podsumowaniem filmowych wrażeń zebranych na sali kinowej. Stanowiły odpowiednią ramę dla licznych seansów, były komentarzem nie tylko do zawodu aktora, ale też do współczesnego kina w Polsce, nadawały prezentowanym obrazom nowy kontekst. To też – jak zauważyła jedna z uczestniczek – dobra przeciwwaga dla spotkań „Szczerość za szczerość". Publiczność przysłuchująca się rozmowom Buchwalda nie musiała brać udział w dyskusji, ale mogła przypatrzeć się, oswoić z konwencją, z własnym strachem wobec zadawania pytań i publicznych wystąpień.

Program wydarzeń, które towarzyszą projekcjom ma być bogatszy z roku na rok. Ma uzupełniać filmowy profil festiwalu, prócz aspektów rozrywkowych, ma nieść ze sobą również aspekty edukacyjne. Warsztaty, lekcje o kinie, obrazie, języku filmowym – wszystko to w kolejnych latach ma stanowić coraz silniejsze zaplecze festiwalu, ma go wyróżniać, być swoistym stemplem jakości. Twórcy mają pozostawać blisko publiczności, mają z nią rozmawiać, objaśniać świat kina, opowiadać o tym, co być może umyka podczas seansu, a o co oni sami baliby się zapytać.

To, jak zmienia się widownia i jej rola na festiwalu, również było widać podczas tegorocznej edycji. Zwykle przychodzący na spotkania z twórcami widzowie mają problem z zadawaniem pytań. W zeszłym roku zostało to przełamanie. Pewnie między innymi za sprawą aktorskich spotkań Maćka Buchwalda. Jak ktoś ład-

nie zauważył – aktor też człowiek. Ale też i sama publiczność inaczej podchodzi dziś do dzieła filmowego i jego twórcy. Nie na kolanach, raczej z pytaniami na ustach, wątpliwościami, z innym, pogłębionym ujęciem kina, próbą analizy przez pryzmat osobistych przeżyć i doświadczeń. Taka perspektywa jest dla twórcy najciekawsza, co zresztą potwierdzają słowa **Jana Jakuba Kolskiego**, przewodniczącego jury Konkursu Pełnometrażowych Debiutów Fabularnych, który w rozmowie z **Bodo Koxem** (wywiad w czerwcowym numerze magazynu FILM) tak ocenił kryteria oceny sędziowskiego składu: *Twój debiut fabularny „Dziewczyna z szafy", to przejmujący film o życiu. Jesteś wrażliwym artystą, który chce przemawiać do swoich współczesnych, który chce opowiadać ważne, osobiste historie o ludziach. Forma jest czymś drugorzędnym. To „jak" jest w moim odczuciu w przypadku twojego kina mniej istotne od tego „co". Jak wiesz oceniałem twój film na festiwalu w Koszalinie, gdzie byłem przewodniczącym jury. Główne kryterium, jakie przyjęliśmy to, żeby film był przejmujący. Jeśli film nie poruszał, to choćby nie wiem jak był olśniewająco zrobiony, interesował nas mniej. Twój film poruszał, choć nie wygrał. Ale ty jesteś nasycony nagrodami.*

Podejście do pokazywanych filmów ewoluuje. Świadczą o tym również przyznane nagrody. Wyróżnienia aktorskie w zeszłym roku otrzymały: **Annie-Marie Duff** występująca w filmie „Sanctuary" oraz **Gabriela Muskała** za rolę w „Być jak Kazimierz Deyna". To sprawiedliwy, wyśmienity wybór, ale w pewien sposób też odważny i zaskakujący. Role komediowe często uważane są za mniej ważne od tych dramatycznych, przejmujących, wielkich. Zwykło się myśleć, iż kino lżejsze gatunkowo zawiera mniejszy ładunek emocji, mniej dotyka, obchodzi widza i gremia jurorskie. Nagroda dla Gabrieli Muskały, za rolę komediową, jest zaprzeczeniem takiego podejścia, to dobrze, że wskazano na aktorkę,

MiF fot. Ilona Łukjaniuk

która potrafiła w bardzo silnej konwencji stworzyć wiarygodną postać, z którą potrafimy się identyfikować – mimo ironii, i „grania" na granicy przerysowania, jej filmowa bohaterka nie jest w żadnym momencie karykaturalna, raczej po prostu ludzka. Muskała z wyrozumiałością dla słabości, śmiesznostek, potknięć swojej postaci kreśli portret kobiety, który idealnie wpisuje się w ramy gatunkowe filmu, w jego historię, narrację, ale która też staje się nam po prostu bliska. Jak czytamy w uzasadnieniu jury: *za hojność i trafność w korzystaniu z kolorów palety aktorskich środków wyrazu*... Wszystko się zgadza.

W zeszłorocznym Konkursie Pełnometrażowych Debiutów Fabularnych znalazły się filmy różne, najogólniej mówiąc. Ale właśnie ta różnorodność cieszy najbardziej. Widać, że debiutanci nie boją się mierzyć z różnymi konwencjami, gatunkami, tematami. To były zawsze ciekawe formalnie obrazy, co najważniejsze za formą stał temat. To też były różne portrety Polski, z różnych jej okresów w historii, ale z tej filmowej mozaiki wyłaniał się obraz współczesnych czasów i współczesnych nas w tych czasach. Długo oczekiwany, dojrzały, a przy tym bardzo osobisty debiut Bodo Koxa „Dziewczyna z szafy" po prostu wbijał w fotel. Mimo iż bez nagrody głównej, za to z Nagrodą dziennikarzy, to jeden z nielicznych filmów, który wyzwalał wśród publiczności całą paletę emocji, od wzruszenia po śmiech, od łez radości, po łzy smutku. Bodo Kox zaskoczył tak formalnie, jak i tematycznie – udowodnił przy tym, że efekty specjalne nie są przypisane do filmów o wielkim budżecie, że często wystarczy pomysł i chęć na kino autorskie – intymne, a przy tym odważne, uniwersalne, dowcipne, z czytelnym, oryginalnym przekazem, charakterne, zaskakujące, szczere.

„Być jak Kazimierz Deyna" to największy triumfator festiwalu – to też jeden z bardziej interesujących obrazów kraju, zmieniającej się rzeczywistości oraz ludzi. Debiut **Anny Wieczur-Bluszcz** otrzymał trzy nagrody, wspomnianą już dla Gabrieli Muskały, dla Tomasza Naumiuka za zdjęcia (za *konsekwencję, za pomysł plastyczny i idealne zestrojenie się z ideą filmu*) oraz Wielkiego Jantara, któremu towarzyszyło uzasadnienie: za *rozum, ciepło i ironię w opowieści o Polsce*. Już dawno nie czytaliśmy takich komentarzy do werdyktów jury. Takie słowa cieszą, dobrze że w końcu znalazł się sposób na to, by opowiadać o sobie, własnym kraju i przemianach w nim zachodzących. I nie w sposób rozliczeniowy jak bywało do tej pory. To przykłady kina – choć gatunkowego – to jednak bardzo osobistego, własnego.

Pojawiły się też filmy społecznie zaangażowane jak „Dzień kobiet" **Marii Sadowskiej**, z bardzo dobrą rolą **Katarzyny Kwiatkowskiej**. Czekam na więcej pierwszoplanowych ról tej aktorki, debiut Sadowskiej, inspirowany prawdziwymi wydarzeniami, bardzo poruszył widzów. Podobnie jak „Yuma" **Piotra Mularuka**, która otrzymała Nagrodę publiczności. To właśnie młodzi widzowie, którzy chodzili na darmowe projekcje mówili o różnorodności filmów, o bogatym w style i tematy kinie. Zwrócili też uwagę na to, że poziom poczucia humoru w polskich filmach ulega znacznej poprawie – potrafimy grać już na niuansach, to coraz częściej dowcip niepodany wprost, żart sytuacyjny, inteligentny, z nieoczywistym wydźwiękiem, ładnie podaną puentą. Nie wszystko musi być zaznaczone szeroką, grubą kreską, filmowcy już raczej uciekają od tego, nie „puszczają oka do widza", żeby ten wiedział: uwaga, żart. Uczymy się śmiać z samych siebie zapraszając do tego widzów. Ten dowcip też coraz częściej jest po prostu aktualny, zaczerpnięty z życia, z języka młodych, to poczucie humoru, które pozwala publiczności śmiać się razem z twórcami, a nie z nich.

BEZ NADĘCIA

Towarzyszący promocji festiwalu „Młodzi i film" cykl „Szczerość za szczerość" ukazywał się od połowy maja do połowy czerwca 2013 roku na stronie: www.portalfilmowy.pl. Zapytałam w ramach tego cyklu laureatów festiwalu „Młodzi i Film" o ich wrażenia związane z koszalińską imprezą. Co o niej sądzą, jakie są atuty te-

go wydarzenia, na co przekładają się nagrody tam otrzymywane? I czy wyróżnienia powinny przekładać się na coś więcej, oprócz satysfakcji? Pytałam również co powinno ulec zmianie, poprawie, ulepszeniu. Słowem co dalej? Na moje pytania odpowiadali między innymi: Bodo Kox, **Basia Białowąs**, **Edyta Wróblewska**, Łukasz Palkowski, **Leszek Dawid**, **Adrian Panek**, **Katarzyna Rosłaniec**, **Marcin Wrona**. Przepytywani przeze mnie młodzi filmowcy chwalili festiwal, nazywali go imprezą „bez nadęcia", bezpretensjonalną i na luzie, sprzyjającą dyskusjom o filmie. Zwracali uwagę na takie atuty jak darmowe seanse, wystawy, panele, koncerty, które są otwarte dla wszystkich. Mówili również, że festiwal dawał im poczucie bezpieczeństwa – przyjechali po raz pierwszy na tego typu imprezę, doświadczenie było nowe, przez co stresujące, czuli jednak w organizatorach chęć i gotowość do niesienia pomocy, czuli, że ktoś za nimi stoi. Jednocześnie festiwal „Młodzi i film" stanowił przedsmak tego, co jest nieodłącznym elementem zawodu filmowca – chodzi o kontakt i dyskusje na temat kina, często wiąże się to z próbą obrony swojego dzieła.

Nie obyło się oczywiście bez krytycznych uwag. I dobrze. Jednym z najczęściej powtarzającym się postulatów był ten dotyczący daty festiwalu. Wrzesień nie wzbudzał wielkiego entuzjazmu. Moi rozmówcy proponowali powrót do daty czerwcowej, co zresztą już się dokonało, edycja z 2012 roku była ostatnią organizowaną na jesieni. Dzięki przesunięciu daty Gdynia Film Festival na wrzesień, Koszalin znów może odbywać się w czerwcu. Ważną i dobrą zmianą okazała się również rezygnacja z międzynarodowego charakteru imprezy. Ale bez względu na datę oraz formułę wydarzenia, jedna rzecz pozostaje niezmienna i ona zdaje się też uwiera bywalców festiwalu, mianowicie Koszalin powinien być lepiej komunikowany z resztą Polską. Chociażby tylko na czas trwania imprezy.

Może ich różnić wiek, doświadczenia, rodzaj uprawianego kina, ale młodzi filmowcy zwracali uwagę na jedno – i to powtarzało oraz przewijało się w ich wypowiedziach. Ich spostrzeżenie łączy się z zadanym przeze mnie pytaniem we wstępie. Czy rzeczywiście jest tak, że pokazywane w dwóch konkursach krótkie i długie metraże stanowią zapowiedź tego, w jakim kierunku zmierza nasze kino? Z jednej strony tak – debiutujący dziś w krótkim metrażu albo w pełnym formacie autorzy, to przyszli twórcy polskiego kina, którzy z czasem coraz silniej będą zaznaczać w nim swoją obecność. Jak powiedziała **Edyta Wróblewska**, która na Koszalińskim Festiwalu Debiutów Filmowych otrzymała dwa wyróżnienia: w 2008 roku za „PRL de Lux" i w 2010 roku za „Alę z elementarza", ale zasiadała również w jury Krótkiego Metrażu:

Festiwal poświęcony tylko i wyłącznie debiutom jest potrzebny, choćby z tego powodu, że jest to okazja, żeby porównać te pierwsze filmy ze sobą, zobaczyć, jakim głosem mówią młodzi filmowcy, czego szukają w kinie, co ich interesuje i w jaki sposób próbują to pokazać. Ten festiwal daje przedsmak tego, co będzie się działo w głównym nurcie polskiego kina za kilka lat.

To podglądanie przez dziurkę od klucza jest bardzo ważne. Sprawia, że debiutanci czują, że stają się częścią środowiska. Ale czują też, że bez osoby, czy instytucji, która im zaufa, da szansę, nie będą mogli utrzymać się w filmowej branży, jak to się kolokwialnie mówi „żyć z kina". Tu festiwal mógłby odgrywać znaczącą rolę, być pomostem między młodym twórcą, a doświadczonym producentem, dystrybutorem czy *script -doctorem*. Jak czytamy w wypowiedziach:

Basi Białowąs („Big love", 2012): *można by zwrócić uwagę zagranicznej prasy na to istotne wydarzenie i nasycić go jeszcze większą ilością warsztatów i seminariów – w tej chwili to popularna tendencja na międzynarodowych festiwalach;*

Tomka Wasilewskiego („W sypialni", 2012): *Dla mnie, jako wtedy debiutującego reżysera, bardzo ważnym było zrobienie kolejnego kroku, kolejnego filmu. Przede wszystkim poznanie nowych producentów. Festiwal taki jak „Młodzi i Film" jest swego rodzaju przepustką dla filmowca, a przynajmniej powinien nią być. Albo będzie*

start, albo falstart. Tak czy inaczej fajnie, by mieć możliwość zaprezentowania się i poznania się z jak największą liczbą producentów i dystrybutorów. Takie zawodowe markety... Możliwość oszacowania potencjału filmu, przedstawienia pomysłów na nowe projekty. Poznanie. Tak, poznanie producentów;

Pawła Sali („Matka Teresa od kotów", 2010): *Kiedyś wydawało mi się, że nagrody powinny się na coś przekładać, że powinny być szansą. Już wiem, że żadnych spektakularnych przełożeń nie ma. Nawet „Paszport Polityki" się nie przełożył, a „Matka Teresa od kotów" zdobyła pewną listę nagród na różnych festiwalach. Jednak traktuję takie wyróżnienia jak krople, które drążą skałę urzędniczej obojętności. Choć wiem, że żaden urzędnik – czy w PISF, czy w TVP – spontanicznie nie podejmie żadnej inicjatywy, aby jakąś nagrodą podeprzeć się przy podejmowaniu decyzji o dofinansowaniu, jeśli nie zostanie do tego „zmuszony" procedurami. Dlatego koszalińskie nagrody mogłyby być obwarowane jakimś zapisem zobowiązującym do opieki czy pomocy finansowej dla laureata w przypadku następnego projektu. Dobrze by też było, gdyby festiwal był mocniej obecny w mediach. Pożyteczne byłoby organizowanie pitchingów i zapraszanie producentów oraz prezentacja ich indywidualnych oczekiwań – świetnym pomysłem wydają mi się wspólne śniadania, podczas których młodzi filmowcy mogliby przedstawić swe pomysły i konfrontować je z tym, czego producenci poszukują w kinie.*

Festiwal „Młodzi i Film" już zaczął ulegać pewnym modyfikacjom – widać, że będzie się rozwijać, by też być konkurencyjną imprezą wobec wielu filmowych wydarzeń w kraju i zagranicą. Może warto jednak skorzystać z opinii młodych i spróbować stworzyć im warunki do wymiany opinii, poglądów, pomysłów z ludźmi, którzy finansują kino w Polsce, pozwalają na funkcjonowanie w zawodzie, jeżdżą na międzynarodowe festiwale, wiedzą wobec tego, jakie kino tworzone jest teraz na świecie. Wtedy będzie można mówić, że festiwal w Koszalinie to nie tylko filmowa inicjacja, to wydarzenie,

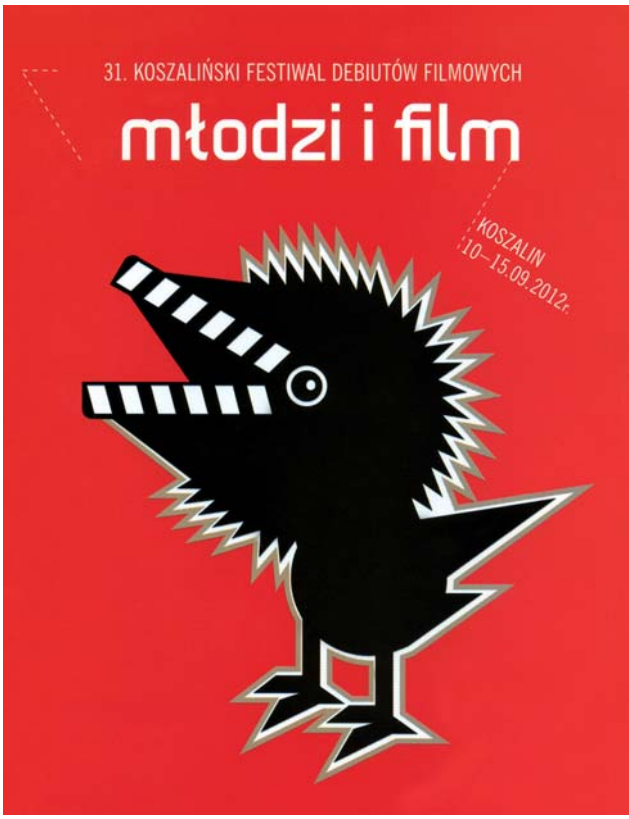

które pośredniczy pomiędzy inicjacją a pełnoprawnym wejściem w zawód. Rzadko która polska impreza filmowa ma to w swojej ofercie, może warto byłoby taką pomoc wpisać w profil i założenia festiwalu?

Na koniec chciałabym powrócić do słów Janusza Kijowskiego, z wywiadu już tu cytowanego, udzielonego miesięcznikowi KINO w maju bieżącego roku. To nie na wyrost deklaracje, raczej esencja atmosfery i idei festiwalu „Młodzi i Film" zamknięta w słowach: *Chciałem stworzyć warunki ułatwiające rozmowom o filmie, byciu ze sobą w kinie i poza nim. U nas nie ma ducha niezdrowej konkurencji. Wydaje mi się, że na innych festiwalach to dominuje. W Koszalinie wszyscy dobrze się czują. Nie ma zawiści, nigdy czegoś*

takiego nie odczułem. Wygrani i przegrani świętują wspólnie. Bardzo mi zależy, żeby ten pierwszy filmowy krok odbywał się w duchu przyjaźni i solidarności środowiskowej. Żeby ci młodzi twórcy wiedzieli, że łatwiej będzie im się przebijać do swoich karier w atmosferze solidarności pokoleniowej. Taka droga egoistyczna, na skróty, niespecjalnie się sprawdza. Każdy oczywiście jest inny, każdy ma swój charakter pisma, ale głęboko wierzę w integrację kolejnych pokoleń filmowców, którzy do nas zjeżdżają. Tylko wtedy można zaistnieć. Koszalin temu sprzyja, sprzyja przyjaźniom, które trwają dłużej niż seans filmowy.

Festiwal „Młodzi i Film" ulega zmianom i modyfikacjom. Tak jak inne jest każde następne pokolenie filmowców, tak różnić się będą między sobą kolejne edycje tego wydarzenia. Najważniejsze, że organizatorzy próbują dostosować je do potrzeb młodych twórców i odbiorców, jednocześnie nie zapominając o rodowodzie festiwalu.

Anna Makochonik

Pięć wymiarów Integracji

9. Europejski Festiwal Filmowy „Integracja Ty i Ja"

– Nie zależy mi na chmarze ludzi i uleczeniu całej karkołomności społecznej tematu niepełnosprawności. Robię festiwal dla osób z określoną wrażliwością, mających sporo refleksji o sobie i życiu, dla tych, którzy wiedzą, że z różnych powodów mogą podzielić za chwilę los niepełnosprawnego człowieka, jakiego tu spotykają. Chciałabym, by ludzie sprawni, na co dzień żyjący w szalonym tempie, swoimi problemami trafili tu i wsłuchali się w niesamowite opowieści niezwykłych osób niepełnosprawnych na ekranie i na żywo. Każdy wyjdzie od nas bogatszy **– tak o Europejskim Festiwalu Filmowym „Integracja Ty i Ja" mówiła Barbara Jaroszyk, przed rozpoczęciem ubiegłorocznej, zorganizowanej już po raz dziewiąty imprezy, której jest pomysłodawczynią i dyrektorką. Te cztery zdania chyba najlepiej i najpełniej definiują cel, sens i znaczenie tego przedsięwzięcia, unikatowego nie tylko w skali lokalnej, bo swym zasięgiem EFF obejmuje dziś kilkadziesiąt miejsc w Polsce, a trwa praktycznie cały rok.**

W 2013 roku „Integracja" świętuje pierwszy duży jubileusz – dziesięciolecie. Przez dekadę festiwal przeszedł ogromną metamorfozę, pokonując drogę od kameralnego kołobrzeskiego festiwaliku do festiwalu-instytucji, który wyznacza kierunki myślenia o szeroko pojętej integracji, bez cenzury, tabu, ograniczeń. Europejski Festiwal Filmowy „Integracja Ty i Ja" zmieniał się i rozrastał pod względem artystycznym, merytorycznym i formalnym, w rytmie kształtowania się polskiej i europejskiej myśli o integracji. Dziesięć lat temu temat był w Polsce publicznie martwy. Nieobecny w mediach, marginalizowany społecznie i politycznie, choć przecież dotyczył nie mniejszej liczby osób niż dziś. Obecnie niepełnosprawność i kwestie integracji są oswojone, choć wciąż niedostatecznie poznane i przepracowane. Tym bardziej dumą napawa fakt, że to właśnie w Koszalinie powstał projekt, który na polu integracji ma wymiar pionierski i nie ustaje w rozwoju, reagując na rzeczywistość i wciąż otwierając nowe obszary rozmowy o niepełnosprawności.

Integracja naukowa

Choć szkielet organizacyjny jest ten sam, „Integracja" to co roku właściwie nowa impreza; decyduje o tym temat przewodni, wokół którego budowany jest zawsze obfity program koncertów, wystaw, spotkań i prezentacji. W kontekście wspomnianego wyżej rozwoju festiwalu tym mocniej wybrzmiewa futurystyczne hasło 9."Integracji" – „Jestem z XXI wieku, żyję przyszłością". Głównym zamysłem organizatorów – Koszalińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego i Koszalińskiej Biblioteki Publicznej – było pokazanie wszystkiego, co może ułatwić niepełnosprawnym życie, od technologii po rehabilitację fizyczną i społeczną. Stąd dużą część wydarzeń towarzyszących imprezie stanowiły prezentacje ultranowoczesnego sprzętu medycznego i przedmiotów rodem z plecaka Jamesa Bonda, pomagających w wykonywaniu codziennych czynności: elektroniczna lupa, powiększające lustro, pilot do telewizora, kaseta na bilon, mówiące zegarki, system zdalnej nawigacji, rozwiązania umożliwiające dotykowe poznawanie otoczenia czy system

sterowania domowymi urządzeniami za pomocą fal mózgowych. Wszystkie te cuda dają wiarę w to, że technologia może dziś w dużym stopniu zastąpić niepełnosprawnym choćby wzrok. Ich prezentacje odbywały się w miasteczku festiwalowym, do którego bardziej pasowałoby określenie „naukowe" ze względu na obecność namiotów *Eperymentarium* przygotowanego przez Politechnikę Łódzką.

Swego rodzaju eksperymentem, a na pewno ewenementem i przykładem innowacyjnych rozwiązań dla osób niepełnosprawnych była zorganizowana w Muzeum w Koszalinie wystawa „Dotknąć sztuki" z audiodeskrypcją. Tę wyjątkową ekspozycję, przeznaczoną dla osób niewidomych i słabowidzących, którym o obrazach szczegółowo opowiada lektor, przywiozła łódzka „Nasza Galeria"; inicjatorką przedsięwzięcia była **Monika Cieniewska**, dyrektorka Biblioteki Centralnej Polskiego Związku Niewidomych w Warszawie.

Festiwalowe hasło to też tytuł towarzyszącej festiwalowi konferencji naukowej organizowanej z Instytutem Polityki Społecznej i Stosunków Międzynarodowych Politechniki Koszalińskiej oraz Starostwem Powiatowym w Świdwinie. Wzięli w niej udział m.in. przedstawiciele administracji publicznej, samorządowej, organizacji pozarządowych, naukowcy z kilku ośrodków akademickich. Termin konferencji zbiegł się akurat z podpisaniem przez prezydenta RP Bronisława Komorowskiego Konwencji ONZ o prawach osób niepełnosprawnych, której zapisy równolegle przybliżał w Koszalinie **Krzysztof Kosiński**, zastępca dyrektora Biura Pełnomocnika Rządu ds. Osób Niepełnosprawnych. Konferencję poświęcono socjalno-medycznemu systemowi opieki nad niepełnosprawnymi, wykluczeniu społecznemu ofiar przemocy i osób uzależnionych, a także problemom ich rodzin.

Trzecim obok konkursu filmowego i konferencji naukowej ważnym wydarzeniem każdej „Integracji" są tzw. lekcje wychowawcze w szkołach; w roku 2012 odbywały się one pod hasłem. „Drugie życie". Tytuł trzeba rozumieć dwuznacznie, bo z młodzieżą kilku koszalińskich szkół spotkali się ludzie, którzy na nowo narodzili się po przeszczepie serca, ale też ci, dla których nowy życiowy rozdział rozpoczął się w momencie, gdy stracili sprawność. Opowiadali o tym: **Rafał Gręźlikowski** – zdobywca 50 pucharów i stu medali w kilku dyscyplinach sportowych, paralotniarz **Maciej Horbowski** czy **Bartek Ostałowski –** rajdowiec bez rąk. O tym, że ogranicza nas tylko wyobraźnia, można się było przekonać wsiadając z Bartkiem do samochodu w czasie driftu, który zakończył festiwal.

Integracja filmowa

O rosnącym znaczeniu i prestiżu festiwalu najbardziej świadczy dziś poziom konkursu filmowego. Jeszcze w ostatnich latach wyszukanie produkcji o szeroko rozumianej niepełnosprawności stanowiło nie lada wyzwanie. Co prawda każdego roku pojawiały się w tym skromnym gronie dzieła wybitne – wystarczy wspomnieć choćby nagrodzone na „Integracji" filmy „W stronę morza" czy „Motyl i skafander" – jednak znalezienie kilkunastu ciekawych produkcji do konkursu bywało dziełem przypadku. Oprócz pokazów specjalnych, będących przeglądem z kilku lat, na festiwalu obejrzeć można było głównie polskie dokumenty, krótkie metraże, sporadycznie fabuły. Dziś sytuacja jest zupełnie odwrotna. Zgłoszenia konkursowe napływają do organizatorów w ciągu całego roku i konieczna jest ich selekcja, a to gwarantuje, że do konkursu trafiają produkcje najlepsze.

Tak też stało się w 2012 r. Reprezentowany przez kinematografię z całego świata – m.in. Australię, Francję, Belgię, Hiszpanię, Słowację i Argentynę – zestaw konkursowy był niezwykle mocny. Fabuły reprezentowało dwanaście znakomitych filmów krótko- i długometrażowych. Wśród nich obrazy jeszcze przed festiwalem docenione przez krytykę i widzów: „Nietykalni" **Erica Toledano** i **Oliviera Nakache** i „Hasta la vista" **Geoffreya Enthovena**, czy znakomity polski „Lęk wysokości" **Bartosza Konopki**.

W konkursie o „Motyle" ponadto zmierzyło

się 15 dokumentów oraz 5 filmów amatorskich. Przewodzący obradom **Sławomir Grünberg** zaznaczył, że jury: *z satysfakcją odnotowało pojawienie się coraz większej liczby filmów poruszających tematy dotychczas pomijane i uważane za zbyt kontrowersyjne*. Te filmy to m.in. laureat Grand Prix – „Hasta la vista", opowieść o trzech niepełnosprawnych przyjaciołach, którzy za wszelką cenę pragną stracić dziewictwo, oraz wyróżniony statuetką „Motyla" dokument, którego tytuł jednocześnie wprost określa tematy, o których wspomina Grünberg: „Seks, miłość i niepełnosprawność". W tym porażającym obrazie (reż. **Jean-Michel Carré)**, będącym rozpaczliwym studium o gorącym sercu uwięzionym w ciele, niestety, brak happy endu, ale warto zaznaczyć, iż tendencją ostatnich lat jest pojawianie się w konkursie produkcji o wydźwięku tragikomicznym, lub po prostu komedii, *vide* Grand Prix. Śmiech to, obok seksu, największe tabu dotyczące niepełnosprawności, a potrafi przecież lepiej niż cokolwiek innego oswoić życiowe dramaty. Dystans do choroby, życia i świata bohaterów filmowych zawstydza niejednego sprawnego pesymistę i sceptyka, a poczucie humoru niepełnosprawni mają czasem naprawdę wyrafinowane.

Sam Sławomir Grünberg, producent, reżyser i operator, swoją filmografię zapełnia dokumentami o wykluczonych społecznie bohaterach. Jeden z takich filmów – „Obraz uczuć", który w 2008 roku otrzymał „Motyla", mogliśmy w ramach krótkiej retrospekcji dokumentalisty obejrzeć.

W skład jury weszli także: grafik, autor tegorocznego plakatu festiwalowego **Rosław Szaybo**, **Andrzej Suchcicki –** filozof, animator kultury filmowej, społecznik, oraz nie wymagająca rekomendacji **Magdalena Łazarkiewicz**. Reżyserka podczas spotkania z widzami podkreśliła, że to jej poprzedni udział w festiwalu był inspiracją do zrealizowania serialu o pracownikach socjalnych „Głęboka woda". W Koszalinie pojawiła się część aktorskiej ekipy serialu – **Gabriela Muskała** i **Katarzyna Maciąg**.

Barbara Jaroszyk. fot. Ilona Łukjaniuk

– Przyjazd tu to nie tylko zmierzenie się z artystycznym ładunkiem, które bije z filmów – mówiła Magdalena Łazarkiewicz. – *Ta impreza ma w sobie walor prawdy i autentyzmu. Filmy są różne; mimo, że często oglądamy obrazy o trudnym losie osób niepełnosprawnych, to wyjeżdżamy Koszalina z pozytywnym nastawieniem. Podział na pełno- i niepełnosprawnych wydaje się coraz bardziej nieaktualny*.

Integracja eksportowa

Barbara Jaroszyk podkreśla, że „rozprzestrzenienie" festiwalu poza granice Koszalina uważa za ogromny, jeśli nie najważniejszy, sukces. Chodzi nie tylko o znakomitą promocję, ale obecność festiwalu w różnych miejscach Polski w postaci satelitów jego głównego nurtu. Kon-

kursowe filmy wyświetla kilkanaście kin studyjnych, m.in. w Warszawie, Krakowie, Częstochowie, Białymstoku, Katowicach, Kielcach, Lublinie, Poznaniu. Małe Festiwale „Ty i Ja" po raz trzeci odbyły się w kilkunastu miejscowościach: Białogardzie, Będzinie, Biesiekierzu, Bobolicach, Bornem Sulinowie, Chodzieży, Dźwirzynie, Grazymach, Pile, Piławie Górnej, Morągu, Nowych Bielicach, Olsztynie, Polanowie, Szczecinku, Warszawie, Zalewie, Złotowie. Festiwalowe imprezy pojawiły się także w Zakładzie Karnym w Koszalinie Choć zaczepione o „główny" festiwal, odbywające się równolegle do niego przez pięć dni – „małe" festiwale mają indywidualny charakter i przebieg. Ich organizatorzy – organizacje pozarządowe, samorządowe instytucje i ośrodki społeczno-kulturalne oraz wolontariusze – sami komponują program imprez towarzyszących. Festiwal-matka zapewnia im natomiast materiały promocyjne i filmy.

Integracja całoroczna

W lutym 2012 r. ruszył cykliczny projekt towarzyszący Europejskiemu Festiwalowi Filmowemu „Integracja Ty i Ja" – Integracyjna Akademia Filmowa „Ty i Ja". Raz w miesiącu, w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej, odbywają się spotkania młodzieży, osób niepełnosprawnych i seniorów, którzy oglądają i dyskutują o najlepszych filmach prezentowanych podczas minionych festiwali.

W maju 2012 r. w Połczynie Zdroju odbył się warsztat fotograficzny, podczas którego osiemnaście osób uczyło się bądź doskonaliło swój warsztat fotograficzny pod opieką instruktorów z założonej w Koszalinie przez **Grzegorza E. Funkego** Bałtyckiej Szkoły Fotografii. Zwieńczeniem artystycznych działań była poplenerowa wystawa kilkudziesięciu prac, zaprezentowana w Koszalinie, podczas festiwalu we wrześniu, a wcześniej na Zamku Książąt Pomorskim w Szczecinie.

Otwarcie wystawy prezentującej plon warsztatów fotograficznych. fot. Ilona Łukjaniuk

Postfestiwalowym wydarzeniem był natomiast październikowy międzynarodowy warsztat animacji filmowej *Let's animate and integrate* w podkołobrzeskim Dźwirzynie, sfinansowany ze środków Unii Europejskiej w ramach programu „Uczenie się przez całe życie" GRUNDTVIG. W tym niezwykłym projekcie, adresowanym do osób niepełnosprawnych, wzięło udział 18 osób z 9 państw Europy. Zajęcia poprowadzili instruktorzy ze Studia Miniatur Filmowych, zaprzyjaźnieni z festiwalem **Eugeniusz Gordziejuk** i **Wiesław Zięba**. Premiera stworzonej wspólnymi siłami animacji odbędzie się w 2013 roku w czasie jubileuszowego festiwalu.

Integracja moja

O „Integracji" piszę od pierwszego koszalińskiego festiwalu. Każdego roku przed nim staram się uchwycić słowami swoją własną słabość do tego projektu. Tak, by nie popaść w niepotrzebny patos, uniknąć pretensjonalnych refleksji, sztucznych wzruszeń, a jednocześnie zapisać w tekstach moje przekonanie o misji, którą festiwal pełni w społeczeństwie wciąż wykluczającym inność, chorobę, starość. „Integracja" jednocześnie zdejmuje z niepełnosprawności całe odium namaszczenia jako sytuacji życiowej bez wyjścia, budzącej współczucie lub, jeszcze gorzej – litość. Historie bohaterów „Integracji" przypominają, że granica między sprawnością a niepełnosprawnością miewa wymiar centymetra lub sekundy.

Cenię to, że choć ma ogromną siłę oddziaływania zwłaszcza ponadlokalnego, to wciąż impreza kameralna, skromna, bez zadęcia, a co najważniejsze: nie mówi o niepełnosprawności w sposób, którego nie znoszę – na kolanach. Z wielu rozmów, które udało mi się przeprowadzić w czasie tych wszystkich festiwali wynika, że niepełnosprawnym nie zależy ani na gestach współczucia, ani na stawianiu ich na piedestale jako herosów codzienności, ale na normalnym kontakcie z drugim człowiekiem. Dlatego ciągle powtarzam, że festiwal jest trochę bardziej potrzebny ludziom zdrowym, sprawnym; przybliża nam świat wcale nie tak różny od naszego.

Tym bardziej cieszę się, że w roli czynnika integrującego występuje moje ukochane kino. Bo choć „Integracja" ma charakter społeczny, to przecież z założenia jest festiwalem filmowym, wymyślili go i wspierają ludzie kina, którzy podobnie jak ja wiedzą, że film to sztuka, dla której nie ma żadnych granic.

Werdykt 9. Europejskiego festiwalu „Integracja Ty i Ja":

Najlepszy film fabularny: **„Hasta la vista"** w reżyserii **Geoffreya Enthovena** (Belgia) za genialne połączenie pierwiastka tragicznego i komicznego w opisie świata przeżywanego przez bohaterów filmu.

Najlepszy film dokumentalny: **„Najlepsza forma mojego życia"** w reżyserii **Piotra Sobczaka** (Polska) za prostotę i autentyzm w pokazaniu uporu w walce z przeciwnościami.

Najlepszy film amatorski: **„Carpe diem"** w reżyserii **Katarzyny Kuklińskiej** za piękną inicjatywę umożliwiającą spotkanie ludzi z różnych kręgów.

Wyróżnienie w kategorii film fabularny: **„Mój ukochany"** (*My sweetheart*) w reżyserii **Daniela Metge** (Francja) za to, że w tak krótkiej formie udało się przekazać tyle prawdy o ludzkich uczuciach.

Wyróżnienie w kategorii film dokumentalny: **„Seks, miłość i niepełnosprawność"** (*Sex, love & disability*) w reżyserii **Jeana-Michela Carré** (Francja) za odwagę i bezkompromisowość w poruszaniu ważnego tematu tabu.

Drugie wyróżnienie w kategorii film dokumentalny: **„Metr nad ziemią"** w reżyserii **Tomasza Wiszniewskiego** za spójność języka filmowego w opowiadaniu o przejmującym losie człowieka.

Nagroda publiczności: **„Nietykalni"** (*Untouchables*), Francja, w reżyserii **Erica Toledano** i **Oliviera Nakache**.

Izabela Nowak

10 lat „Pasji według świętego Włodzimierza"

Międzynarodowy Festiwal Filmów Dokumentalnych o Włodzimierzu Wysockim „Pasje według Świętego Włodzimierza" narodził się z fascynacji dr Marleny Zimnej, autorki książek biograficznych poświęconych Wysockiemu i tłumaczki jego wierszy. Chociaż od śmierci legendarnego artysty minęło już ponad trzydzieści lat, jego twórczość wciąż jest niezwykle popularna na wszystkich kontynentach. W styczniu 2012 roku przejechali do Koszalina z czternastu krajów: Algierii, Finlandii, Francji, Gruzji, Hiszpanii, Iraku, Izraela, Łotwy, Norwegii, Polski, Rosji, Szwajcarii, Ukrainy, USA. Dla nich koszaliński festiwal jest nie tylko świętem filmu, poezji, muzyki i literatury, ale przede wszystkim wspaniałą okazją by oddać hołd niezapomnianemu artyście.

Jubileuszowy festiwal

Jak na jubileusz przystało dziesiąte „Pasje" miały wyjątkowo uroczysty charakter i bogaty program. Obok tradycyjnych elementów – projekcji filmowych, wystaw, koncertów, spotkań z reżyserami, pisarzami, naukowcami i piosenkarzami, pojawiło się wiele nowych inicjatyw. Z okazji jubileuszu odbyła się prezentacja „10 książek i płyt na 10-lecie", ogłoszono również nowe konkursy – na „Najlepszy Film Dekady" i na ekranowe pojedynki pod hasłem „Wychodź, wychodź, zagwizdać ci chcę serenadę...". Po raz pierwszy zaproszono do rywalizacji wszystkich uczestników festiwalu, którzy mogli zaprezentować się w konkursie „Najlepiej o Wołodii". Nagrodę Specjalną dla najlepszego reżysera za całokształt dokonań – oczywiście ocenianych przez pryzmat filmów o Włodzimierzu Wysockim – przyznano natomiast po raz drugi.

Sensacją jubileuszowego festiwalu był udział poetki i translatorki **Gulali Noori Ahmed z Iraku. –** *Gulala Noori Ahmed jest wybitną, uznaną poetka, której sława wykroczyła daleko poza Irak. Uczestniczy w renomowanych festiwalach literackich, w sympozjach i zjazdach literatów. W każdej antologii współczesnej poezji arabskiej znajdziemy jej nazwisko i utwory tłumaczone na wiele języków. Jest również niezwykle barwną osobowością – obrończynią praw człowieka, wojowniczką o prawa kobiet, osobą wolną i niezależną.* – wyjaśnia dr Marlena Zimna*,*

Spojrzenie wstecz – narodziny „Pasji według świętego Włodzimierza"

Zanim w 2003 r. pierwszy festiwal stał się znakiem rozpoznawczym Muzeum Włodzimierza Wysockiego, w Koszalinie trwała już rozpoczęta przez Marlenę Zimną tradycja różnorodnych, zarówno elitarnych, jak i masowych spotkań w twórczością rosyjskiego artysty. Jako pierwsze pojawiły się imprezy „Z przyjaciółmi o Wysockim", następnie międzynarodowe konferencje adresowane do naukowców i konkursy dla młodzieży na najlepsze interpretacje utworów Wysockiego. W 2000 roku wydarzeniem artystycznym stał się wielki koncert w amfiteatrze „Gwiazdy – Wysockiemu" z udziałem gwiazd teatru i estrady. (transmitowany w TVP koncert reżyserował Laco Adamik a wzięli w nim udział m.in.,. aktorzy Teatru Ateneum w Warszawie, także Daniel Olbrychski oraz Grzegorz Markowski z grupą „Perfect" – dop. red.) I wówczas pojawiła się potrzeba po-

szukiwania nowych form promujących twórczość rosyjskiego barda wolności:

W pewnym momencie zdaliśmy sobie sprawę, że organizowane dotychczas imprezy, zmierzające do utrwalania spuścizny Wysockiego w świadomości społecznej, stają się masową rozrywką – mówi **dr Marlena Zimna** – *Niewiele miały wspólnego z wielką poezją. Ponadto utwory Włodzimierza Wysockiego prezentowane przez zaproszone gwiazdy coraz wyraźniej zmierzały w kierunku kabaretowych i rozrywkowych interpretacji „ku uciesze gawiedzi". Z czasem postać artysty, którego promocję tratujemy jako swoistą misję, stawała się coraz bardziej nieobecna. To była smutna konkluzja. Szukaliśmy więc form, które przybliżą fenomen Wysockiego, umożliwią widzom obcowanie z unikatowymi na skalę światową materiałami, jakie gromadzimy w naszym Muzeum. Tak narodził się pomysł festiwalu filmowego, gdyż – obok zachowanych dokumentów – wciąż powstają nowe obrazy. Pragnęliśmy stworzyć imprezę pozwalającą na delektowanie się wielką osobowością Wysockiego jako jedynego bohatera nie przysłanianego przez gwiazdy. Mieliśmy również ambicje wytyczania pewnych trendów i odkrywania artystów uprawiających sztukę elitarną, więc niekoniecznie obecnych na pierwszych stronach gazet i lansowanych przez wytwórnie płytowe, rozgłośnie radiowe, czy ośrodki telewizyjne. Myślę, że wszystkie te pragnienia udało się spełnić i teraz festiwal jest naszym „ukochanym dzieckiem".*

Wysocki w filmowym dokumencie

Do Konkursu Głównego X Festiwalu zakwalifikowanych zostało czternaście filmów z dziesięciu krajów: Azerbejdżanu, Finlandii, Francji, Izraela, Kanady, Kazachstanu, Łotwy, Polski, Rosji i Rumunii. Trzy kinematografie – azerbejdżańska, kanadyjska i łotewska – zadebiutowały w konkursowej rywalizacji.

Podczas konkursowych pokazów oglądali-

Wysocki i Szwedzi. fot. Ilona Łukjaniuk

śmy klasyczne filmy biograficzne, w której postać wielkiego artysty prezentowali ludzie bliscy Wysockiemu, rejestracje z koncertów i spektakli teatralnych z jego udziałem, a także miniatury filmowe przedstawiające różne interpretacje utworów Wysockiego. Regulamin konkursu nie określa czasu powstania filmów, więc obok najnowszych produkcji można było również zobaczyć obrazy sprzed wielu lat.

Bardzo interesująca okazała się próba przedstawienia festiwalowego bohatera po prostu jako człowieka w rosyjskim filmie *Rzeczy osobiste Wysockiego* w reżyserii **Andrieja Maksimowa**. Przedmioty należące do poety prezentował i komentował jego syn **Nikita**, dyrektor Muzeum Wysockiego w Moskwie. Okazało się, że bardzo prywatna sfera życia Wysockiego kryje wiele niespodzianek... Artysta był między innymi wybornym znawcą herbaty, doskonale ją parzył, a jego mieszkanie pełne było czajniczków i kolorowych puszeczek z rozmaitymi gatunkami herbaty, przywożonymi przez niego z różnych stron świata.

– *Wysoko oceniam polski obraz* „Dlaczego Włodzimierz Wysocki?" *zrealizowany przez* ***Bogusława Klimsę*** *i* ***Stanisława Ryszarda Kubiaka****, który był moim cichym faworytem* – mówi dr Marlena Zimna. – *Pytanie zawarte w tytule filmu wydaje mi się fundamentalne w kontekście naszego festiwalu. Ponadto film, prezentując fragmenty legendarnego już spektaklu warszawskiego Teatru Ateneum, dotyka tak naprawdę wszystkich aspektów fenomenu Wysockiego.*

Debiutująca w festiwalowej rywalizacji kinematografia łotewska zaprezentowała zrealizowany w 2011 roku film *Planeta Wysockiego w Koszalinie* w reżyserii **Siergieja Koczergi** – interesującą i bardzo szeroką dokumentalną relację z IX Festiwalu „Pasje według świętego Włodzimierza".

– *Twórca skoncentrował się na wielokulturowej obecności w Koszalinie gości z różnych stron świata, zaczarowanych i oczarowanych twórczością Wysockiego* – mówi dr Zimna. – *Wypowiedzi artystów, naukowców i widzów tworzą klimat tej opowieści o planecie, która raz w roku, zawsze w styczniu, kręci się w Koszalinie wokół tego słońca, jakim jest postać i dorobek rosyjskiego artysty...*

Nagroda Specjalna – Wielcy nominowani

Po raz drugi festiwalowa publiczność wybierała laureata Nagrody Specjalnej przyznanej za całokształt osiągnięć artystycznych związanych z Włodzimierzem Wysockim. Do tego prestiżowego wyróżnienia było nominowanych czterech reżyserów: moskwianin **Igor Rachamnow** w 2011 roku otrzymał Grand Prix za film *Odejdę tego lata* zrealizowany wspólnie z **Aleksandrem Kowanowskim**. Jest to przejmująca opowieść o przedwczesnej śmierci Włodzimierza Wysockiego i jego niezwykłym pogrzebie.

Także **Witalij Manskij** jest moskiewskim dokumentalistą; Koszalin pamięta go jako autora skandalizującego filmu *Śmierć poety,* w którym z niezwykłą szczerością ukazuje tragedię uzależnionego od alkoholu i narkotyków artysty.

Ilia Rubinstein jest reżyserem filmów fabularnych, i dokumentalnych. Zajmuje się również twórczością literacką. Jednym z ważniejszych obrazów w jego filmografii jest nagrodzony w Koszalinie w 2004 roku *Francuski sen,* film przybliżający dzieje trudnej miłości Włodzimierza Wysockiego i francuskiej aktorki Mariny Vlady.

Listę nominowanych zamyka **Peter Berggren**, szwedzki reżyser mieszkający w Stanach Zjednoczonych i wykładający reżyserię w Chicago. Jest twórcą filmu *Vladimir Vysotsky. Białe płótno życia*, urzekającego genialnym montażem i uznawanego za najlepszy film dokumentalny o Włodzimierzu Wysockim, jaki dotychczas zrealizowano.

Fotografia, literatura i muzyka z Wysockim na pierwszym planie

Tradycyjnym punktem programu kolejnych festiwali są wystawy fotograficzne. W 2012 roku uroczystą inaugurację poprzedził wernisaż wystawy „**Moskiewski Hamlet w Paryżu**", zawie-

rającej nieznane wcześniej zdjęcia Włodzimierza Wysockiego.

– *Autorem zdjęć jest mistrz obiektywu* ***Daniel Cande****, który fotografował wybitne osobowości ze świata filmu, teatru i estrady* – mówi Marlena Zima. – *Był znakomitym portrecistą, specjalizował się również w zdjęciach ze spektakli teatralnych. Te kadry zachowały się we Francuskiej Bibliotece Narodowej. Wśród nich udało nam się odnaleźć negatywy przedstawień Moskiewskiego Teatru Komedii i Dramatu na Tagance, który wystawiał w Paryżu dwa spektakle* – „Hamleta" i „10 dni, które wstrząsnęły światem". *W obu przedstawieniach główne role grał Włodzimierz Wysocki, więc jest uwieczniony na wielu zdjęciach, które prezentujemy w Koszalinie.*

Nie zabrakło również prezentacji najnowszych książek związanych z Włodzimierzem Wysockim. Tym razem swoje nowe translatorskie publikacje prezentowała **Gulala Noori Ahmed z Iraku**, a były to tomy poezji Wysockiego w języku kurdyjskim i arabskim. Warto podkreślić, że wybitna iracka poetka tłumaczy wyłącznie z języka angielskiego, koncentrując się przede wszystkim na twórczości współczesnych poetów amerykańskich. Pojawia się więc pytanie o zainteresowanie poezją Wysockiego. Okazuje się, że ta fascynacja rozpoczęła się od pobytu **Gulali Noori Ahmed** w Odessie, mieście tak bliskim Wysockiemu. Tam poznała jego twórczość, a także historię przyjaźni Wysockiego z pewnym irańskim Kurdem o bardzo tajemniczym życiorysie... Kolejna pisarka zafascynowana rosyjskim poetą – **Anne Le Roy** – przyjechała do Koszalina z Francji, by promować swoją wydaną w 2011 roku książkę *Wysocki, plotka i rezonans*.

Niecierpliwie oczekiwanymi wydarzeniami artystycznymi były wieczorne koncerty przypominające wspaniałe pieśni Włodzimierza Wysockiego w znakomitych i bardzo oryginalnych

Moskiewski Hamlet w Paryżu. fot. Ilona Łukjaniuk

interpretacjach. Aktorzy i pieśniarze z Kaliningradu – **Denis Grincewicz**, **Julia Wasilkowa** i **Julia Grigorowicz** zaprezentowali fragmenty spektaklu muzycznego *Przerwany lot*. Artystom towarzyszyły uczennice Szkoły Ogólnokształcącej nr 28 w Kaliningradzie. Odmienne w charakterze interpretacje przedstawili muzycy z Norwegii – zespół „**Panter Tanter"** promujący swą najnowszą płytę.

Równie atrakcyjny był drugi z wieczornych koncertów, ponownie potwierdzający wielką popularność Włodzimierza Wysockiego w Skandynawii. Po występie norweskiego zespołu zachwycił publiczność duet **Pertti Leinonen** – **Veikko Pöllänen** z Finlandii. Gwiazdą wieczoru okazał się jednak gość z Berlina, **Ekkehard Maass,** znany niemiecki poeta, pieśniarz i tłumacz, a także żarliwy wojownik o prawa człowieka.

Triumfatorzy jubileuszowych „Pasji"

Tradycyjnie, jedynym jurorem festiwalu „Pasje według świętego Włodzimierza" jest publiczność. Jej werdykt ogłoszony został podczas uroczystej gali tradycyjnie wieńczącej festiwal. Wyjątkowym momentem było wręczenie nagrody za **Najlepszy Film Dekady**. W tej konkurencji startowały zwycięskie obrazy z poprzednich dziewięciu festiwali oraz filmy zakwalifikowane w 2012 roku do Konkursu Głównego. Prestiżowy tytuł Najlepszego Filmu Dekady przyznano rosyjskiemu obrazowi ***Władymir Wysocki. Samarskie losy*** w reżyserii **Witalija Dobrusina** i **Andrieja Pekera.**

Kolejnym prestiżowym wyróżnieniem była – przyznana po raz drugi – **Nagroda Specjalna** za całokształt dokonań artystycznych. Otrzymał ją **Peter Berggren**, twórca dokumentu *Vladimir Vysotsky. Białe płótno życia*. Za najpiękniejszą wypowiedź o Włodzimierzu Wysockim w konkursie „**Najlepiej o Wołodii**" uznano wystąpienie **Gulali Noori Ahmed.**

Laureatem **Grand Prix** Konkursu Głównego został łotewski film ***Planeta Wysockiego w Koszalinie*** w reżyserii **Siergieja Koczergi.** Dopiero po raz drugi została przełamana hegemonia filmowców rosyjskich. Pozostałe nagrody trafiły jednak do rąk twórców z ojczyzny Wysockiego

II nagrodę widzowie przyznali filmowi ***Rzeczy osobiste Wysockiego*** w reżyserii **Andrieja Maksimowa**, natomiast **III Nagrodę** otrzymał obraz ***Ija Sawwina. Wywiad***. Jego twórcami są **Lew Czerniak i Oleg Wasin**.

***

Mit Włodzimierza Wysockiego to jeden z najbardziej wyrazistych elementów współczesnej kultury rosyjskiej, europejskiej, a nawet światowej. Jego twórczość wciąż podbija nowe kontynenty, zdobywając gorących wielbicieli. W 2011 roku Koszalin gościł zafascynowanych Wysockim artystów z Chin i z Wietnamu, a jubileuszowy festiwal potwierdził wielką popularność rosyjskiego artysty w krajach arabskich.

– *Zmienia się świat, zmieniają się trendy, a pani przez cały czas w miłości i uwielbieniu promuje twórczość Włodzimierza Wysockiego i przyciąga do Koszalina coraz więcej osób, zafascynowanych jego twórczością* – powiedział **Przemysław Krzyżanowski** podczas uroczystej inauguracji festiwalu zwracając się do dr Marleny Zimnej. – *Serdecznie Pani za to dziękuję*.

NASI W ŚWIECIE

... jej muzykalność jest wyjątkowa i bazuje na solidnym wykształceniu połączonym z wyrafinowaną muzyczną wrażliwością. Umieściłbym ją w pięcioprocentowej czołówce najlepszych dyrygentów ...
Richard Rosenberg (USA)

Maria Słowik-Tworke

Nadzieja światowej dyrygentury – piękna i z Koszalina!

W listopadzie 2012 roku Marzena Diakun zdobyła srebrną batutę na prestiżowym IX Międzynarodowym Konkursie Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga w Katowicach. Imprezę do życia powołał w 1979 roku profesor Karol Stryja – jeden z najwybitniejszych polskich dyrygentów, absolwent klasy dyrygentury Grzegorza Fitelberga. Katowicka rywalizacja dyrygentów stała się trzecim, obok Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina w Warszawie oraz Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego w Poznaniu, najbardziej prestiżowym muzycznym konkursem w Polsce. Od razu weszła też do ekskluzywnego grona firmowanego przez Stowarzyszenie Międzynarodowych Konkursów Muzycznych z siedzibą w Genewie. Ranga dotychczasowych laureatów, ich kariera i sukcesy, najwymowniej świadczą o poziomie konkursu. Nic więc dziwnego, że do udziału w nim zgłaszają się liczni kandydaci z całego świata, często już laureaci innych renomowanych konkursów sztuki dyrygenckiej.

Musiały upłynąć 33 lata, aby znów, po **Tadeuszu Wojciechowskim**, w gronie laureatów znalazła się uczestniczka polska – **Marzena Diakun** rodem z Koszalina. Wyrazy uznania dla jej talentu, osiągnięć i pracy wyrazili wybitni dyrygenci, członkowie jury i koszalinianie.

... jest jedną z najbardziej utalentowanych przedstawicielek najmłodszego pokolenia polskich dyrygentów... – **Tomasz Bugaj;**

... zdobyte na konkursach miejsca i nagrody świadczą o wysokich kwalifikacjach dyrygenckich i nieprzeciętnym talencie... **– Tadeusz Strugała.**

Wielki sukces Marzeny Diakun na tym jednym z najtrudniejszych konkursów, okupiony był ciężką pracą. Program imprezy jest bowiem ogromny, obejmuje utwory od epoki klasycznej aż po XX w., po współczesnych polskich kompozytorów. W tych konkursowych zmaganiach towarzyszyła dyrygentce **Agata Szymczewska** ze swoim „stradivariusem". Światowej sławy skrzypaczka, laureatka Konkursu im. Henryka Wieniawskiego, pod batutą Marzeny Diakun wykonywała partię solową w wylosowanym przez dyrygentkę *I Koncercie skrzypcowym* Karola Szymanowskiego. W pewnym momencie okazało się, że nie przewróciła się strona z nutami, z których grała Agata. Na szczęście zauważyła to Marzena i – nie tracąc zimnej krwi i nie przerywając dyrygowania – podeszła do pulpitu skrzypaczki i przerzuciła stronę z nutami. Zostało to uwiecznione na fotografii. Sądzę, że jurorzy to stoickie zachowanie mistrzyni batuty zaliczyli jej na specjalny plus.

Marzena Diakun z batutą w ręku czuje się jak ryba w wodzie. Po raz pierwszy przed orkiestrą

symfoniczną stanęła 10 lat temu, w roku 2002. To był pamiętny dla niej występ. Wcześniej miała tylko kilka sporadycznych koncertów z orkiestrą kameralną i akademicką, a tym razem był to bardzo odpowiedzialny, trudny koncert podczas Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Perkusyjnej w Koszalinie. Niezwykłe wyzwanie, bo wszystkie utwory napisane specjalnie dla perkusistów, były bardzo skomplikowane rytmicznie. Ten ciężki dla niej egzamin zdała celująco.

Od dziecka marzyła by zostać dyrygentem, by stanąć na podium i kreować muzykę za pomocą swego ciała. Naukę muzyki rozpoczęła w Zespole Państwowych Szkół Muzycznych im. Grażyny Bacewicz, w klasie fortepianu **Krystyny Kucharskiej**, a później **Celiny Monikowskiej–Martini.** Uczęszczała równocześnie do I Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Dubois w Koszalinie. Następnie z wyróżnieniem ukończyła dyrygenturę symfoniczno – operową w klasie prof. **Mieczysława Gawrońskiego** w Akademii Muzycznej im. Karola Lipińskiego we Wrocławiu. Była stypendystką Ministra Kultury.

Uczestniczyła w licznych kursach dyrygenckich w kraju i zagranicą, prowadzonych m.in. przez **Jerzego Salwarowskiego**, **Marka Tracza**, **Gabriela Chmurę**, **Colina Mettersa**, **Pierre'a Bouleza**, **Howarda Griffithsa**, **Davida Zinmana** a także w ramach *Orpheum Conductors Master Class* w Zurychu oraz **Kurta Masura**.

Swoje umiejętności dyrygenckie doskonaliła także podczas studiów podyplomowych pod kierunkiem **Urosa Lajovica** na *Universität für Musik und Darstellende Kunst* we Wiedniu, w *Coservatorium Saxion Hogeschool* w Enschede w Holandii u **Kerry Woodwarda** i latin percussion w klasie **Nippy Noyi**.

W roku 2003 Marzena Diakun była asystentką **Jerzego Maksymiuka** podczas prób z Filharmonią Koszalińską, w roku 2006 **Andreya Boreyki** w *Brener Symphony Orchestra* w Szwajcarii, a także w roku 2012 **Richarda Rosenberga** podczas National Music Festival w Chestertown (USA), gdzie poprowadziła serię koncertów z orkiestrą festiwalową.

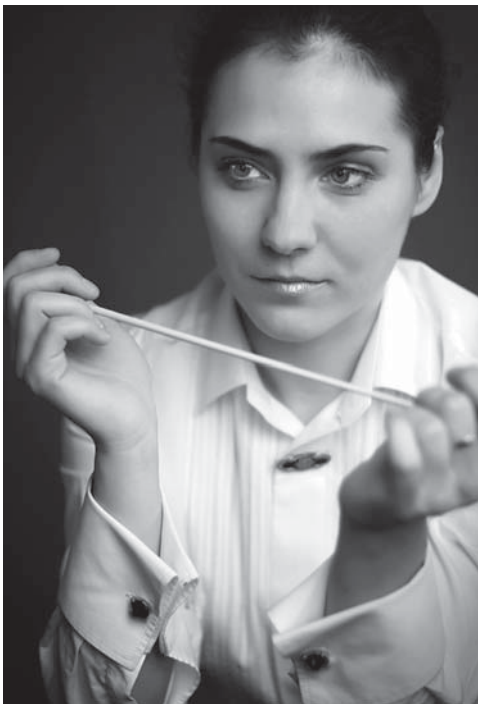

Marzena Diakun. fot. Magdeburski

Jest laureatką m.in. II wyróżnienia na Międzynarodowym Konkursie Młodych Dyrygentów w Białymstoku (2006), nagrody „Stoart" na VIII Międzynarodowym Konkursie im. Grzegorza Fitelberga w Katowicach (2006), II nagrody konkursu w ramach Praskiej Wiosny (2007) i w 2008 finalistką konkursu w Barcelonie.

W 2010 roku uzyskała stopień doktora sztuki muzycznej w Akademii Muzycznej w Krakowie. Pisała pracę na temat polskich symfonii z okresu klasycyzmu. Artystce sprawiło to wiele satysfakcji, bo jest to okres mało znany, wiele utworów zaginęło, albo jest trudno dostępnych. Trzeba było szukać śladów w różnych archiwach, nawet w Paryżu, Berlinie i Wiedniu. Promotorem jej pracy był prof. **Tomasz Bugaj.**

Od 2011 roku Marzena Diakun jest adiunktem w Akademii Muzycznej we Wrocławiu i z pasją prowadzi zajęcia ze studentami, dzieląc się

swoimi umiejętnościami i doświadczeniem. Jako gościnny dyrygent współpracuje z wieloma orkiestrami filharmonicznymi w Polsce, a także w Niemczech, Szwajcarii, Danii, Hiszpanii, Czechach, Stanach Zjednoczonych, w Chinach.

Od roku 2007 jest dyrektorem artystycznym Wrocławskiej Orkiestry Młodzieżowej i na stałe współpracuje z hiszpańskim zespołem muzyki współczesnej. Po wspomnianym konkursie katowickim ukazało się wiele recenzji i opinii. Jeden z tytułów zafrapował mnie szczególnie – „Piękna Polka nadzieją światowej dyrygentury". Ja jednak wolałabym – „Piękna koszalinianka nadzieją światowej dyrygentury", tylko kto na świecie wie, gdzie leży Koszalin?

Trzeba zaczarować orkiestrę

Marzena Diakun: Bardzo jestem dumna, że mogę reprezentować Koszalin. Podstawy mojej edukacji muzycznej i wiedzy ogólnej, które stąd wyniosłam, dały mi bardzo wiele i na tej solidnej bazie mogłam kształtować i rozwijać się nie tylko w muzycznym kierunku. Zawód dyrygenta wymaga bowiem bardzo szerokiego spojrzenia na świat i rozumienia go.

Maria Słowik-Tworke: Dyrygent musi nadać orkiestrze ton, stworzyć klimat i specyficzną, niepowtarzalną aurę na koncercie.

M.D.: Tworzymy to całą swoją osobowością, nie tylko tym jak mówimy, jak wyglądamy, nie tylko wzrokiem, ruchami rąk, ale jest to też rodzaj porozumienia na gruncie psychofizycznym. Trzeba zaczarować orkiestrę i umieć się z nią porozumieć.

M.S.-T.: Kobieta dyrygent mimo, że jest coraz więcej pań prowadzących orkiestry, to jednak wciąż rzadkość, co sprawia, że pozostaje pod szczególną obserwacją członków zespołu. Dziesiątki oczu kontrolują każdy ruch, gest i spojrzenie. Jak się wtedy Pani czuje?

M.D.: Rewelacyjnie. Wybierając ten trudny zawód trzeba być stuprocentowo przekonanym, że się go chce wykonywać. To jest praca z wieloma ludźmi, trzeba być dobrym psychologiem, żeby zapanować nad zespołem muzyków, masą dźwięków i masą oczu wpatrzonych w nas. Ja nie mogę się zastanawiać nad tym, jak wyglądam i jak jestem oceniana przez instrumentalistów. Muszę wiedzieć, co chcę z orkiestry wydobyć i tylko interpretacja muzyki może zaprzątać moje myśli.

M.S.-T.: Istnieje przekonanie, że zawód dyrygenta to męski zawód. Jeśli podejmuje go kobieta to znaczy, że jest męskim typem. Pani jest bardzo drobną, szczupłą i delikatną osobą, ale pewne cechy przypisywane mężczyznom musi Pani posiadać.

M.D.: Dyrygent musi mieć charyzmę, silną osobowość. Zgadzam się, że jest to męski zawód, ponieważ wiele cech, które musi posiadać, są to cechy typowo męskie. Natomiast jeśli kobieta staje za pulpitem dyrygenckim, nie może udawać mężczyzny. Musi być sobą, ponieważ jakąkolwiek nieszczerość szybko zdemaskuje orkiestra. Uważam, że swoje cechy kobiece mogę traktować jako zalety i one mają mi pomagać w tym zawodzie.

M.S.-T.: Nie występuje więc Pani we fraku. lecz wymyśliła swój ubiór, własny klasyczny styl.

M.D.: To typowo kobiecy, czarny garnitur, który uzupełnia biała koszula. Jestem daleka od tego, ażeby nosić frak.

M.S.-T.: Czy swoją manualną technikę dyrygencką, swoje gesty, kontroluje Pani czasami przed lustrem?

M.D.: Nie jestem do końca przekonana, że ćwiczenie przed lustrem to najważniejsza rzecz, ale rzeczywiście dyrygując oddziałujemy całym ciałem: twarzą, wzrokiem, więc rzeczywiście nasza postawa i wygląd są istotne. Muszę przyznać, że czasami kontroluję to i myślę, że każdy, kto chce być świadomym tego co robi, powinien z tego skorzystać.

M.S.-T.: Po studiach prowadziła Pani Wrocławską Orkiestrę Młodzieżową. Myślę, że z tym zespołem łączy Panią wiele wspaniałych wspomnień.

M.D.: Orkiestrę tworzy młodzież, która pragnie grać, koncertować i praca z takimi muzykami sprawia ogromnie dużo satysfakcji. Graliśmy nie tylko w Polsce, ale i zagranicą. Uczestniczyliśmy

w różnych festiwalach. Niezwykle ciepło byliśmy przyjęci w Hiszpanii.

M.S.-T.: W swojej zawodowej pracy miała pani okazję prowadzenia spektakli operowych, a więc dyrygowanie nie tylko orkiestrą, ale też chórem i solistami.

M.D.: Opera wymaga zupełnie innego rodzaju dyrygowania. Pewne problemy stwarzają odległości pomiędzy dyrygentem, sceną, solistami, chórem, orkiestrą czy baletem. Poza tym trzeba dobrze rozumieć sprawę oddechu. Jest to rodzaj sztuki stawiający ogromne wymagania przed dyrygentem, ale też uświadamiający wiele dodatkowych aspektów dyrygentury. Te doświadczenia pomagają później w kontakcie z innymi orkiestrami symfonicznymi, np. w rozumieniu frazy, interpretacji dzieła, czy oddechu w muzyce.

M.S.-T.: – Jak Pani pracuje nad nowym dziełem? Wiadomo, że przede wszystkim należy oddać intencje kompozytora, ale zapewne ma Pani także swoją wizję.

M.D.: Na co dzień słucham bardzo dużo muzyki, wielu interpretacji tego samego dzieła. Ale przygotowując się do wykonania nowego utworu odstawiam wszystko na półkę i zagłębiam się tylko w zapis nutowy. Oczywiście, każda interpretacja zależna jest też od konkretnego dnia, konkretnej orkiestry, nastroju czy pogody. Czasami nawet idea naczelna może się zmieniać, a na pewno zmienia się ona z upływem czasu. Jeśli utwór wykonuję po kilku latach, albo nawet następnego tygodnia z innym zespołem, to jest to już inna interpretacja.

M.S.-T.: Za każdym razem odkrywa Pani nowe elementy...

M.D.: Nawet sam Jerzy Maksymiuk mówi, że nigdy nie dyryguje na koncertach z pamięci, zawsze ma przed oczami partyturę, bo nawet podczas koncertu potrafi coś nowego zauważyć.

M.S.-T.: Na swoim koncie ma Pani nagrania płytowe. Czy lubi Pani pracę w studiu z mikrofonami.

M.D.: Właśnie niedawno zetknęłam się po raz pierwszy z mikrofonami. To była bardzo trudna, wymagająca pełnego skupienia praca, ale dla mnie to było bardzo miłe przeżycie. Dla firmy fonograficznej DUX nagraliśmy piękny koncert fletowy Severia Mercadantego z udziałem znakomitych solistów, wirtuozów fletu: **Łukaszem Długoszem** i **Agatą Kielar-Długosz** oraz Elbląską Orkiestrą Kameralną. Ważna jest tu także współpraca z reżyserami dźwięku, którzy siedzą za ścianą, słuchają naszych dźwięków, wpatrując się w monitor. Nagrania wymagają niesłychanej precyzji, a więc trzeba wielokrotnie powtarzać różne fragmenty i później wybierać najlepsze wersje. Rzadko się już teraz zdarza, aby orkiestra nagrywała utwór koncertowo. Robią to tylko najlepsi, jak np. Berlińscy, czy Wiedeńscy Filharmonicy. Praca w studiu wiele mnie nauczyła.

M.S.-T.: Marzeniem każdego dyrygenta jest stała praca na etacie z jakąś orkiestrą. Wówczas dyrygent może wypracować specyficzne brzmienie i barwę charakterystyczną dla ze-

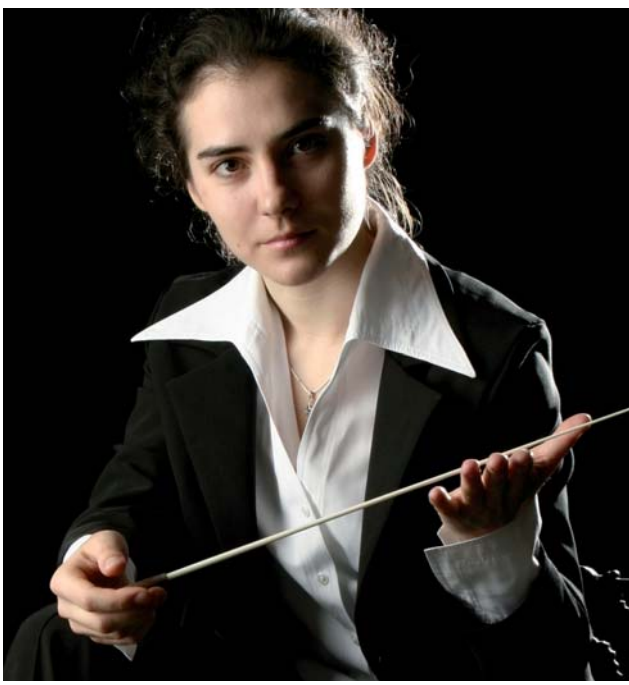

Marzena Diakun. fot. studio Deber

społu i sam może harmonijnie rozwijać swój warsztat i wypracować indywidualny styl.

M.D.: Powoli będę zdążać w tym kierunku. Chciałabym moją karierą pokierować mądrze, żeby te moje wybory koncertowe były rozważne. Chcę koncertować i to jest najważniejsze. Pragnę pracować z najlepszymi orkiestrami na świecie. To dla mnie jest ogromne wyzwanie, stawia przede mną wielkie wymagania, ale jestem tego w pełni świadoma i mam nadzieję, że będę swoimi występami udowadniać, że jestem tego warta. Teraz po konkursie katowickim mam wiele zaproszeń. W większości otrzymuję je od orkiestr polskich, jest też przyszło kilka zaproszeń do orkiestr niemieckich, słowackich oraz francuskich.

M.S.-T.: Rok 2012 zakończyła Pani powtórnym tournée koncertowym po Chinach. Daliście aż 15 koncertów.

M.D.: Rok temu odbyliśmy pierwszą podróż wraz z Wrocławską Agencją Muzyczną „Pro Musica". Myślę, że ta nasza europejska muzyka bardzo przemówiła do chińskiej publiczności. Wszędzie mieliśmy pełne sale, a muszę podkreślić, że tamtejsze sale wcale nie są małe, mają po kilka tysięcy miejsc.

M.S.-T.: Chwile wolne od muzyki wypełnia Pani dobra literatura, mineralogia, a także tango. Podobno „tanguje" Pani z ogromną pasją.

M.D.: Książki zawsze wypełniają wszystkie moje kąty w domu i na bieżąco śledzę nowości. Oczywiście nad literaturą ogólną górują książki muzyczne, którym poświęcam dużo czasu. Uwielbiam sport, on mnie rozładowuje, odpręża. No, i rzeczywiście uwielbiam tańczyć tango. Muszę powiedzieć, że fascynuje mnie ten gatunek muzyki. Mam we Wrocławiu swoje grono *tangeros*, z którymi oddaję się temu tańcowi. Uwielbiam tak spędzać wrocławskie wieczory.

M.S.-T.: Czy ma Pani do tanga specjalne stroje i pantofelki?

M.D.: Oczywiście, że tak. Mam lekkie sukienki i spódnice, ale najważniejsze są buty, szyte na zamówienie, ze specjalną podeszwą, natomiast cała góra zależy tylko od mojego wyboru. Do tańca zawsze rozpuszczam włosy.

M.S.-T.: Do tanga trzeba dwojga – czy Pani jako dyrygentka, góruje nad partnerem?

M.D.: Broń Boże, w tangu nigdy! W tangu ważne jest to, że kobieta jest całkowicie podporządkowana mężczyźnie, to on prowadzi i to on czyni nasz taniec pięknym. Kobieta niech będzie kobietą!!!

* * *

Prezydent Koszalina **Piotr Jedliński** na specjalnym spotkaniu w ratuszu złożył artystce gratulacje i wręczył statuetkę „Orła Koszalińskiego". Bardzo serdeczne spotkanie z dawną uczennicą odbyło się także w Zespole Państwowych Szkół Muzycznych im. Grażyny Bacewicz; rozmowom nie było końca, młodsze koleżanki i koledzy, zainteresowani dyrygenturą, pytali o tajniki tego zawodu.

Beata Górecka-Młyńczak

Myśląc o Stradivariusie

Rozmowa z pochodzącą z Koszalina skrzypaczką Martą Kowalczyk

Marta Kowalczyk. fot. Mariusz Król

Marta Kowalczyk naukę gry na skrzypcach rozpoczęła w wieku 7 lat w Zespole Państwowych Szkół Muzycznych im. Grażyny Bacewicz w Koszalinie, w klasie Jolanty Libickiej. Kolejną jej nauczycielką skrzypiec była Małgorzata Kobierska. Obecnie Marta Kowalczyk jest studentką Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie, gdzie kształci się w klasie prof. Jana Staniendy. Rozpoczęła także studia w *Royal Academy of Music* w Londynie. W 2008 roku wygrała polskie eliminacje Konkursu *Eurovision Young Musicians* i reprezentowała Polskę w finale w Wiedniu. (Pisaliśmy o tym sukcesie w publikacji „Kultura Koszalińska. Almanach 2008" – dop. red.) Koncertowała w wielu krajach Europy, a ponadto w Chinach, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych i Rosji. Wielokrotnie występowała z orkiestrą Filharmonii Koszalińskiej; ostatnio w październiku 2012 roku.

Beata Górecka-Młyńczak: Pamiętasz taki pierwszy moment, Ty i skrzypce?

Marta Kowalczyk: Pamiętam mamę, która prosiła mnie, żebym zdała do szkoły muzycznej. Nie miałam żadnych doświadczeń z muzyką, nie myślałam o tym jako dziecko, to nie było moje marzenie, żeby zacząć grać na skrzypcach. Mama prosiła mnie, żebym zaczęła ćwiczyć na fortepianie, ponieważ mamy w domu pianino, natomiast ja uparłam się, nie wiem dlaczego, że muszą to być skrzypce albo flet, no i padło na skrzypce.

B.G.-M.: Czyli to właściwie mama wybrała dla Ciebie drogę życiową?

M.K.: Myślę, że wpływ mieli też dziadkowie. Babcia grała na skrzypcach, dziadek na klarnecie, rodzice nie mają żadnego profesjonalnego doświadczenia z muzyką, więc to chyba jakiś sentyment mamy do muzyki sprawił, że ja również gram.

B.G.-M.: Uparłaś się na te skrzypce, bo była to taka miłość od pierwszego wejrzenia?

M.K.: Raczej nie. Przyznam, że w szkole podstawowej to nie była moja pasja, nie przykładałam wagi do ćwiczenia, raczej byłam troszkę przymu-

szana przez rodziców, natomiast w gimnazjum i liceum już wiedziałam, że to jest to, co chcę robić w życiu. Teraz nie wyobrażam sobie siebie bez skrzypiec. Cały czas biorę udział w różnych projektach, stawiam nowe cele, do których dążę, mam dużo koncertów, ciągle muszę przygotowywać nowy program, jestem właściwie zmuszona cały czas ćwiczyć i nie rozstawać się z instrumentem.

B.G.-M.: Zawód muzyka jest niezwykle wymagający i trudny, ale możliwość obcowania z wybitnymi artystami daje dodatkową satysfakcję. Czy pamiętasz takie spotkanie, które w jakiś sposób zmieniło Twoje spojrzenie na skrzypce?

M.K:. Na pewno moje pierwsze spotkanie z maestro **Antonim Witem**. Miałam ogromny zaszczyt wystąpić na festiwalu „Chopin i jego Europa", wraz z Orkiestrą Filharmonii Narodowej. Było to chyba najbardziej stresujące doświadczenie w moim życiu; wykonywałam wtedy IV koncert Grażyny Bacewicz, to było trzy dni po moich 18. urodzinach. Nie mogłam więc za bardzo świętować .

B.G.-M.: Pamiętam Twoje spotkanie z profesorem Janem Staniendą, po jego koncercie w Salonie Muzycznym Radia Koszalin; czy wtedy zapadła decyzja, że to on właśnie zostanie Twoim pedagogiem?

M.K.: Moja współpraca z profesorem rozpoczęła się przypadkowo: grał wtedy koncert z Filharmonią Koszalińską i moja nauczycielka, pani **Małgorzata Kobierska** poprosiła Profesora o konsultacje. Tę lekcję wspominam bardzo ciepło, ponieważ mimo tego, iż Profesor Stanienda głównie pracuje ze studentami, był dla mnie bardzo miły i zabawny. I tak jest do tej pory.

B.G.-M.: Pracujesz z nim do dziś, ale bierzesz udział także w kursach mistrzowskich.

M.K.: Regularnie jeżdżę na kursy, również do Profesora Staniendy; te warsztaty odbywają się głównie podczas wakacji i to jest jedyny sposób, żeby więcej popracować. Oczywiście uważam, że kontakt z innymi profesorami jest bardzo potrzebny. Tak właśnie poznałam profesora **Igora Petrushevskiego** z *Royal Academy of Music* w Londynie, gdzie dostałam się na studia.

B.G.-M.: Czy wybrałaś tę uczelnię ze względu na profesora?

M.K.: Tak. Igor Petrushevski bardzo mnie do tego namawiał. Miałam już wtedy rozpoczynać studia w Szwajcarii – w Bazylei, gdzie zdałam egzamin parę miesięcy wcześniej i właściwie w jeden dzień zmieniłam zdanie. Egzamin w Londynie wspominam bardzo dobrze. Składał się z dwóch etapów, w pierwszym grało się dosłownie dziesięć minut przed jedną komisją, potem część przechodziła do drugiego etapu, gdzie grała przed najważniejszymi osobami z Akademii; było to znowu tylko pięć minut grania, potem długa rozmowa

B.G.-M.: Bardzo wcześnie zaczęłaś startować w konkursach skrzypcowych, zawsze będąc w gronie laureatów. Czy Ty jesteś takim typem konkursowicza?

M.K.: Kiedyś bardzo chętnie jeździłam na konkursy, nawet kilka razy w roku. Teraz przychodzi mi to ciężej i robię to rzadziej. Przygotowuję się do dwóch dużych konkursów w 2013 roku, dlatego ograniczam liczbę koncertów i skupiam się na programie konkursowym.

B.G.-M.: Wiadomo, że ten największy sukces zawsze jest przed nami. Patrząc z pewnej perspektywy o którym konkursie mogłabyś powiedzieć, że otworzył Ci drzwi do kariery?

M.K.: Najważniejszym dla mnie był Konkurs im. Johanessa Brahmsa w Austrii; zdobyłam na nim trzecią nagrodę. Nie spodziewałam się takiego wyróżnienia, ponieważ brało w nim udział prawie stu skrzypków. Tylko trzy osoby przeszły do finału i występowały z orkiestrą. Bardzo ciepło wspominam też udział w konkursie duetów w Warszawie, gdzie zdobyłam pierwszą nagrodę wraz z pianistą **Łukaszem Chrzęszczykiem**. To zwycięstwo dało nam wiele koncertów w Polsce, a bardzo lubię występować w kraju i grać muzykę kameralną.

B.G.-M.: Jakie utwory najchętniej wykonujesz?

M.K.: To się zmienia; ostatnio bardzo podoba mi się muzyka XX wieku, muzyka rosyjska, chcę nauczyć się koncertów Szostakowicza i wykonywać je z orkiestrą, teraz nad tym właśnie pracuję.

B.G.-M.: W Koszalinie grałaś, bardzo pięknie, koncert A-dur Mieczysława Karłowicza. Muzyka Polska także chyba jest Ci bliska?

M.K.: Tak, oczywiście, staram się możliwie często grać polską muzykę, bardzo bliski jest mi ten koncert Karłowicza, grałam również koncerty Grażyny Bacewicz i Karola Szymanowskiego.

B.G.-M.: Na całym świecie koncertujesz z orkiestrami, ale też masz swój zespół kameralny...

M.K.: Tak, właśnie ostatnio też odnieśliśmy sukces z moim triem, w którym gram z Łukaszem Chrzęszczykiem i **Martą Kordykiewicz**. Zdobyliśmy nagrodę rektorów na konkursie muzyki kameralnej w Poznaniu. Nagrodą jest dziesięć krajowych koncertów, a to jest zawsze wielka przyjemność występować w Polsce, tym bardziej z zespołem – zero stresu i dobra zabawa.

B.G.-M.: Czujesz, że Twoje marzenia się spełniają?

M.K.: Tak ...(śmiech)

B.G.-M.: Szczególnie dla skrzypków ważną sprawą jest instrument. Na jakim Ty grasz w tej chwili?

M.K.: Cały czas gram na swoich skrzypcach zrobionych przez lutnika, natomiast komisja w Londynie obiecała mi, że będę mogła wypożyczyć jeden instrument z kolekcji *Royal Academy of Music*, która jest naprawdę niesamowita.

B.G.-M.: Czy myślimy o Stradivariusie?

M.K.: Coś w tym stylu.

B.G.-M.: Czy jesteś osobą szczęśliwą?

M.K.: Tak, czuję się spełniona w życiu zawodowym i osobistym, te dwie rzeczy muszą się uzupełniać, inaczej jest źle.

B.G.-M: Czego zatem należy Ci życzyć?

M.K.: Wytrwałości przede wszystkim i dobrej zabawy z grania.

B.G.-M.: Tego zatem Ci życzymy.

Marta Kowalczyk była solistką jednego z koncertów Filharmonii Koszlińskiej, poprowadzonego przez Rubena Silvę.

fot. archiwum FK

Zdzisław Pacholski

Uwalnianie pamięci

Zaproszenie do udziału w wystawie w Niemczech, dostałem w zeszłym roku (2011- dop. red.) w sierpniu. Środowisko, z którym od lat jestem związany (*Welbergener Kreis*), co pewien czas organizuje wystawy, głównie w Galerie Münsterland. Członkami tego stowarzyszenia są artyści, krytycy sztuki, menadżerowie sztuki z Niemiec i pobliskiej Holandii.

Szefową galerii jest dr **Andrea Brockmann**. (Obecnym dyrektorem jest dr Stephan Trescher – dop. red.) Sama galeria to dawna fabryka tekstylna, którą miasto Emsdeten odkupiło od byłych właścicieli, adaptowało na galerię i przekazało na cele kulturalne. Członkiem tej grupy jestem od 16 lat i wszystkie organizowane przez nią wystawy mają jakiś temat, który wiąże sztukę z potoczną rzeczywistością. Współpraca z tą grupą jest dla mnie azylem oraz odskocznią od mojego lokalnego zakalca kultury. Prezentowane są tu wystawy z całego świata, robione na profesjonalnym poziomie i każdej z nich towarzyszy profesjonalny katalog. Jednymi z ciekawszych wystaw były: *Blues feeling* (*Czuć bluesa*), *Kunst in Atombunker*, (*Sztuka w bunkrze przeciwatomowym*) i *Mal was richtig Schönes* (*Nareszcie coś pięknego*). W tym roku po raz pierwszy temat wystawy ma związek z fotografią.

Tytuł *Ausgelöst* daje się przetłumaczyć jako zwalnianie migawki aparatu fotograficznego. Ale w tym przypadku tytuł ma sens nieco metaforyczny i można go rozumieć jako „Uwalnianie", „Wyzwalanie". To jest również zwrot w kierunku technologii, która w ostatnich dekadach tak mocno wpłynęła na język sztuki.

Kwalifikacja prac na wystawę odbyła się na początku marca, a jej otwarcie odbyło się w połowie maja. Komisja kwalifikacyjna składa się zwykle z szefowej galerii i dwóch naszych kolegów z *Welbergener Kreis*, którzy dobrowolnie rezygnują z udziału w wystawie.

Wróćmy jednak do sierpnia ubiegłego roku, czyli do momentu, kiedy dowiedziałem się o wystawie. Jeden z warunków uczestnictwa był taki, że mają być to nowe, nigdzie wcześniej nie pokazywane prace. Z nowymi pracami jest zawsze kłopot, zwłaszcza wtedy, kiedy są potrzebne na jakiś termin. Ale już wówczas nieoczekiwanie i bez kłopotu przyszedł mi pomysł do głowy. Miał związek z pamięcią. Pomysł wydawał się prosty i nie zwiastował niczego złego. Fotografia i pamięć pozostają w szczególnym związku. Fotografia poprzez swoją naturę niejako „uwalnia" pamięć. W walce z czasem jest naszym jedynym sprzymierzeńcem. Gdyby nie ona, nasza pamięć byłaby w poważnym kłopocie. Ale moje kłopoty dopiero nadchodziły. Optymizm i beztroska miały za chwilę ustąpić miejsca zniecierpliwieniu i frustracji. Mijały dni, a ja zastanawiałem się, jak zacząć, jak się do tego zabrać. Mówiąc krótko, chodziło o nadanie jakiejś formy idei, którą nosiłem w głowie. Im natarczywiej o niej myślałem, tym częściej trafiałem w próżnię. Jeszcze później przychodziły momenty zwątpienia, tylko po to, by zaraz po nich wpaść w pułapkę euforii.

Ta huśtawka nastrojów trwała parę tygodni. Nie byłem w stanie ani się „uwolnić" od tego pomysłu, ani go zrealizować, *ani objąć, ani uwięzić* – jak pisze Josif Brodski.

Trwało to przez kolejne tygodnie i stawało się tak dokuczliwe, jak drzazga w palcu albo w oku cierń. To była nowa sytuacja i nowe doświadczenie, których wcześniej nigdy nie zaznałem, a teraz nie umiałem sobie z tym poradzić. Pa-

mięć to ważna i cenna rzecz ale trudna do wizualizacji. Boleśnie się o tym przekonywałem przez kolejne tygodnie. Trudno mi to ocenić, ale chyba stawałem się bardziej rozdrażniony, bardziej opryskliwy dla otoczenia, w ogóle czułem się kiepsko, miałem okresy złego samopoczucia, jakbym stracił busolę i orientację jednocześnie. Zawsze wcześniej nowym pomysłom towarzyszyła przyjemność ich realizacji. Fotografia była dla mnie i jest nadal medium, które tę potrzebę z nawiązką wypełnia. Teraz ta praktyka zawiodła. Desperacko rozważałem możliwości porzucenia tego tematu na rzecz jakiegoś innego, rezerwowego, który byłby łatwiejszy do pokazania. Ale wtedy zacząłem karcić się za tę rejteradę i myślenie o drugiej pracy było równie destrukcyjne, jak myślenie o tej pierwszej – powstało błędne koło.

Wreszcie przestałem zajmować się formą samego pomysłu, a zacząłem zastanawiać się, dlaczego tak jest, jak jest. Przeanalizowałem okoliczności zjawiska, które mnie dopadło. I wtedy przyszło olśnienie. **Wszystko, co mi się do tej pory przydarzyło, wszystkie niepowodzenia, były chyba efektem mojej przesadnej wiary w pamięć. A ta jest ulotna, mglista, wyblakła, czasami dziurawa jak szwajcarski ser, a czasami wyparta. To jest paradoks, niby wiesz, że masz pamięć, ale posłużenie się nią w sztuce w jakiś sposób szkodzi próbie mówienia o niej samej. Powód moich niepowodzeń leżał chyba w tym, że nie umiałem jej „uwolnić".** To, co zamierzałem zrobić o pamięci, natrafiało na ową mglistość i ulotność. Kiedy zdałem sobie sprawę z jej natury, wtedy przestała mi dokuczać. To pomogło.

Dopiero w styczniu tego roku zacząłem mozolnie kleić wątki pomysłu z sierpnia. W lutym miałem już wszystkie „części" i zacząłem je składać w całość. To była już czysto techniczna praca, która choć mozolna sprawiała mi przyjemność. Nadałem temu cyklowi tytuł: „Obłoki pamięci".

Rezultat mnie zaskoczył – ani pozytywnie, ani negatywnie. Przyglądałem się temu z uczuciem niepokoju. Obraz był inny od tego, co przez kilka miesięcy „przelatywało" mi przez głowę. Wglądówkę, tak jak chciał organizator, wysłałem do Niemiec. Pozytywnie przeszła kwalifikację na wystawę. Zgodzili się nawet na format, jaki zaproponowałem – 105x300 cm.

Teraz „Obłoki" testuję na ludziach.

Galerie Münsterland w Emsdeten, wystawa „Ausgelöst", czynna od 13 maja do 17 lipca 2012 r.

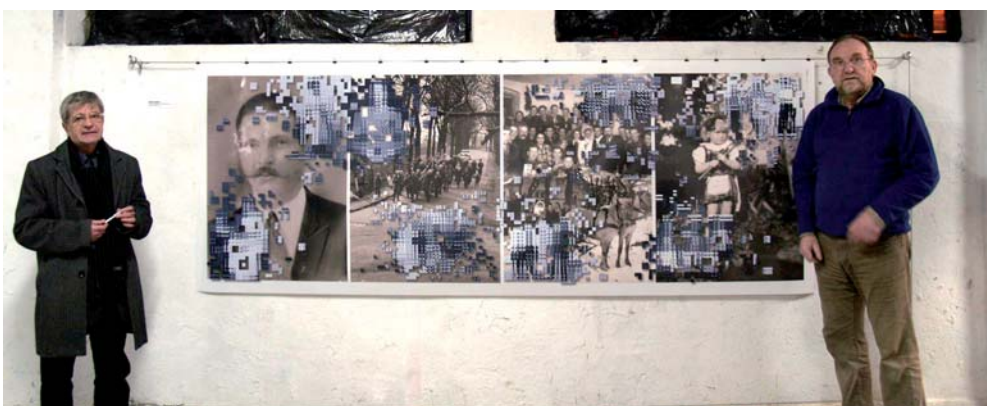

Prezentacja „Obłoków pamięci" w galerii Scena była konfrontacją twórcy projektu z wrażliwością koszalińskich przyjaciół. fot. Zdzisław Pacholski

Małgorzata Kołowska

Korea widzi Rapsę w światowej czołówce!

Jednym ze stałych – rzec by można – bohaterów publikacji ukazujących się w kolejnych almanachach koszalińskiej kultury jest Krzysztof Rapsa. Pisaliśmy o jego sukcesach polskich, ale także odnoszonych za granicą, w Londynie czy Mińsku. W 2012 roku Rapsa podbił azjatycką publiczność. Ambasada RP w Seulu, w komunikacie ogłoszonym 1 października ub. r. donosiła: *Polski abstrakcjonista doceniony w Seulu*. Owym abstrakcjonistą okazuje się koszalinianin, który prezentował swoje prace w dniach 19-27 września 2012 r. w prestiżowej Galerii Jang Eun Sun w stolicy Korei Południowej.

„Kiedyś w Seulu".

Jak czytamy w oficjalnym komunikacie ekspozycję otworzyli ambasador RP w Seulu **Krzysztof Majka** (również związany z Koszalinem – dop. red.), koreański krytyk, a zarazem poeta i redakttor „The Art. Magazine" **Ryu Seok Woo** oraz **Cha DaeYoung**, prezes Koreańskiego Stowarzyszenia Sztuk Pięknych. Otwarcie zaszczycili m.in. ambasador Unii Europejskiej, były ambasador Korei Płd. w Polsce i wiele osobistości seulskiego świata polityki, biznesu i kultury. Krzysztof Rapsa jest pierwszym malarzem z Polski i Europy, który został zaproszony do tej galerii. Krytycy i znawcy malarstwa uznali abstrakcje Polaka za jedne z najlepszych, jakie wystawiano w ostatnich czasach. Nazwano go „poetą koloru". Prace Rapsy zostały również wytypowane przez galerię na festiwal sztuki koreańskiej, gdzie będzie jedynym zagranicznym uczestnikiem. Fotogramy obrazów Rapsy będą także wykorzystane przy realizacji popularnej w Korei telenoweli (telewizja KBS), zdobiąc ściany pokoju, w którym rozgrywa się filmowa akcja. Wystawa polskiego abstrakcjonisty spowodowała, że stał się on najbardziej znanym współcześnie tworzącym polskim malarzem w Korei Płd. O malarstwie Rapsy napisały najpoważniejsze specjalistyczne magazyny i czasopisma, jak „Misoolsidae", „Culture & Business Journal" CNB+ARTiN i „Tygodnik Kulturalny", a informacje i zdjęcia z otwarcia wystawy pojawiły się w „The Korea Herald" i „The Korea Times". „The Art. Magazine Misoolsidae" zamieścił entuzjastyczne recenzje oceniając, że Rapsa należy do światowej czołówki abstrakcjonistów — *nie pretenduje, on już tam jest*.

Abstrakcja pozwala mi zwiedzać świat mo-

Krzysztof Rećko Rapsa. fot. archiwum Zbigniewa Janasika

jej wyobraźni, mój wyimaginowany świat form i kolorów. Lubię go malować, tworząc kameralną relację między mną a obrazem. Jednak dopiero wtedy, gdy docierają do mnie zadziwiające emocje i interpretacje widzów, czuję się artystą, a widzowie stają się współtwórcami mojej sztuki. – o swojej twórczość napisał Krzysztof na stronie www.rapsa.pl.

Jeden z pierwszych absolwentów koszalińskiego Liceum Plastycznego, w 2011 r. obchodzący jubileusz 25-lecia pracy artystycznej, okazuje się jednym z najbardziej aktywnych, a zarazem wysoko cenionych artystów związanych z Koszalinem. Niewątpliwie owa aktywność jest zasługą **Zbigniewa Janasika**, który jest znakomitym mecenasem i promotorem sztuki, w dziele tym zaś szczególne miejsce wyznaczył twórczości Krzysztofa Rapsy. Z koszalińskim abstrakcjonistą na miarę światową będziemy nadal się spotkać, bo wiemy, że już w 2013 roku za nim i przed nim kolejne nowe wystawy zarówno w Polsce, m.in. w Warszawie, jak i zagranicą, na pewno w Rzymie.

Małgorzata Kołowska

Ucztująca z mistrzami

W 2012 roku Zarząd Główny Związku Polskich Artystów Plastyków zainicjował nowe przedsięwzięcie pod hasłem: „Uczta u mistrzów", świetnie wpisującym się w dzisiejsze trendy – do zmysłowego odbioru rzeczywistości oraz tworzenia różnego rodzaju rankingów. W ten sposób obłaskawiono i nobilitowano zarazem dwa imperatywy naszej „płynnej ponowoczesności", będące zarazem jej przekleństwem – konsumpcjonizm i wyścig szczurów. Pokazano bowiem, że smakować można... z umiarem, a ścigać się – w wielkich sprawach.

Elementem projektu „Uczta u Mistrzów" jest połączenie walorów estetycznych, reprezentowanych na wystawie, ze strawą intelektualną. Ekspozycji będzie towarzyszył cykl uczt – debat z udziałem zaproszonych artystów i gości rozmawiających na tematy bliskie ich własnym poszukiwaniom artystycznym, tajemnicach warsztatu i funkcjonowaniu w świecie sztuki. Do projektu zostaną zaproszeni twórcy reprezentujący różne dyscypliny, techniki, kierunki i pokolenia, łącznie ok. 100 prac, 50 artystów z Polski i 50 artystów z innych krajów świata. – objaśniali swą ideę pomysłodawcy „Uczty u Mistrzów". – *Mamy nadzieję, że będzie to nie tylko spotkanie autorskie, pozwalające lepiej zrozumieć twórcę i daną dyscyplinę, ale dzięki międzynarodowemu towarzystwu również konfrontacja ciekawych horyzontów sztuki i dyskusja o charakterystycznych rysach kultury, globalizacji, statusie twórców, rynku sztuki w Polsce i na świecie nie unikając przy tym kontrowersyjnych i szokujących spostrzeżeń. Spotkania odbywać się będą przy specjalnym stole, który również wzbogacą – pod warunkiem pozyskania sponsorów – potrawy z poszczególnych krajów. „Uczta u Mistrzów" to wyprawa w krainę zmysłów, odkrywanie wrażeń łączących ze sobą różnorodne doznania. Uczta dla oka połączona z prawdziwą ucztą dla intelektu. Sztuka zawiera w sobie element magii, który trudno zdefiniować – podobnie jak smak złożonych potraw. W intensywnie zmysłowych wizjach można się tylko rozsmakować.*

Na miejsce „Uczty u Mistrzów" wybrano Kraków i tamtejszy Pałac Sztuki Towarzystwa Sztuk Pięknych, słusznie uznając je za najwłaściwsze miejsce spotkania tak zacnego grona. Wernisaż wystawy prac Mistrzów odbył się 23 listopada 2012 roku, ekspozycję zaś można było oglądać do końca minionego roku. Składały się na nią malarstwo, grafika, rzeźba, instalacje, także tkanina artystyczna – tę technikę twórczą prezentowała koszalińska artystka **Bożena Hanna Giedych**. Także i jej twórczość musiał mieć zatem na myśli prezes ZG ZPAP i kurator „Uczty u Mistrzów" prof. **Jacek Kucaba**, mówiąc: *Tytuł wystawy wskazuje na to, że znalazły się na niej dzieła wybitne artystów wybitnych. (...) Wszystkie prezentowane w Pałacu Sztuki prace są cenne i prezentują sztukę o olbrzymich wartościach warsztatowych. (...) Mam nadzieję, że ta wystawa doskonale wpisuje się w kalendarz znakomitych kulturalnych wydarzeń w Krakowie i że każdy, kto odwiedzi Pałac Sztuki, poczuje panujące tu pozytywne wibracje*. Wśród setki artystów znalazły się tak niekwestionowani mistrzowie, jak **Magdalena Abakanowicz**, **Stanisław Bałdyga**, **Stanisław Gieraga**, **Jerzy Kalina, Stasys Eidrigevicius** czy **Janusz Kapusta**. *Ciekawe są dzieła kilkorga artystów z Łotwy. Ich znakomite instalacje robią niebywałe wrażenie* – zwracał uwagę Jacek Kucaba. W Pałacu Sztuki znalazły się też nader interesujące prace artystek z Cy-

pru. – *Rzeźby, obrazy, instalacje, grafiki ogarniają całą przestrzeń. Jest to bezpośrednie spotkanie ze sztuką bez narosłych wokół niej sądów, recenzji i teorii*. – na stronie internetowej pisał po wernisażu „Q Magazine Sztuka Moda Kultura".

Na istotne pytania dotyczące obecnej kondycji sztuki i artystów próbowali dać odpowiedź zaproszeni wykładowcy: teoretycy, artyści i krytycy sztuki, którzy wystąpili w Pałacu Sztuki 30 listopada oraz 7 i 14 grudnia. Wykład inauguracyjny zatytułowany „Widzialne i niewidzialne w sztuce" w dniu wernisażu wygłosił **Maciej Mazurek**, redaktor naczelny kwartalnika „Arttak. Sztuki Piękne". Tydzień później prof. **J. Kucaba** podjął problem „Ogarnięcia nieogarnionego. O potrzebie selekcji w sztuce globalnej". 7 grudnia dr **Janusz Janowski** zastanawiał się „Co Karol Marks ma wspólnego ze sztuką współczesną", a prof. **Leszek Mądzik**, twórca słynnego Teatru Plastycznego KUL, szukał odpowiedzi na pytanie „Dlaczego polska plastyka nie ma takiej rangi jak polska poezja". Na koniec cyklu intelektualnych uczt **Jerzy Kalina** dociekał przyczyn zanikania formy, także tego, czym jest forma w sztukach wizualnych i czym jest współczesne „mistrzostwo", natomiast prof. dr hab. **Franciszek Chmielowski** wygłosił wykład na temat „Hegel a problemy sztuki współczesnej".

Udział Bożeny Giedych w krakowskiej „Uczcie u mistrzów" dostrzeżony został przez Kapitułę Nagrody Prezydenta. W uzasadnieniu przyznania jej samorządowej gratyfikacji napisano: *Pani Bożena Giedych od wielu lat aktywnie działa w Związku Polskich Artystów Plastyków – Okręg Koszalin – Słupsk, aktualnie jako skarbnik. To właśnie ten Związek wnioskował o Nagrodę*

Bożena Giedych (w środku) przy swoich pracach na „Uczcie u mistrzów".

fot. archiwum Bożeny Giedych

dla pani Bożeny, która od 40 lat mieszka i tworzy w Koszalinie. Dziedziny, w których tworzy, to malarstwo, rysunek i tkanina unikatowa. Brała udział w ponad 130 wystawach zbiorowych w kraju i zagranicą. Jest współorganizatorką i komisarzem Międzynarodowych Plenerów Malarskich w Osiekach. Na przełomie lipca i sierpnia 2012 r. w Galerii Instytutu Słowackiego w Warszawie można było zwiedzać wystawę prac 50 artystów z 16 krajów – uczestników wspomnianych plenerów w Osiekach. Kuratorem wystawy była p. Bożena Giedych. Najważniejszym jednak przedsięwzięciem 2012 r. był udział w prestiżowej wystawie pn. „Uczta u mistrzów" organizowanej przez Zarząd Główny Związku Polskich Artystów Plastyków.

Dodajmy, że artystka jest laureatką wielu znaczących nagród i wyróżnień, między innymi zdobyła II nagrodę w Okręgowym Konkursie Malarskim w Koszalinie (1984), główną nagrodę za tkaninę „Powstanie" w I Biennale Sztuk Plastycznych „ARS' 91" w Warszawie, wyróżnienia CBWA „Zachęta" w Warszawie (1985 i 1988), wyróżnienie na Ogólnopolskiej Wystawie Plastyki w Lublinie (1996), nagrody Prezydenta Koszalina i Wojewody Koszalińskiego. Dwukrotnie otrzymała stypendium twórcze Ministra Kultury i Sztuki.

Ona sama o swoim udziale w „Uczcie u mistrzów" mówi: – *Szkoda, że jesteśmy tak daleko od Krakowa. To była piękna wystawa w pięknym miejscu, które oddziałuje swoimi wnętrzami i panującą tam aurą. Ja sama mistrzem w żadnym wypadku się nie czuję. Ale jestem ogromnie zaszczycona tym, że zostałam zauważona.*

Nie ma jeszcze decyzji, która dawałyby pewność powtarzalności „Uczty u mistrzów". Tłumy na wernisażu i późniejsze zainteresowanie wystawą i wykładami może okażą się wskazaniem do nadania imprezie charakteru cyklicznego, choćby corocznego spotkania.

Tkaniny Bożeny Giedych w Krakowskim Pałacu Sztuki. fot. archiwum Bożeny Giedych

Grzegorz E. Funke laureatem nagrody PRO ARTE

W roku 2012 sejmik Województwa Zachodniopomorskiego ustanowił nagrodę PRO ARTE, będącą formą docenienia osiągnięć w dziedzinie twórczości artystycznej i działań na rzecz kultury, jej upowszechniania i ochrony. Pierwsi laureaci nagrody Pro Arte odebrali statuetki zaprojektowane przez krakowskiego artystę Andrzeja Litwę oraz finansowe gratyfikacje w wysokości 10 tys. zł. Uroczysta gala odbyła się 16 czerwca 2012 roku, w Teatrze Polskim w Szczecinie.

W gronie pierwszych laureatów, wybranych spośród siedemdziesięciu dwóch nominowanych artystów i animatorów kultury z całego województwa, znalazł się **Edward Grzegorz Funke –** *fotograf inspirowany ludźmi, który z twarzy spotykanych na drodze swoich licznych wędrówek tworzy autorski „Portret Świata". Założyciel Galerii Fotografii i Bałtyckiej Szkoły Fotografii w Koszalinie* – jak możemy przeczytać na stronie Związku Polskich Artystów Fotografików, która odnotowała sukces koszalinianina. Edward Funke został wyróżniony nagrodą ***za zaangażowanie w rozwój fotografii na Pomorzu Zachodnim, a także działania kulturalne i osiągnięcia artystyczne w dziedzinie fotografii. Jest przedstawicielem nurtu fotografii humanistycznej; o jego fotografiach krytycy mówią, że ukazują godność człowieka w zmaganiu się z codziennością. Funke założył Bałtycką Szkołę Fotografii w Koszalinie i wraz z żoną galerię fotografii „Portret Świata", w której promowani są młodzi twórcy. Jest również organizatorem Międzynarodowego Przeglądu Fotografii „Złota Muszla" w Koszalinie.***

Statuetki otrzymali także: sięgająca do muzycznych źródeł nauczycielka języka polskiego i znawczyni zagadnień regionalnych Pojezierza Drawskiego **Alina Karolewicz** *za konsekwentne odkrywanie tajemnic Pomorza Zachodniego, niebanalne kultywowanie tradycji oraz oryginalną formę działalności artystycznej.,* profesor Akademii Sztuki w Szczecinie rzeźbiarz **Ryszard Wilk** *za cenny dorobek artystyczny i projektowy, a także wpływ, jaki wywarł na życie kulturalne regionu.,* oraz **Jerzy Porębski,** jeden z prekursorów ruchu szantowego w kraju, który od 30 lat współtworzy zespół „Stare Dzwony", nagrodzony *za wieloletnią działalność oraz krzewienie kultury morskiej*.

A laureatach nagrody czytamy na stronie www.zpaf.waw.pl: *Niewątpliwie jest to czwórka, dla której ProArte to nie tylko nagroda. To przede wszystkim wyznawane przez nich wartości, przyświecające im idee i zaangażowana postawa*.

Grzegorz E. Funke, jak informuje jego biogram, to: *fotograf, podróżnik pasjonat. Doktor nauk technicznych, absolwent Politechniki Gdańskiej, koszaliński przedsiębiorca. Członek Związku Polskich Artystów Fotografików, Fotoklubu RP, wiceprezes Bałtyckiego Towarzystwa Fotograficznego. Z fotografią związany od prawie 50 lat, autor wielu wystaw, uczestnik konkursów krajowych i zagranicznych.* Od 2009 roku przewodniczy Radzie Kultury przy Prezydencie Koszalina. Odznaczony został odznaką Zasłużony Działacz Kultury, dwukrotnie Nagrodą Prezydenta Miasta Koszalina, medalem Ludzie dla Ludzi Stowarzyszenia Solidarni Plus, Koszalińskim Orłem 2011 za promocję Koszalina na świecie i świata w Koszalinie oraz Medalem Ignacego Jana Paderewskiego za wybitne działania kulturalne w zakresie fotografii dokumentalnej, przyznanym na wniosek Stowarzyszenia Inżynierów Polskich „Polonia Technica" USA. (mk)

Izabela Nowak

Wiktoria Wizner

Rok sukcesów i spełnionych marzeń

Dla młodej koszalińskiej wokalistki, Wiktorii Wizner, rok 2012 był wyjątkowo pomyślny. W tym czasie nie tylko zdobyła rekordową liczbę nagród na prestiżowych międzynarodowych i ogólnopolskich konkursach i festiwalach muzycznych, ale także spełniła swoje wielkie marzenie – została studentką I roku Wydziału Wokalno-Aktorskiego Akademii Muzycznej w Bydgoszczy. Swoją zawodową przyszłość wiąże oczywiście z muzyką i koncertowaniem na największych scenach Europy. A może także – całego świata? Znając talent, pracowitość i żelazną konsekwencję młodej koszalinianki obdarzonej wyjątkowo oryginalną barwą głosu i wyrazistą sceniczną osobowością – to marzenie na pewno się spełni.

Chociaż Wiktoria Wizner od kilku lat jest stałą uczestniczką i wielokrotną laureatką konkursów wokalnych, przyznaje, że pasmo sukcesów artystycznych, które stały się jej udziałem w 2012 roku, było dla niej wielką i bardzo przyjemną niespodzianką. Zapowiedzią międzynarodowych laurów było I miejsce zdobyte w 2011 roku podczas **XIX Festiwalu „Microfono D'oro", („**Złoty Mikrofon"), odbywającego się w San Posidono i w Mirandoli we Włoszech.

– Każdy z konkursów, w których uczestniczyłam w 2012 roku, był dla mnie bardzo ważny – mówi **Wiktora Wizner**. *– Myślę, że moje sukcesy są ukoronowaniem dotychczasowego etapu rozwoju artystycznego. Przez wszystkie minione lata bardzo wiele się uczyłam; oczywiście jest to proces ciągły, lecz myślę, że te nagrody, przynoszące mi ogromną satysfakcję, są potwierdzeniem sensu mojej pracy.*

Znakomita ubiegłoroczna passa Wiktorii rozpoczęła się w maju wraz z koszalińskim **XXI Festiwalem Pieśni Religijnej im. Jana Pawła II „Cantate Domino".** W tym festiwalu młoda artystka uczestniczyła po raz trzeci. Zawsze była zauważana i wyróżniana. Przed trzema laty jej wokalny kunszt i ambitny repertuar nagrodzono trzecim miejscem, przed dwoma – drugim, a w 2012 roku sięgnęła po najwyższą, pierwszą nagrodę. Nie było nawet chwili na odpoczynek, gdyż już czerwcu Wiktoria z powodzeniem uczestniczyła w dwóch festiwalach. Podczas **III Ilustracji Przyszłych Gwiazd Estrady** w Bytowie pokonała trzydziestu sześciu uczestników w kategorii „Open" i zdobyła Grand Prix, a na **8. Zamojskich Spotkaniach Wokalnych „Piosenka w Teatralnej Masce**" jej występ został uhonorowany drugą nagrodą. Kolejnym wielkim sukcesem były najwyższe laury wyśpiewane podczas lipcowego **Festiwalu Piosenki Włoskiej „La Scarpia Italiana"** w Wyrzysku. Serca jurorów podbiła brawurowym wykonaniem bardzo trudnej technicznie piosenki „Caruso".

– Ten festiwal zawsze odznaczał się bardzo wysokim poziomem artystycznym i wyjątkowo silną konkurencją. Uczestnicy nie tylko pięknie śpiewają, ale także znakomicie prezentują się na scenie. No, i ta niesamowita atmosfera! Występowaliśmy w upalny lipcowy dzień na scenie amfiteatru usytuowanego w samym środku lasu – wspomina **Wiktora Wizner**. *– Jechałam do Wyrzyska mocno onieśmielona, licząc w głębi serca tylko na wyróżnienie. I miejsce było więc ogromnym zaskoczeniem.*

Wakacje, jak widać, okazały się bardzo pra-

Wiktoria Wizner na scenie leśnego amfiteatru w Wyrzysku. fot. archiwum Wiktorii Wizner

cowitym i obfitującym w wydarzenia i sukcesy czasem. Równie, a może nawet bardziej atrakcyjnie, wyglądała jesień. Podczas odbywającego się w Stambule **II Międzynarodowego Festiwalu Dzieci i Młodzieży „Shining Star"** („Lśniąca Gwiazda"), adresowanego do młodych wokalistów z całej Europy, koszalinianka zdobyła Nagrodę Specjalną. Sukcesem zakończył się także jej udział w **Ogólnopolskim Konkursie Wokalnym „Wiktoria 2012"** w Warszawie, promującym dorobek twórczy **Anny German**. Wiktoria Wizner zdobyła Nagrodę Specjalną jako jedna z dwóch nagrodzonych polskich wokalistek. Pozostałe nagrody powędrowały do rąk młodych piosenkarek ze Wschodu, gdzie Anna German jest wciąż niezwykle popularna, kochana i uwielbiana.

– *Zaśpiewałam piosenkę „Człowieczy los" i z przyjemnością usłyszałam, że „brzmię podobnie jak Anna German"* – mówi Wiktoria. – *To było wspaniałe przeżycie, gdyż Anna German należy do moich ulubionych piosenkarek. Urzeka mnie barwa jej głosu, oryginalna muzyka tworzona specjalnie dla niej i przepiękne teksty, co jest dla mnie sprawą kluczową.*

Obok piosenek Anny German, Wiktoria chętnie śpiewa utwory z repertuaru **Anny Jantar**. Bliski jej sercu jest nostalgiczny klimat retro i kompozycje ulubione przez pokolenie jej mamy, a nawet babci. Bardzo dobrze czuje się w repertuarze z lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Ze współczesnych wokalistek najbardziej ceni **Larę Fabian**. Prezentacje obcojęzycznych piosenek – francuskich i włoskich – nie sprawiają jej problemów. Jak widać, dokonały słuch muzyczny idzie w parze ze zdolnościami lingwistycznymi.

Przygoda z piosenką rozpoczęła się dla Wiktorii już we wczesnym dzieciństwie, ale nie mogło być inaczej, skoro dorastała w domu wypełnionym muzyką i śpiewem. Talent muzyczny odziedziczyła z pewnością po pięknie śpiewającej

mamie i grającym na pianinie tacie. Wprawdzie często uświetniała rodzinne uroczystości swoim śpiewem, lecz wokalne umiejętności zaczęła rozwijać dopiero jako piętnastolatka. Wcześniejsze dziesięć lat poświęciła... baletowi, tańcząc w Studiu Baletowym **Walerego Niekrasowa**.

– *W pewnym momencie poczułam potrzebę zmian* – wspomina Wiktoria. – *W budynku Miejskiego Ośrodku Kultury* (dziś jest to Centrum Kultury 105 – dop.red.), *gdzie odbywały się zajęcia baletowe, działało również Mini Studio Poezji i Piosenki. Zapukałam więc do drzwi... i w moim życiu rozpoczął się całkowicie nowy etap trwający pięć lat. Myślę, że to jeden z najlepszych moich życiowych wyborów. Natychmiast przekonałam się, że prowadząca Studio pani* ***Ewa Turowska*** *jest wspaniałą, ciepłą, komunikatywną osobą! Nauczyła mnie czerpać radość ze śpiewu, dzięki niej uwierzyłam, że to, co robię może przynosić przyjemność i satysfakcję, że może podobać się innym. Gdy wspominam Studio, zawsze się uśmiecham. To był cudowny, bardzo bogaty w nowe doświadczenia czas. Teraz cieszę się z sukcesów młodszych dzieci, wierzę, że dostaną się na wybrane uczelnie i, tak jak ja, będą szczęśliwe spełniając swe marzenia.*

Wiktoria z całego serca pokochała muzykę i śpiew. Jednak wśród jej artystycznych pasji jest również literatura. Jako kilkunastolatka z powodzeniem uczestniczyła w konkursach literackich. Teraz także czuje potrzebę pisania, lecz literaturę musi odłożyć na czas... bliżej nieokreślony. Jej życie wypełniają bowiem liczne obowiązki związane z nowym statusem świeżo upieczonej studentki Akademii Muzycznej w Bydgoszczy,

Wiele osób odradzało mi egzamin do uczelni artystycznej – mówi Wiktoria. – *Posłuchałam tych rad i w ubiegłym roku zdałam na prawo w Gdańsku. Miałam nadzieję, że uda się połączyć te studia z moim ukochanym śpiewaniem. Niestety, nie było to możliwe. Prawo to szalenie absorbujący kierunek. Szybko uświadomiłam sobie, że popełniłam życiowy błąd. Po pół roku zrezygnowałam. I co dalej? Myślałam o Studium Wokalno-Aktorskim im. Danuty Baduszkowej w Gdyni, lecz decydującym czynnikiem okazała się miłość do śpiewu operowego, który od wielu lat był mi bardzo bliski. Zdecydowałam się więc zdawać do Akademii Muzycznej w Bydgoszczy. Udało się i jestem zachwycona tym wyborem. Spełniłam swoje marzenia i czuję się bardzo, bardzo szczęśliwa.*

Jadwiga Koprowska

Powrót do Świsłoczy

Powitanie w Świsłoczy otworzyło nowy rozdział księgi pozornie zamkniętej... fot. archiwum E.G. Funke

Ile lat trzeba spychać w głąb siebie tęsknotę do miejsca urodzenia, które musieliśmy opuścić czasami w tragicznych okolicznościach na wiele dziesięcioleci, by w końcu jednak do niego powrócić, by zmierzyć się z emocjami i demonami jakie może tamta ziemia obudzić? Są tacy, którzy korzystają z pierwszej nadarzającej się okazji. Inni noszą w sobie decyzję latami i nie potrafią wytłumaczyć dlaczego to robią?

Koszaliński artysta fotografik **Edward Grzegorz Funke**, znany w Koszalinie właściciel galerii „Portret Świata" i działacz kultury urodził się w 1944 roku na dzisiejszej Białorusi i przez całe życie miał świadomość przynależności do dwóch miejsc na ziemi. Związany emocjonalnie z Koszalinem miał obawę przed odwiedzeniem Świsłoczy, skąd pochodziła jego rodzina. Dziś mówi, że *jakoś nie ciągnęło go w tamte strony*. Podobną obawę nosił w sobie i opisywał Miłosz, który przez dziesięciolecia nie mógł się zdecydować na powrót nad Niemen. Podobnie odczuwały tysiące mieszkańców Pomorza przesiedlonych tu ze wschodu po II wojnie światowej. A jednak wcześniej czy później większość z nich (Miłosz również) wyrusza do miejsca, z którego się wywodzą. Czy to, co ich gna, to tylko sentyment? A może ciekawość jak np. wygląda ulica, na której się wychowałem? Co zostało z dawnego domostwa dziadków, jak wygląda nasz dawny kościół parafialny? Być może jadą tam, by sprawdzić, kto z sąsiadów pozostał i jak tę decyzje zweryfikowało życie? Czy też po latach chcą się upewnić, że dobrze zrobili wyjeżdżając stamtąd na zawsze?

Powroty to domena ludzi dojrzałych, tych, którzy przekroczyli „smugę cienia". Zwykle towarzyszy im atmosfera iwaszkiewiczowskich „Panien z Wilka", czyli nostalgiczna próba dokonania życiowej syntezy. Nie inaczej było z Edwardem Grzegorzem Funke. Urodził się w burzli-

wych czasach końca II wojny światowej w miejscu leżącym dziś tylko kilkanaście kilometrów od polskiej granicy. Rodzina pozbawiona domu, który spłonął i niepewna jutra musiała wyjechać na zachód – do Polski. Edward Grzegorz Funke miał wtedy 6 tygodni i z oczywistych względów nic nie pamięta z „kresowego życiorysu". Jego rodzinna Świsłocz po wojnie najpierw była radziecka, potem białoruska, a rodzinie Funke, która za wschodnią granicą zostawiła cały majątek, ani w głowie sentymenty i myśli o odwiedzinach Świsłoczy. Czasy są trudne, trzeba było dorabiać się wszystkiego od zera, a atmosfera wokół nostalgicznych wizyt jest nieprzyjazna po jednej i po drugiej stronie granicy. Przez całe lata w domu rodzinnym wspominało się o polskiej świsłockiej historii i przedwojennych latach pełnych dostatku i radości. Tamten okres uważano jednak za zamkniętą księgę.

Przez ponad 60 lat Edward Grzegorz Funke wraz z żoną zdążyli objechać cały świat, byli na sześciu kontynentach, ale dopiero za sprawą twórczości artystycznej i działalności wystawienniczej fotografik znalazł pretekst i uzasadnienie by pojechać do rodzinnej Świsłoczy.

Dorobek fotograficzny artysty obejmuje prace z ponad 40 lat; są to najczęściej fotoreportaże i portrety. Największą dumą artysty są jego fotografie przywiezione z licznych podróży i od kilku lat pokazywane z dużym sukcesem w wielu galeriach w Polsce. Najliczniejszą grupę prac stanowią portrety: barwne i niekonwencjonalne ujęcia pokazujące ludzi spotkanych podczas wojaży: czarnych i białych, starych i młodych, uśmiechniętych i poważnych. Portrety o ogromnym ładunku emocjonalnym i niezwykłej sile oddziaływania na odbiorcę. Ze wstępu do katalogu „Portret ze świata":

Muzeum w Świsłoczy otrzymało w darze 30 prac z kolekcji „Portret Świata". fot. archiwum E.G. Funke

Edward Grzegorz Funke dokonuje intelektualnej syntezy i niezwykle wyraźnie pozwala nam doświadczyć własnej obecności w przestrzeni, która dla większości z nas jest niedostępna i nieodkryta(...) I jest to przestrzeń, w której Edward Grzegorz Funke porusza się z wyrafinowaną finezją i łatwością, właściwą dla osób obdarzonych darem, który pozwala w odpowiednim momencie uchwycić to, co głęboko w duszy gra... starej kobiecie z cygarem, mężczyźnie karmiącemu koty, strażnikom odpoczywającym w cieniu świątyni.

Jest w tych portretach jakiś magnetyzm, dzięki któremu widzowie mają ochotę wracać na wystawę po raz wtóry. Publiczność kocha portrety Edwarda Grzegorz Funke i w tym tkwi tajemnica jego licznych zaproszeń do przeróżnych galerii w kraju. Pewnego razu wśród uczestników jednego z dziesiątków wernisaży koszalinianina był fotografik z Grodna –szef miejscowej telewizji – **Aleksandr Łosminski,** a że Politechnika Koszalińska współpracuje z Uniwersytetem w Grodnie – Edward Grzegorz Funke postanawia zaprosić go do koszalińskiej galerii „Portret świata" z wystawą „Kanał Augustowski po stronie białoruskiej". Wernisaż w koszalińskiej galerii jest nie tylko niezwykle udany pod względem artystycznym, ale też odkrywa widzom nowe możliwości turystyczne za wschodnią granicą i pokazuje, że nie taka Białoruś straszna, jak ją malują. W rewanżu artysta zostaje zaproszony na Białoruś.

Najpierw 29 lipca 2011 roku otwarta zostaje pierwsza na Białorusi wystawa fotograficzna Edwarda Grzegorz Funke w Grodnie, która cieszy się ogromnym powodzeniem i jest przychylnie komentowana w miejscowych mediach. (O wystawie tej pisaliśmy w publikacji „Kultura Koszalińska Almanach 2011" – dopr. red.)

Znowu wśród swoich - warto wracać dla takich chwil. fot. archiwum E.G. Funke

Fotografik prezentuje na niej portrety ludzi z całego świata uchwyconych w swej codzienności, przybliża i oswaja świat Araba, Hindusa, Chińczyka czy Masaja; daje widzowi poczucie, że obserwuje podobnego sobie człowieka. Te portrety mają w sobie wiele humanizmu. Świat na tych fotografiach jest przyjazny i to budzi aprobatę. Białorusini szukają wiec sposobu, by pokazać wystawę w innych miastach. Kolejna wystawa zostaje zorganizowana w Galerii w Pałacu Republiki w Mińsku. W rozmowach pojawia się Świsłocz. ...E.G. Funke przyznaje, że w tamtym momencie serce zaczęło bić mu szybciej... Nagle poczuł, że musi tam pojechać i jakoś zaznaczyć fakt, że to jest jego miejsce urodzenia. Niedługo potem przychodzi zaproszenie do zorganizowania wystawy w muzeum w Świsłoczy, a rok później 22 czerwca 2012 roku artysta uroczyście, w asyście władz miasta i tłumu mieszkańców, otwiera ekspozycję swoich prac w rodzinnym mieście.

Nie bez kozery na wstępie pisałam o psychologicznych konotacjach powrotów do miejsc urodzenia, bo ubiegłoroczny *come back* Edwarda Grzegorza Funke do Świsłoczy pewnie nigdy by się nie odbył, gdyby nie szczególne okoliczności, w jakich rodzina Funke wyjechała z dawnych kresów, gdyby nie potrzeba artysty skonfrontowania się z miejscem gdzie przyszedł na świat. W efekcie muzeum w Świsłoczy otrzymało w darze 30 prac z kolekcji „Portret Świata", z których utworzono stałą wystawę, a na tym nie koniec: artysta **nawiązał przyjazne stosunki ze środowiskiem twórczym i władzami miasta które zaowocują dalszą współpracą.**

Na pytanie dlaczego tam wraca E.G. Funke nie potrafi odpowiedzieć jednoznacznie. A może wcale nie ma prostej odpowiedzi i próżno jej szukać?

JUBILEUSZE

Anna Mosiewicz

Stulecie Muzeum w Koszalinie

Młodość (!) muzealnego stulatka

W prowincjonalnym wówczas – tak jak i teraz – Koszalinie, w końcu XIX wieku prężnie działało Towarzystwo Krajoznawcze i Ochrony Kraju, które zajmowało się gromadzeniem nie tylko geologicznych i przyrodniczych okazów, ale także zabytków historycznych i etnograficznych, świadczących o ciekawej historii tego regionu.

W 1912 roku, z inicjatywy towarzystwa, zapoczątkowano istnienie muzeum regionalnego, którego pierwsze wystawy zorganizowano w ówczesnym neobarokowym ratuszu, a także w budynku obecnej Polikliniki przy ul. Szpitalnej (zbiory geologiczne, historyczne i etnograficzne), oraz gimnazjum przy ul. Zwycięstwa (obecna Szkoła Podstawowa nr 1), gdzie znalazły miejsce eksponaty przyrodnicze. Dzięki staraniom władz towarzystwa oraz w miarę powiększania ilości zbiorów władze miasta zadecydowały o przeznaczeniu na siedzibę *Heimatmuseum* neoklasycystycznej willi przy obecnej ul. Piłsudskiego 53 (ówczesna Danzigerstrasse), w której – po odpowiedniej adaptacji – otwarto w 1929 roku pierwszą wystawę poświęconą historii miasta i regionu. Pokazano wówczas interesujące zbiory historyczne (militaria), etnograficzne, geologiczne i przyrodnicze, a także numizmaty i rzemiosło artystyczne.

Już wtedy w kręgu zainteresowań ówczesnych muzealników znalazły się pobliskie wsie – Jamno i Łabusz; interesujące przykłady niezwykłej i dekoracyjnej kultury materialnej tej grupy etnograficznej znalazły swe miejsce w zbiorach muzeum. Do roku 1945 w koszalińskim muzeum znalazły się również zbiory kartograficzne, malarstwo i grafika, wspomniane już numizmaty, wśród których były okazy pochodzące z koszalińskiej mennicy, oraz – do dzisiaj będące w zbiorach – bazy kolumn z krużganków średniowiecznego klasztoru cystersek. Były też zbiory archeologiczne, bez większej wartości naukowej, gdyż pochodziły z darów, oraz prywatnie prowadzonych, a więc amatorskich wykopalisk i indywidualnych kolekcji.

Działalność koszalińskiego muzeum została przerwana na dwa powojenne lata, podczas których przybyli na te tereny Polacy porządkowali nie tylko zbiory muzealne, ale także księgozbiór, który znalazł swe tymczasowe miejsce w willi przy ul. Piłsudskiego i zapoczątkował istnienie Miejskiej, a potem Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej.

Pierwszym powojennym kierownikiem Muzeum Miejskiego został kustosz **Jakub Rokicki**, który ukończył Wydział Przyrodniczy Politechniki w Rydze i przez kilka lat przed wojną był opiekunem biblioteki i zbiorów przyrodniczych w Wilanowie.

Można domniemywać, że opuścił Wilanów i Warszawę nie z własnej woli i przyjechał do prowincjonalnego miasta na Ziemiach Odzyskanych. Może ukrywał się przed władzą ludową za udział w wojennych, tajnych organizacjach? Może pobyt w niewielkim Koszalinie i współpraca z **Marią Pilecką**, pierwszą bibliotekarką i opiekunką zbiorów bibliotecznych, siostrą słynnego bohatera ruchu oporu, skazanego na śmierć Władysława Pileckiego, stwarzały mu poczucie bezpieczeństwa i dawały ostoję?

Kustosz Rokicki doprowadził podjęte dzie-

ło do końca – po wielu staraniach i zabiegach uroczyste otwarcie stałej ekspozycji w Muzeum dokonało się 15 czerwca 1947 roku. Jak napisał Ilustrowany Kurier Polski w notatce „Z życia kulturalnego Pomorza Zachodniego"- *otwarcie muzeum odbyło się w atmosferze uznania dla doskonałej pracy*. Po czterech latach działalności w muzeum Jakub Rokicki został zwolniony ze stanowiska pod pretekstem preferowania zbiorów poniemieckich, a obowiązki kierownika przejął i pełnił je do 1956 roku **Jan Panteluk**, organizując z pomocą instruktora oświaty **Ireny Prawdzic** wystawy oświatowe i okazjonalne. Z tamtych lat zachowały się w archiwum muzealnym zeszyty frekwencji zwiedzających, z podziałem na: *wojsko, chłopi, robotnicy* oraz *inni*.

Dopiero po zaangażowaniu archeologów – **Mariana Sikory** w 1956 roku na stanowisko kierownika muzeum, oraz, nieco później – **Henryka Janochy**, **Romualdy** i **Franciszka Lachowiczów** oraz **Ignacego Skrzypka**, muzeum rozpoczęło własne badania archeologiczne i dzisiaj jest ważnym ośrodkiem tej dziedziny nauk historycznych na terenie Pomorza Zachodniego. Zatrudniona w muzeum historyczka sztuki **Melania Grudniewska** stworzyła Galerię Malarstwa Współczesnego, zapoczątkowaną w 1963 roku poprzez piękny gest – dar **Mariana Bogusza**, ówczesnego scenografa Bałtyckiego Teatru Dramatycznego. Wówczas trafiły do koszalińskich zbiorów obrazy z Galerii Krzywego Koła w Warszawie – autorstwa **Alfreda Lenicy, Henryka Stażewskiego**, **Jerzego Tchórzewskiego**, **Jonasza Sterna** i **Henryka Morela**, nieco później wzbogacone o grafiki **Teresy Jakubowskiej**. Począwszy od 1963 roku, kiedy to na fali odnowy odbył się pierwszy plener w Osiekach, Koszalin stał się letnią stolicą artystów plastyków i teoretyków sztuki i był nią aż do 1981 roku, w którym odbyło się ostatnie

Jerzy Kalicki – dyrektor Muzeum w Koszalinie. fot. Ilona Łukjaniuk

spotkanie owej „awangardy w plenerze". Dzisiaj zbiór awangardowych jak na owe czasy prac, stanowiący zamkniętą całość, plon dziewiętnastu plenerów, obejmujący takie dyscypliny jak: malarstwo, rzeźbę, grafikę, fotografię, a także nagrania audiowizualne dyskusji, wykładów i wystąpień, jest ważnym elementem w dziejach sztuki polskiej drugiej połowy XX wieku i cennym źródłem do badań tego znaczącego w kulturze polskiej okresu.

Ponowna, ważna zmiana w codziennej działalności i organizacji muzeum w naszym mieście nastąpiła w 1965 roku, kiedy wszystkie prawie zbiory, poza archeologicznymi, trafiły do oddawanego do użytku Zamku Książąt Pomorskich w Słupsku. W młynie zamkowym urządzona została wystawa etnograficzna, a sale zamkowe pomieściły ekspozycję sztuki i rzemiosła artystycznego, do której włączono, oprócz zbiorów dawnego słupskiego muzeum oraz części zbiorów z Darłowa – te, pochodzące z Koszalina, w którym pozostał tylko Oddział Archeologiczny Muzeum Pomorza Środkowego. Jego główna siedziba mieściła się w Słupsku – wszak było to wówczas jedno województwo. Za oddane koszalińskiej placówce własne zbiory archeologiczne słupskie muzeum przejęło sztukę współczesną (zbiory osieckie!), etnografię (Jamno!), historyczne, rzemiosła artystycznego, malarstwa, rzeźby gotyckiej, sfragistyki i numizmatyki.

Kierowane troską o stan kultury w mieście, w 1972 roku władze wojewódzkie przekształciły dział archeologiczny w samodzielne Muzeum Archeologiczno – Historyczne, tworząc – obok archeologicznego – nowe działy: historyczny, naukowo – oświatowy, konserwatora ds. zabytków archeologicznych i pracownię konserwatorską. Dwa obiekty – przy ul. Armii Czerwo-

Jubileusz Muzeum był okazją do przekazania życzeń i prezentów od szefów pozostałych placówek kultury w mieście i regionie.

fot. Ilona Łukjaniuk

nej (obecnie Piłsudskiego) i kamieniczka gotycko – renesansowa przy ul. Bogusława II służyły wykonywaniu zadań statutowych tej instytucji kultury, przekształconej w 1975 roku pod dyrekcją **Tadeusza Gasztolda** w Muzeum Okręgowe. Miało ono wówczas nadzór nad dwoma muzeami nowo powstałego województwa – Zamkiem Książąt Pomorskich w Darłowie i Muzeum Regionalnym w Szczecinku i blisko współpracowało z autonomicznym Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu. Szeroka działalność wystawiennicza, oświatowa, konserwatorska i wydawnicza wzmocniona została kontaktami z instytucjami naukowymi i muzeami nie tylko w Polsce. Od 1972 roku muzeum wydawało „Koszalińskie Zeszyty Muzealne" oraz serie monograficzne i popularnonaukowe; pracownia konserwatorska wykonywała renowacje zabytków także i dla innych muzeów, powiększyło się grono pracowników. Na mocy decyzji Ministerstwa Kultury i Sztuki odzyskano zbiór ponad trzystu dzieł sztuki z plenerów w Osiekach i utworzono dział sztuki współczesnej. Muzeum prezentowało liczne i cenne wystawy czasowe dzięki kontaktom z innym muzeami, eksponowało także coraz to liczniejsze zabytki, pozyskiwane drogą penetracji terenu i zakupów. W 1981 roku, w ramach wystawy *Z dziejów kultury regionu koszalińskiego* po raz pierwszy można było zaprezentować *Dzieje Koszalina,* ukazując dawny, a więc niemiecki rozwój miasta od czasów średniowiecznych do końca XIX wieku. Wcześniej niemiecka przeszłość miasta i regionu była pomijana, lub stanowiła swego rodzaju *tabu*.

Nowy etap w historii koszalińskiego muzeum rozpoczął się w 1982 roku, kiedy instytucją tą kierował **Jerzy Szwej**, były Wojewódzki Konserwator Zabytków. Władze miasta przekazały muzeum eklektyczną kamienicę Gellerta wraz z dawnym młynem, w zamian zabierając kamieniczkę przy ul. Bogusława II. Równolegle z remontem i adaptacją kamienicy i młyna na cele muzealne przeniesiono z Dąbek pod Darłowem dwa obiekty – chatę rybaka z początku XIX wieku i niewielki chlewik, w którym zostały wyeksponowane jamneńskie zabytki etnograficzne, gromadzone przez pracowników muzeum od 1974 roku.

Adaptacja i remont zespołu muzealnego pochłonęły wiele pieniędzy, czasu i pracy, trzeba było także wybudować nowy łącznik między obiektami i dostosować kondygnacje młyna do celów wystawienniczych. 1 czerwca 1991 roku dyrektor **Juliusz Sienkiewicz** uroczyście otworzył dwie wystawy w młynie – muzeum rozpoczęło zatem kolejny rozdział swej działalności. Z biegiem lat – już pod dyrekcją **Jerzego Kalickiego**, cały zespół młyński został rozbudowany o nowe obiekty – stylizowany na pomorską chatę budynek dla administracji, zabytkową stodołę zaadaptowaną na biura, magazyny i wystawę dla działu etnografii, oraz budynek na pracownie i stałą wystawę archeologiczną. W jednym ze starych magazynów od wielu lat znajduje się *Gospoda Jamneńska,* nawiązująca wyposażeniem wnętrz i dekoracją do starych wiejskich chat naszego regionu. W całym, dużym zespole muzealnym zmieściły się wszystkie działy Muzeum w Koszalinie, ponieważ willa przy ul. Piłsudskiego, będąca siedzibą muzeum od 1929 roku, w roku 2000 przeszła we władanie Urzędu Miasta. Stałe ekspozycje, a także wystawy czasowe i organizowane lekcje muzealne i Jarmarki Jamneńskie przyciągają do tej instytucji kultury dzieci, młodzież i studentów miejscowych uczelni.

Działalność Muzeum w Koszalinie została doceniona nie tylko przez władze miasta, ale także przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, które kilkakrotnie nagradzało ważną dla całego regionu instytucję kultury w konkursie na najciekawsze wydarzenie muzealne roku *Sybilla* i wpisało ją na listę muzeów rejestrowych. Oznacza to, że Muzeum w Koszalinie ma nie tylko obowiązki, ale także pewne przywileje. Dobry poziom wydawnictw, spośród których wymienić szczególnie się godzi „Koszalińskie Zeszyty Muzealne" wychodzące od końca lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, bogate zbiory sztuki dawnej i współczesnej, numizma-

tyki, historii, etnografii i archeologii, dobrana kadra specjalistów, szeroka oferta edukacyjna dla szkół i zwiedzających, liczne wystawy i opracowania naukowe to wizytówka tej zasłużonej dla miasta i regionu instytucji.

Podczas uroczystych obchodów stulecia istnienia muzeum jego pracownicy zapoznali wszystkich gości z pracą swych działów, dyrektor Jerzy Kalicki uhonorowany został medalem „Za zasługi dla Koszalina" oraz „Krzyżem Piłsudczykowskim", otwarto nową – ósmą już stałą wystawę, tym razem archeologiczną i zorganizowano konferencję naukową „Intra et extra muros – małe miasta Polski północnej w świetle źródeł archeologicznych".

Muzeum w Koszalinie, instytucja kultury z najdłuższą, bo stuletnią historią, pełni w mieście i regionie wiele ważnych funkcji, ucząc szacunku do wytworów kultury materialnej poprzednich pokoleń, zapoznając kolejne pokolenia z historią i dziełami sztuki, prowadząc badania naukowe, wykopaliska, proponując dzieciom i młodzieży lekcje muzealne, konkursy wiedzy historycznej, organizując wystawy stałe i czasowe, przygotowując cenne wydawnictwa, oraz współpracując ze związkami twórczymi i stowarzyszeniami.

Nowa wystawa stała – wystawa archeologiczna w Muzum w Koszalinie. fot. Ilona Łukjaniuk

Małgorzata Zychowicz

Biblioteka żywa

65-lecie Koszalińskiej Biblioteki Publicznej

Obchodzić czy nie obchodzić, oto jest pytanie? Jubileusz, oczywiście... Zagościła w naszych głowach myśl, że może obchodzimy je za często, że może to przeżytek, relikt innej epoki, którego nie warto kultywować. Tym bardziej, że wszyscy mówią o kryzysie, pieniędzy jakby mniej i do świętowania jakby też mniejszy zapał. Więc może nie wypada, może przeznaczyć te pieniądze na inne cele, bardziej szczytne, bardziej stosowne. Takie i podobne myśli zaprzątały głowy organizatorów przed zaplanowaniem imprezy.

I wreszcie jest decyzja! Robimy! Tradycja jest wartością! Finanse są lub ich nie ma, jednak potrzebujemy tego typu imprez. No właśnie, po co? Chyba najbardziej po to, aby przypomnieć, jak to drzewiej bywało, tchnąć ducha przodków w dzisiejsze czasy. Przypomnieć zaangażowanie i idealizm protoplastów, walkę, najpierw o to, żeby się w ogóle biblioteka stała, później o jej utrzymanie, poprawienie warunków istnienia, bytowania, poszerzanie przestrzeni, obfitości zbiorów, liczby czytelników, poszerzanie terytoriów bibliotecznego oddziaływania, zacieśnianie więzi ze społecznością, budowanie nowych więzi, których nie zerwie byle kryzys czy „smarkata burza" ekonomiczna. Później poszerzanie oferty o działania wokół biblioteki, tak, aby wrosła w krajobraz miasta, stała się niezbędna, nieodzowna, bez której życie traci smak, której brakuje w przestrzeni osiedla, dzielnicy, miasta, której brak staje się tak istotny, że społeczność najbliższa jej obecności pragnie i żąda.

Jubileusz warto zorganizować także dla celów promocyjnych. Nic tak nie promuje książki i biblioteki jak głośna impreza. Tego potrzeba użytkownikom i bibliotekarzom, wiary w to, że bez czytelnictwa książek narody, społeczeństwa marnieją, pozbawiają się kontaktu z korzeniami kultury, z dziedzictwem przodków, tracą umiejętność porozumienia międzypokoleniowego. Zgubiwszy wspólny kod kulturowy nie umiemy się śmiać z tych samych dowcipów, nie chwytamy tych samych aluzji, tracimy poczucie wspólnoty narodowej, cywilizacyjnej, społecznej. Głupiejemy... Przy okazji jubileuszu przypomina się też ludziom goniącym za zyskiem, niedoceniającym kultury, bibliotek, bibliotekarzy i ich pracy, jaką krzywdę robią sami sobie, społeczności, za którą wzięli odpowiedzialność obdarzeni władzą. Ci, którzy łatwo zrezygnowali z książek na rzecz komputera, Internetu, tabletów, audiobooków, opracowań lektur i wybrali kulturę obrazkową, obudzą się jako analfabeci XXI wieku, co obserwuje się np. w Szwecji. Tamtejsi bibliotekarze z zażenowaniem spostrzegli, że dzieci mają trudności z czytaniem, zaczęto więc tam organizować maratony głośnego czytania...

Jubileusz służy też oddaniu sprawiedliwości rzeszom pracowników Koszalińskiej Biblioteki Publicznej, byłym i obecnym, które budowały i budują jej gmach (w sensie jak najbardziej metaforycznym) kamień po kamieniu, cegiełka po cegiełce, każdego dnia, z nowym zapałem.

Argumentacja wszystkich przekonała, że warto zorganizować jubileusz, więc gdy zapadła decyzja, (jak w dowcipie) powołano komitet obchodów. Teraz zrodziły się nowe dylematy: co zrobić, żeby uroczystość nie była nudna, (bo to co najmniej 13. jubileusz) i inna niż wszystkie. Chcąc pogodzić różne racje postanowiono, że będzie trochę uroczyście, trochę nostalgicz-

nie, trochę edukacyjnie, trochę zabawnie i trochę rozrywkowo.

Początkowo jubileusz miał odbyć się 15 czerwca – w dniu otwarcia pierwszej po wojnie Miejskiej Biblioteki Publicznej w Koszalinie. Później jednak okazało to niemożliwe, ze względów technicznych – jubileusz przeniesiono na 22 października. Jak zwykle w takich razach, komitet organizacyjny kilkakrotnie zmieniał koncepcje, wiele pomysłów wylądowało w koszu historii. Może przydadzą się za 5 lat...Uczestnicy komitetu z trudem dochowywali tajemnic dotyczących przygotowywanych niespodzianek, nazwisk pracowników wytypowanych do nagród i odznaczeń, przygotowywanej w tajemnicy prezentacji historycznej, tym bardziej, że niemal wszyscy byli zainteresowani. Jubileuszowi „spiskowcy" byli osaczani w najciemniejszych kątach biblioteki i przekupywani słodyczami, aby uchylili rąbka, ale nikt do końca się nie zdradził. Więc niemal dla wszystkich uroczystość była niewiadomą. Niektórych poproszono o włożenie na imprezę żakietów i marynarek (wiadomo, klapa żakietu czy marynarki czasem jest nieodzowna).

Datę jubileuszu poprzedziła świetna akcja promocyjna polegająca na obecności Biblioteki we wszystkich mediach. Bibliotekarze występowali w telewizji, rozgłośniach radiowych, czasopismach. Kilka tygodni poprzedzających rocznicę należało do Koszalińskiej Biblioteki Publicznej i jej pracowników. Szaleństwo udzieliło się dziennikarzom do tego stopnia, że sfotografowali (o zgrozo!) uśmiechniętą bibliotekarkę jadącą na wózku z książkami (co na to przepisy bhp i powaga zawodu?)

Dzień jubileuszu, 22 października 2012 roku, wstał jasny, niebo było bezchmurne, temperatura prognozowana 13 stopni, idealna na uroczystość! Pierwsi tego dnia świętowali bibliotekarze! Już od 10.30, gdy rozpoczął się wykład dr. **Jerzego Wojciechowskiego** z Uniwersytetu Szczecińskiego *Pułapki komunikacyjne w relacji*

Ameryka w twojej bibliotece to nowy projekt realizowany w KBP. fot. archiwum KBP

z czytelnikiem. Kto nie był, niech żałuje, bo obecni dowiedzieli się o efekcie Rosenthala (nie mylić z porcelaną) w kontaktach międzyludzkich, a także odwrotnym do niego efekcie Golema. Wykład był tak porywający, że półtorej godziny minęło niepostrzeżenie i już był najwyższy czas rozpoczynać najważniejszą część jubileuszu.

Zaczęło się w samo południe, w wypełnionej po brzegi reprezentacyjnej sali konferencyjnej Koszalińskiej Biblioteki Publicznej, od odegrania hymnu Koszalina. Licznie zgromadzona publiczność została powitana przez dyrektora Koszalińskiej Biblioteki Publicznej **Andrzeja Ziemińskiego** z imienia, nazwiska, funkcji, a także zbiorowo. Na szczególne podkreślenie zasługuje obecność wieloletniej wicedyrektor koszalińskiej biblioteki, pani **Marii Hudymowej**, Honorowej Obywatelki Koszalina, nestorki koszalińskiego bibliotekarstwa.

Jako, że bibliotekarze nie od dziś walczą z „czarnym PR-em" czyli niesprawiedliwym stereotypem dotyczącym ich nudziarskiej „natury" oraz rzekomego braku poczucia humoru, więc zadając kłam powyższemu – przygotowali historię biblioteki na wesoło. *Abecadło biblioteczne* – tak nazywała się prezentacja – spotkało się z bardzo żywiołowymi reakcjami i spontanicznymi brawami publiki, a aplauzowi nie było końca. Uchylmy więc rąbka tej najpilniej strzeżonej tajemnicy. Narratorem tej niezwykłej prezentacji był bibliotekarz, a jakże, zupełnie jak ze stereotypu, w tureckim sweterku koloru nieokreślonego, w „brylach" o grubości denek od słoików, o przygładzonej fryzurce i, o zgrozo! ze śladem blond wąsików, oczywiście w papuciach, no i z nieodłączną herbatą w szklance!

A na ekranie, to dopiero się działo! Oczywiście w „jedynie słusznym w bibliotekarstwie porządku – alfabetycznym" przesuwały się stare budynki (dawne siedziby), stare wynalazki (drut + dzwoneczek), niezrozumiałe terminy (UKD, SBP – nie mylić z SB), oraz prawdziwy hit – po-

Jubileusz KBP był okazją do nagrodzenia najżarliwszych czytelników. fot. archiwum KBP

czet królów-dyrektorów Biblioteki, a wśród nich **Aleksander Wielki Majorek**, **Zenon Wspaniały Jońca**, **Andrzej Niezłomny Ziemiński**, wszyscy w pięknej oprawie Matejkowych płócien. I wiele, wiele innych atrakcji, na 44 (!) slajdach w sumie.

W wyśmienitych humorach po prezentacji, obecni uczestniczyli w najmilszej dla pracowników chwili wręczania odznaczeń i nagród. Tę część ze swadą i swobodą przeprowadziła dyrektor Wydziału Kultury i Spraw Społecznych Urzędu Miejskiego **Dorota Pawłowska**, a wręczenia dokonali wicewojewoda **Ryszard Mićko**, wicemarszałek **Andrzej Jakubowski,** prezydent miasta **Piotr Jedliński**, starosta **Roman Szewczyk**, przewodniczący Rady Miejskiej – **Eugeniusz Żuber** i Rady Powiatu – **Dariusz Kalinowski**.

Wyróżniającym się pracownikom wręczono odznaczenia państwowe, regionalne, miejskie i inne. Jak zwykle, przy takich okazjach, powiedzą malkontenci... Niektórzy nawet zażartują, że to tylko „blaszki", jednak dla „pracowników książki", którzy zwykle nie mogą liczyć na zaszczyty i „ślubowali ubóstwo w tym zakonie" wyróżnienie odznaczeniem ma wyjątkową wartość, a uroczysta oprawa nadania pozostaje na zawsze w pamięci. Ponad 2/3 załogi Koszalińskiej Biblioteki Publicznej zostało uhonorowanych medalami i odznaczeniami, w tym: 2. Krzyżami Zasługi, 12. Medalami za Długoletnią Służbę, 5. Dyplomami Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, 2. Odznakami Honorowymi Gryfa Zachodniopomorskiego, 4. Medalami Pamiątkowymi Za Zasługi dla Koszalina i innymi.

Biblioteka, jako instytucja, otrzymała Medal Pamiątkowy Za zasługi dla Powiatu Koszalińskiego. Ponadto do honorowej Księgi Pamiątkowej Biblioteki wpisano 2 zasłużone emerytowane bibliotekarki – **Małgorzatę Hodyńską** i **Leokadię Ślubowską**. Dyrektor A. Ziemiński wręczył też pamiątkowe statuetki instytucjom sprzyjającym Koszalińskiej Bibliotece Publicznej.

Po części oficjalnej nastąpiła część rozrywkowa – koncert kwartetu akordeonowego AKORD. Po niej toast lampką szampana za pomyślność biblioteki i jej pracowników wzniósł Prezydent Koszalina Piotr Jedliński. Był to znak nieomylny dla bibliotekarzy i zaproszonych gości, że czas rozpocząć bankiet połączony z tańcami, nie do białego rana, niestety, tylko do 21, bo przecież we wtorek rano wszyscy powinni stawić się w pracy!

Koszalińska Biblioteka Publiczna liczy swój początek od 15 czerwca 1947 r., kiedy została otwarta pierwsza po wojnie Biblioteka Miejska w Koszalinie, w jednym pokoju, w Muzeum Miejskim. Pierwszego dnia zapisało się do biblioteki 12 czytelników, a pierwszy księgozbiór liczył 200 książek. Teraz Koszalińska Biblioteka Publiczna mieści się w okazałym budynku w parku i 10 filiach bibliotecznych, a jej księgozbiór liczy blisko 400 tysięcy woluminów. Jest bardzo nowoczesną placówką kultury, w każdym aspekcie jej funkcjonowania.

Wszystkie procesy biblioteczne takie jak: gromadzenie, opracowanie i udostępnianie, odbywają się za pomocą komputera. Do wszystkich grup wiekowych mieszkańców Koszalina i powiatu kieruje bogatą ofertę imprez kulturalno-edukacyjnych. Są wśród nich: spotkania autorskie dla dorosłych (np. z **Magdaleną Zawadzką**, **Beatą Pawlikowską**, **Michałem Rusinkiem**, **Wojciechem Tochmanem**) i dla dzieci (np. z **Wandą Chotomską**, **Agnieszką Frączek**, **Joanną Olech**), kursy komputerowe dla seniorów, konkursy i turnieje literackie (np. „Ptaki, Ptaszki, Ptaszęta Polne", „Koszalińska Niezapominajka", „Turniej wiedzy o Januszu Korczaku"), Noc w Bibliotece, Żywa Biblioteka, Ferie i Wakacje w Bibliotece, Dyskusyjne Kluby Książki, maratony czytania, wystawy, zajęcia i spotkania dla niepełnosprawnych i wiele, wiele innych działań, których wszystkich nie sposób wymienić. Faktem jest, że rocznie we wszystkich agendach Koszalińskiej Biblioteki Publicznej odbywa się ponad 1500 różnorodnych imprez dla mieszkańców Koszalina i powiatu koszalińskiego.

Beata Górecka-Młyńczak

Szczęściara z batutą

Ewa Szereda. fot. Ilona Łukjaniuk

Gdzie słychać śpiew, tam ludzie dobre serca mają... **Ona od lat kocha chóralistykę i udowadnia, że tak niewiele trzeba, by poczuć się szczęśliwym, kto? Ewa Szereda.**

W tym roku obchodziła 20-lecie swojej pracy artystycznej, ale można powiedzieć, że czas jej się nie ima. Ciągle zachwyca burzą rudych loków i niespożytą energią.

Jak mówi jest szczęśliwą osobą, bo od lat robi to, co lubi. Zawsze uśmiechnięta i w... biegu.

W chóralistyce zakochała się w czasach studenckich, jest absolwentką Akademii Muzycznej we Wrocławiu w klasie dyrygowania prof. **Haliny Bobrowicz**; wtedy śpiewała w chórze Politechniki Wrocławskiej i brała udział w międzynarodowych konkursach chóralnych. Dzięki temu mogła zwiedzić Europę (do dziś wspomina Barcelonę, Wilno, Tallin, Nancy, Aberdeen), gdzie zespół na konkursach zdobywał liczne laury. Koncertowała z chórem i Zespołem Muzyki Dawnej w Paryżu, Londynie, Oxfordzie, Udine. Wynikiem tej pracy było nagranie płyty w studiu Polskiego Radia Wrocław.

Do Koszalina Ewa Szereda przyjechała w 1991 roku i rozpoczęła pracę jako nauczycielka kształcenia słuchu i fletu poprzecznego w ZPSM w Koszalinie. Wtedy też postanowiła spełnić swoje marzenia i założyć szkolny chór „Dysonans". Szybko się okazało, że jej praca przynosi efekty i to doskonałe, a młodzież chętnie wspólnie śpiewa, mimo iż pani „profesor" należy do grona najbardziej wymagających nauczycieli. Ceni porządek i dyscyplinę, a lekcje chóru to czas na wytężoną pracę a nie „pogaduszki". Zdobyła jednak serca nastolatków repertuarem, młodzież śpiewa kompozycje współczesne, niezwykle atrakcyjne, ale także muzykę rozrywkową i dzieła mistrzów.

W roku 2002 chór„Dysonans" wykonał z orkiestrą Filharmonii Koszalińskiej pod dyr. **Marka Pijarowskiego** „Stabat Mater" G. Pergolesiego. Marek Pijarowski, znakomity dyrygent, niegdyś „idol" młodej Ewy, przygotowaniem chóru był zachwycony. Po próbie podszedł do niej, pocałował w czoło i powiedział „pięknie", a później wychwalał to wykonanie w Akademii we Wrocławiu, gdzie prowadzi klasę dyrygentury. Ten

koncert Ewa Szereda do dziś najcieplej wspomina, ale takich sukcesów było o wiele więcej. Wkrótce po założeniu chóru „Dysonans" zespół zdobył III miejsce na Festiwalu Chórów Szkół Muzycznych w Myśliborzu (1993 r.), I nagrodę na Festiwalu Chóralnym„Święto Pieśni" w Białogardzie (1994), wziął udział w ministerialnych warsztatach chóralnych TALENTY 95. Ważne były też koncerty chóru z towarzyszeniem orkiestry filharmonii koszalińskiej i wspólne wykonanie takich dzieł jak: „Planety" G. Holsta, „Syreny" C. Debussy'ego, „Chichester Psalm" G.Bernsteina, „Pop oratorium" Z. Małkowicza.

Ta dobra passa trwa nadal; gdzie pojawi się Ewa Szereda ze swoim zespołem, tam mamy do czynienia ze sztuką na wysokim poziomie. To prawdziwa profesjonalistka, całkowicie zaangażowana w swoją pracę, bo, jak mówi: *najważniejsza jest ta więź i możliwość robienia czegoś razem*.

Jej pasja została dostrzeżona i kiedy ruszał Ogólnopolski Program Rozwoju Chórów Szkolnych „Śpiewająca Polska" w 2007 roku, to właśnie Ewa Szereda została powołana do roli jego koordynatora w naszym regionie, współpracując z Narodowym Centrum Kultury oraz Międzynarodowym Festiwalem „Wratislavia Cantans". W wyniku jej działań, dziesięć chórów z naszego regionu przystąpiło do współpracy. W ramach programu organizowała warsztaty dla dyrygentów i koncerty, na których dyrygowała połączonymi zespołami, m.in. w koncercie „Kocham Cię, Polsko" w Filharmonii Narodowej oraz na 44 Festiwalu „Wratislavia Cantans" we Wrocławiu. Ten program, oprócz rozśpiewania dzieci i młodzieży, miał jeszcze jeden cel – wychowywanie przyszłych melomanów, *dziś sale filharmonii są pełne, ale co będzie za dziesięć, dwadzieścia lat?*

Ten projekt miał zwrócić uwagę młodzieży na muzykę klasyczną, także poprzez zapraszanie na koncerty do filharmonii, aby stali się publicznością sal koncertowych.

Ewa Szereda nie ogranicza się tylko do pracy z młodzieżą. W 2009 roku założyła chór żeński „Kanon" w Cewlinie, z którym po rocznej pracy, w styczniu 2010 r. odbyła tournée koncertowe po północnych Niemczech. W 2011 powstał chór „Koszalin Canta", który tworzą ludzie niezwiązani z muzyką zawodowo. Praca z takimi osobami jest niezwykle trudna, można powiedzieć u podstaw, łączy ich tylko to, że lubią wspólnie śpiewać - choć to i tak dużo. Chórmistrz musi nauczyć odpowiedniej emisji głosu, każdej linii melodycznej a w końcu doprowadzić do wyrównanego brzmienia wszystkich głosów. Liczba chórzystów może nie jest jeszcze w tej chwili imponująca (liczy się jakość) ale ważne jest wspólne przeżywanie muzyki. Chór to także spotkania poza próbami, budowanie przyjaźni, nie da się bowiem nie zżyć ze sobą koncertując, wyjeżdżając na warsztaty czy inne zgrupowania.

W zespole „Koszalin Canta", jak mówi dyrygentka: *panuje fantastyczna atmosfera i udaje się już koncertować – może jeszcze nie na najwyższym poziomie – ale do tego, jak wiadomo, potrzeba czasu.*

Chór „Koszalin Canta" wystąpił na koszalińskim Międzynarodowym Festiwalu Muzyki Organowej wykonując „Missa Festiva" K. Rozbickiego i „Stabat Mater" St. Moryto.

Zespół wziął także udział w Gali Operowej i w koncercie kolęd z orkiestrą filharmonii koszalińskiej.

Ewa Szereda swojego największego sukcesu dopatruje się w tym, że udało jej się rozśpiewać tak dużo innych ludzi, pokazać, że istnieje jeszcze inny świat, że obcując ze wspaniałą sztuką, można „sięgać gwiazd". Po koncertach chórów prowadzonych przez dyrygentkę przychodzi wzruszona publiczność dziękując za piękne

Ewa Szereda i chór „Koszalin Canta". fot. Ilona Łukjaniuk

chwile. To jest ten „owoc" ciężkiej pracy, tego wspólnego przeżywania muzyki.

Za swoją pracę artystyczną Ewa Szereda otrzymała podziękowania Narodowego Centrum Kultury, Nagrodę Ministra Kultury oraz Dyrektora Centrum Edukacji Artystycznej.

Ale to wszystko nie byłoby możliwe gdyby nie wsparcie rodziny. Ewa Szereda mówi o sobie „szczęściara", wraz z mężem i córką tworzą udaną i sympatyczną rodzinę; czasami nawet zastanawia się czym sobie na to wszystko zasłużyła?

Chyba tym, że jak mówi: *w mojej pracy, we wszystkich działaniach najważniejszy jest człowiek – tym się kieruję, to daje mi największy zapał. Uśmiech chórzystów i zadowolenie po ciężkiej pracy, bo to jest naprawdę bardzo ciężka praca, wymagająca czasu i cierpliwości.*

Ważne jest także to, że muzykowanie i koncertowanie Ewie Szeredzie sprawia ogromną radość, bo jak każda kobieta lubi pięknie wyglądać: *scena jest sceną i trzeba świetnie się zaprodukować i świetnie wyglądać.*

Izabela Nowak

„Osiemnastka" Muzeum Wysockiego

29 maja 2012 roku liczni goście uświetnili uroczystość „Wysocki pełnoletni", czyli 18-lecie prywatnego Muzeum Włodzimierza Wysockiego w Koszalinie. Historia tej unikatowej w skali Polski i Europy placówki muzealnej rozpoczęła się w 1994 roku. Wówczas dr Marlena Zimna zafascynowana twórczością i osobowością Włodzimierza Wysockiego, spełniła swe wielkie marzenie – razem z mamą Moniką, podzielającą jej artystyczne pasje, otworzyła w swym prywatnym mieszkaniu muzeum poświęcone wielkiemu rosyjskiemu artyście. Początki były skromne – zwiedzającym udostępniono trzysta eksponatów. Dziś wspaniała kolekcja zbiorów powiększyła się do osiemnastu tysięcy eksponatów. Muzeum zmieniło też siedzibę – z ulicy Drzymały przeniosło się do centrum Koszalina. Nadal jednak brakuje miejsca, by wyeksponować wszystkie, zgromadzone przez lata bezcenne pamiątki związane z rosyjskim bardem wolności. Trudno więc się dziwić, że od dawna wielkim i niezrealizowanym dotąd marzeniem Marleny Zimnej jest nowa, o wiele obszerniejsza od dotychczasowych siedziba.

Jak na przyjęcie z okazji „osiemnastki" przystało, wzniesiono toast za pomyślną przyszłość znanego na całym świecie Muzeum, zrodzonego z artystycznych fascynacji i kulturotwórczych pasji pań Marleny i Moniki Zimnej. Goście zostali również zaproszeni do udziału w konkursie na interpretację utworu Włodzimierza Wysockiego. Warto było zdobyć się na odwagę, gdyż na uczestników czekały atrakcyjne nagrody – płyty z nagraniami utworów Włodzimierza Wysockiego i piękny album. Nie zabrakło też akcentu muzycznego – jedną z najbardziej znanych pieśni Wysockiego *Balladę o przyjacielu* zagrał na harmonijce ustnej **Mikołaj Kobus**, który także dokonał symbolicznego przecięcia czerwonej wstęgi. Tak oto w dziejach Muzeum rozpoczął się nowy etap.

– *Obecną siedzibę zawdzięczamy pomocy, jakiej udzielił nam pan Mikołaj Kobus, wówczas wiceprezydent Koszalina* – przypominała **dr Marlena Zimna**. – *Nasze Muzeum w niczym nie przypomina tradycyjnej placówki muzealnej ze srogimi kustoszami, ochraniaczami na buty i eksponatami ukrytymi w szklanych gablotach. Przywołuje raczej klimat „półlegalnych" koncertów Wysockiego. Wraz z ciągle powiększającą się kolekcją, mogę powiedzieć, że Wysocki zamieszkał u nas i z czasem nasza prywatna przestrzeń stawała się coraz mniejsza. Dziś mieszkamy „kątem u Wysockiego", ale dobrze nam z takim sąsiedztwem!*

Eksponaty składające się na muzealną kolekcję pochodzą z różnych, nieraz bardzo odległych zakątków świata. Dla Marleny Zimnej i licznych wielbicieli Włodzimierza Wysockiego, każdy z osiemnastu tysięcy eksponatów ma bezcenną wartość. Jednak do najcenniejszych skarbów zaliczane są przedmioty, które wyszły spod ręki Wysockiego, określane przez badaczy mianem „pierwotnych". Są to autorskie rękopisy, autografy, listy, karteczki pisane do ukochanych przez artystę kobiet, jego słynna skórzana kurtkę, porcelanowa filiżanka, listy, fotografie, gitara, na której podczas pobytu w Maroku Wysocki własnoręcznie skreślił słowa improwizowanego czterowiersza.

W muzealnych zbiorach znajduje się ponadto bardzo bogata fonoteka z olbrzymią liczbą

nagrań utworów Włodzimierza Wysockiego oraz ciesząca się ogromnym zainteresowaniem zwiedzających wideoteka, obejmująca filmowe nagrania koncertów i recitali artysty, rejestracje fragmentów spektakli teatralnych, a także prywatnych występów, okolicznościowych spotkań, bankietów teatralnych z jego udziałem, Najcenniejsze z tych nagrań dostępne są tylko w koszalińskim Muzeum.

Obok materiałów dokumentalnych w muzealnej wideotece znajdują się również filmy fabularne i dokumentalne poświęcone Wysockiemu, a pochodzące z różnych krajów: od Japonii po Stany Zjednoczone, od Szwecji po Ugandę.

W zgromadzonej przez Marlenę Zimną kolekcji znajduje się także bardzo bogata biblioteka obejmująca tysiące woluminów: zbiory dzieł Wysockiego i jego biografie, książki poświęcone analizie twórczości artysty oraz jego aktorskich dokonań, a także pozycje z zakresu literaturoznawstwa, językoznawstwa, filozofii, parapsychologii, teorii przekładu i wielu innych dziedzin. W zbiorach znajduje się ponadto kilka tysięcy fotografii Włodzimierza Wysockiego dokumentujących jego działalność artystyczną oraz życie prywatne.

Kolejny muzealny dział, zatytułowany „Wysocki w filatelistyce", złożony jest nie tylko ze znaczków pocztowych, ale także z datowników, kopert, kart pocztowych i katalogów filatelistycznych. W koszalińskim Muzeum można również zobaczyć, jak niezapomniany artysta funkcjonuje dziś jako „ikona popkultury". Wizerunki artysty umieszczane są na kalendarzach, pamiątkowych kubeczkach, trykotowych koszulkach, pudełkach zapałek, trójwymiarowych pocztówkach, a nawet na torbach – reklamówkach. Zdarza się nawet, że słynne rosyjskie Matrioszki ozdabiane bywają zdjęciami Wysockiego.

Muzeum jest także organizatorem wyjątkowego artystycznego wydarzenia o światowym zasięgu – Międzynarodowego Festiwalu Fil-

dr Marlena Zimna i Mikołaj Kobus, który jako wiceprezydent Koszalina był wielkim sprzymierzeńcem Muzeum.

fot. Ilona Łukjaniuk

mów Dokumentalnych i Włodzimierzu Wysockim „Pasje świętego Włodzimierza".

Jednak za najważniejszy spośród wielu nurtów działalności muzealnej dr Marlena Zimna uznaje pracę naukowo-badawczą. W tej sferze muzeum zapisało na swoim koncie znaczące sukcesy. W archiwach Japonii, Wielkiej Brytanii, w Serbii, na Węgrzech i w Stanach Zjednoczonych udało się odnaleźć bezcenne materiały archiwalne – fragmenty legendarnych spektakli z udziałem Wysockiego i rejestracje z festiwali teatralnych, gdzie rosyjski artysta w roli Hamleta święcił wielkie triumfy. Dziś Muzeum dysponuje zapisem filmowym ze spektaklu *Przesłuchanie* według tekstów Włodzimierza Majakowskiego, który do niedawna funkcjonował tylko we wspomnieniach i bardzo nielicznych fotografiach. Zdaniem dr Marleny Zimnej – *wartości historycznej, sentymentalnej i kulturotwórczej tego odkrycia nie da się przeliczyć na żadne pieniądze*. Kolejnym wielkim sukcesem było odnalezienie w archiwach prywatnej telewizji komercyjnej „Tokio 12" kilkuminutowego zapisu próby do spektaklu *Wiśniowy sad*, w którym Włodzimierz Wysocki stworzył wielką kreację. Warto podkreślić, że efektem każdego z tych odkryć jest monografia naukowa pisana przez Marlenę Zimną w różnych językach – rosyjskim, angielskim, niemieckim, polskim i publikowana w różnych krajach.

Jesteśmy głęboko przekonani, że w archiwach świata cały czas znajduje się wiele materiałów związanych z Włodzimierzem Wysockim – powiedziała dr Marlena Zimna. – *Naszym marzeniem na kolejne osiemnaście lat jest dotarcie do nich i przywiezienie do Koszalina. Marzymy, aby te materiały wzbogacały zbiory naszego Muzeum. Pragniemy je prezentować wielbicielom Wysockiego, którzy zawsze w styczniu przyjeżdżają z całego świata do Koszalina na kolejne Międzynarodowe Festiwale Filmowe „Pasje według świętego Włodzimierza".*

Jak jubileuszowa tradycja nakazuje, podczas uroczystego spotkania nie zabrakło serdecznych podziękowań i gratulacji. Wielką kulturotwórczą rolę Muzeum doceniła **Swietłana Bil** – korespondentka gazety „Europa.RU". Do swoich życzeń dodała prezenty z okazji „osiemnastki" – nowoczesny monitor i pamięć o pojemności 320 gigabajtów, która z pewnością pomieści bezcenne muzealne archiwum.

– Serdecznie dziękuję za badania i popularyzację dokonań jednego z największych twórców kultury rosyjskiej – powiedziała Swietłana Bil. – *Dzięki Marlenie Zimnej Włodzimierz Wysocki coraz bardziej należy nie tylko do Rosji i Polski, ale też do całego świata.*

***

W niewielkim mieszkaniu na koszalińskim osiedlu dr Marlena Zimna stworzyła jedyne w Polsce i znane na całym świecie muzeum wielkiego rosyjskiego artysty. Dr Marlena Zimna – niewyczerpana skarbnica wiedzy o rosyjskim artyście – osobiście oprowadza gości odwiedzających Muzeum. Jej wnikliwe komentarze, barwne opowieści o mniej i bardziej znanych lub zupełnie nieznanych faktach z Włodzimierza Wysockiego znakomicie przybliżają postać ukochanego przez miliony wielbicieli rosyjskiego barda wolności.

PS

Życie dopisało smutny rozdział do historii Muzeum Wysockiego, w styczniu 2013 roku odeszła bowiem Monika Zimna. Jej śmierć w dwójnasób osierociła Marlenę Zimną, która straciła nie tylko Matkę i Przyjaciela ale także wspaniałą Partnerkę we wszelkich swych pracach i dziele upowszechniania życia i twórczości rosyjskiego barda. Wyrażając współczucie zapowiadamy pożegnanie z Moniką Zimną, cichym sprzymierzeńcem koszalińskiej kultury, w Almanachu 2013. Redakcja

Maria Słowik-Tworke

Droga skrzypcowego mistrza

...Natan Dondalski świecił jak megagwiazda
- hyper uzdolniony młody skrzypek...
(Upsala Nya Tidnig)

Natan Dondalski, pierwszy koncertmistrz orkiestry symfonicznej Filharmonii Koszalińskiej, swoją profesjonalną karierę koncertową rozpoczął piętnaście lat temu, w roku 1997. Był to moment szczególny, bowiem na prestiżowym Międzynarodowym Konkursie im. Louisa Spohra we Freiburgu zdobył II nagrodę i wiele propozycji koncertowych. Sukces był tym większy, że w konkursie uczestniczyli instrumentaliści w wieku do 35 roku życia, Natan natomiast miał wówczas zaledwie lat siedemnaście, a swój ulubiony Koncert skrzypcowy D-dur op.77 Johannesa Brahmsa już grał wybornie. Potwierdza to ten oto fragment opinii opublikowanej w „Dzienniku Pojezierza": *Natan Dondalski należy już do grona najwyżej cenionych wiolinistów młodego pokolenia. Perfekcyjne wykonanie Koncertu Brahmsa przekonuje, że nie jest to opinia chybiona.*

Artysta osiągnął także laury na wielu ogólnopolskich i międzynarodowych konkursach. Do tych najbardziej znaczących, poza wspomnianym we Freiburgu, należy zaliczyć konkurs w Gdańsku (l994 r., I nagroda), w Pradze (1994 r., III nagroda), w Weimarze (1995 r., I nagroda). W latach 1990 – 1999 był stypendystą Krajowego Funduszu na Rzecz Dzieci Uzdolnionych Muzycznie, a także wielokrotnym stypendystą Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Fundacji Kultury Polskiej.

Zaliczany do grona najwybitniejszych polskich skrzypków młodego pokolenia Natan Dondalski urodził się w Olsztynie, w rodzinie o bogatych tradycjach muzycznych. Jego dziadek był skrzypkiem w bydgoskiej Filharmonii Pomorskiej i pedagogiem w szkole muzycznej, a babcia – baletnicą i wokalistką. Ojciec jest skrzypkiem, mama perkusistką. Swoją zawodową pracę oboje rozpoczynali w Operze Bydgoskiej. W latach 1972-1975 mieszkali w Koszalinie i pracowali w orkiestrze filharmonicznej. **Jan Dondalski** był I koncertmistrzem, tak jak obecnie jego syn Natan.

W rozmowach rodzice Natana podkreślają, że to były ich najmilsze lata i żałują, że wyjechali do Olsztyna. Tam jednak zaproponowano im lepsze warunki mieszkaniowe, co było argumentem nie do przebicia, zwłaszcza, że rodzina się powiększała. Natan Dondalski jest jednym z czworga rodzeństwa. Wszyscy ukończyli studia muzyczne i wszyscy grają na skrzypcach, zdobywając nagrody na różnych konkursach i aktywnie uczestnicząc w życiu koncertowym.

Najstarsza **Katarzyna Dondalska**, mieszkająca w Niemczech, nie tylko świetnie gra na skrzypcach, ale jest także wyjątkowej klasy sopranistką koloraturową i z ogromnym powodzeniem występuje na najbardziej prestiżowych scenach i estradach koncertowych świata. Jej kariera rozwija się wspaniale. **Monika Dondalska** jest koncertmistrzem orkiestry symfonicznej Filharmonii Warmińsko – Mazurskiej w Olsztynie. **Maksym Dondalski**, najmłodszy z rodzeństwa, kończy obecnie studia w bydgoskiej Akademii Muzycznej, w klasie skrzypiec oraz dyrygentury; jak mówi Natan, chyba jest najzdolniejszy z całej czwórki. Wybitnie utalentowane rodzeństwo mieliśmy okazję poznać

i podziwiać podczas ich znakomitych występów w Koszalinie.

Z kolei droga skrzypcowego mistrza – Natana Dondalskiego – rozpoczęła się gdy miał siedem lat. Najpierw uczył się pod kierunkiem ojca, następnie u wspaniałego pedagoga **Antoniego Hoffmana** w szkole muzycznej I stopnia. Uczył się także gry na klarnecie i fortepianie, ponieważ ojciec uważał, że muzyk powinien być wszechstronny. Grając na tych instrumentach również odnosił sukcesy, ale ostatecznie wybrał skrzypce.

Od najmłodszych lat z powodzeniem uczestniczył w konkursach wiolinistycznych. Na jednym z nich został dostrzeżony przez prof. **Mirosława Ławrynowicza** – znanego, cenionego skrzypka i pedagoga. Dzięki jego stypendium uczestniczył w kursie w Łańcucie, a następnie za jego namową rodzice wyrazili zgodę na naukę syna w Liceum Muzycznym w Szkole Talentów im. Zenona Brzewskiego w Warszawie.

W klasie prof. M. Ławrynowicza Natan uczył się dziesięć lat. Z wyróżnieniem ukończył szkołę średnią oraz studia w Akademii Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Warszawie.

Studiował także w Niemczech u świetnych mistrzów, najpierw u **Grigorija Żyslina** w *Hochschule für Musik* w **Würzburgu**, a następnie w **Düsseldorfie** w klasie **Rosy Fain**, uczennicy **Dawida Ojstracha.**

W życiu młodego skrzypka był to jednak bardzo trudny okres, ponieważ musiał także zarobić na swoje utrzymanie. Przez dwa lata grał więc w orkiestrze symfonicznej *Klassische Philharmonie* Bonn, w której wymagano niezwykle intensywnej pracy. Przygotowywany w ciągu tygodnia program był następnie prezentowany w około dwudziestu miastach. Niewielu muzyków wytrzymywało takie tempo. Natan Dondalski także zrezygnował z tej pracy i wrócił do Polski. Uznał, że tu jest jego miejsce.

W Koszalinie po raz pierwszy zaprezentował się w roku 1998, wykonując z orkiestrą symfoniczną Filharmonii Koszalińskiej pod dyrekcją **Tadeusza Wojciechowskiego** wirtuozowski Koncert skrzypcowy D-dur op.35. Piotra Czajkowskiego. Osiemnastoletni wówczas wiolinista oczarował swą grą nie tylko wszystkich melomanów, ale także krytyków muzycznych: *...jego interpretacja Koncertu Czajkowskiego podkreślała przede wszystkim rozlewny, pełen zadumy rosyjski liryzm tej muzyki. A szlachetny dźwięk skrzypiec, nienaganna wibracja i intonacja pozwalały mu uzyskać taki efekt ze swobodą i bez przesadnej afektacji.* – pisała *Gazeta Wyborcza. ... słuchaliśmy artysty w pełni ukształtowanego, o znakomitym warsztacie, wielkiej muzykalności i wyrobionym smaku.* (Muzyka 21)

W roku 2004, dzięki rodzicom, którzy znali Koszalin, a także zdanemu egzaminowi kwalifikacyjnemu, otrzymał stałe zatrudnienie w tutejszej Filharmonii. I tak od ośmiu sezonów artystycznych gra na stanowisku pierwszego koncertmistrza orkiestry, łącząc tę pracę z ożywioną działalnością solistyczną.

W czasie swojej muzycznej wędrówki spotykał się i współpracował z wieloma wybitnymi artystami, co zawsze jest znakomitą lekcją. Udawało mu się zdobywać różne stypendia, dzięki którym mógł uczestniczyć w mistrzowskich kursach – współpracował m.in. z **Wandą Wiłkomirską**, z niemieckim artystą **Wolfgangiem Marschnerem**, a podczas warsztatów artystycznych dla duetów w Lozannie z francuskim skrzypkiem **Pierrem Amunialem** i pianistą **Pawłem Giliłowem**.

Natan Dondalski występował w większości krajów europejskich, a także w Japonii. W Polsce stale współpracuje prawie ze wszystkimi orkiestrami filharmonicznymi. Grał też jako solista w najbardziej prestiżowych salach koncertowych, m.in. *Cristal Saal* w Obihiro, Filharmonii Narodowej w Warszawie, Studiu Koncertowym im. Witolda Lutosławskiego w Warszawie, Filharmonii Narodowej w Sofii, *White Hall* w Helsinkach, *Meistersinger Halle* w Norymberdze, Kölner Philharmonie, *Musikhalle* w Hamburgu, *Konserthuset* w Oslo, *Beethovenhalle* w Bonn, *Schauspielhaus* w Berlinie. Miał też okazję pracować i występować z wieloma znako-

Natan Dondalski. fot. www.kultura.wm.pl

mitymi dyrygentami, m.in. z **Andrzejem Straszyńskim**, **Tomaszem Bugajem**, **Tadeuszem Wojciechowskim**, **Massimiliano Caldinim**, **Jerzym Swobodą**, **Markiem Pijarowskim**, **Mirosławem Jackiem Błaszczykiem**, **Januszem Przybylskim**, **Jerzym Salwarowskim**.

Jego repertuar jest bardzo interesujący. Poza znanymi arcydziełami światowej literatury skrzypcowej artysta gra również mniej znaną muzykę. Z pasją odkrywa zapomniane dzieła, by z radością i ogromną satysfakcją zaprezentować je melomanom. W jego znakomitej interpretacji mieliśmy okazję wysłuchania takich koncertów jak: A-dur op.45 Christiana Sindinga, d-moll op.14 Gabriela Fauŕe'go, g-moll op.99 Jenő Hubay'a czy też Bolero, Fantazję, Walca melancholijnego i Romans andaluzyjski Franza Grothego. Wszystko to są prawdziwe perełki muzyczne, którym artysta poświęca wiele czasu, serca i uwagi, zanim je wykona na estradzie.

Przed występami zawsze towarzyszy mu trema, ale w jego przypadku jest to stan mobilizujący. Wszystko oczywiście zależy od dnia, samopoczucia i publiczności. Po koncercie najbardziej lubi przebywać wśród najbliższych albo pozostać samemu. Jest bowiem typem samotnika, ale bardzo lubi ludzi.

Maria Słowik-Tworke: Wiele godzin spędził Pan w studiach, dokonując nagrań dla radia i telewizji. Sposób wykonywania utworu mówi wiele o grającym – ukazuje także jego wnętrze. To taki magiczny wymiar muzyki.

Natan Dondalski: Oczywiście. Pewien warsztat skrzypcowy, techniczny, intonacja, ładny dźwięk – to są podstawy, które powinien mieć każdy dobry skrzypek. Ale tym, co nas wyróżnia, jest wewnętrzna indywidualność każdego muzyka. Każdy jest inny. Jeden ma charyzmę, potrafi oczarować słuchacza, inny nie. To też zależy od różnych warunków, od nastawienia, stanu emocjonalnego itd.

M.S.-T.: W czym, Pana zdaniem, tkwi tajemnica pięknego dźwięku?

N.D.: Ważny jest oczywiście sam instrument, jego klasa. Wiadomo jednak, że ten sam instrument w różnych rękach brzmi zupełnie inaczej. Istotne są m.in. sprawy aparatowe, słuch, wrażliwość na dźwięk, na jego barwę, wiedza, intonacja. To jest sztuka, którą nie każdy muzyk posiadł.

M.S.-T.: Czy ma Pan dobre skrzypce?

N.D.: Po długich staraniach udało mi się kupić dobry, stary instrument. Nie ma on metki, ale są to mistrzowskie skrzypce, a nie fabryczne. Z pewnych cech można wywnioskować, że jest to włoski instrument z XIX w. – z wyższej półki. Jestem z tych skrzypiec bardzo zadowolony, bo gra mi się na nich komfortowo. Świetnie przebijają się przez orkiestrę, są dobrze słyszalne.

M.S.-T.: Niezwykle ważny jest także smyczek.

N.D.: O tak. Przez pewien czas nie miałem o tym pojęcia, jak wielki wpływ na dźwięk może mieć właśnie smyczek.

M.S.-T.: Otworzył Pan przewód doktorski w Gdańskiej Akademii Muzycznej. Jaki wybrał Pan temat?

N.D.: Wybrałem muzykę skrzypcową francuskiego kompozytora Gabriela Fauré'go, jego Sonatę i zapomniany koncert, który, jako jedyny Polak, wykonuję z orkiestrami. Pisanie pracy naukowej koncertującemu muzykowi sprawia sporo kłopotu, bo trzeba temu poświęcić wiele czasu, no, ale chcę to zrobić.

M.S.-T.: A te najpiękniejsze momenty Pana działalności artystycznej ?

N.D.: To przede wszystkim moje występy z orkiestrami, kiedy jadę do różnych miast i jest miły kontakt z instrumentalistami i dyrygentem, kiedy mogę słuchaczom zaprezentować mało znaną muzykę, której, być może, więcej nie usłyszą. Zawód muzyka to praca dla innych ludzi, to misja, powołanie. Widząc pełne sale koncertowe i uśmiech słuchaczy wierzymy, że to, co robimy, ma sens i że warto to robić.

M.S.-T.: Czy słucha Pan nagrań płytowych innych artystów?

N.D.: Kiedyś bardzo dużo. W czasie studiów mieliśmy nawet takie grono znajomych, z którymi spotykaliśmy się by słuchać różnych interesujących nagrań. W tej chwili ilość pracy, ogrom dźwięków i hałasu sprawia, że człowiek tęskni za ciszą i spokojem.

M.S.-T.: Tęskniąc za ciszą zajął się Pan uprawianiem działki, pomimo że skrzypek musi dbać o ręce. Jakie zatem ma Pan efekty w tej dziedzinie?

N.D.: Działkę uprawiam wspólnie z moim kuzynem, który mieszka w Koszalinie. Ja to traktuję bardzo rekreacyjnie. Dużą satysfakcję sprawia mi kupowanie różnych roślin i ich sadzenie, ale już niekoniecznie troskliwa ich pielęgnacja. Na początku nawet siałem marchew i sałatę, ale teraz sadzę dużo roślin, które mają cieszyć oko. Mam pnące róże, cały kącik przepięknych róż parkowych i innych pachnących kwiatów, a także kilka rzadkich okazów, np. drzewo – surmie czy cytryniec chiński. Jest także oczko wodne, ale bez rybek, tylko roślinki. Jest to dla mnie ogromne odprężenie i bardzo to lubię. Mam wspaniałego psa – boksera, który mi towarzyszy. Tam czujemy się dobrze, swobodnie. Tam ładuję swoje akumulatory do dalszej pracy.

...Natan Dondalski to muzyk dojrzały, skupiony, w pełni panujący nad instrumentem i świadomy wszystkich niuansów wykonywanego dzieła – Gazeta Wyborcza.

Muzyka tworzy rodzaj przyjemności,
bez której natura ludzka nie może się obyć.
(Konfucjusz)

Maria Słowik-Tworke

Dla muzyki warto żyć...

Agnieszka Anna Tobik – koncertmistrz orkiestry symfonicznej Filharmonii Koszalińskiej, w roku 2012 obchodziła mały jubileusz swojej pracy artystycznej: 15 lat wcześniej, zatem w 1997 roku ukończyła z wyróżnieniem Katowicką Akademię Muzyczną w klasie skrzypiec prof. Ryszarda Fasnachta i wystąpiła z Zabrzańską Orkiestrą Symfoniczną wykonując I część Koncertu d-moll Jana Sibeliusa.

Agnieszka Tobik naukę gry na skrzypcach rozpoczęła mając 8 lat, ale wcale nie była przekonana do tego instrumentu. Wolałaby flet albo harfę, ale nie było wówczas tych instrumentów dostosowanych do możliwości dzieci. Podczas egzaminu do chorzowskiej szkoły muzycznej okazało się, że ma świetny słuch i dłonie stworzone do gry na skrzypcach. Ostatecznie przekonały ją entuzjazm i zachęta babci. Mimo początkowych oporów robiła szybkie postępy – w jednym roku zaliczyła nawet dwie klasy – ale ciągle nie przywiązywała do tego szczególnej wagi. Zastanawiała się nawet, czy nie wybrać szkoły o profilu matematyczno – fizycznym. Poszła jednak do Liceum Muzycznego im. Karola Szymanowskiego w Katowicach, gdzie uczyła się w klasie mgr **Marka Kowalskiego**.

Naukę kontynuowała w Katowickiej Akademii Muzycznej, następnie w mistrzowskiej klasie skrzypiec u prof. **Grigirija Żyslina** w *Hochschule für Musik* w Würzburgu. W czasie nauki w Niemczech była stypendystką miasta Chorzowa.

Nigdy nie spodziewała się, że będzie studiowała u prof. Grigorija Żyslina, wspaniałego wirtuoza, człowieka i pedagoga. Po raz pierwszy zetknęła się z jego nazwiskiem, gdy miała 13 lat. Wtedy przypadkowo przesłuchała płytę analogową, na której była nagrana *Chaconne'a* Bacha i Preludia Szostakowicza, właśnie w wykonaniu Żyslina. Grą profesora była oczarowana – zachwycił ją sposobem słyszenia muzyki, produkcji dźwięku, jego barwą, techniką, wirtuozerią. Później dowiedziała się, że było to nagranie dokonane bezpośrednio po Konkursie im. Nicola Paganiniego w Genui, na którym dostał I nagrodę.

Wspomniana płyta nie dawała jej spokoju. Zapragnęła zostać jego uczennicą. Mama jednak stwierdziła, że jest to tak wielki artysta, że chyba nie ma szans, by dostać się do jego klasy. Po jedenastu latach wyczytała, że jest w Niemczech kurs skrzypcowy prowadzony przez profesora. Zebrały więc z mamą pieniądze i wyruszyła w świat autobusem. To była długa i męcząca droga, ale się opłacało, bo nauka u niego była niezwykła. Grigoruj Żyslin to wręcz kultowy artysta.

Pół roku później profesor zadzwonił do Agnieszki i powiadomił ją, że w jego klasie jest miejsce i może przyjechać na egzamin. Była bardzo zaskoczona i szczęśliwa. Egzamin zdała i rozpoczęła wymarzone studia u swego mistrza. Nauka przebiegała harmonijnie i miała ogromny wpływ na ogólny rozwój młodej skrzypaczki, na rozumienie muzyki. Była przeszczęśliwa. Zajęcia prowadzone w Niemczech były dla niej pewnym zaskoczeniem, np. przyjacielskie relacje między profesorami a studentami. Na każdej indywidualnej lekcji zawsze była pełna klasa i wszyscy z nutami śledzili przebieg

muzyczny, słuchali różnych rozwiązań. Te lekcje czasami kończyły się bardzo późno i wtedy profesor zapraszał ich do siebie, albo do jakiejś knajpki i właściwie była to kontynuacja lekcji... G. Żyslin pracował w Würzburgu i w *Royal College of Music* w Londynie, więc lekcje nie zawsze były regularne. W czasie nieobecności profesora studenci jednak spotykali się i sami starali się rozwiązywać różne problemy. To uczyło samodzielnej pracy.

Dobra współpraca skrzypaczki z profesorem trwa do tej pory. Występują wspólnie na koncertach symfonicznych i kameralnych. Agnieszka Tobik jest jego asystentką podczas międzynarodowych kursów mistrzowskich, jakie odbywają się m.in. w Polsce, Francji, Słowenii i we Włoszech. W udzielonym mi wywiadzie prof. Grigorij Żyslin o współpracy z Agnieszką Tobik mówił w samych superlatywach. Z uznaniem podkreślał jej umiejętności, muzykalność, obowiązkowość i wyjątkowy sposób pracy ze studentami. Agnieszka zaś uważa, że zawsze trzeba uczyć się od lepszych od siebie, uczestniczyła więc w kursach prowadzonych przez wybitnych profesorów, takich jak: **Wolfgang Marschner**, **Maria Jaszwili**, **Antoni Cofalik**.

Z powodzeniem koncertuje jako solistka i kameralistka. Występuje w różnych formacjach, ze znakomitymi artystami. Kameralistykę wręcz kocha, to w jej życiu artystycznym bardzo bogata i owocna dziedzina. W roku 1999 wraz z zespołem kameralnym działającym przy Katedrze w Würzburgu zdobyła medal na 39 Międzynarodowym Festiwalu Zespołów Kameralnych w Loreto we Włoszech. Dwa lata później – w roku 2001 – grając z **Joanną Piszczelok**, została laureatką I nagrody w kategorii duetów na V Międzynarodowym Konkursie Współczesnej Muzyki Kameralnej im. Krzysztofa Pendereckiego w Krakowie. W 2004 roku wraz z zespołem kameralnym *Schelmentrio* wystąpiła na Międzynarodowym Konkursie Muzyki Kameralnej w Kuhmo w Finlandii, a w roku 2006 była uczestniczką konkursu w Genui we Włoszech.

Dokonała także nagrań dla TVP w Katowicach, Radia Koszalin i Radia Berlińskiego.

Koncertowała jako solistka i kameralistka w wielu miastach w Polsce, a także w Niemczech, Anglii, Francji, Włoszech i Kazachstanie. Mówiąc o występach Agnieszki Tobik, należy wspomnieć o tych najbardziej pamiętnych, m.in. o koncertach festiwalowych: w roku 2002 jako członek zespołu kameralnego *Trio Czajkowski* brała udział w *Festival di Musica da Kamera* „Cittai Lucka" we Włoszech, natomiast w 2009 r. wystąpiła gościnnie ze znakomitymi skrzypkami **Robertem Kabarą** i prof. **Grigorijem Żyslinem** w koncercie inaugurującym I Festiwal im. Jerzego Waldorffa, w pałacu w Radziejowicach i na festiwalu „La Musica da Camera" w Krakowie.

Niezapomnianym przeżyciem dla artystki był występ w duecie z prof. Żyslinem w Gstaad w Szwajcarii podczas *Music Promenade Festival* w 2007 roku. Organizatorką tego ekskluzywnego festiwalu była wybitna pianistka – księżna Karolina Haffner Murat, z cesarskiego rodu we Francji. Na wspomnianej imprezie wszystko było niezwykłe: piękna oprawa, niepowtarzalna atmosfera, goście oraz koncert zatytułowany *Maxim Vengerov i jego przyjaciele*, który poprowadził sam mistrz, gwiazda światowej wiolinistyki. Siedząc na scenie, przedstawiał swoich przyjaciół i przeprowadzał z nimi rozmowy.

Dla Agnieszki była to wielka nobilitacja, wyjątkowe doświadczenie i doping do dalszej pracy. Gratulacje i wyrazy uznania, jakie otrzymała po koncercie od **Maxima Vengerova**, innych wybitnych artystów i samej księżnej, sprawiły jej ogromną radość, satysfakcję i obudziły przekonanie, że rozwija się w dobrym kierunku, że dla muzyki warto żyć.

W kwietniu 2009 roku wydarzeniem artystycznym w życiu kulturalnym Koszalina było wykonanie z Orkiestrą Filharmonii Koszalińskiej *Symfonii koncertującej Es-dur* KV 364 W.A. Mozarta, pod batutą **Mirosława Jacka Błaszczyka** z udziałem solistów: Agnieszki Tobik – skrzypce, Grigorija Żyslina – altówka. *Oboje grali Mozarta jak jeden artystyczny organizm, była to zachwycająca projekcja wzajemnego zrozumienia*

i piękna. – napisał po tym koncercie **Kazimierz Rozbicki.**

* * *

Agnieszka Tobik: Wiadomo, że ten podwójny koncert jest to jedno z najtrudniejszych dzieł wiedeńskiego klasyka. Jest to utwór bardzo piękny, ale dla wykonawców niewdzięczny. Na szczęście wszystko się udało, profesor był zadowolony i gratulował mi, był zdumiony, że tak szybko się nauczyłam tego koncertu.

Maria Słowik-Tworke: Jest Pani wzorem sumienności i wytrwałości w pracy, czy był więc jakiś okres, że wytrzymała Pani bez skrzypiec?

A.T.: Kilka lat temu, po bardzo intensywnym roku, zdarzyła mi się taka dwumiesięczna przerwa. W ogóle nie brałam skrzypiec do rąk, nawet futerału nie otworzyłam, tak jakbym zapomniała o instrumencie. Pewnego jednak dnia zadzwoniła moja przyjaciółka, pianistka Joanna Karasiewicz, która mieszka w Niemczech i zapytała, kiedy przyjadę do Würzburga, bo za dwa tygodnie mamy koncert we Frankfurcie. Musiałam się szybko zmobilizować do pracy. W pierwszej chwili nie odczuwałam tej przerwy w graniu, ale potem, niestety, tak, zarówno instrument jak i ja. Już nigdy więcej czegoś podobnego nie zrobiłam. Zawsze, nawet w czasie wakacji, gram około dwóch godzin dziennie, aby utrzymać formę. Ćwiczenie, to jak codzienna toaleta, mycie zębów, prysznic. Jeśli nie poćwiczę, nie posłucham muzyki, to bardzo źle się czuję. Muszę wziąć instrument do ręki, pograć i wtedy wszystko jest w porządku. To jest taki nałóg.

M.S.-T.: Czyli nie tylko talent i pasja, ale i systematyczna praca.

A.T.: Ludzie nawet bardzo utalentowani, którym pewne rzeczy przychodzą bardzo łatwo, popełniają błąd mniej czasu poświęcając na regularne ćwiczenie. Okazuje się bowiem, że artyści trochę mniej zdolni ale pracowici, w pewnym momencie mogą grać lepiej niż ci pierwsi. Genialny kompozytor i pianista **Ignacy Jan Paderewski** twierdził, że w 95 procentach najlepsze rezultaty osiąga się dzięki wytrwałej pracy. Dla mnie takim impulsem do pracy jest poznawanie nowych utworów. Np. teraz mam na pulpicie, jak to się mówi, Preludium Bacha z *Partity E-dur*, którego nigdy nie grałam i stwierdziłam, że czas najwyższy, by się tego nauczyć, zwłaszcza, że usłyszałam je w Internecie w świetnych interpretacjach: **Yehudi Menuhina**, **Hilary Hahn** i **Yaschy Heifezta**.

Agnieszka Tobik. fot. strona domowa Agnieszki Tobik

M.S.-T.: Skrzypce w rękach wirtuoza stają się czymś żywym i jakoś dziwnie, tajemniczo

zespalają się z człowiekiem. Są instrumentem najbardziej zbliżonym do głosu ludzkiego.

A.T.: Zgadzam się. To też wpoił mi pan prof. Żyslin, że granie na instrumencie to nie jest muzyka instrumentalna, to jest śpiewanie. Trzeba słuchać jak najwięcej muzyki operowej, bo najbliżej człowieka jest właśnie głos. To najczulszy, najdelikatniejszy instrument. Tu jest to całe frazowanie, ten właściwy oddech. A więc wszystko to, co potrzebne jest w grze na instrumencie. Ja kupiłam stary instrument, który był w kiepskim stanie, ale wybrałam go ze względu na jego dźwięk. Wyremontowałam i jestem zadowolona.

M.S.-T.: Dwanaście lat temu przyjechała Pani do Koszalina po raz pierwszy. Jak się Pani pracuje w tutejszej orkiestrze symfonicznej na stanowisku koncertmistrza?

A.T.: Czuję się tu bardzo dobrze, orkiestra się ciągle zmienia i rozwija w dobrym kierunku. Jest dużo młodych osób. Dyrektor artystyczny pan **Ruben Silva** zaprasza bardzo dobrych dyrygentów i to jest duży plus, bo możemy się od nich uczyć i rozwijać się. Wpływamy na siebie wzajemnie i to jest bardzo cenne, daje dobre efekty.

M.S.-T.: Jakie ma Pani obowiązki jako koncertmistrz?

A.T.: Między innymi na koncertach wprowadzam orkiestrę, czuwam nad nastrojeniem zespołu, a na próbach w pewnym stopniu współtworzę obraz muzyczny utworu. Mogę poddać dyrygentowi swoje sugestie muzyczne, które najczęściej są realizowane. Opracowuję też nuty – czyli opalcowuję, osmyczkowuję. Czasami, na prośbę dyrektora artystycznego, prowadzę próby sekcyjne, albo prowadzę próbę jeżeli dyrygent nie przyjedzie na czas.

M.S.-T.: – Czy zajmuje się Pani pracą pedagogiczną?

A.T.: Zrezygnowałam z uczenia w szkole, bo natłok zajęć nie pozwolił mi kontynuować tę pracę. Trochę żałuję, ale nie miałam innego wyboru.

M.S.-T.: Wyżywa się Pani w pracy dydaktycznej ze studentami jako asystentka podczas kursów mistrzowskich, które prowadzi prof. Żyslin.

A.T.: Tak, to prawda. Profesor liczy się z moim zdaniem i akceptuje moje podejście do muzyki i do studentów.

M.S.-T.: Co Panią interesuje, gdy odkłada Pani smyczek?

A.T.: Może będę nudna, ale jeśli nie mam pracy w Koszalinie i np. gdzieś wyjeżdżam, to staram się chodzić na koncerty. Ostatnio byłam na koncercie z okazji otwarcia nowego sezonu Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach – dyrygował prof. **Krzysztof Penderecki!** Koncert był wspaniały i właśnie takie artystyczne wydarzenia są dla mnie impulsem do dalszej pracy, do ciągłego rozwoju. Poza tym bardzo lubię odwiedzać muzea.

M.S.-T.: Krzysztofa Pendereckiego poznała Pani osobiście...

A.T.: Miałam okazję współpracować z nim podczas tygodniowego festiwalu w mojej byłej Akademii Muzycznej w Niemczech. Wykonywaliśmy wówczas *Siedem Bram Jerozolimy* Krzysztofa Pendereckiego, pod jego batutą. Zostałam poproszona o prowadzenie drugich skrzypiec w festiwalowej orkiestrze i muszę podkreślić, że wielkie wrażenie wywarły na mnie jego uwagi interpretacyjne i sposób prowadzenia prób, aura, jaką stwarzał, oraz energia, która emanowała na cały zespół i publiczność. Naprawdę kiedy wychodził na podium i podnosił batutę wytwarzał się jakiś niecodzienny, fantastyczny klimat. To wielki charyzmatyczny muzyk i człowiek.

M.S.-T.: Czy teraz wyobraża sobie Pani życie bez skrzypiec, bez muzyki?

A.T.: W ogóle bez sztuki nie wyobrażam sobie życia. Uważam, że najważniejszy w życiu jest komfort robienia tego, co się lubi, a muzyka klasyczna nas wzbogaca.

MISCELLANEA

Nagrody Prezydenta

V Gala Kultury

Po raz piąty zorganizowana Gala Kultury stała się okazją do nagrodzenia artystów i animatorów życia duchowego w mieście za szczególne sukcesy odniesione w 2012 roku. Uroczystość wręczenia Nagród Prezydenta Koszalina lekko i z wdziękiem poprowadził Piotr Dzięcielski, aktor urodzony w Koszalinie, do niedawna związany z rodzimym Bałtyckim Teatrem Dramatycznym. *Nawet moja żona – Pogodynka nie może obiecać mi rychłej wiosny* – żartował. Dodajmy więc, że Aleksandra Dzięcielska, także urodzona w Koszalinie aktorka, pamiętna m.in. jako Antygona na scenie BTD, twórczyni Ogólnopolskiego Festiwalu Piosenki Aktorskiej „Reflektor"z powodzeniem, choć bez wpływu na aurę, informuje o pogodzie na antenie TVP 2.

Zanim na scenie BTD pojawili się główni bohaterowie, licznie zgromadzona publiczność wysłuchała kilku piosenek w wykonaniu **Darii Zawiałow**, laureatki Nagrody Prezydenta. W trakcie imprezy zaprezentowały się również **Julia** i **Gabriela Murawskie** z Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych w Koszalinie. Dziewczynki zagrały dla wszystkich nauczycieli i instruktorów dziękując w ten sposób, w imieniu młodych laureatów, za opiekę artystyczną, wspieranie, dodawanie odwagi oraz zachęcanie do rozwijania zainteresowań i do podejmowania twórczych wyzwań. Później prezydent **Piotr Jedliński** wręczył nagrody najbardziej uzdolnionym koszalinianom. Galę zakończył recital **Katarzyny Skrzyneckiej**.

W 2013 r. wpłynęło 66 wniosków o Nagrodę. Zgodnie z Uchwałą Nr XXIV/363/2012 Rady Miejskiej w Koszalinie z dnia 27 września 2012 r.

Gala Kultury. Pierwszy z prawej prezydent Piotr Jedliński, obok Bożena Giedych i pozostali laureaci, ci młodsi...

fot. Ilona Łukjaniuk

w sprawie ustanowienia dorocznej Nagrody Prezydenta Miasta Koszalina za osiągnięcia w dziedzinie twórczości artystycznej, upowszechniania i ochrony kultury oraz określenia szczegółowych warunków i trybu jej przyznawania wnioski opiniowała Kapituła powołana przez Prezydenta Miasta w składzie:

Krystyna Kościńska – wiceprzewodnicząca Rady Miejskiej, członkini Komisji Kultury – jednogłośnie wybrana na przewodniczącą Kapituły,

Ryszard Tarnowski – przewodniczący Komisji Kultury Rady Miejskiej,

Marek Reinholz – wiceprzewodniczący Komisji Kultury Rady Miejskiej,

Łukasz Sendlewski – przedstawiciel Komisji Kultury Rady Miejskiej,

przedstawiciele Rady Kultury przy Prezydencie Miasta:

Barbara Jaroszyk, **Wojciech Bałdys** i **Maria Ulicka**

przedstawicielki Prezydenta Miasta Koszalina:

Dorota Pawłowska i **Marzena Śmigielska** – Wydział Kultury i Spraw Społecznych.

Pozytywną opinię Kapituły uzyskało 39 kandydatur. Przyznano:

- 3 nagrody z okazji jubileuszu twórczego,
- 8 nagród za osiągnięcia w dziedzinie kultury (dorośli),
- 7 nagród w dziedzinie tworzenia, upowszechniania i ochrony kultury,
- 20 nagród za osiągnięcia w dziedzinie kultury (dzieci i młodzież),
- 1 nagrodę specjalną za wybitne osiągnięcia artystyczne i twórcze „Artystka Roku"

Na Nagrody Prezydenta Miasta za osiągnięcia w dziedzinie kultury została przeznaczona kwota 50 550 zł.

Laureaci Nagrody Prezydenta Miasta Koszalina:

Nagrodzeni (dzieci i młodzież) za osiągnięcia w dziedzinie kultury II stopnia:

Sara Bogdanowicz – Gimnazjum nr 11 w Koszalinie.

Magdalena Krzemińska – Gimnazjum nr 11 w Koszalinie.

Adrianna Sztandarska – Zespół Szkół Plastycz-

...i ci starsi. fot. Ilona Łukjaniuk

nych w Koszalinie.
Zofia Iwaszkiewicz – Zespół Szkół Plastycznych w Koszalinie.
Anna Świąć – Zespół Szkół Plastycznych w Koszalinie.
Ewelina Rutkowska – Zespół Szkół Plastycznych w Koszalinie.
Martyna Wiernicka – Zespół Szkół Plastycznych w Koszalinie.
Rafał Skorek – klub osiedlowy „Przylesie" Koszalińskiej Spółdzielni Mieszkaniowej „Przylesie.
para taneczna: Aleksandra Staszak i **Konrad Łyda** – Studio Tańca „PASJA".
Michał Cholka – Zespół Państwowych Szkół Muzycznych w Koszalinie.
Maja Mazur – Zespół Państwowych Szkół Muzycznych w Koszalinie.
duet Fortepianowy: Julia i **Gabriela Murawskie** – Zespół Państwowych Szkół Muzycznych w Koszalinie.
Wiktor Dziedzic – Zespół Państwowych Szkół Muzycznych w Koszalinie.
Roksana Grzesik – Zespół Państwowych Szkół Muzycznych w Koszalinie.

Nagrodzeni (dzieci i młodzież) za osiągnięcia w dziedzinie kultury I stopnia:

Bianka Szalaty – Zespół Państwowych Szkół Muzycznych w Koszalinie.
Mateusz Kowalski – Zespół Państwowych Szkół Muzycznych w Koszalinie.
Wiktor Sommer – Zespół Państwowych Szkół Muzycznych w Koszalinie.
Daniel Stasiak – Zespół Szkół Plastycznych w Koszalinie.

Nagrody z okazji jubileuszu twórczego:

Irena Kuncewicz – Zespół Pracy Twórczej Plastyki.
Szkoła Tańca „ASTRA"
Szkoła Muzyczna YAMAHA

Nagrody za działalność w dziedzinie tworzenia, upowszechniania i ochrony kultury:

Urszula Kurtiak i **Edward Ley** – Wydawnictwo Artystyczne Kurtiak i Ley – zostało zwycięzcą organizowanego przez Fundację Kronenberga i Centre for Central and Eastern Europe VIII konkursu Mikroprzedsiębiorca Roku 2012. Do konkursu dopuszczono ponad 200 małych firm z całej Polski. Urszula Kurtiak i Edward Ley od 1989 roku wydają unikatowe i ekskluzywne książki artystyczne.
Monika Kalkowska – Pałac Młodzieży w Koszalinie.
Kazimiera Talko-Hryncewicz – KSM „Przylesie" i z Centrum Rozrywki „Na Pięterku".
Danuta Krajewska – kierowniczka filii bibliotecznej Koszalińskiej Biblioteki Publicznej.
Robert Rowiński – trener, zawodowy tancerz, choreograf, prowadzi Studio Tańca Pasja.
Joanna Alicja Chojecka – Archiwum Państwowe w Koszalinie, od 2006 roku na stanowisku dyrektora.

Nagrody za osiągnięcia w dziedzinie kultury:

The Stars – Akademicki Klub Tańca Politechniki Koszalińskiej.
Fantini Akord Kwintet – zespół pracuje w Centrum Kultury 105 w Koszalinie.
Wojciech Jaśkiewicz – należy do zespołu Fantini Akord Kwintet.
Wiktoria Wizner – związana z Centrum Kultury 105 w Koszalinie.
Bożena Giedych – Związek Polskich Artystów Plastyków – Oddział Koszalin- Słupsk.
Grupa Top-Toys
Diana Staniszewska – trenerka Szkoły Tańca Top-Toys i tancerka Grupy Top-Toys.
Daria Zawiałow – na liście sukcesów ma m. in. wygraną w „Szansie na sukces", udział w Debiutach na Festiwalu w Opolu i półfinał telewizyjnego programu „Mam talent".

Nagroda Specjalna za wybitne osiągnięcia artystyczne i twórcze – Artysta Roku:

Marzena Diakun. O dyrygenckich sukcesach M. Diakun piszemy w dziale „Nasi w świecie".

V Gala Koszalińskiej Kultury, 24 marca 2013 r., Bałtycki Teatr Dramatyczny.

Anna Janczewska

Europejska Noc Muzeów

Noc w Archiwum, czyli rycerskie klimaty w „Castrum Cussalin"

Archiwum Państwowe w Koszalinie już od wielu lat łączy działalność naukową z misją popularyzacji historii, działając w koszalińskiej kulturze na wielu płaszczyznach i w sposób interesujący. Prowadzi działalność wydawniczą, organizuje konferencje, zaprasza na liczne prelekcje, przygotowuje wystawy tematyczne oraz intensywnie promuje działalność edukacyjną w oparciu o źródła i eksponaty historyczne. Projekty te są kierowane do społeczności lokalnej (mieszkańców Koszalina i okolic) do miłośników i pasjonatów historii niezależnie od ich wieku. Obecne czasy zmuszają jednak coraz częściej do zmian technik popularyzacji wiedzy historycznej, a tym samym wyjścia naprzeciw oczekiwaniom społecznym. I tak jest w przypadku koszalińskiego Archiwum.

W roku 2011 Archiwum Państwowe w Koszalinie zadebiutowało w niezwykłym i magicznym wydarzeniu kulturalnym, jakim jest Europejska Noc Muzeów[1]. To noc pełna niespodzianek, licznych atrakcji, ciekawa pod każdym względem, często stwarzająca jedyną okazję, by zwiedzić i dotrzeć do nieudostępnianych na co dzień miejsc. Koszalin już po raz szósty uczestniczył w tym wyjątkowym przedsięwzięciu. Głównym organizatorem jest Muzeum w Koszalinie, dzięki któremu koszalińskie Archiwum miało możliwość włączyć się w wydarzenia tej niepowtarzalnej Nocy, organizując wraz z Koszalińską Kompanią Rycerską[2] festyn średniowieczny. Jak się okazało pomysł był znakomity, uczestnicy zachwyceni i „wypełnieni" nowymi wiadomościami o swoim grodzie nad rzeką Dzierżęcinką. Żywa interaktywna lekcja historii spełniła swoje zadanie, a zainteresowanie mieszkańców było dowodem na to, że taka forma przybliżania historii jest „strzałem w dziesiątkę". Koszalińscy archiwiści postanowili zatem w kolejnym roku ponownie zaprosić wszystkich chętnych do średniowiecznego „Castrum Cussalin", czyli grodu Koszalin.

---

[1] Jest to impreza kulturalna, która polega na udostępnianiu muzeów, galerii i instytucji kultury, w wybranym dniu, w godzinach nocnych. Głównym jej celem jest utworzenie płaszczyzny spotkania muzeów i prezentowanej przez nie sztuki oraz publiczności. Pierwsza Noc Muzeów (*Lange Nacht der Museen*) miała miejsce w Berlinie w 1997 r. Obecnie organizuje ją ponad 120 miast Europy. W Polsce pierwszą Noc Muzeów zorganizowano w 2003 r. w Muzeum Narodowym w Poznaniu, źródło: Głos Koszaliński z dnia15.05.2012 r.

[2] Bractwo rycerskie reprezentujące Pomorze Zachodnie, a w szczególności rodzinne miasto Koszalin. Koszalińska Kompania Rycerska została zarejestrowana w 2003 r. Bractwo odtwarza historię, zachowania, ubiór, z jakimi noszono się w latach 1360-1460, zaś jego herbem jest czerwony gryf na srebrnym tle. Prowadzi aktywną działalność lokalną i bierze udział w inscenizacjach historycznych na terenie kraju, źródło: www.kkr.nsc.pl

W sobotni, majowy wieczór budynek Archiwum przy ulicy Marii Skłodowskiej-Curie zmienił się w tajemnicze „zamczysko", zawładnięte przez walecznych rycerzy, łuczników, piękne damy, kupców i rzemieślników. Wkraczających do grodu ostrzegały napisy: „Nie drażnić rycerzy", „Nie dotykać dam", w tle zaś widoczne były piękne rycerskie namioty i chorągwie. Otoczone palisadą wejście do „zamku" potęgowało nastrój, a widok herbu koszalińskiego przytwierdzonego do fortecy dodawał powagi. Uroczystego otwarcia festynu dokonała **Joanna Chojecka**, dyrektor Archiwum Państwowego w Koszalinie, wraz z „włodarzami grodu" oraz „następcami prawnymi" dawnych średniowiecznych burmistrzów, **Piotrem Jedlińskim**, Prezydentem Miasta Koszalina i **Przemysławem Krzyżanowskim**, ówczesnym zastępcą prezydenta miasta (obecnie w Ministerstwie Edukacji Narodowej w Warszawie – dop. red.). Po hucznych wystrzałach z artylerii Piotr Jedliński, przekazał na ręce **Bartłomieja „Gandalfa" Zielonki**, Mistrza Koszalińskiej Kompanii Rycerskiej, dwa nagie miecze, życząc, by służyły one koszalińskim rycerzom jak najdłużej i były używane zgodnie z kodeksem rycerskim, w imię honoru i ojczyzny. W ten sposób magiczna noc i „przygoda z historią" rozpoczęły się na dobre.

Pokazy walk rycerskich, pojedynki łucznicze, wystrzały z artylerii czy zakuwanie w dyby, to tylko niektóre z atrakcji, jakie czekały na odwiedzających. Jak na średniowieczny jarmark przystało było głośno i tłoczno. Publiczność miała okazję nie tylko nauczyć się tańców dworskich i plebejskich czy zwiedzić wystawę uzbrojenia średniowiecznego, ale także zajrzeć do tajemniczych komnat „zamku" Archiwum, w którym gości oczekiwali już odziani w średniowieczne stroje koszalińscy archiwiści. Zainteresowani zwiedzali magazyny archiwalne, pracownię naukową, wystawę najciekawszych dokumentów z zasobu Archiwum oraz wystawę kopii dokumentów

Castrum Cussalin szeroko rozwartymi wrotami zapraszało do podróży w czasie. fot. archiwum AP

źródłowych z Archiwum Krajowego w Greifswaldzie, „średniowieczni metrykanci" zaś chętnie i wyczerpująco dzielili się swoją historyczną wiedzą, oprowadzając po komnatach „zamku".

Dla najmłodszych zaplanowano gry i zabawy pochodzące z okresu średniowiecza, zaś umiejętności rzemieślnicze pokazał i poczęstunek w postaci średniowiecznych podpłomyków zapewnił **Adam Bryl**[3], zwany Wojem Borkiem. Pracownicy Archiwum, ubrani w średniowieczne szaty, z dumą przechadzali się zapraszając gości do udziału we wspólnej lekcji historii i częstując słodkościami. Bogaty program imprezy i piękna pogoda sprawiły, iż „Castrum Cussalin" rozbrzmiewał śmiechem, a mieszkańcy mogli spędzić czas przyjemnie i pożytecznie, poznając historię w różnorodnej formie, także słuchając prelekcji na temat historii Pomorza Zachodniego. Wykłady rozpoczęła księżna pomorska Zofia, matka księcia Bogusława X, w rolę której w tym dniu wcieliła się dyr. **Joanna Chojecka**. Księżna przyodziana była w stylową, nawiązującą do epoki historycznej, bordową aksamitną suknię z bogatymi złoceniami, głowę jej zaś ozdabiał lśniący diadem. W tajemniczy klimat wprowadzał także odwiedzających sam książę Bogusław X, w którego wcielił się dr **Bronisław Nowak**, historyk z Akademii Pomorskiej w Słupsku, a zarazem rycerz bractwa i członek Fundacji Pamięci Gryfitów *Pro Ducatu Stolpensi*. Zainteresowani dziejami Koszalina mogli posłuchać opowieści red. **Piotra Polechońskiego**, dziennikarza „Głosu Koszalińskiego", który z wielką pasją oraz zaangażowaniem popularyzuje dzieje Koszalina i regionu.

W przygotowanym na sześć godzin programie nadal atrakcji nie brakowało. Festyn trwał, a na dziedzińcu „zamku", mimo zmroku gromadziły się kolejne tłumy zainteresowanych, oczekujących z niecierpliwością na kolejne punkty programu.

W końcu wybiła godzina 22. Z lekkim zdenerwowaniem i niepewnością pracownicy Archiwum z dyrektorem na czele oczekiwali na pokaz mody średniowiecznej, rzecz jasna z własnym udziałem. Koszalińska Kompania Rycerska mobilizowała także swoje szeregi, by wspomóc archiwistów w tym przedsięwzięciu. Trzeba przyznać, że nie lada było to wyzwanie. Od archiwisty, na co dzień, do modela na wybiegu jest dość... daleka droga. Z podniesionymi do góry głowami, z obawą, ale i nadzieją na dobrą zabawę pracownicy koszalińskiego Archiwum wykonali zadanie, otrzymując gromkie brawa i owacje, a także słowa uznania i zachęty do nie ustawania w takim opowiadaniu o historii. Uśmiechy nie schodziły z twarzy gości i gospodarzy, bo taki widok w archiwach państwowych jest dość rzadki. To

Rycerz i... mała dama. fot. archiwum AP

[3] Woj Bork, zwany Panem na Brylowie, twórca osady średniowiecznej w Borkowie, gmina Malechowo, źródło: www.borkowo.info.pl

jednak nie był koniec prezentacji możliwości koszalińskich archiwistów. Skoro „strażnicy historii" pomagają innym odkrywać historię, to tym większą ma ona wartość, gdy choć po części można ją przenieść w czasy obecne.

Światła reflektorów zgasły i rozpoczął się główny punkt programu, jakim była inscenizacja historyczna „Książę Bogusław X w niewoli koszalińskiej", przygotowana według scenariusza Joanny Chojeckiej. Uzbrojona w wałki, tłuczki, młotki, kije i grabie załoga „zamku" Archiwum (w większości reprezentowana przez płeć piękną) ruszyła na rozgniewanych i rozjuszonych rycerzy. W tle było słychać nie tylko odgłosy walki, ale także głosy lamentujących kobiet pomstujących na grabieżców. Każdy walczył jak umiał, widok „archiwalnych dam" siłujących się z mężnymi rycerzami był niepowtarzalny, a bitwa, choć „krwawa", bardzo malownicza. Z dumą można powiedzieć, że cel został osiągnięty, mimo strat w postaci nadszarpniętych strun głosowych i połamanych wałków. To jednak wciąż nie był jeszcze koniec wieczoru.

Na dziedzińcu było już ciemno, a magiczny nastrój udzielał się wszystkim. W skupieniu oczekiwano na ostatni punkt programu, żywiołowy pokaz tańca z ogniem, czyli *fireshow* w wykonaniu koszalińskiej grupy „Samhain". Było to niezwykłe widowisko. Z ciemności wyłaniały się postacie żonglujące ogniem, połykające i plujące płomieniami, które wraz z nastrojową muzyką tworzyły bajkową i niepowtarzalną atmosferę. Na tym zakończyła się druga Noc Muzeów w Archiwum Państwowym w Koszalinie.

Jak na archiwistów przystało, wszystko zostało udokumentowane. W trakcie trwania festynu koszalińskiemu Archiwum towarzyszyły zaprzyjaźnione media, dzięki którym m.in. powstały liczne artykuły prasowe oraz relacje filmowe z tego wydarzenia. Materiały wideo z Nocy Muzeów w koszalińskim Archiwum można obejrzeć zarówno na stronie www. koszalin.ap.gov.

W Noc Muzeów i archiwiści przybrali średniowieczne szaty. fot. archiwum AP

pl, jak i za pośrednictwem serwisu internetowego YouTube. Dzięki lokalnej telewizji „MAX" w Koszalinie oraz HD Studio Koszalin utrwalone zostały chwile niepowtarzalne i wyjątkowe, które pozostaną świadectwem tych niezwykłych, a związanych z historią wydarzeń.

Festyn średniowieczny zorganizowany w koszalińskim Archiwum w ramach Europejskiej Nocy Muzeów okazał się bardzo udanym pomysłem. Dzięki dobrej organizacji, oryginalnej formie oraz dużej ilości atrakcji, jakie udało się zapewnić, można powiedzieć, że odniesiono „zwycięstwo". Przez te parę godzin Archiwum Państwowe w Koszalinie odwiedziło ponad 2000 osób, ludzi w różnym wieku, pragnących w dobrej atmosferze wspólnie poznawać czasy średniowiecza poprzez zabawy i kontakt z żywą historią, opartą na źródłach archiwalnych. Z pewnością wydarzenia tej Nocy pozostaną wszystkim uczestnikom w pamięci, najmłodszym pozwolą inaczej spojrzeć na lekcje historii, a starszym pokażą, że Archiwum to instytucja wychodząca naprzeciw lokalnej społeczności, pełna nowych możliwości, rozwijająca się z duchem czasu, łamiąca stereotypy i sięgająca po nowe formy popularyzatorskie. Europejska Noc Muzeów nie tylko inspiruje do nowatorskich działań, ale doskonale pokazuje, że niezależnie od typu i charakteru instytucji włączających się w ten projekt, najważniejszy jest wspólny cel – poznawać kulturę i historię w różnych jej odsłonach, bo w rozmowie o kulturze i historii można, a czasem nawet trzeba, pięknie się różnić.

Program EUROPEJSKIEJ NOCY MUZEÓW w Koszalinie pokazuje, że pomysł realizują nie tylko duże instytucje kultury z samej już nazwy predestynowane do udziału w tym przedsięwzięciu, ale także małe muzea i galerie. W roku 2012 ten udział był zaskakująco (pozytywnie) gremialny. Potwierdza to program koszalińskiej Nocy Muzeów, której program prezentuje-

Noc Muzeów w Archiwum Państwowym, czyli wywoływanie duchów ze starych dokumentów. fot. archiwum AP

my poniżej. Autobusy MZK zapewniły tłumnie korzystającym z oferty Nocy Muzeów koszalinianom bezpłatne docieranie do wszystkich miejsc zapraszających w swoje tak gościnne w tym czasie gościnne progi.

Muzeum w Koszalinie

Wnętrza, dziedziniec i okolice muzeum
„Zwiedzanie z kustoszem"; „Księgarnia za pół ceny"; „Historia i sztuka za złotówkę"; „Targ Młyński"
Giełda kolekcjonerska
„Katedra nocą" – zwiedzanie kościoła katedralnego

ESTRADA NA DZIEDZIŃCU

„Nieznośne Słoniątko" – spektakl Państwowego Teatru Lalki „Tęcza"
pokaz Pracowni Projektowania Ubioru i Tkaniny Instytutu Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej
koncert Mini Studia Poezji i Piosenki CK 105, piosenki ze spektaklu BTD „Jesteśmy na wczasach, czyli polska miłość", koncert zespołu „White Room"

Archiwum Państwowe

„Castrum Cussalin, czyli w średniowiecznym Koszalinie"

a także:

Instytut Pamięci Narodowej Delegatura w Koszalinie
Muzeum Wody
Muzeum Aut Zabytkowych w hotelu „Verde"
Sala Tradycji Polskich Formacji Granicznych, ul. J. Piłsudskiego 92
Galeria Na Piętrze
Galeria Scena – Koszalińska Biblioteka Publiczna
Galeria Zbigniewa Murzyna,
Lokomotywownia Koszalińskiej Kolei Wąskotorowej
Radio Koszalin
Muzeum 8 Dywizji Obrony Wybrzeża
Komisariat II Policji w Koszalinie
Muzeum Obrony Przeciwlotniczej
Bałtycka Galeria Sztuki w CK 105
spotkanie z Katarzyną Gerlaczyńską
Galeria Szatnia – Zespół Szkół Plastycznych

Joanna Szczepanik

Duża kultura z małych ośrodków

W lutym ubiegłego roku koszalińska Fundacja Moje Archiwum zorganizowała sympozjum poświęcone „Kulturotwórczej roli małych ośrodków". Partnerem i gospodarzem wydarzenia był Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Kaliszu Pomorskim. Moją rolą, jako osoby współpracującej z Fundacją przy tym projekcie, była koordynacja merytoryczna spotkania.

Do przygotowania sympozjum poświęconego wspominanej tematyce zainspirował organizatorów szereg refleksji dotyczących funkcjonowania kultury w małych ośrodkach, zarówno w kontekście instytucjonalnym (muzea, domy kultury, teatry, fundacje) jak i terytorialnym, bowiem to właśnie one, małe ośrodki miejskie stanowią najliczniejszą grupę miast w Polsce. Refleksji tej towarzyszyły pytania: czy mogą one być źródłem promieniowania kultury? Jaka jest jakość proponowanej przez nie oferty? Czy można ocenić ich wpływ na daną społeczność? Jaki jest zakres ich oddziaływania na poziomie lokalnym, regionalnym i krajowym? W jaki sposób kultura dociera do odbiorców, gdzie ich spotyka i na ile uczestnictwo w niej ich angażuje? Dzięki gotowości zaproszonych prele-

Sympoziujm w Kaliszu Pomorskim otworzyli Tomasz Bukowski- dyrektor MGOK-u w Kaliszu Pomorskim i Andrzej Ciesielski.

fot. Fundacja Moje Archiwum

gentów do podzielenia się własnym doświadczeniem, wspólnie zdołaliśmy przenieść ciężar dyskusji z obszaru teorii na sferę praktycznych działań i konkretnych problemów, z jakimi mierzą się dziś organizatorzy kultury w Polsce.

Z pewnością nie bez znaczenia dla przebiegu sympozjum były warunki, w jakich się ono odbywało. Pałac Wedlów, siedziba MGOK w Kaliszu Pomorskim, jest obiektem wyjątkowym, tak ze względu na swoją historię, jak i na stan obecny. Uczestnicy sympozjum z dużym uznaniem wyrażali się zarówno o infrastrukturze MGOK, jak i o jego bogatej ofercie.

Cykl prezentacji w ramach sympozjum rozpoczął wiceprezes Fundacji Moje Archiwum **Jan Ciesielski**, który przedstawił jej charakter, działalność i ważniejsze wydarzenia.

W dalszej części, w ramach wykładu wprowadzającego do tematyki sympozjum, omówiłam problematykę, która obejmowała m.in. rolę i poszczególne zadania instytucji kultury czy kwestie mecenatu. Szczególna uwaga została zwrócona na działalność Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego i Narodowe Centrum Kultury, a w szczególności program Dom Kultury+, którego beneficjentem jest gospodarz spotkania. Wspomniałam także o innym z programów MKiDN, „Obserwatorium Kultury", by w dalszej części sympozjum zaprezentować badania ilustrujące jego praktyczne zastosowanie. Omówiłam także relacje pomiędzy terytorialnym zróżnicowaniem bazy instytucji a zakresem możliwości uczestnictwa w kulturze i przedstawiłam analizę działalności instytucji kultury w społeczności lokalnej w aspekcie terytorialnym. Wynika z niej, iż aktywność organizacyjna członków danej wspólnoty wpływa na poziom spójności społecznej, a także mobilizuje działania obywatelskie i przeciwdziała zjawiskom wykluczenia i dyskryminacji. W podsumowaniu części wprowadzającej odniosłam się do raportu[1], który wskazuje na zmiany w obszarze instytucji kultury w ostatnich dwóch dekadach, szczególną wagę przywiązując do konieczności „usieciowienia" współpracy między podmiotami. Jak się później okazało, to właśnie temat „sieci" stał się motywem przewodnim popołudniowej dyskusji panelowej i całego sympozjum.

Następnie **Tomasz Bukowski**, dyrektor MGOK-u w Kaliszu Pomorskim, uzupełnił naszą wiedzę dotyczącą funkcjonowania ośrodka, kładąc nacisk na działalność sieci świetlic wiejskich, które mu podlegają. **Paweł Pawłowski**, dyrektor Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu, zaprezentował działalność kierowanej przez siebie instytucji koncentrując się na tytułowym aspekcie swojego wystąpienia: „Muzeum w przestrzeni społecznej". **Daniel Jacewicz**, reżyser i prezes Stowarzyszenia Edukacyjno-Społeczno- Kulturalnego Teatr Brama w prezentacji „Od teatru do Stowarzyszenia" zapoznał uczestników z problemem funkcjonowania instytucji niezależnych. **Marek Sztark**, Prezes Zarządu Towarzystwa Wspierania Rozwoju Pomorza Zachodniego Szczecin EXPO, reprezentujący Forum Kraków i Zachodniopomorskie Forum Kultury, przedstawił aktualny stan ogólnopolskiej debaty na temat funkcjonowania kultury, akcentując aspekt „sieciowania" instytucji. Tę część spotkania zakończyłam prezentacją materiału otrzymanego z Regionalnego Obserwatorium Kultury – Centrum Badawczego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, ukazującego badanie stanu kultury w praktyce oraz przykłady partycypacyjnego modelu zarządzania kulturą.

Ze względu na charakter sympozjum, w wystąpieniach zaproszonych przez nas gości szczególnie istotne były aspekty praktycznego funkcjonowania ośrodka, czyli jego cha-

[1] *Raport o stanie i zróżnicowaniach kultury miejskiej.* Dostępny w Internecie: http://www.kongreskultury.pl/title,Raporty_o_stanie_i_zroznicowaniach_kultury_miejskiej,pid,136,oid,787,cid,172.html.

rakterystyka, sposoby finansowania działalności, mechanizmy funkcjonowania oraz inicjatywy szczególne, wyjątkowe. Wśród określonych wstępnie obszarów do dyskusji, znalazły się: różnorodność i jakość oferty kulturalnej, zasięg oddziaływania, odbiór działań w przestrzeni społecznej oraz zjawiska wspierające bądź hamujące aktywność instytucji. Obszary te, jak również kwestia „usieciowienia", stanowiły także trzon podsumowującej części sympozjum, dyskusji panelowej, w której udział wzięli wspomniani już: Tomasz Bukowski, Jan Ciesielski, Daniel Jacewicz, Paweł Pawłowski i Marek Sztark a także **Andrzej Ciesielski** – prezes Fundacji Moje Archiwum, **Jerzy Dudź** – dyrektor Muzeum Regionalnego w Szczecinku, **Malwina Markiewicz** – specjalista ds. marketingu i promocji Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu, **Aneta Olszacka**- zastępca dyrektora MGOK w Kaliszu Pomorskim, **Zdzisław Pacholski** – artysta fotografik z Koszalina, pisząca te słowa **Joanna Szczepanik**- moderatorka i koordynatorka programowa sympozjum oraz **Stanisław Wolski** – artysta plastyk z Drawska Pomorskiego.

Obecność przedstawicieli samorządu **Kalisza Pomorskiego –** przewodniczącej Rady Miejskiej **Renaty Effenberg-Nawrot** oraz burmistrza **Michała Hypki** podczas części przedpołudniowej, stała się pretekstem do refleksji na temat wsparcia władz (bądź jego braku), dla działalności ośrodków kultury. Podkreślona została rola dobrych relacji instytucji kultury z jej organizatorem**,** opierających się na profesjonalnym zaangażowaniu obu stron w ramach zadań właściwych dla każdej z nich. Jak efektywnie współpracować z władzami miasta? Zdaniem Tomasza Bukowskiego najistotniejszą kwestią jest przedstawienie przekonującej propozycji i oryginalnej idei w ramach działania *pro publico bono*, której realizacja miałaby szansę stworzyć markę miasta, przynosząc obopólne korzyści. Sformułowanie Tomasza Bukowskiego, iż prowadzony przez niego ośrodek kultury „nie jest czynny, tylko otwarty" wydało się szczególnie trafne w kontekście organizacji świetlic wiejskich. W jego opinii wymaganie zaangażowania i własnej inicjatywy od organizatorów poszczególnych oddziałów (świetlic) w połączeniu z życzliwym podejściem ze strony dyrekcji, daje pożądane rezultaty. Jeśli chodzi o przyjęty przez ośrodek model funkcjonowania- pracę projektami, podkreślił on znaczenie udziału w spotkaniach organizowanych przez CAL [Stowarzyszenie Centrum Wspierania Aktywności Lokalnej]. **Aneta Olszacka** dodała, iż istotna poprawa funkcjonowania świetlic dokonała się po zmianie systemu zatrudnienia pracowników, z interwencyjnego na etatowy. Podkreśliła także wielość zmian dokonanych w funkcjonowaniu ośrodka, związanych zarówno z uczestnictwem w propozycjach CAL-u, jak i w programie sieciowym Dom Kultury +, podkreślając jednocześnie iż podstawową rolą instytucji kultury w małych ośrodkach jest zapewnienie nieustannego ruchu idei i projektów.

W opinii Zdzisława Pacholskiego małe ośrodki przeszły ogromną metamorfozę w ostatnich dwóch dekadach, w wielu przypadkach uwalniając się od dawnych, „feudalnych" struktur. Obserwuje w nich obecność zdrowej aspiracji do uczestnictwa w głównym nurcie kultury, czego często brak w większych ośrodkach. Za najważniejszą rewolucję na polu działalności kulturalnej uznał projekty celowe, które przełamują nawyk biernego oczekiwania na wsparcie finansowe. Zwrócił on również uwagę na słabą politykę informacyjną i małe zainteresowanie mediów wydarzeniami związanymi z działalnością w sferze kultury.

We wcześniejszej prezentacji Pawła Pawłowskiego szczególną uwagę zwróciły dwa aspekty: imponująca skuteczność w materii pozyskiwania funduszy oraz szeroki wachlarz działań, wykraczający poza obszar wojskowości, historii miasta i jego związku z morzem. Odnosząc się do powyższych spostrzeżeń Paweł Pawłowski podkreślił konieczność otwartości i nawiązywania kontaktów z różnymi podmiotami, które często wyrażają chęć wspierania działań statutowych muzeum. Zwrócił także uwagę

na fakt, iż Muzeum w Kołobrzegu, będąc również muzeum miejskim, realizuje także zadania wynikające z Ustawy o Muzeach [Art. 2 Pkt.7a, ustawa o Muzeach z dnia 21 listopada 1996 roku] zdefiniowane jako *popieranie i prowadzenie działalności artystycznej i upowszechniającej kulturę*. Zwrócił także uwagę na kwestię zbudowania dobrego zespołu pracowników, a także podkreślił jak ważny jest szacunek dla przeszłości i wierność idei muzeum oraz pamięć o tych, którzy zbudowali zręby placówki. Malwina Markiewicz dodała, iż często mecenasami instytucji stają się prywatne podmioty działające w obszarze turystki i hotelarstwa. Relacje takie budowane są z obopólną korzyścią – finansową dla muzeum i prestiżową dla prywatnych przedsiębiorców.

Skomplikowane losy Teatru Brama, przedstawione prze Daniela Jacewicza, stanowiły inspirację do pogłębionej refleksji na temat procesu przyswajania wiedzy niezbędnej dla zapewnienia ciągłości i dynamiki działalności niezależnej instytucji kultury, jaką jest teatr alternatywny. Jakie są pozytywne, a jakie negatywne strony działania w stowarzyszeniu, obszarze trzeciego sektora? Zdaniem Daniela Jacewicza trudność funkcjonowania w formie stowarzyszenia polega zarówno na konieczności stworzenia struktury administracyjnej, jak i często spotkanej sytuacji przekazywania funduszy z grantów i projektów dopiero po ich zakończeniu, co generuje problemy związane płynnością budżetową. Zwrócił on także uwagę na status artystów alternatywnych, których zrzeszaniu się powinna towarzyszyć postać „urzędnika", elementu wspierającego działanie od strony administracyjnej. Uwaga ta skierowała dyskusję na temat potrzeby godzenia kompetencji artysty i menadżera.

Jan Ciesielski zwrócił uwagę na konieczność samookreślenia się artystów prowadzących stowarzyszenia, zaznaczając jednak, że wiedza i zdobyte przez lata kompetencje mogą uczynić z artysty menadżera. Marek Sztark stwierdził, iż obecny brak menadżerów kultury spo-

Sympozjum było okazją spotkania się artystów i urzędników. fot. Fundacja Moje Archiwum

wodowany jest brakiem rynku, który jak do tej pory się nie wykształcił, choć sytuacja ta powoli ulega zmianie. Zaakcentował także fakt funkcjonowania firm zewnętrznych, kompleksowo i profesjonalnie obsługujących każdy rodzaj projektów. Tomasz Bukowski wskazał „usieciowienie" jako kierunek optymalny także dla menadżerów kultury, a Jan Ciesielski podkreślił, iż funkcjonowanie w sieci umożliwiłoby bezpieczne korzystanie z profesjonalnej obsługi firm zewnętrznych polecanych sobie wzajemnie. Dyskusję dotyczącą kompetencji artysty, menadżera i kreatora kultury Paweł Pawłowski przeniósł w obszar zadań związanych z prowadzeniem placówki muzealnej, wskazując na funkcjonowanie różnych stylów zarządzania.

Dalszy tok dyskusji prowadzący do zagadnień dotyczących współpracy i łączenia potencjałów poszczególnych ośrodków podległych jednemu organizatorowi, skłonił Jerzego Dudzia do refleksji, iż w sytuacji, w której każdy organizm samorządowy jest jednostką samodzielną, odczuwalny jest brak autorytatywnego wsparcia dla szefów instytucji kultury w postaci oficjalnego podmiotu służącego w razie wątpliwości fachową pomocą. Wyraził on także przekonanie, iż obecnie taką rolę wspierającą mogłyby pełnić sieci skupiające animatorów kultury. Współpraca taka przyniosłaby również korzyści ekonomiczne. Tu pozwoliłam sobie przypomnieć prezentowane wcześniej wnioski prof. **Barbary Fatygi** dotyczące konieczności współpracy ośrodków o podobnym profilu, między innymi także w celu uniknięcia dublowania swoich działań oraz minimalizowania kosztów organizacji poszczególnych wydarzeń.

Odnosząc się do wcześniejszego wystąpienia Marka Sztarka, zwróciłam uwagę na dwa aspekty. Pierwszym był nasuwający się wniosek o zachodzącej właśnie zmianie w sferze kultury. W jej kontekście przypomniałam o kluczowych wydarzeniach ostatnich lat, wyodrębnionych przez autora wystąpienia: Kongresie Kultury Polskiej, który odbył się w dwudzie-

Sympozjum. fot. Fundacja Moje Archiwum

stolecie transformacji, zainicjowaniu programu MKiDN skupiającego małe ośrodki w roku 2010, jak również o charakterystycznej dla roku 2011 obfitości regionalnych kongresów kultury i podobnych inicjatyw. Drugim aspektem było towarzyszące tym inicjatywom odniesienie się do modelu partycypacyjnego uczestnictwa w kulturze.

Ponieważ w trakcie dyskusji znaczna większość podejmowanych wątków prowadziła do zagadnienia „usieciowienia", zaproponowałam zakończyć ją pytaniem o to, czy w ogóle możliwe będzie funkcjonowanie kultury poza siecią?

Zdaniem Tomasza Bukowskiego być może pytanie to dotyczy nawet przetrwania instytucji kultury w obecnej formie, a wspomniana zmiana może odbywać się na poziomie tworzenia się stowarzyszeń i funkcjonowania ośrodków kultury. Marek Sztark zauważył, iż mamy tu do czynienia z rewolucją w sferze kultury politycznej. Zachodzące przemiany prowadzą ku demokracji uczestniczącej, a dialog społeczny, o który walczą obywatele, stał się czymś niezwykle potrzebnym. Uważa on, iż będziemy mieli do czynienia z poważnymi zmianami, również w sposobie rozumienia kultury. Do tej pory istniało wiele jej definicji, lecz kolektywne wyobrażenie zaczyna powoli być przedmiotem dyskusji i pojawia się refleksja dotycząca zmiany tej sfery dla wspólnego dobra. Funkcjonowanie w sieci wydaje się być oczywistym kierunkiem tych zmian.

Zderzenie wizji organizatorów sympozjum z doświadczeniami zaproszonych gości i uczestników oraz chęć poddania pod dyskusję własnych, uważnych refleksji dotyczących kulturotwórczej roli małych ośrodków, doprowadziła nas do sfery zagadnień gorąco dyskutowanych także na spotkaniach ogólnopolskich. Rozmawiać z pewnością warto, bo to przecież pierwszy krok, by teorię skonfrontować z praktyką na własnym gruncie.

Sympozjum „Kulturotwórcza rola małych ośrodków" odbyło się 25.02.2012 roku w Pałacu Wedlów, siedzibie Miejsko-Gminnego Ośrodka Kultury w Kaliszu Pomorskim. Organizator: Fundacja Moje Archiwum z Koszalina, współorganizator: MGOK Kalisz Pomorski.

POŻEGNANIA I WSPOMNIENIA

Jan Kowalczyk (1931-2012)

Kiedy w ubiegłym roku przeczytałem w prasie o śmierci Pana Janka, nie mogło mnie zabraknąć na pogrzebie, który zgromadził pokaźną rzeszę Jego przyjaciół. Wśród nich poza rodziną byli chórzyści z przeróżnych zespołów śpiewaczych, koledzy muzycy z kapel ludowych, byli wychowankowie ze szkół i placówek kulturalnych, przedstawiciele władz i po prostu znajomi, którzy pałali sympatią do Pana Janka, a On naprawdę dał się lubić.

Przeżył 81 lat; od 1951 roku mieszkał w Koszalinie, a ostatnie lata spędził w Mielnie. W większości oficjalnych materiałów czytamy, że był przez ponad 10 lat szefem chóru i kapeli przy Rozgłośni Polskiego Radia w Koszalinie, prowadził wiele chórów i kapel w Koszalinie i regionie, był zapraszany jako ceniony konsultant muzyczny do zespołów śpiewaczych w Niemczech, był jednym z twórców Światowego Festiwalu Chórów Polonijnych, lubianym i cenionym pedagogiem w koszalińskich liceach – ogólnokształcących i pedagogicznym, instruktorem muzycznym w domach kultury. Przede wszystkim był jednak piewcą Ziemi Koszalińskiej, twórcą najbardziej znanym obok **Władysława Turowskiego**.

Wśród prawie dwustu piosenek Jego autorstwa znajdziemy prawdziwe perły, które, gdyby w swoim czasie doczekały się właściwej promocji, stałyby się bez wątpienia przebojami nie tylko regionalnymi, ale ogólnopolskimi. Najbardziej atrakcyjną pozostaje *Deszcz,* znany wielu koszalinianom z chwytliwej melodii ze wspaniałym refrenem i charakterystycznym akordem zwiększonym w jego końcówce. Ale pozostaną też *Koszalińskie poranki, Pociąg* czy *Moje miasto.* Do dnia dzisiejszego potrafię je zaśpiewać w całości. Do stworzonych przez bohatera tych wspomnień większych form, należy muzyka do widowiska rybackiego *Jantarowy kwiat* do tekstu koszalińskiego poety **Henryka Liwora-Piotrowskiego** oraz *Wesele Jamneńskie.* To ostatnie dzieło, stworzone w oparciu o pracę etnograficzną profesora **Józefa Burszty**, dało tytuł jedynej płycie kompaktowej, nagranej w PR Koszalin z okazji 45-lecia pracy twórczej Jubilata. Na płycie z muzyką Jana Kowalczyka do tekstów m.in. **Ryszarda Ulickiego**, **Alicji Krzewskiej**, **Edwarda Kupiszewskiego**, **Tadeusza Sokoła**, aranżacji dokonali: **Jarosław Barów**, **Andrzej Januszkiewicz, Marek Bohuszewicz, Lucjan Kowalczyk** a także niżej podpisany **Zbigniew Dubiella.** Niektóre z utworów z tejże płyty można posłuchać w postaci wiązanki ilustrowanej fotografiami Koszalina na popularnej witrynie You Tube.

Moje osobiste kontakty z Panem Janem zaczęły się w latach 60. w II Liceum Ogólnokształcącym im. Władysława Broniewskiego, gdzie prowadził chór szkolny oraz uczył gry na gitarze. Nie zapomnę chwili, gdy Pan Janek został przyprowadzony do naszej klasy przez dyrektora szkoły celem wybrania młodzieży do powstającego chóru. Zaimponował nośnym tenorem i ujmującą serdecznością. Do śpiewu akompaniował sobie na gitarze klasycznej z metalowymi strunami, którą wyciągał z zielonego pokrowca. Kształcił się wcześniej jako skrzypek, a na gitarze był właściwie samoukiem. Jego gra polegała nie tylko na podkładaniu akordów do piosenek. Potrafił zagrać przebiegi gamowe kostką w doprawdy szybkich tempach. Te zagrywki robiły spore wrażenie na młodych adeptach instrumentu, który z racji popularności muzyki zwanej wtedy big-beatem, stawał się bardzo popularny. Stąd też na zajęcia zgłosiło

się wielu chętnych, wśród nich niżej podpisany. Zajęcia były zbiorowe, a Pan Janek poza swoimi suitami czy poleczkami często zapisywał nam w nutach aktualne przeboje w postaci prymek z akordami. Były to na przykład hity polskie i zagraniczne typu: *Walentyna twist, Charleston, Red River Valley* czy *Ghost Riders in the sky*. Niesamowite było dla nas to, iż nasz mentor zapisywał te nuty od razu na tablicy, ze słuchu, nie trzymając w rękach instrumentu. Do najzdolniejszych uczniów należał **Arkadiusz Halicki**. Z kolei w chórze szkolnym śpiewaliśmy między innymi kompozycje naszego lubianego przez wszystkich Dyrygenta. Mimo miłej atmosfery czasami potrafiliśmy zdenerwować Pana Jana. Pamiętam, iż na jednej z prób rzucił gitarę na materac i wyszedł za kulisy. Zrobiła się dość nieprzyjemna cisza, a po chwili Dyrygent wrócił, przeprosił za uniesienie i próba potoczyła się już z większą dyscypliną.

Sporo Janowi Kowalczykowi zawdzięczają też muzycy z zespołu „Akanty" z Technikum Budowlanego i z Młodzieżowego Domu Kultury, który mieścił się wtedy przy ul. Grottgera. Wiodącym gitarzystą i wokalistą był w tamtejszym zespole znany później aktor **Andrzej Wasilewicz** (*Kochaj albo rzuć*). Wśród wychowanków Jana Kowalczyka było zresztą wielu później znanych ludzi w dziedzinie kultury, polityki i władz samorządowych. Z okazji 80-lecia urodzin Pan Jan obchodził jubileusz na scenie CK105 w Koszalinie. Zaprosił wielu gości, wśród nich zespoły i kapele które wcześniej prowadził bądź dawał konsultacje. Pamiętał też o gitarzystach. Zaprosił mnie oraz **Marka Dziedzica** – znakomitego gitarzystę, z którym wielokrotnie współpracował. Wspólnie zagraliśmy i zaśpiewaliśmy. Rok później nie było już Go wśród nas. Pozostanie w naszej pamięci jako muzyk, którego nie trzeba było długo prosić, by coś zagrał czy zaśpiewał. On to kochał! Kochał muzykowanie i folklor polski ze szczególnym uwzględnieniem jamneńskiego i kaszubskiego. Pozostały jego melodyjne i z reguły optymistyczne, wesołe piosenki.

Zbigniew Dubiella

Roman Lis (1953-2012)

Pochodził z Trójmiasta. Jak sam o sobie mówił, był najmłodszym szefem Amatorskiego Klubu Filmowego. Pierwsze laury zdobywał jako operator i reżyser filmów kręconych amatorską szesnastką, – ale z pełnym dźwiękiem – *Czyste szaleństwo!* – śmiał się. Na początku zatem i... na końcu był obraz. Bo najpierw były studia w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej, Filmowej i Telewizyjnej w Łodzi. Pierwszym Jego mistrzem aktorstwa był Jan Machulski, a pierwszą dużą rolą – Gospodarz w dyplomowym „Weselu" Stanisława Wyspiańskiego (1979 r.). Po spektaklu sam wielki Tadeusz Łomnicki wyznał Romanowi, że chciałby Go widzieć w zespole prowadzonego przez siebie Teatru na Woli.

Przez rok jeszcze Roman Lis pozostał w Łodzi, aby jego żona, Lucyna mogła ukończyć studia pianistyczne w tamtejszej Akademii Muzycznej. W tym czasie nawiązał współpracę w łódzką rozgłośnią Polskiego Radia. W 1980 roku oboje

zdecydowali się na zarobkowy wyjazd do Hamburga. Kiedy byli już spakowani pojawiła się propozycja dużej roki filmowej, ale planów nie zmienili. Po roku wracali do Polski; mieli osiąść w rodzinnym Gdańsku, gdzie na sezon 1981/82 Roman miał obiecany etat w Teatrze Wybrzeże, prowadzonym wówczas przez Stanisława Hebanowskiego. Legendarny Stulek uczynił gdańską scenę jedną z ciekawszych pośród repertuarowych teatrów w ówczesnej Polsce.

W okolicach nieistniejącego już zajazdu „Hubertus" zepsuł się ich samochód. Skorzystali z gościnności mieszkającego niedaleko szwagra. Przygoda zakończyła się w Koszalinie – Roman Lis podjął pracę w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym, Lucyna – w Szkole Muzycznej. *To nie ja wybrałem* – mówił mi w roku 1999, kiedy spotkaliśmy się, aby z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru porozmawiać o Jego aktorstwie. Aktorstwie, które wówczas już było sprawą przeszłą, a Roman był jednym z bohaterów większego materiału poświęconego ludziom, którzy starali się dowieść, że *bez tej miłości* – czyli bez teatru – *można żyć*. Koszalin spodobał się młodym ludziom, szukającym swego miejsca na świecie. Do BTD Romana Lisa przyjął Krzysztof Rotnicki, podejmując w ten sposób jedną z lepszych decyzji personalnych.

Jako jedną z pierwszych ról w BTD Roman Lis wspominał Petrucchia w „Poskromieniu złośnicy" (w roli nieznośnej Kasi wystąpiła Teresa Czarnecka-Kostecka) To był rok 1982. W czerwcu 1983 roku pierwszy koszaliński sezon Roman Lis kończył rolą Jima w „Szklanej menażerii" Tennesee Williamsa. Razem z partnerująca Mu w roli Laury Ewą Jabłońską stworzyli urokliwą i wzruszającą parę młodych nadwrażliwców. W 1984 r. w BTD został wystawiony musical „The Fantasticks" wg komedii Edmunda Rostanda „Romantyczni", w reżyserii Wojciecha Kępczyńskiego, dziś prowadzącego najgłośniejszy i najmodniejszy teatr muzyczny w Polsce – warszawską „Romę". Jako Matt w „The Fantasticks" Roman śpiewał i tańczył i choć w mojej pamięci spektakl utrwalił się jako nader skromna – głównie formalnie – próba spotkania z broadway'owską specjalnością, pokazał, że jest aktorem wszechstronnym. Że świetnie odnajduje się w repertuarze lekkim – muzycznym czy komediowym, także w grotesce – by wspomnieć „Tango" Mrożka, w którym zagrał Edka (1983 r.). Także wielki teatr romantyczny stal przed Nim otworem. Dowiódł tego jako Gustaw-Konrad w inscenizacji „Dziadów" przygotowanej przez Krzysztofa Rotnickiego na 30-lecie koszalińskiego teatru. Podczas słupskiego spektaklu (BTD miał wówczas dwie sceny) Wielka Improwizacja została nagrodzona stojącą owacją, co nie było wówczas – jak jest to często dziś – jedynie prowincjonalną manierą. Także rolę Kozaka Semenki w „Śnie srebrnym Salomei" (1987 r. reż. Adam Geissler) mógł Roman zapisać po stronie zysków w dorobku aktorskim, choć przedstawienie do udanych nie należało. Wysoko cenił sobie tytułową rolę w „Zapiskach Gaydena" Michaela Cooka (1986 r.). Ostatnią Jego rolą na scenie BTD był Albin w „Ślubach panieńskich", wystawionych w 1988 r. – *Już samo moje wejście na scenę wywoływało oklaski* – wspominał po latach nie bez satysfakcji.

Jego niespełnionym marzeniem była rola „Kordiana". Bliskie Mu były także postaci z „Operetki" Gombrowicza – hrabia Charme czy Fior. Dla tych ról powróciłby na scenę, kiedy już zarzucił aktorstwo. A właśnie kończyła się dyrekcja Andrzeja Marii Marczewskiego. Roman zdecydował się na odejście z teatru. Zanim otworzył własną pracownię fotografii reklamowej była jeszcze przygoda z nowo tworzoną w Koszalinie telewizją i kierowanie nowo powstałą tu redakcją.

Rezygnując z aktorstwa nie zrezygnował z teatru. Bywał nie tylko na premierach BTD, ale po przyjacielsku interesował się także spektaklami Teatru Propozycji „Dialog" i teatru AKA, jakie pod obydwoma szyldami tworzyliśmy w tamtym czasie mój mąż Marek Kołowski i ja. Roman był wówczas jedynym magistrem sztuki aktorskiej, który życzliwie towarzyszył zmaganiom amatorów. Po latach powiedział: *My, zawodow-*

cy, możemy ze sobą porozmawiać, że to czy tamto się nie podobało, że ten czy tamten nie wie, po co wychodzi na scenę (...) Ale wiem, ile to wymaga pracy, aby kurtyna mogła pójść w górę. Dlatego jestem obserwatorem. O nowej profesji fotografika powiadał, że jest równie trudna, co aktorstwo*: im bardziej poznaje się jej sekrety, tym bardziej jest tajemnicza. To też jest sztuka, w której trzeba zdobywać coraz większe mistrzostwo*. Nie wiem, jak to jest z fotografią reklamową, wiem natomiast, że fotografia teatralna jest niezwykle trudna i w jej uprawianiu z powodzeniem a tak było w przypadku Romana – z pewnością pomagała Mu znajomość tajników nie tylko fotografii, ale także teatru i aktorstwa.

W roku 2005 raz podjął ostatnie aktorskie zadanie, biorąc udział w realizacji słuchowiska „Misterium na Święto Narodzenia Chrystusa Pana", które dla koszalińskiej Rozgłośni Polskiego Radia wyreżyserował Andrzej Rozhin. Kompletując obsadę nie miałam wątpliwości, że głos Romana świetnie zabrzmi na falach eteru. Bo też jak sam mówił: *bardzo żałuję, że nie kształciłem głosu. Straciłem największy talent, jakim Bozia mnie obdarowała. Lubię śpiewać i myślę, że mógłbym to robić...*

Małgorzata Kołowska
fot. Zdzisław Pacholski

Władysław Husejko (1952-2012)

Urodził się 24 października 1952 roku w Lubiatowie. Ukończył studia na Politechnice Koszalińskiej (w 1978 – na Wydziale Mechanicznym, w 2007 – na Wydziale Ekonomii i Zarządzania. Do 1990 był kierownikiem Ośrodka Elektronicznej Techniki Obliczeniowej PK, a w latach 2002-2006 zastępcą dyrektora Parku Naukowo-Technologicznego.

Był działaczem Unii Wolności, a potem Platformy Obywatelskiej. W latach 1990–1998 pełnił funkcję wiceprezydenta Koszalina. Pod koniec I kadencji koszalińskiego samorządu została opublikowana pierwsza strategia rozwoju Koszalina, przygotowana przez zespół pod Jego kierownictwem. W rządzie premiera Jerzego Buzka objął stanowisko wicewojewody koszalińskiego. Był radnym Rady Miejskiej w Koszalinie (1994–1998 i 2002–2006). W 1998 wybrany na radnego wojewódzkiego, złożył mandat w związku z objęciem stanowiska wicewojewody zachodniopomorskiego. W wyborach 2006 roku został radnym wojewódzkim (sejmik zachodniopomorski), w grudniu 2006 powołany na stanowisko wicemarszałka województwa, a od kwietnia 2008 marszałka województwa. W wyborach lokalnych w 2010 roku został radnym Koszalina, wybranym następnie na przewodniczącego Rady Miejskiej. Był również dyrektorem koszalińskiego Biura Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Szczecinie. Współpracownicy wspominają Władysława Husejkę jako człowieka pogodnego, życzliwego, z poczuciem humoru i dystansem do świata, który daje wiedza i doświadczenie. – *Odszedł bardzo pracowity człowiek, który poświęcił miastu*

i regionowi znaczną część swojego życia zawodowego i osobistego. Odszedł urodzony, zaangażowany w sprawy miasta i mieszkańców samorządowiec – wspomina prezydent Piotr Jedliński. Zmagał się z ciężką chorobą, lecz mimo to walczył i nie poddawał się do końca. – *Z natury nie jestem fighterem, ale nie boję się wyzwań. Wręcz przeciwnie, inspirują mnie do działania* – napisał na swojej stronie internetowej.

Z wykształcenia technokrata jako samorządowiec sprzyjał sprawom koszalińskiej kultury, m.in. jako promotor budowy samodzielnej siedziby dla Filharmonii Koszalińskiej. Dzięki Jego poparciu jako marszałka województwa zachodniopomorskiego także Bałtycki Teatr Dramatyczny otrzymał fundusze na remont i modernizację swojej siedziby.

Zasługi Władysława Husejki były doceniane przez różne środowiska. Wśród najważniejszych Jego odznaczeń są: Medal za Zasługi dla Koszalina, przyznany w 2003 Srebrny Krzyż Zasługi i Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski jaki otrzymał w 2010 r.

GK24

Adam Muszyński(1932-2012)

Adam Muszyński przyszedł na świat 15 grudnia 1932 roku w Poznaniu, jako syn Kazimierza i Anny z domu Ciesielskiej. W stolicy Wielkopolski też spędził dzieciństwo i młodość, mieszkając w domu rodzinnym wybudowanym przez Ojca na Grunwaldzie, dzielnicy Poznania. Absolwent historii na Wydziale Filologiczno-Historycznym Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, pracę magisterską napisał pod kierunkiem prof. dr hab. Kazimierza Tymienieckiego. Kurs neografii gotyckiej w ramach studium podyplomowego na UMK ukończył u prof. dr hab. Karola Górskiego. Podjął także studia doktoranckie u prof. dr hab. S. Gierszewskiego, których jednak nie dokończył. Niemniej jego rozległa, wszechstronna wiedza historyczna i z zakresu nauk pomocniczych historii, biegłość w posługiwaniu się językami łacińskim i niemieckim, umiejętność odczytywania źródeł historycznych znajdowały uznanie nie tylko amatorów i miłośników historii, ale wzbudzały szacunek zawodowych historyków i archiwistów, wśród których miał także serdecznych przyjaciół.

Pan Adam Muszyńskim po swoich pierwszych doświadczeniach zawodowych (nauczyciel w Szkole Podstawowej w Elblągu 1955-1956, asystentura w Muzeum Okręgowym w Gorzowie Wielkopolskim 1956-1958) na stałe związał się z Pomorzem Zachodnim. Faktycznie współtworzył archiwa w Słupsku i Koszalinie – od listopada 1958 roku jako kierownik Oddziału Terenowego w Słupsku Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Szczecinie, od grudnia 1960 roku jako adiunkt naukowo badawczy, a następnie starszy kustosz archiwalny w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Koszalinie. Krótko – od września do grudnia 1978 roku – pełnił także obowiązki dyrektora koszalińskiego

AP. Do emerytury kierował Oddziałem I, statutowo zajmującego się opracowywaniem materiałów archiwalnych powstałych do 1945 roku. Dostojny wiek emerytalny Adam Muszyński osiągnął w 1997 roku. Nie przeszkodziło mu to nadal z niestrudzoną energią poświęcać się pracy archiwalnej i służyć swoją imponującą wiedzą oraz bezcennym doświadczeniem koleżankom i kolegom, dla których był – i dla wielu nadal jest – wielkim autorytetem.

Spod jego pióra wyszło wiele publikacji i artykułów poświęconych archiwistyce oraz historii regionalnej. Dzięki niemu m.in. zaczął ukazywać się popularny cykl pt. „Źródła do historii Koszalina"; był także zaangażowany w prace związane z wydaniem drukiem pierwszej XVIII-wiecznej kroniki Koszalina Johanna Davida Wendlanda. Opracował większość najtrudniejszych zespołów archiwalnych z zasobu koszalińskiego archiwum. Wśród nich znalazły się m.in. zespoły archiwalne: *Rejencja Koszalińska* z lat (1579) 1816 – 1945, Akta Miasta Koszalina z lat 1555-1945, Akta Miasta Złotowa z lat 1766-1942, landratury (starostwa) w Złotowie z lat 1780-1935, Wałczu z lat 1773-1934 i Człuchowie z lat 1816-1923, czy akta notariuszy powiatów złotowskiego i wałeckiego oraz wielu innych. W koszalińskim archiwum poznał także swoją przyszłą żonę – Krystynę. Dane było Mu również zostać szczęśliwym Tatą – w 1967 roku przyszła na świat córka Katarzyna.

Adam Muszyński pół wieku poświęcił na zgłębianie źródeł archiwalnych, dotyczących nie tylko Koszalina, ale całego Pomorza Zachodniego. Wraz ze zmarłą w 1988 roku małżonką, Krystyną Muszyńską – również uznaną archiwistką, z pasją i niegasnącym zaangażowaniem wypracowywali wysokie standardy pracy archiwalnej oraz wnieśli duży wkład w postęp badań regionalnych. Uczestniczył czynnie i z zaangażowaniem w kreowaniu wizerunku archiwum jako instytucji profesjonalnej i otwartej na problemy współczesnych odbiorców.

Oprócz pracy zawodowej angażował się także w działalność koszalińskiego Oddziału SAP (członek zarządu), Oddziału PTH w Słupsku. Wykonywał również prace na rzecz Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Koszalinie i Koszalińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego.

Za zasługi i aktywność zawodową otrzymał wyróżnienia i odznaczenia: Odznakę Tysiąclecia (1966), Odznakę *Za zasługi dla rozwoju województwa koszalińskiego* (1967), Srebrny Krzyż Zasługi (1970), Złoty Krzyż Zasługi (1975), Odznakę *Za opiekę nad zabytkami* (1977), Odznakę honorową *Za zasługi dla archiwistyki* (1978), Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (1989), Medal pamiątkowy *Za zasługi dla Koszalina* (2001).

Zmarł 17 czerwca 2012 roku w Koszalinie. Trzy lata wcześniej dotknęła go ciężka choroba. Było mu trudno, ale nie poddawał się. Pochowany został na Cmentarzu Komunalnym w Koszalinie.

Dla mnie, która swoje szlify i umiejętności zawodowe zdobywałam od początku pracy w koszalińskim Archiwum Państwowym właśnie u Pana Adama Muszyńskiego, mojego Mistrza, będzie mi przede wszystkim brakowało Jego mądrości i życzliwości, a także pogody ducha i nieodpartego uroku osobistego.

W pamięci wszystkich współpracowników i przyjaciół pozostanie z pewnością jako wyjątkowy Człowiek i Kolega, pełen życia i energii, miłośnik sportu – szczególnie piłki nożnej – a także form aktywnego – sportowego stylu spędzania wolnego czasu. Jego skromności, pokory wobec wiedzy, ciekawości świata i ludzi, nietuzinkowej, barwnej osobowości będzie nam zawsze brakowało.

Joanna Chojecka

Jerzy Fitio (1907-1982)

Aktor, śpiewak. We Lwowie rozpoczął studia prawnicze, równocześnie statystował w teatrze. W 1927 przygotowywał się do zawodu aktorskiego w studio teatralnym otwartym przez Wandę Siemaszkową, w 1935 był słuchaczem wydziału sztuki aktorskiej Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej w Warszawie. W latach 1936-39 grał w Teatrach Miejskich we Lwowie, uczył się też śpiewu u Adama Didura. W latach 1939-41 był solistą Państwowego Teatru Opery i Baletu we Lwowie, w sezonie 1944/45 występował tu w Polskim Teatrze Dramatycznym. W latach 1945-48 był aktorem Teatru Śląskiego w Katowicach, w latach 1949-53 w Teatrach Dramatycznych w Krakowie, w latach 1953-55 w krakowskim Teatrze Satyryków, w sezonie 1955/56 w Starym Teatrze. W sezonie 1960/61 grał w Teatrze Rozmaitości we Wrocławiu, 1961/62 w Teatrze im. Mickiewicza w Częstochowie, 1962/63 w Operetce Lubelskiej, w latach 1963-65 w Teatrze im. Osterwy w Lublinie, 1965-76, i od roku 1969 do śmierci w 1982 r. w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym w Koszalinie, z przerwą na trzy sezony (976-79) w Teatrze Dramatycznym w Elblągu.

Wystąpił w kilku filmach: „Zimowy zmierzch" (1956) „Miasteczko" (1958) „Święta wojna" (!965), „Niebieskie jak Morze Czarne" (1971) i „Linia" w reżyserii Kazimierza Kutza (1974)). Widzowie pierwszych spektakli nowo tworzonego Teatru Telewizji w 1958 r. mogli Go zobaczyć w sztuce „Okazja" Philipa Johnsona, wyreżyserowanej przez Jerzego Gruzę. W obsadzie znaleźli się także m.in. Ryszarda Hanin i Aleksander Dzwonkowski. W 1969 r. telewidzowie znów mogli oglądać Jerzego Fitio w TTV, w jedynym zarejestrowanym dla telewizji spektaklu powstałym na scenie BTD – „Zielonym Gilu" Tirso de Moliny, w reżyserii Andrzeja Ziembińskiego.

W roku 1969 podczas Festiwalu Teatrów Polski Północnej w Toruniu Na BTD spada deszcz nagród (nagrodzone pucharem spektakle to „Jan Maciej Karol Wścieklica" i „Krakowiacy i Górale" - Jerzy Fitio otrzymuje nagrodę aktorską za role Miechodmucha w tym drugim. Również w 1972 roku (XIV FTPP) Jerzy Fitio otrzymuje nagrodę za rolę Dziadka w „Grupie Laokoona" Tadeusza Różewicza. Jedną z ostatnich ról był stary Grzegorz w „Kordianie" wystawionym przez Andrzeja Rozhina – premiera odbyła się w 1979 r.

Na mocy uchwały koszalińskiej Rady Miejskiej z 30 stycznia 1985 r. Jerzy Fitio został patronem jednej z ulic na osiedlu Bukowym.

Diana Łozińska (1929-1992)

Urodziła się w Kaliszu. W 1952 roku w łódzkiej szkole teatralnej rozpoczęła studia, które z powodów rodzinnych musiała przerwać. Nie zrezygnowała jednak z aktorstwa i zadebiutowała w tym samym 1952 roku rolą Onutie w sztuce Józefa Baltuszisa „Pieją koguty" na deskach Państwowego Teatru w Gnieźnie, gdzie zdobywała szlify aktorskie w sezonie 1952/53. W 1957 roku zdała eksternistyczny egzamin aktorski, mając za sobą kolejne sezony: w Zielonej Górze (1953-54), Kaliszu (1954-55) i Opolu (1955-57). Następnie była aktorką Teatru im. Jaracza w Olsztynie (1957-60) i Teatru Ziemi Pomorskiej w Grudziądzu (1960-62). Od 1971 roku do przejścia na emeryturę w 1992 pracowała w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym w Koszalinie, zyskując popularność i sympatię widzów. Jej pierwszą rolą w Koszalinie była Elwira w „Cydzie" Wyspiańskiego - Corneille'a. Ostatnią zaś – rola Maryli Cuthbert w „Ani z Zielonego Wzgórza". Pomiędzy tymi dwiema kreacjami mieści się kilkadziesiąt ról wyrazistych kobiet – najczęściej ciepłych, opiekuńczych, kryjących wrażliwość udawaną szorstkością, choć nie obca Jej była groteska, właściwa dla dramaturgii Sławomira Mrożka. Z jego twórczością kilka razy się spotykała m.in w „Tangu" i „Policji".

Po przejściu na emeryturę nawiązała współpracę z Teatrem Propozycji „Dialog", biorąc udział w przedstawieniu „Skar i Bonka", które w 1995 roku zainaugurowało działalność przy ulicy Grodzkiej 3 „Teatru przy Stoliku". Jego inicjatorem był także już wówczas emerytowany aktor BTD Tadeusz Mroczek, który przez pięć sezonów przygotowywał kolejne „czytane" premiery.

Diana Łozińska w pamięci widzów pozostaje jako obdarzona ogromnym ciepłem i emanująca sceniczną prawdą swych postaci aktorka. Z biegiem lat Jej udziałem stawały się wzruszające postaci matek i babek. Sama była także pełną ciepła osobą, stawiającą jednak wysokie wymagania wobec sztuki scenicznej i recytatorskiej – w propagowaniu tej ostatniej wśród młodych Koszalinian miała wielkie zasługi, nie tylko jako matka utalentowanego recytatora.

Kalendarium
wybranych wydarzeń kulturalnych w Koszalinie w 2012 roku

MUZYKA

Filharmonia Koszalińska im. Stanisława Moniuszki

5, 6 stycznia - koncert noworoczny; Ruben Silva – dyrygent, Julia Iwaszkiewicz – sopran
12, 13 stycznia - koncert karnawałowy „Świat nie jest taki zły...”; Jarosław Barów – dyrygent, Halina Kunicka – śpiew, Jerzy Derfel przy fortepianie;
19, 20 stycznia - koncert karnawałowy „Światowe musicale”; Bohdan Jarmołowicz – dyrygent, Patrycja Tomaszewska – sopran, Jacek Kotlarski – tenor
2, 3 lutego - koncert karnawałowy; Sławomir Chrzanowski – dyrygent, Grupa wokalna VOX: Witold Paszt, Jerzy Słota, Dariusz Tokarzewski
9, 10 lutego - Johann Strauss „Zemsta nietoperza” – operetka w 3 aktach; Ruben Silva – dyrygent, Gabriela Silva i Ewa Olszewska – sopran, Janusz Ratajczak, Łukasz Ratajczak i Tomasz Madej - tenor
24 lutego - koncert symfoniczny; Ruben Silva – dyrygent, Agata Szymczewska – skrzypce
9 marca - koncert symfoniczny; Ayyub Guliyev – dyrygent, Stanisław Drzewiecki – fortepian
16 marca - koncert symfoniczny „W hołdzie Szymanowskiemu” w 75. rocznicę śmierci kompozytora; Ruben Silva – dyrygent, Przemysław Witek – fortepian
30 marca - koncert symfoniczny; Aidar Torybayev – dyrygent, Agnieszka Tobik – skrzypce
13 kwietnia - koncert symfoniczny; David Handel – dyrygent, Roman Widaszek i Jan Jakub Bokun – klarnet
20 kwietnia - koncert symfoniczny „Włoskie Bel Canto”; Andrea Rossi – dyrygent, Francesco Malapena – tenor
27 kwietnia - koncert symfoniczny „Impresjonizm w muzyce”; Ruben Silva – dyrygent, Hubert Rutkowski – fortepian
11 maja - koncert symfoniczny „Wieczór walców”; Adam Klocek – dyrygent, Katarzyna Dondalska – sopran
18 maja - muzyka latynoamerykańska; Ruben Silva – dyrygent, Hubert Salwarowski – fortepian, Szkoła Tańca „Astra”
25 maja - koncert uczniów Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych im. Grażyny Bacewicz w Koszalinie; Bogdan Olędzki – dyrygent
1 czerwca - zakończenie sezonu 2011/2012; Ruben Silva – dyrygent, Natan Dondalski – skrzypce
22 czerwca - Wielka Gala – opera, operetka, musicale; Ruben Silva – dyrygent, Monika Ledzion – mezzosopran, Maria Wyłomańska – sopran, Paweł Skałuba – tenor, Tomasz Rak – baryton, chóry Koszalin Canta i Canzona z Koszalina oraz Dominanta z Mścic
21 września - inauguracja sezonu 2012/2013; Ruben Silva – dyrygent, Konstanty Andrzej Kulka – skrzypce
28 września - gorące rytmy latynoskie; Ruben Silva – dyrygent, Jarosław Madejski – wiolonczela
5 października - koncert symfoniczny „Uwaga! Pierwsze wykonanie”; Jacek Rogala – dyrygent, Wojciech Bryliński – waltornia, Maciej Drapiński – akordeon
19 października - koncert symfoniczny „Genialna symfonika z brylantem”; Wojciech Rodek – dyrygent, Marta Kowalczyk – skrzypce
26 października - koncert symfoniczny „Zaskakujące talenty”; Vladimir Kiradjiev – dyrygent, Piotr Grelowski – fortepian
9 listopada - koncert symfoniczny „Porywające kreacje”; Ruben Silva – dyrygent, Łukasz Długosz – flet, Anna Sikorzak-Olek - harfa
16 listopada - koncert symfoniczny „Cudowne arie i przeboje”; Tadeusz Wicherek – dyrygent, Justyna Reczeniedi – sopran
30 listopada - koncert symfoniczny „Czarodziejski obój”; Piotr Staniszewski – dyrygent, Kama Grott – obój
7 grudnia - „Koszalin śpiewa kolędy”; Ruben Silva – dyrygent, Magdalena Witczak – sopran, Chór Koszalin Canta

46. Międzynarodowy Festiwal Organowy

6 lipca - inauguracja; Marek Toporowski i Bogdan Narloch – organy, Radosław Wilkiewicz – dyrygent, Anastazja Arbuzowa – śpiew, Ryszard Borowski – flet, Urszula Bock – mezzosopran, Chór Canzona, Zespół Instrumentalny Filharmonii Koszalińskiej
13 lipca - Krystian Skoczowski (Niemcy) – organy, Zespół Milos (Kanada): Nadia Monczak i Stephanie Pielock – skrzypce, Ekaterina Istomin – altówka, Octavie Dostaler-Lalonde – wiolonczela
20 lipca - Felix Gubser (Szwajcaria) – organy, Danuta Dulska – sopran, Paweł Wolski – baryton, Młodzieżowy Chór Katedry w Brunszwiku, Gerd Peter Münden (Niemcy) – dyrygent, Orkiestra Filharmonii Koszalińskiej
27 lipca - Szilveszter Rostetter (Węgry) – organy, Kozak Trio (Rosja): Piotr Czajkowski – śpiew, instrumenty per-

kusyjne, Wojciech Jurgiel – śpiew, bajan, Jurij Dowgalew – śpiew, bałałajka

3 sierpnia - Tomasz Glanc (Niemcy) – organy, Zespół Muzyki Dawnej Floripari: Adrianna Bujak – sopran, Artur Łuczak – skrzypce, fidel, viola, Mateusz Kowalski – viola da gamba, Justyna Dolot – wirginał, Aleksander Tomczyk – instrumenty dęte i perkusyjne

10 sierpnia - Martin Bako (Słowacja) – organy, Państwowa Młodzieżowa Orkiestra Symfoniczna z Mińska, Nikołaj Makarewicz (Białoruś) – dyrygent

17 sierpnia - Bogdan Narloch – organy, Roman Gryń – trąbka

24 sierpnia - Vano Sarajishvili (Norwegia) – organy, Szczeciński Męski Oktet Wokalny Baltic Singers

31 sierpnia - zakończenie; Jarosław Ciecierski – organy, Regina Maria Liszka-Ciecierska i Marzena Michałowska – sopran, Eugeniusz Kus – dyrygent, Chór Camerata Nova, Chór Koszalin Canta, Orkiestra Filharmonii Koszalińskiej

Polonijne Lato

5-18 lipca Studium Dyrygentów Chórów Polonijnych

15-24 lipca XIV Światowy Festiwal Chórów Polonijnych

Inne

14 stycznia - noworoczny koncert gitarzystów. Pałac Młodzieży;

20 stycznia - recital Beaty Kępy. Domek Kata

21 stycznia - rewia orientalna. Teatr Variete Muza

26 stycznia - UNPLUGGED RADIA KOSZALIN – „Time to Express"

28 stycznia - Kryterium Jazzu: Adam Wendt Blues Set i Keith Dunn. Klub Rezerwat

10 lutego - recital piosenek francuskich w wykonaniu Michała Bajora. BTD

14 lutego - Kryterium Jazzu: Maja Kleszcz and Incar-Nations

23 lutego - Unplugged Radia Koszalin: koncert zespołu Mr. Zoob

25 lutego - koncert „Tośka 8". CK105

8 marca - koncert zespołu folkowego Betain, solista: Johen Vogel - wirtuoz antycznej harfy, CK 105;

10 marca - koncert Koszalińskiej Orkiestry Akordeonowej Akord z okazji 15-lecia istnienia zespołu. CK105

17 marca - Eachtra: celtycka podróż. Teatr Variete Muza

20 marca - recital Gienadija Ishakova. KBP

29 marca - Unplugged Radia Koszalin: Kołobrzeska Formacja Poezji Śpiewanej Cisza jak Ta

12 kwietnia - Salon Muzyczny Radia Koszalin: recital fortepianowy Luizy Marii Sobkowiak

19 kwietnia - wieczór pieśni żydowskich „Graj, dla nas graj" – Teatr Ma Scala Marii Meyer z Chorzowa. STP „Dialog"

19 kwietnia - Hot Club of Poland & Friends Gypsy Swing. Teatr Variete Muza

21 kwietnia - recital Bohdana Łazuki. CK105

26 kwietnia - Unplugged Radia Koszalin: Ivona

17 maja - Unplugged Radia Koszalin: Lipa z Miodem

21 maja - koncert z okazji 40-lecia Studenckiego Radia Jantar Politechniki Koszalińskiej

24 maja - Salon Muzyczny Radia Koszalin: Złote Kłosy

25 maja koncert zespołu Myslovitz. Amfiteatr

26-27 maja - 23. Festiwal Pieśni Religijnej „Cantate Domino" im. Jana Pawła II

23-24 czerwca - 37. Festiwal Ukraińskich Zespołów Dziecięcych. BTD

25 czerwca - koncert zespołu Los Chicos. Teatr Variete Muza

15 lipca - Festiwal Piosenki Patriotycznej i Wojskowej. Amfiteatr

14 sierpnia - rewia latynoska „Fiesta Latina". Teatr Variete Muza

26 sierpnia - recital Jacka Borkowskiego „Żyłem jak chciałem". Teatr Variete Muza

1 września 32. - Festiwal Rockowy „Generacja"

7 września - Genesis Classic – Ray Wilson & the Berlin Symphony Ensemble. Amfiteatr

20 września - „Ballady Europy", koncert Pawła Orkisza z zespołem. STP „Dialog"

20 września - „Back 2 Beat", koncert pamięci Kasi Sobczyk. Teatr Variete Muza

21 września - „Ersatz". recital piosenki aktorskiej: Sylwia Madejska. Klub „Kawałek Podłogi"

27-30 września - 12. Międzynarodowy Festiwal Zespołowej Muzyki Akordeonowej

6 października - 8. „Koszalińska Wizja Breaka"

13 października - koncert zespołu Jahqubowa Drabina. Klub „Kawałek Podłogi"

18 października - Unplugged Radia Koszalin: Zgagafari

24-27 października - 8. Hanza Jazz Festiwal

15 listopada - Unplugged Radia Koszalin: recital Małgorzaty Ostrowskiej

23 listopada - rewia włoska „Un treno per l'Italia". Teatr Variete Muza

24-25 listopada - 9. Ogólnopolski Festiwal Piosenki Aktorskiej „Reflektor 2012". Pałac Młodzieży/BTD

24-25 listopada - 18. Konkurs Poezji i Piosenki Lwowskiej im. Mariana Hemara. Domek Kata

1 grudnia - 12. Przegląd Zespołów Śpiewaczych i Folklorystycznych „Złota Jesień 2011". CK105

6 grudnia - Unplugged Radia Koszalin: Zosia Karbowiak

8 grudnia - 50 lat zespołu The Beatles. Teatr Variete Muza
14 grudnia - „Życie kabaretem jest", recital Marii Meyer. STP „Dialog"

TEATR

Bałtycki Teatr Dramatyczny im. Juliusza Słowackiego

7-12, 18 stycznia - W. Masłow, „Carski syn", reż. Żaneta Gruszczyńska-Ogonowska
8 stycznia - P. Turrini, „Józef i Maria", reż. Paweł Szkotak, gościnnie Teatr Polski z Poznania
13, 20, 21, 22 stycznia - „Jesteśmy na wczasach, czyli polska miłość", reż. Cezary Domagała
14, 15 stycznia - E. Vilar, „Strategia motyli", reż. Zdzisław Derebecki
19 stycznia - A. Lindgren „Pippi Pończoszanka – Pippi Langstrumpf", reż. Wojciech Rogowski
24 stycznia - I. Degórska, „Smoczek Hieronim", reż. Zdzisław Derebecki
27-29 stycznia - J. Chapman, D. Frejman, „Prywatna klinika", reż. Jerzy Bończak
30 stycznia - C. Aigner, „Zamknięty świat", reż. Dariusz Taraszkiewicz, gościnnie Teatr Finestra z Warszawy
1, 2, 7, 11,28, 29 lutego - „Carski syn
3-5 lutego - T. Różewicz, „Kartoteka", reż. P. Ratajczak
3, 4 lutego - K. Brandys, „Jak być kochaną", reż. Weronika Szczawińska
10 lutego - „Od Piaf do Garou" – recital Michała Bajora
11, 12 lutego - „Strategia motyli"
14-18 lutego - W. Shakespeare, „Romeo i Julia", reż. Cezary Domagała
23-24 lutego - „Zwierzęta Doktora Dolittle", reż. Jerzy Bielunas, gościnnie Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego z Zielonej Góry
25-26 lutego - A. de Angelis, „Stworzenia sceniczne", reż. Robert Czechowski, gościnnie Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego z Zielonej Góry
2, 3 marca - „Jesteśmy na wczasach"
5, 16, 17 marca - „Jak być kochaną"
6 marca - J.J. Należyty, „Dieta cud", reż. Piotr Dąbrowski, gościnnie Teatr Palladium z Warszawy
9 marca - J. DiPietro, J. Roberts, „I love you", reż. David Foulkes, gościnnie Teatr Studio Buffo z Warszawy
10, 11 marca - „Strategia motyli"
14 marca - Z. Kaczkowski, „Odlot w czasie, czyli historia ostatniego tysiąclecia", reż. Piotr Krótki
14-15 marca - Bogusław Schaeffer, „Scenariusz dla trzech aktorów", reż. Mikołaj Grabowski, gościnny spektakl Teatru Impresaryjnego Finestra
14-16 marca - „Odlot w czasie, czyli historia ostatniego tysiąclecia"
18, 23 marca – „Prywatna klinika"
19 marca - S. Bobrick, R. Clark, „Morderstwo w hotelu", reż. Jerzy Bończak, gościnnie Teatr Capitol z Warszawy
31 marca, 1, 14, 15, kwietnia - R. Hawdon, „Wieczór kawalerski", reż. Zdzisław Derebecki; PREMIERA z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru
13 kwietnia - J.J. Należyty „Andropauza 2, czyli męska rzecz być z kobietą", reż. Maciej Damięcki – przedstawienie impresaryjne
17-19 kwietnia - J. Grimm, W. Grimm, „Królewna Śnieżka i siedmiu krasnoludków", reż. Monika Gerboc, gościnnie Teatr im. Aleksandra Sewruka z Elbląga
20, 21, 29 kwietnia - „Strategia motyli"
22, 27, 28 kwietnia - „Wieczór kawalerski"
23 kwietnia - „Dziennikarze-Bajarze", reż. Marcin Borchardt , spektakl charytatywny zorganizowany przez stowarzyszenie KIWANIS
29 kwietnia - „Carski syn"
5 maja - „Elegia Styks" wg Olgi Tokarczuk, reż. Ołeksandr Korol, gościnnie Lwowski Obwodowy Akademicki Teatr Muzyczno-Dramatyczny im. Jurija Drohobycza
5-6 maja - „Jak być kochaną"
8 maja - G. Lutosławska, „O dwóch krasnoludkach i jednym końcu świata", reż. Krzysztof Babicki, gościnnie Nowy Teatr im. Witkacego ze Słupska
9-10 maja - „Odlot w czasie, czyli historia ostatniego tysiąclecia"
11 maja - „Artetango" – koncert galowy I Międzynarodowego Festiwalu Tanga, zorganizowanego przez Studio Tańca Art Tendence
12, 25, 26, 27 maja - „Wieczór kawalerski"
14-17 maja - A.Reynolds, M.Buffini, „...syn", reż. Michał Siegoczyński, monodram w wykonaniu Żanetty Gruszczyńskiej-Ogonowskiej
30-31 maja, 1 czerwca - C. Collodi, „Pinokio", reż. Z. Kulwicki, gościnnie Centrum Kultury Teatr z Grudziądza
2 czerwca - „Pippi Pończoszanka"
2-3 maja - „Odlot w czasie..."
9, 17, 19, 20 maja - „Historia Polski w obrazkach"
12-16 czerwca - 3. Koszalińskie Konfrontacje Młodych „m-teatr"; (krytyczne omówienie festiwalu w dziale TEATR – dop. red.)
16 czerwca - R. Schimmelpfennig „Kobieta z przeszłości", reż. Ewelina Marciniak; PREMIERA
17 czerwca - „Kobieta z przeszłości"
18, 21 czerwca – „Wieczór kawalerski"

18 czerwca - E. Jodłowska, „Klimakterium... i już", reż. Cezary Domagała, gościnnie Teatr Rampa na Targówku z Warszawy
23 czerwca - „Historia Polaka w obrazkach, czyli Odlot w czasie 2", reż. Piotr Krótki; PREMIERA
1-2 września - J. Brzechwa, „Bajki samograjki", reż. Magdalena Muszyńska-Płaskowicz; spektakl charytatywny
16-17 września - I. Erenburg, „Burzliwe życie Lejzorka", reż. Artur Barciś; PREMIERA PRASOWA I PREMIERA
18 września - „Jak być kochaną"
21, 23, 29, 30 września -„Burzliwe życie Lejzorka
23 września - „Kobieta z przeszłości"
25 września - C. Aigner, „Zamknięty świat", reż. Dariusz Taraszkiewicz, gościnny spektakl Teatru Kamienica z Warszawy
26, 27, 28 września -„Historia Polaka w obrazkach..."
2 października - „Pippi Pończoszanka"
3, 13, 14 października - Historia Polaka w obrazkach..."
6, 7, 26, 27, 28 października - „Strategia motyli"
9, 19 października - „Pinokio"
11 października - W. Weinberger, „Jak zostać Sex-Guru w 247 łatwych krokach", reż. Gabriel Gietzky, gościnnie Teatr Palladium z Warszawy
17, 18, 19 października - „Romeo i Julia"
19 października - „Kobieta z przeszłości"
20 października - „Wieczór kawalerski"
3, 4, 10, 11, 17, 18 listopada - „Burzliwe życie Lejzorka"
7, 8 listopada - J. Christa, „Kajko i Kokosz", reż. Marta Ogrodzińska, gościnnie Teatr im. Stefana Jaracza z Olsztyna
9, 10 listopada - „Kobieta z przeszłości"
15 listopada - „Andropauza 2..."
16, 24 listopada - „Strategia motyli"
20, 21 listopada - C. Żołyński, „Dziwaczek", reż. Cezary Żołyński, gościnnie Teatr im. Juliusza Osterwy z Gorzowa Wielkopolskiego
23, 24 listopada - „Wieczór kawalerski"
26 listopada - D. Fo, F. Rame, „Związek otwarty", gościnnie Teatr Scena Poczekalnia z Łodzi
28, 29, 30 listopada - „Historia Polaka w obrazkach..."
1, 2 grudnia - „Burzliwe życie Lejzorka"
3, 4 grudnia - „Kumpel", reż. Zbigniew Kulwicki, gościnnie Centrum Kultury Teatr z Grudziądza
3 grudnia - V. Thiessen, „Jabłko", reż. Tomasz Dutkiewicz, gościnnie Teatr Komedia z Warszawy
8 , 15, 16 grudnia - „Kobieta z przeszłości"
8 grudnia - S. Parulskis, „Cavewoman – kobieta jaskiniowa", reż. A. Jakubik, gościnnie Teatr Bajka z Warszawy
15 grudnia - M. Guśniowska, „Calineczka", reż. Małgorzata Wiercioch; PREMIERA
16, 18, 19, 22 grudnia - „Calineczka"
31 grudnia - „Wieczór kawalerski". Sylwester w Teatrze

Stowarzyszenie Teatr Propozycji „Dialog" im. Henryki Rodkiewicz

12 stycznia - D. Masłowska, „Między nami dobrze jest", reż. Krystyna Kuczewska-Chudzikiewicz
26 stycznia - „Dwa brzegi", recital Lecha Dyblika
9 lutego - „Między nami dobrze jest"
16 lutego - Wł. Broniewski, „Płonę i krzyczę", reż. Maria Ulicka
1 marca - „Późne popołudnie", wieczór poezji Marka Wawrzkiewicza z okazji 75. urodzin autora, reż. Maria Ulicka; PREMIERA
29 marca - W. Myśliwski, „Traktat o łuskaniu fasoli", reż. Marek Kołowski; PREMIERA z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru
12 kwietnia - „Uśmiech Dostojewskiego" wg V. Nabokova, reż. St. Miedziewski; monodram w wykonaniu Grzegorza Szlangi z Chojnickiego Studia Rapsodycznego
19 kwietnia - „Graj dla nas, graj" – recital pieśni żydowskich w wykonaniu Marii Meyer z Teatru Ma Scala w Chorzowie
26 kwietnia - „Mrau, mrau... Rzecz o kocie i..." wg Tomasza Majerana, scenariusz i reż. Krystyna Chudzikiewicz-Kuczewska
10 maja - „Traktat o łuskaniu fasoli"
11 października - „Aleksander Galicz. Ludzie! nie trzeba bać się!", reż. Lech Dyblik, wykonanie Aleksiej Sieminiszczew (Odessa) i Lech Dyblik
25 października, 8 listopada - „Traktat o łuskaniu fasoli"
29 listopada - „I gołąb i żmija, i piołun i miód...", reż. Maria Ulicka; PREMIERA
14 grudnia - „Życie kabaretem jest", recital Marii Meyer
20 grudnia - „Czas wielkiej próby", wg wspomnień Gracjana Bojara-Fijałkowskiego „Powrót z tamtego brzegu", reż. Maria Ulicka;

Teatr Variete Muza

20-21 stycznia - Rewia Latynoska
3 lutego - jubileusz 25-lecia pracy artystycznej Cezarego Pazury
17 lutego - Dzień św. Patryka – irlandzki show
19 kwietnia - „Gipsy Swing"
27 kwietnia - Rewia Latynoska
10 sierpnia - J. Chmielnik, „Sex grupowy, czyli psychoterapia", reż. Lena Szurmiej, wykonanie Jacek Borkowski

28 września - „Vendetta a la kobietta", reż. Urszula Szydlik-Zielonka
19 października - Rewia orientalna
10 listopada - Rewia latynoska
13 listopada - 3. urodziny Teatru Variete Muza
15 grudnia - „Godzina z życia mężczyzny", monodram w wykonaniu Piotra Szwedesa
31 grudnia - Avenue de Champs Elysées. Sylwester w Muzie

LITERATURA

11 stycznia - „W świątecznym woalu", wieczór poezji Krajowego Bractwa Literackiego; klub KSM „Nasz Dom"
20 stycznia - promocja tomiku wierszy „Dla babci i dziadka", KBP
2 lutego - promocja książki Romana Drozda i Bohdana Halczaka „Dzieje Ukraińców w Polsce", KBP
3 lutego - promocja książki Lecha Kamińskiego „Miłość z jesiennym liściem", Domek Kata
8 lutego - promocja książki Stanisławy Schreuder „Blisko ciebie", ZPSMuz
12 lutego - spotkanie autorskie z Andrzejem Poniedzielskim, Domek Kata
14 lutego - Ernest Bryll, „Nie słyszeli głosu...", program poetycki grupy „Proscenium" z CK 105. Domek Kata
15 lutego - „Miłość w scenerii zimowej" – wieczór poezji KBL; klub KSM „Nasz Dom"
20 lutego - promocja „Rocznika Koszalińskiego", KBP
21 lutego - promocja książki Magdaleny Zawadzkiej „Gustaw i ja", KBP
2 marca - spotkanie autorskie z Markiem Wawrzkiewiczem, KBP
23 marca - promocja książki Magdy Omilianowicz „Pod podszewką świata", KBP Filia 9
26 marca - promocja książki Romana Dziewońskiego „Skarpetka w ręku – Krzysztof Kowalewski w garderobie", CK105
29 marca - promocja książki Roberta Kamińskiego „Melisa", KBP
2 kwietnia - spotkanie autorskie z Grażyną Bąkiewicz, KBP
18 kwietnia - „Kwietniowa przeplatanka", wieczór poezji KBL, klub KSM „Nasz Dom"
20 kwietnia - spotkanie autorskie z Piotrem Polechońskim, KBP
24 kwietnia - promocja książki Michała Witkowskiego „Drwal", KBP
25 kwietnia - promocja książki Czesława Kuriaty „Bogusław X", Muzeum w Koszalinie
10 maja - spotkanie autorskie z Joanną Olech, KBP
11 maja - Miejski Konkurs Poetycki „Koszalińska Niezapominajka", KBP
12 maja - spotkanie międzywyznaniowe z poezją W. Szymborskiej, Kościół Adwentystów Dnia Siódmego
16 maja - „Wiosna w poezji, muzyce i obrazach" , wieczór Stowarzyszenia Osób Niepełnosprawnych „Ikar" i „Opoka". Domek Kata
21 maja - promocja książki Cezarego Łazarewicza i Ewy Winnickiej „Zapraszamy do Trójki", KBP
22 maja - spotkanie autorskie z Kazimierzem Gałkowskim, Domek Kata
24 maja - promocja tomiku wierszy „To dla Ciebie, Mamo", KBP
24 maja - spotkanie autorskie z Michałem Komarem „O czytaniu Herodota w epoce Internetu", STP „Dialog"
1 czerwca - promocja tomiku poezji Stanisławy Schreuder „Pozdrawiam na czczo", Domek Kata
5 czerwca - finał 44. Regionalnego Konkursu Recytatorskiego „Ptaki, ptaszki i ptaszęta polne", KBP
5 czerwca - spotkanie autorskie z Matthew Tyrmandem, KBP
8 czerwca - zorganizowany przez KBP maraton czytania „Pana Tadeusza", galerie handlowe „EMKA" i „Atrium"
11 czerwca - 16. Miejski Konkurs Dziecięcej Twórczości Poezji i Prozy, Pałac Młodzieży
12 czerwca - spotkanie autorskie ze Sławomirem Płatkiem, KBP Filia 8
14 czerwca - spotkanie autorskie z Janiną Kochanowską, KBP
19 czerwca - promocja publikacji „Kultura Koszalińska. Almanach 2011". KBP
28 czerwca - promocja książki Jana Kuriaty „Świat rzeczy niewidzialnych", KBP
3 lipca - spotkanie autorskie z Beatą Pawlikowską, KBP
8 września - maraton czytania „Pana Tadeusza", galerie handlowe „EMKA" i „Atrium"
10 września - „Pokłosie wakacji" – wieczór poezji KBL, klub KSM „Nasz Dom"
24 września - spotkanie autorskie z Joanną Babicką, KBP
6, 7 października - XX Dni Kultury Chrześcijańskiej, VII Turniej Recytatorski Twórczości Religijnej, 20 Dni Kultury Chrześcijańskiej, Domek Kata
8 października - „Co komu w duszy gra", wieczór poezji KBL, klub KSM „Nasz Dom"
12 października - XX Dni Kultury Chrześcijańskiej, spotkanie z poezją koszalinian: Reginy Adamowicz, Krystyny Pileckiej, Ludmiły Raźniak i Jana Wiśniewskiego, KBP
26 października - promocja książki Grzegorza Śliżewskiego, Grzegorza Sojdy i Piotra Hodyry „Ci cholerni Polacy!", KBP
28 października - XX Dni Kultury Chrześcijańskiej, in-

auguracja cyklu czytania „Pana Tadeusza". Domek Kata
6 listopada - promocja książki Andrzeja Maleszki „Pojedynek", Multikino
8 listopada - spotkanie autorskie z Januszem Majewskim, KBP
12 listopada - „Listopadowe inspiracje", wieczór poezji KBL; klub KSM „Nasz Dom"
23 listopada - promocja książki Ludmiły Janusewicz „Skrzydlica ognista", KBP
27 listopada - spotkanie autorskie z Barbarą Kosmowską, KBP
29 listopada - spotkanie autorskie z Wojciechem Tochmanem, KBP
30 listopada - promocja książki Ryszarda Ulickiego „Opowiadania spod parasola", Domek Kata
1 grudnia - Turniej Recytatorski im. Cypriana Kamila Norwida, STP „Dialog"
3 grudnia - spotkanie autorskie z Idą Pierelotkin, KBP Filia 11
6 grudnia - promocja książki Gracjana Bojara-Fijałkowskiego „O księżniczkach, zbójcach, karzełkach i...", KBP
10 grudnia - „W grudniowym nastroju", wieczór poezji Krajowego Bractwa Literackiego

SZTUKA

Muzeum w Koszalinie

do 31 stycznia - „Szopki świata"
do 1 kwietnia - Paul Dahlen. Malarstwo
5 stycznia - Wieczory Czwartkowe ze Sztuką, „Statek, małpa, papuga, czyli parę słów o niezwykłych naczyniach", wykład Magdaleny Mielnik z Muzeum Narodowego w Gdańsku
2 lutego-2 kwietnia - „Dzieje Zakonu Niemieckiego od założenia do dzisiaj"
do 31 stycznia - Galeria Jednego Obrazu, Leon Wyczółkowski, „Portret dzieci – Julian i Jan Dobrzyńscy"
2 lutego-29 kwietnia - Galeria Jednego Obrazu, Józef Chełmoński „Trojka"
2 lutego - Wieczory Czwartkowe ze Sztuką, „Józef Chełmoński. Mistrz polskiego krajobrazu" Wykład Krystyny Sypniewskiej
16 lutego-18 marca - Krzysztof Rećko-Rapsa, 25-lecie pracy twórczej
1 marca - Wieczory Czwartkowe ze Sztuką, „Strój polski i jego paradne dodatki", wykład Marii Michałowskiej-Barłóg z Muzeum Narodowego w Poznaniu
5 kwietnia - Wieczory Czwartkowe ze Sztuką, „Malarstwo polskie w kolekcjach polskich", wykład dr. hab. Tomasza de Rosset z UMK w Toruniu
6 kwietnia-6 maja - „Z biegiem Wisły i Niemna. Historyczne mapy i widoki miast Prus Wschodnich, Zachodnich, Polski oraz krajów bałtyjskich"
12 kwietnia-17 maja - „Postawy roku 2012"
10 maja-29 lipca - Galeria Jednego Obrazu, Józef Mehoffer „Róża Saronu. Fantazja ornamentalna"
1 czerwca-4 lipca - „Ryszard Lech i jego piksele"
14 czerwca - Wieczory Czwartkowe ze Sztuką, „Architektura nie z tej ziemi. O powstaniu gotyku we Francji", wykład dr. hab. Jarosława Jarzewicza
14 czerwca-9 września - „Tradycja nowoczesności". Kolekcja malarstwa polskiego Muzeum Okręgowego im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy
12 lipca-20 sierpnia - „Kaszubski Leonardo: Józef Chełmowski"
2 sierpnia-4 listopada - Galeria Jednego Obrazu, Stanisław Wyspiański „Dziewczynka gasząca świecę"
5-14 września - „Dotknąć sztuki"
6 września - Wieczory Czwartkowe ze Sztuką, „Monet i Matejko. Konserwacja XIX-wiecznych obrazów", wykład Agnieszki Lewandowskiej z Muzeum Narodowego w Poznaniu
20 września-18 listopada - wystawa pokonkursowa 12. Muzealnych Spotkań z Fotografią
4 października - Wieczory Czwartkowe ze Sztuką, „Złotnictwo sakralne – pomiedzy sztuką a liturgią", wykład dr Michała Woźniaka, dyr. Muzeum Okregowego im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy
18 października-16 listopada - Zbigniew Makarewicz, „Formuła X i motywy szkockie"
8 listopada - Wieczory Czwartkowe ze Sztuką, „Wojciech Gerson – niedoceniony geniusz malarstwa polskiego", wykład dr. Piotra Kopszaka
od 8 listopada - Galeria Jednego Obrazu, Wojciech Gerson, „Dzieci góralskie. Przysięga na szarotkę"
29 listopada-31 stycznia 2013 - wystawa interdyscyplinarna „100x100"; 100-lecie Muzeum w Koszalinie
6 grudnia - Wieczory Czwartkowe ze Sztuką, „Prawo kobiet do torebek", wykład Barbary Czarnek z Muzeum Narodowego Gdańsku

Bałtycka Galeria Sztuki

24-31 stycznia - wystawa prac Kazimierza Jałowczyka
3-29 lutego - „Mane, Tekel, Fares. Kilka obrazów przed końcem świata", wystawa prac Łukasza Butowskiego, Jana Koniecznego i Rafała Podgórskiego
6 lutego-6 marca - „Sielskie klimaty", wystawa Henryka Maciejewskiego, hol kina „Kryterium"
8 marca-2 kwietnia - „Mistrz i M... 2D, 3D i magia ruchu", wystawa Moniki Zawierowskiej-Łozińskiej

9 marca-9 kwietnia - „Tresura dzikich lwów", wystawa rysunków Pauliny Maksjan. hol kina „Kryterium"
11 kwietnia-7 maja wystawa pokonkursowa „W krainie króla Maciusia", hol kina „Kryterium"
13 kwietnia-6 maja - jubileusz 10-lecia Group 4
8 maja-10 czerwca - autoportrety Katarzyny Gerlaczyńskiej-Waszkiewicz
8 maja-3 czerwca - „Brzegi życia", malarstwo Józefa Bobeńczyka, hol kina „Kryterium"
4-5 czerwca - „Od Solidarności do Niepodległości. W walce o wolność 1975-1989", hol kina „Kryterium"
6 czerwca-2 lipca - „Kolorowe motyle", wystawa pokonkursowa, hol kina „Kryterium"
15 czerwca-1 lipca - „Rzeczywistości konstruowane", wystawa Aliny Adamczak
10-31 lipca - „Czas i miejsce dla sztuki" – 15-lecie Międzynarodowych Plenerów Malarskich w Osiekach
3-31 sierpnia - wystawa malarstwa Jana Szula
4-31 października - wystawa z okazji 25-lecia pracy twórczej Marii Walerii Modrzyńskiej, hol kina „Kryterium"
10-31 października - BZ WBK Press Foto 2012
16 listopada-31 grudnia - „Fala", wystawa interdyscyplinarna
4-13 grudnia - „Eko drzewko świąteczne", hol kina „Kryterium"

Galeria „Na Piętrze"

30 marca-12 maja - „Więcej koloru", wystawa malarstwa Marii Idziak
18 maja-16 czerwca - „Malarstwo i rysunek", wystawa Pawła Nowaka
14 września-12 października - poplenerowa wystawa malarska Sianożęty 2012
18 października-17 listopada - „Geometria i metafora w miniaturze", ogólnopolska wystawa konceptualna
30 listopada - „Kontury tracą ostrość", wystawa Grety Grabowskiej

Galeria „Ratusz"

10 stycznia-1 marca - „Immersja", wystawa malarstwa Agnieszki Wieland (I p.)
19 stycznia-29 lutego - wystawa rysunków i grafik Krzysztofa Ramockiego (II p.)
2-5 marca - wystawa malarstwa Waldemara Jarosza z okazji jubileuszu 30-lecia pracy twórczej (I p.)
6 marca-6 czerwca - malarstwo Ireny Kuncewicz (I p.)
15 marca-8 maja - malarstwo Piotra Kosmala (II p.)
10 maja-13 lipca - „Świat materii", wystawa Elżbiety Stankiewicz i Doroty Kęstowicz (II p.)
11-29 czerwca - „Projekt rower", wystawa studentów Politechniki Koszalińskiej (I p.)
3 lipca-3 sierpnia - wystawa prac członków Zespołu Pracy Twórczej Plastyki (I p.)
17 lipca-30 września - „Tym, którzy z nami tworzyli..." – wystawa artystów uczestniczących w plenerze „Czas i miejsce dla sztuki" w Osiekach (II p.)
7 sierpnia-7 września - wystawa malarstwa Wiesławy Kurowskiej (I p.)
31 sierpnia - „Stan Wojenny. Chodźcie z nami, dziś nie biją..." (III p.)
12 września-12 października - „Moje szukanie dróg", wystawa Dariusza Mola (I p.)
11 października-6 listopada - „Między niebem a ziemią", wystawa malarstwa Gabrieli Trynkler-Kwiatkowskiej (II p.)
16 października-16 listopada - „Czas", wystawa malarstwa Zofii Rudeckiej (I p.)
8 listopada-5 grudnia - „Imaginarium – poza ramą" (II p.)
20 listopada-17 grudnia - „Koszalin zaprojektowany" (I p.)
3 grudnia - wystawa fotografii Janusza Michalskiego (III p.)
11 grudnia - wystawa malarstwa Andrzeja Szulca w 40-lecie pracy twórczej (II p.)
18 grudnia - „Nasza wrażliwość – nasz świat", wystawa uczestników terapii zajęciowej ŚDS „Przyszłość" (I p.)

Galeria „Region"

9 stycznia-4 lutego - Józef Ignacy Kraszewski, wystawa poświęcona życiu i twórczości pisarza w 200. rocznicę jego urodzin
5-16 lutego - Wisława Szymborska 1921-2012
17-24 lutego - „Wszystkie koty są nasze" – wystawa pokonkursowa prac plastycznych i fotograficznych z okazji Międzynarodowego Dnia Kota
24 lutego-18 marca - „Ziemia Kołobrzeska w fotografii Zbigniewa Wysockiego"
19-28 marca - „Świat bez dyskryminacji", wystawa pokonkursowa
30 marca-18 kwietnia - „Świat namalowany według Astrid Lindgren", wystawa pokonkursowa
19 kwietnia-21 maja - „Piękno Ziemi Koszalińskiej", wystawa fotograficzna
22 maja-10 czerwca - „Fakty diecezjalne a ewangelizacja", wystawa fotografii Tadeusza Banacha
11-30 czerwca - wystawa prac plastycznych uczestników zajęć terapeutycznych w bibliotece
3-8 września - „Dwa brzegi", fotografie Katarzyny i Roberta Gauerów oraz „Ojcowie. Lista nieobecności", foto-

grafie Macieja Hermana

9-15 września - wystawa towarzysząca Festiwalowi Debiutów Filmowych „Młodzi i Film";

24 września-3 października - wystawa z okazji 10-lecia Integracyjnych Plenerów Artystycznych w Osiekach „Czas przemija, stworzone dzieło pozostaje"

8-23 października - wystawa tkanin marynistycznych Jadwigi Grobelnej

25 października-5 listopada - „Ilustrujemy legendy Gracjana Bojara-Fijałkowskiego", wystawa pokonkursowa

30 października-16 listopada - Janusz Korczak – wystawa związana z Rokiem Korczaka i 70. rocznicą jego śmierci

6 listopada-3 grudnia - „Niepodległość i Marszałek w obrazach i literaturze"

5-31 grudnia - wystawa poświęcona życiu i twórczości Gracjana Bojara-Fijałkowskiego w 100. rocznicę jego urodzin

Galeria >Scena<

30 stycznia - „Magiczne morze", wystawa fotografii Karela Cudlina

24 lutego-2 marca - „Bardzo długi weekend", wystawa Anny Molskiej, Beaty Osmólskiej i Weroniki Teplickiej

13-18 kwietnia – „Z notatnika samotnika", Stanisław Wolski– wystawa prac i rzeczy osobistych artysty

24 kwietnia - „Wiosna w moim mieście", warsztaty integracyjne dla dzieci i młodzieży niepełnosprawnej, prowadzenie Elżbieta Stankiewicz, Jacek Sztucki

25-26 maja - 2. Festiwal Sztuki w Przestrzeni Publicznej Koszart „Atomowy Koszalin?"; (krytyczne omówienie w dziale „Sztuka i Architektura" – dop. red.)

16 czerwca - „SLAJDY", reż. Marta Sokołowska-Mróz„ spektakl grupy „Nonkonformista"

20 czerwca - „Kobieta – bomba"

26 sierpnia - „Koncert Morski Tadeusza Kantora"/ rekonstrukcja happeningu z 1967 / pod batutą Weroniki Teplickiej z udziałem Andrzeja Ciesielskiego, Zdzisława Pacholskiego „Uczta Morska", akcja Aleksandry Włodarczyk i Galla Podlaszewskiego; „Patrzałka" - instalacja przewrotna Wojciecha Greli

29 września-7 października - „Spam", wystawa Edyty Wolskiej

12-20 października - „L Revolution", wystawa Aleksandry Włodarczyk

26-28 października - RÓŻNORODNOŚĆ = KREATYWNOŚĆ, warsztaty prowadzone przez Martę Sokołowską-Mróz i Łukasza Nowickiego

16 listopada – „Eksploracja", reż. Marek Kościółek, spektakl Teatru Krzyk z Maszewa

11 grudnia - „Święta", warsztaty plastyczne prowadzone przez: E. Stankiewicz oraz zaproszonych artystów; uczestnicy: uczniowie SOSW w Warninie, WTZ nr 1, SP w Kurowie, studenci pedagogiki Politechniki Koszalińskiej

Autorska Galeria Fotografii
„Portret Świata"

24 lutego - wernisaż wystawy fotografii Tomasza Pacana „Krajobraz podniebny"

17 listopada - wernisaż wystawy fotografii Janusza Foglera „Spojrzenia"

17 lutego - wernisaż wystawy fotografii Edwarda G. Funkego „Portret ze świata", Muzeum Mazowieckie w Płocku

15 września - wernisaż wystawy fotografii Edwarda G. Funkego „Tajemnicza kraina Inków" klub „Kawałek Podłogi" Koszalin

Inne

„Koszalin 1950-1976. Historia na nowo odkryta", część II wystawy w Instytucie Pamięci Narodowej, Delegatura w Koszalinie

3 stycznia-10 lutego - „586 dni stanu wojennego". Rynek Staromiejski

grudzień-styczeń – wystawa prac Waldemara Jarosza, Galeria Klubu „Bałtyk"

12 stycznia-10 maja - „Backstage", wystawa fotografii Martny Nawrockiej, Galeria 113, Pałac Młodzieży

14 stycznia-30 kwietnia - „Inspiracje naturą", wystawa fotografii Barbary Widło, Galeria Klubu „Bałtyk"

18 lutego-10 marca - „Zmieniamy obraz naszego regionu". CH „Atrium"

24 lutego-20 marca - „Krajobraz podniebny", fotografie Tomasza Pacana. Autorska Galeria Fotografii „Portret Świata"

24 lutego-30 marca - fotografie Jakuba Mozolewskiego. Pałac Młodzieży

1-30 kwietnia - wystawa fotografii Bogusława Siwko, Galeria Bankowa PKO BP

10 kwietnia-15 maja - XV Ogólnopolskiej Wystawy Fotografii Dzieci i Młodzieży Białystok '11
Galeria Fotografii Młodych Pałacu Młodzieży

13 maja - „Foto-forma- relacja pomiędzy przestrzenią a fotografią", wystawa Katarzyny Dzięgielewskiej-Żuk; Galeria 113 PM

30 kwietnia-28 maja - „Cztery pory roku", wystawa fotograficzna Anieli Reiske, Galeria Klubu „Bałtyk"

28 maja-29 czerwca - „Wrogowie Polski Ludowej. Konspiracja i antykomunistyczna na Pomorzu Zachod-

nim 1945-1956". Rynek Staromiejski
31 maja-30 września - wystawa laureatów 12. Międzynarodowego Konkursu Plastycznego dla Młodzieży Szkolnej z Miast Partnerskich Koszalina: „Nasi Rówieśnicy, Nasze Miasta i Regiony - Poznajmy się Bliżej", Galeria Klubu „Bałtyk"
8 czerwca - 11. Ogólnopolski Konkurs Fotografii Dzieci i Młodzieży „Człowiek, Świat, Przyroda", Pałac Młodzieży
17 listopada - fotografie Janusza Foglera „Spojrzenia". AGF „Portret Świata"
12 grudnia - „Plany miast w zasobie Archiwum Państwowego w Koszalinie". Delegatura ZUW (I p.)

FILM

27 stycznia-2 lutego - 5. Festiwal Filmów Rosyjskich „Sputnik nad Polską", kino „Kryterium"
28-30 stycznia - 10. Międzynarodowy Festiwal Filmów Dokumentalnych o Włodzimierzu Wysockim „Pasje według świętego Włodzimierza". Muzeum Włodzimierza Wysockiego, Domek Kata
3 lutego - przegląd filmów 20. Europejskiego Festiwalu Fabuły, Dokumentu i Reklamy Euroshorts 2011. Galeria >Scena<
3 marca - benefis Lecha Fabiańczyka z okazji 41-lecia pracy twórczej. Domek Kata
12 kwietnia - Festiwal Polskich Filmów Krótkometrażowych „Short Waves". CK105
4-8 września - 9. Europejski Festiwal Filmowy „Integracja Ty i Ja". KTSK i KBP;
10-15 września - 31. Koszaliński Festiwal Debiutów Filmowych „Młodzi i Film". CK 105

INNE WYDARZENIA

22 marca - 4. Gala Koszalińskiej Kultury
15-17 marca - 17. Festiwal Francuskojęzycznych Teatrów Szkół Średnich
19-21 marca - 2. Żywa Biblioteka
20 kwietnia - 3. Noc w Bibliotece
19 maja - 6. Noc Muzeów
29 maja - „Wysocki pełnoletni" – osiemnastolecie Muzeum Włodzimierza Wysockiego
14 lipca - 10. Święto Wody. Rynek Staromiejski
27 lipca - 18. Festiwal Kabaretu „SPA Koszalin". Amfiteatr
8 września - 7. Spotkanie Czterech Kultur
1-31 października - 20. Koszalińskie Dni Kultury Chrześcijańskiej

oprac. Anna Kowal

Kto jest kim?

Autorzy Almanachu od A do Z

Adrian Adamowicz – dziennikarz Redakcji Muzycznej Radia Koszalin

Joanna Chojecka – dyrektor Archiwum Państwowego w Koszalinie

Zbigniew Dubiella – gitarzysta, nauczyciel gry na gitarze klasycznej i propagator klasyki gitarowej

Beata Górecka-Młyńczak – dziennikarka Redakcji Muzycznej Radia Koszalin

Anna Janczewska – prezes koszalińskiego oddziału Stowarzyszenia Archiwistów Polskich.
pracuje w Archiwum Państwowym w Koszalinie,

Dorota Kolano – teatrolog, pracuje w Akademii Teatralnej w Warszawie

Małgorzata Kołowska – dziennikarka, wykładowca w Instytucie Neofilologii i Komunikacji Społecznej Politechniki Koszalińskiej

Natalia Konieczna – absolwentka polonistyki na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

Jadwiga Koprowska – dziennikarka Radia Koszalin, uprawia publicystykę kulturalną, podróżniczka

Anna Kowal – kustosz bibliotekarz w Dziale Informacyjno-Bibliograficznym Koszalińskiej Biblioteki Publicznej

Artur Daniel Liskowacki – krytyk teatralny, pisarz, dziennikarz, redaktor naczelny „Kuriera Szczecińskiego"

Anna Makochonik – dziennikarka, publicystka Tygodnika Koszalińskiego „Miasto"

Anna Marcinek-Drozdalska – specjalista ds. wydawniczych Koszalińskiej Biblioteki Publicznej

Anna Mosiewicz – historyk sztuki, publicystka Ogólnopolskiego Pisma Społeczno-Kulturalnego „Miesięcznik"

Izabela Nowak – publicystka Ogólnopolskiego Pisma Społeczno-Kulturalnego „Miesięcznik"

Zdzisław Pacholski – artysta fotografik

Sylwester Podgórski – dziennikarz Redakcji Muzycznej Radia Koszalin

Jupi Podlaszewski – twórca studenckiego teatru „Blik" i innych grup teatralnych uprawiających sztukę pantomimy, publicysta, szef The English Language School of Koszalin

Grażyna Preder – dziennikarka Radia Koszalin, uprawia publicystykę kulturalną

Anna Serdiukow – krytyk filmowy

Maria Słowik-Tworke – dziennikarka Redakcji Muzycznej Radia Koszalin

Joanna Szczepanik – krytyk sztuki, pracownik Działu Edukacji Muzeum Narodowego w Szczecinie.Kazimierz Rozbicki – kompozytor, publicysta muzyczny

Małgorzata Zychowicz – kierownik Działu Metodyki i Promocji Koszalińskiej Biblioteki Publicznej

Spis treści

I • MUZYKA
1. Kazimierz Rozbicki, Filharmonia u progu normalności (II). • **6**
2. Sylwester Podgórski, Jazzowe apetyty na... „ósemkę". VIII Hanza Jazz Festiwal. • **18**
3. Zbigniew Dubiella, Gitarowy Koszalin. • **22**
4. Adrian Adamowicz, „Nasi" bez prądu. Unplugged Radia Koszalin. • **25**
5. Izabela Nowak, Ostatnie takie lato? XIV Światowy Festiwal Chórów Polonijnych. • **28**

II • TEATR
1. Anna Makochonik, Stare babodziady kontra młodzi niepokorni. III Konfrontacje Młodego Teatru m-teatr. • **36**
2. Jadwiga Koprowska, Czas i przestrzeń w rolach głównych. „Kobieta z przeszłości" w BTD. • **42**
3. Artur D. Liskowacki, Lejzorek jest wśród nas. „Burzliwe życie Lejzorka" w BTD. • **45**
4. Dorota Kolano, Ile mogłaby kosztować dzisiaj ludzka dusza?„Traktat o łuskaniu fasoli" w STP „Dialog". • **47**

III • KSIĄŻKI
1. Natalia Konieczna, O „Miniaturze z gazelą" Turczyńskiego, czyli jaki uważnie patrzysz, czytelniku? • **52**
2. Jupi Podlaszewski, Niegdysiejsze śniegi mistrza Czesława K. • **56**
3. Małgorzata Kołowska, Z nieba pod... parasol. Nowe opowiadania R. Ulickiego. • **58**
4. Małgorzata Kołowska, Życie mimo wszystko. Poezja i proza Jana Kuriaty. • **60**
5. Małgorzata Kołowska, O zakładach komunalnych bez komunałów. Nowa książka Elżbiety Juszczak-Maraszkiewicz. • **63**
6. Natalia Konieczna, Na tropie magicznego Koszalina...Tryptyk koszaliński Piotra Polechońskiego. • **67**
7. Kartografia z myszką, „Plany miast pomorskich" w AP. • **71**
8. Małgorzata Kołowska, Spóźniony prezent. „Archiwa i Społeczeństwo. Pół wieku działalności Archiwum Państwowego w Koszalinie (1953) 1961-2011". • **72**
9. Małgorzata Kołowska, Bogdan Plomin o malowaniu ogrodów. • **73**
10. Anna Marcinek-Drozdalska, Gracjan Bojar-Fijałkowski, nowa edycja legend w 100-lecie urodzin. • **75**

IV • SZTUKA I ARCHITEKTURA
1. Anna Makochonik, Koszart antyatomowy. • **80**
2. Anna Mosiewicz, Ryszarda Lecha sztuka ze znakiem firmowym. Wystawa w Muzeum w Koszalinie. • **86**
3. Grażyna Preder, Urodziny ulicy Wyspiańskiego. • **89**
4. „Rudzielec" na miarę XXI wieku. • **92**
5. „Magazyn Sztuki" na peryferiach. • **95**

V • FILM
1. Anna Serdiukow, Przyjaźń dłuższa niż seans filmowy. KFDF „Młodzi i Film". • **98**
2. Anna Makochonik, Pięć wymiarów Integracji. IX Europejski Festiwal Filmowy „Integracja Ty i ja". • **105**
3. Izabela Nowak, Festiwal Filmów Dokumentalnych o Włodzimierzu Wysockim. • **110**

VI • NASI W ŚWIECIE
1. **Maria Słowik-Tworke**, Nadzieja światowej dyrygentury - piękna i z Koszalina! Rozmowa z Marzeną Diakun. • **116**
2. **Beata Górecka-Młyńczak**, Myśląc o Stradivariusie. Rozmowa z Martą Kowalczyk. • **121**
3. **Zdzisław Pacholski**, Uwalnianie pamięci. Wystawa „Ausgelöst" w Galerie Münsterland w Emsdeten. • **124**
4. **Małgorzata Kołowska**, Korea kocha Rapsę! • **126**
5. **Małgorzata Kołowska**, Bożena Giedych. Ucztująca z mistrzami. • **128**
6. **Małgorzata Kołowska**, Grzegorz E. Funke laureatem nagrody PRO ARTE. • **131**
7. **Izabela Nowak**, Wiktoria Wizner. Rok sukcesów i spełnionych marzeń. • **132**
8. **Jadwiga Koprowska**, Powrót do Świsłoczy. • **135**

VII • JUBILEUSZE
1. **Anna Mosiewicz**, Młodość (!) muzealnego stulatka. 100-lecie Muzeum w Koszalinie. • **140**
2. **Małgorzata Zychowicz**, Biblioteka żywa. 65-lecie Koszalińskiej Biblioteki Publicznej. • **145**
3. **Beata Górecka-Młyńczak**, Szczęściara z batutą. 20-lecie pracy artystycznej Ewy Szeredy. • **149**
4. **Izabela Nowak**, 18 lat Muzeum Włodzimierza Wysockiego. • **152**
5. **Maria Słowik-Tworke**, Droga skrzypcowego mistrza. 15-lecie pracy artystycznej pierwszego skrzypka FK Natana Dondalskiego. • **155**
6. **Maria Słowik-Tworke**, Dla muzyki warto żyć. 15-lecie pracy artystycznej skrzypaczki Agnieszki Tobik. • **159**

VIII • MISCELLANEA
1. **Małgorzata Kołowska**, V Gala Kultury. • **164**
2. **Anna Janczewska**, Noc w Archiwum, czyli rycerskie klimaty w „Castrum Cussalin". • **167**
3. **Joanna Szczepanik**, „Kulturotwórcza rola małych ośrodków". Sympozjum koszalińskiej Fundacji Moje Archiwum. • **173**

IX • POŻEGNANIA i WSPOMNIENIA
1. **Jan Kowalczyk** • **180**
2. **Roman Lis** • **181**
3. **Władysław Husejko** • **183**
4. **Adam Muszyński** • **184**
5. **Jerzy Fitio** • **186**
6. **Diana Łozińska** • **187**

X • **Anna Kowal**, KALENDARIUM 2012. • **188**

XI • **Kto jest kim?** Autorzy almanachu od A do Z. • **197**